

ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXX.

ROK VIII.

TOM II. — ZESZYT I.

Kwiecień.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1883.

SPIS RZECZY.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie . . . . Rs. 12.
Półrocznie . . . . „ 6.
Kwartalnie (tylko w Warszawie) . . . . „ 3

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio

DO REDAKCYI ATENEUM

Włodzimierska, 14.

Druk ukończono 3 Kwietnia 1883 r.

ZJAZD PRZEMYSŁOWCÓW GÓRNICZYCH

W WARSZAWIE.

W Cesarstwie od niedawna odbywają się corocznie zjazdy górnicze, które wywarły zbawienny wpływ na rozwój tamtejszych kopalń węgla. Zjazdy przyczyniły się tam do uregulowania stosunków pomiędzy kopialniami i kolejami żelaznemi; do zbliżenia między sobą przemysłowców, do zaznajomienia z przemysłem górniczym szerokiego koła publiczności i nakoniec do rozszerzenia użycia węgla. Dla tego też nasi górnicy z przyjemnością się dowiedzieli, że 14-go maja 1882 r. zostało wydane zezwolenie na odbywanie corocznie takich zjazdów i u nas. Następnie miłe także wrażenie w sferach górniczych zrobiła wiadomość, że na prezesa pierwszego zjazdu został przeznaczony p. Aleksander Jossa, gdyż nazwisko to jest oddawna dobrze znane naszym górnikom, prezes bowiem zjazdu jest rodzonym bratem zmarłego niedawno Grzegorza Jossy, który w latach od 1857 do 1860 był dyrektorem wydziału górnictwa w Warszawie i dał się poznać z rozległych wiadomości i najlepszych dla kraju naszego chęci. Jeżeli do tego jeszcze dodać, że w Cesarstwie uchwały zjazdów cieszyły się stale poparciem rządu, to nie powinno zadziwiać, że nasi przemysłowcy górniczy oczekiwali od zjazdu wielu dogodności. Wskutek uprzednich narad pomiędzy członkami Departamentu Górnictwa w Petersburgu i tutejszymi przemysłowcami górniczymi postanowiono, że narady na zjeździe miały dotyczéć pięciu następujących punktów:

1. Rozwoju przemysłu węglowego; 2. Podniesienia produkcyi żelaza i stali; 3. Podniesienia przemysłu cynkowego; 4. Założenia szkoły górniczéj; 5. Kas pomocniczych dla oficyalistów i robotników górniczych.

Postaramy się tu przedstawić kilka uwag jakie nam się nastręczyły w czasie przebiegu obrad na zjeździe.

1. *Przemysł węglowy.*

Przemysł węglowy u nas, pomimo bardzo znakomitéj zamożności pokładów tego minerału, nie mógł aż do dzisiejszych czasów dojść do poważniejszego rozwoju, tak, że dopiero w ostatnim dwudziestoleciu nastąpił szereg okoliczności, które wpłynęły na znaczne podniesienie téj gałęzi przemysłu. Po roku 1863 obszerne przestrzenie ziemi w okolicy Dąbrowy, pod któremi można się było spodziewać węgla, przeszły w ręce zamożnych cudzoziemców, którzy zwolna zaczęli się przygotowywać do stworzenia wielkiego przemysłu węglowego, odpowiedniego istotnéj zamożności pokładów. Jako przykład w tym względzie może służyć nabycie w 1864 r. przez p. Kramstę dóbr Zagórze i Gzichów od pp. Siemieńskich, które przez wiele wieków mogą zaspakajać potrzeby całego kraju. Ogłoszenie następnie prawa górniczego z d. 16 (28) czerwca 1870 r., było jeszcze większą pobudką do podniesienia się przemysłu węglowego, prawo to dało najprzód zachętę do rozległych poszukiwań, które doprowadziły do licznych odkryć węgla w takich miejscach, w których zaledwie geologowie się go spodziewali, jako przykład w tym względzie można przytoczyć dobra Grodziec, należące do p. Ciechanowskiego, w których znaleziono w tym czasie gruby pogład węgla, a następnie do otwarcia, szczególniéj na gruntach włościańskich w byłych dobrach rządowych, obszernych kopalń węgla jak np. należących do towarzystwa warszawskiego i innych. Do przyczyn wpływających na podniesienie się przemysłu węglowego trzeba także zaliczyć i sprzedaż przez rząd w 1876 r. kopalń węgla w Dąbrowie towarzystwu francuskiemu, które porobiło bardzo wielkie nakłady dla postawienia eksploatacyi węgla na wysokości, któraby odpowiadała niezwykłéj zamożności tutejszych pokładów. Trzeba jednak przyznać, że wymienione okoliczności były tylko środkami przygotowawczémi, które dały możność przemysłowcom węglowym skorzystać z przyjaznych warunków, wynikłych od roku 1877 t. j. od czasu zniżenia się wartości rubla papierowego. Zniżenie waluty miało na rozwój przemysłu węglowego wpływ prawdziwie czarodziejski, bo gdy produkcya węgla w roku 1873 nie dochodziła do 20 milionów pudów, a w roku 1876 była mniejszą niż 30 milionów, w latach następujących po 1877 doszła do 80 milionów i prawie że zamknęła drogę węglowi szląskiemu, który tém trudniéj mógł współzawodniczyć z tutejszym węglem, gdy cło od węgla wynoszące do 1 lipca 1882 r. ½ kop. od puda, zaczęto pobierać w złocie t. j. podniesiono o 40 procentów. Łatwo przewidzieć, że pomyślność przemysłu opartego na zniżeniu waluty i rozwijającego się

tak blisko granicy musi być przemijającą. Pomijając bowiem ewentualność podniesienia się wartości rubla jako zbyt odległą, należy się spodziewać, że prędzéj czy późniéj ceny wszystkiego, licząc na ruble papierowe, muszą się podnieść i sprowadzić podrożenie produkcyi węgla, przy którém konkurencya z węglem szląskim będzie tak trudna jak przed zniżeniem się waluty. Dla tego też najpierwsze żądanie przemysłowców węglowych na zjeździe miało na celu ponowne podniesienie cła. Przemysłowcy węglowi nie rozwijali czemu domagają się tego i poprzestali na prostém wyrażeniu życzenia; zdaje się jednak że ich życzenie zyskałoby na tém, gdyby było uzasadnione, gdyby je dopełnili w następujący sposób. Do 1 lipca 1882 r. pobierało się cła w złocie po pół kopiejki od puda węgla, podniesienie w tym czasie cła jeszcze na pół kopiejki miało ten skutek, że gdy w pierwszém półroczu 1882 r. przywieziono ze Szląską 11 milionów pudów węgla, w drugiém już tylko 6½, to jest że przywóz węgla szląskiego zmniejszył się o połowę. Wprawdzie byłoby do życzenia żeby tyle węgla z zagranicy nie przychodziło, to jednak możnaby na tém poprzestać wobec tego, że większość kopalń prowadzi się teraz bez strat (jak przekonywają np. bilanse ogłoszone w „Gazecie Polskiéj" przez towarzystwo warszawskie), gdyby nie było obawy że niezadługo zniżka waluty przestanie bronić tutejszego przemysłu węglowego, bo produkcya węgla wskutek podrożenia wszystkiego stanie się droższą i wtenczas spółzawodnictwo z węglem szląskim będzie tak jak przed zniżeniem się waluty niemożliwe. Podnosząc więc cło z 1 kop. od puda na 2½ to jest o 1½ kop. w złocie albo o 2,43 kop. papierami otrzyma się na korcu czyli na 6 pudach około 15 kop. podwyższenia, które zabezpieczy przemysł węglowy od zmian jakie mogą wyniknąć z podrożenia wszystkiego. Zabezpieczenie to byłoby już zupełne i przemysł węglowy mógłby spokojnie przenosić wszelkie zmiany wynikające z niestałości naszéj waluty.

Przeciwko takiemu dowodzeniu jedynemu, jakie przemysłowcy węglowi mogliby przedstawić wobec opinii publicznéj, żądając tak znakomitego podniesienia cła na materyał pierwszéj potrzeby dla wszystkich, dałoby się zrobić następujące zarzuty. Najprzód że żądane podwyższenie jest za wysokie, nawet w przypuszczeniu, że podrożenie wszystkiego nastąpi niezwłocznie. Nasz rubel papierowy płaci się o 40 procentów niżéj od nominalnéj wartości, nic więc nie powinno podrożeć z téj przyczyny wyżéj tylko o te same 40 procentów. Jeżeli więc przyjmiemy że obecnie koszta wydobycia węgla na większéj części kopalń wynoszą około 25 kop. od korca, to w razie podrożenia wszystkiego o 40 procentów, wynosiłyby

35 kop. czyli o 10 kop. więcéj. Dla zupełnego więc zabezpieczenia wystarczałoby zatém podniesienie o 10 kop. na korcu czyli o 1 kop. w złocie na pudzie. Podniesienie więc cła o 1 kop. złotem na pudzie powinno być uważane jako maksymum dające się jako tako usprawiedliwić. Teraz chodzi o określenie w jakim czasie należałoby to zrobić. Ponieważ jak to wyżéj było powiedziane wiele kopalń prowadzi się obecnie bez straty, więc na teraz nic tak dalece nie zmusza do natychmiastowego podniesienia cła, możnaby więc jeszcze jakiś czas się z tém wstrzymać i dopiero kiedy skutki podrożenia wszystkiego zaczną być widoczne, przystąpić do powolnego podnoszenia najprzód o $\frac{1}{2}$ kop. w złocie na pudzie a następnie o drugie $\frac{1}{2}$. Zasługuje to tymbardziéj na uwagę, że dla zbytu węgla krajowego otwierają się coraz szersze widoki, wskutek czego przemysłowcy węglowi mogą znaleść ratunek nawet bez podnoszenia cła w rozszerzaniu produkcyi, bo chociażby nawet zysk ich na pudzie węgla się zmniejszał, to za to liczba sprzedawanych pudów może się znacznie powiększyć. Że ta nadzieja nie jest pozbawiona podstawy, przekonywa najprzód okoliczność, że nowo budująca się droga Iwangrodzko-Dąbrowska otworzy dla węgla obszerny zbyt w takich miejscach gdzie go się wcale dziś nie używa. Niezależnie od tego, jak przekonały rozprawy na zjeździe, i na istniejących drogach żelaznych będzie można przewozić więcéj węgla, jeżeli zarządy kolei żelaznych porobią pewne dogodności, jakich się przemysłowcy węglowi słusznie domagają. Stanowiło to następny punkt życzeń przemysłowców. Życzenia te najdokładniéj na zjeździe sformułowane przez p. Niedźwiedzkiego, przedstawiciela kopalń Dąbrowskich, należących do towarzystwa francuskiego, odniosły zaraz ten skutek, że zarząd kolei W.-Wiedeńskiéj przyrzekł poczynić następujące dogodności, które znacznie ułatwią przesyłkę węgla na koleje prawego brzegu Wisły i wskutek tego dozwolą go posełać daléj aniżeli to dotąd miało miejsce: 1) zarząd kolei obowiązuje się przeważać na kopalniach wysełany węgiel, jeżeli kopalnie będą się przyczyniać do utrzymywania potrzebnych do tego urzędników; 2) po odebraniu 4 procentów zwyżki na stratę w drodze zarząd przyjmie odpowiedzialność za resztę wysełanego węgla; 3) zarząd zgodzi się na obniżenie taryfy przy przewozie tranzytowym, jeżeli na podobne zniżenie zgodzi się zarząd kolei Petersburskiéj; 4) zarząd będzie przyjmował na wagony po 624 pudy i oddawał drogom szeroko kolejowym po 600 p. t. j. po tyle, ile potrzeba do napełnienia wagonów bez pozostawienia resztek, których zostawanie narażało przemysłowców na liczne straty. Ponieważ zarządy innych kolei nie okazały gotowości do podobnych ustępstw, więc

przemysłowcy węglowi zamieścili w rezolucyi zjazdu następujące żądania, o zaspokojenie których ma się starać wybrana przez zjazd komisya: o zniżenie taryfy przy przewozie węgla po jednéj drodze do $^1/_{65}$ kop. od puda i wiorsty, a przy przewozie tranzytowym po $^1/_{75}$ kop., — o jak najśpieszniejsze urządzenie na stacyi Praga przyrządów do przeładowywania węgla całemi wagonami. Oprócz tego w rezolucyi zjazdu zamieszczono i te życzenia, na które zarząd kolei W.-Wiedeńskiéj się zgodził.

Na tém skończyły się rozprawy tyczące się środków podniesienia przemysłu węglowego, o których pominąwszy kwestyą cła z całą słusznością można powiedziéć, że przyniosą niewątpliwie wiele korzyści, tak dla przemysłowców węglowych i dla innych gałęzi przemysłu potrzebujących węgla na opał, jak również i dla ogółu publiczności. Tu trzeba jeszcze parę wyrazów dodać co do tego czy w razie podniesienia cła o $1\frac{1}{2}$ kop. w złocie na pudzie węgla, zamieszczonego w rezolucyi zjazdu, cena jego podniesie się w kraju czy téż nie. Przemysłowcy węglowi utrzymują że nie, a to na téj zasadzie, iż po podwyższeniu o pół kopiejki cła od 1 lipca 1882 r. ceny opału mineralnego nie podniosły się. Argument ten nie jest jednak dosyć przekonywającym w tak złożonéj kwestyi, tymbardziéj że między podniesieniem o $\frac{1}{2}$ i $1\frac{1}{2}$ kop. jest znaczna różnica i wskutek tego trudno zapewnić, czy następstwa w obydwóch razach byłyby jednakowe. Zdaje się że po tak gwałtownem podniesieniu cła, spodziewać się podwyższenia cen węgla należy, przynajmniéj przez pewien przeciąg czasu zanim produkcya krajowych kopalń węgla nie podniesie się na tyle, żeby się wytworzyła odpowiednia między niemi konkurencya.

Rezolucya zjazdu robi wyjątek dla węgla, potrzebnego do wyrobu gazu, od którego nie projektuje się podwyższać cła.

2. *Przemysł żelazny.*

Przechodząc do następnego punktu programu zjazdu t. j. do podniesienia przemysłu żelaznego, spotykamy się znów z żądaniem podniesienia cła od surowizny a mianowicie z 6 kop. na 15 złotem od puda. Przemysłowcy oświadczyli, że skutkiem tego, iż na surowiznę jest cło niskie a na wyroby żelazne wysokie, zagraża im konkurencya w téj postaci, że na pograniczu powstają zakłady przerabiające zagraniczną surowiznę i gotują im ruinę. Przemysłowcy okręgu wschodniego na poparcie swych sądów przytaczali, że w tamlejszych kopalniach i zakładach pracuje do 6400 robotników i tytuż dowożących materyały, którzy ze swojemi rodzinami stanowią

poważną liczbę 40,000 głów, mogących się znaleść bez zarobku jeżeliby zakłady miały być w biegu zatrzymane. Co do nas to całkowite nasze sympatye są po stronie tych zakładów, które tak znakomicie się przyczyniły do rozszerzenia kultury w tych pięknych okolicach i wytworzyły wielce sympatyczny, rodzimy typ pracowników zwanych tam kuźniakami, którzy niejednokrotnie już dowiedli jak świetnie postąpili wyżéj w oświacie w porównaniu z mieszkańcami innych okolic kraju. Byłoby więc pożałowania godném gdyby ci ludzie mieli być pozbawieni zarobków i zmuszeni do rozejścia się po świecie, jak przepowiadają właściciele tamtejszych zakładów. Pomimo to jednak zdaje się, że trudno będzie tak wysokie cło na zagraniczną surowiznę przeprowadzić, bo i przemysł oparty na jéj przerobie zatrudnia także wiele ludzi i ma może więcéj kapitałów zaangażowanych. Że tak jest przekonywa okoliczność, że gdy w kraju wyrabia się około 3 milionów pudów surowizny, to drugie tyle sprowadza się jéj z zagranicy. Prawdopodobnie więc wobec tych dwóch przeciwnych prądów nastąpi pewne chociaż nie tak znaczne podniesienie cła, które jednéj stronie przyniesie niejaką ulgę, a drugiéj ostatecznie nie zrujnuje. Oprócz tego przedstawiciele przemysłu żelaznego wyrazili następujące życzenia:

1) Żeby znieść cło od koksu i rozmaitych materyałów ogniotrwałych, których niema w kraju.

W granicach naszego kraju nie znaleziono dotąd węgla przydatnego na koks, który trzeba przywozić ze Szląska i Morawii, zniesienie więc cła będzie stanowić znakomitą zachętę do rozwoju fabrykacyi surowizny, dziś bowiem ta fabrykacya jest wielce utrudniona, o czém przekonywa np. okoliczność, że zakład Huta Bankowa płaci rocznie cła 32 tysiące rubli od koksu, używanego do wytapiania surowizny.

2) Żeby dozwolić na wydobywanie rudy żelaznéj właścicielom gruntów bez żądania koncesyi, oraz żeby uchylić żądania, mające na celu zastosowanie wywłaszczania właścicieli powierzchni i do rud żelaznych, nie objęte w prawie z 16 (28) czerwca 1870 r.

Ma to ułatwić wydobywanie rudy i zasłonić właścicieli gruntów od spekulacyi, opartych wyłącznie na wyjednywaniu sobie koncesyi.

3) Żeby przeprowadzić odnogę kolei żelaznéj, rozpoczynającéj się pomiędzy stacyami Końskie i Nieborów do Przedborza, któraby przechodziła przez szereg zakładów żelaznych pominiętych przez główną linią, idącą od Koluszek do Bodzechowa.

Właściciele tych zakładów zapewniają, że wspomniana odnoga opłaciłaby się niewątpliwie przyczyniając do ułatwienia produkcyi żelaza w téj okolicy.

4) Żeby dozwolić na przechowywanie dynamitu, potrzebnego do kopalń położonych w okręgu wschodnim, w magazynie rządowym w Suchedniowie.

Spełnienie tego żądania ma ułatwić kopalniom okręgu wschodniego zaopatrywanie się w dynamit, bez którego robót górniczych w twardych skałach prowadzić nie można.

3. *Przemysł cynkowy.*

Jedyny w granicach naszego kraju, oprócz rządu, producent cynku p. Kramsta, zażądał za pośrednictwem swojego dyrektora p. Wiestera podniesienia cła na cynk surowy z 40 kop. do 1 rs. 20 kop. od puda, na blachę z 70 kop. do 1 rs. 80 kop. i obłożenie bieli cynkowéj cłem 1 rs. 50 kop. także od puda. Wypada w tém miejscu zaznaczyć ten szczególny fakt, że gdy opinia publiczna w Prusach jest nader nieprzychylną wszelkiemu podnoszeniu ceł na naszéj granicy, to przemysłowcy pruscy, osiedlający się u nas, należą do najzawziętszych protekcyonistów. W odpowiedzi na żądanie pełnomocnika p. Kramsty, prezes zjazdu oświadczył, iż byłoby do życzenia żeby przedstawił dowody przekonywające o konieczności takiego podniesienia, p. Wiester przyrzekł przesłać takowe wprost do Departamentu górniczego w Petersburgu.

Drugie żądanie p. Wiestera, żeby uwolnić od cła galman przychodzący z zagranicy, od którego opłaca się obecnie cło po 2 kop. od puda, trzeba uważać za najzupełniéj słuszne, bo takie uwolnienie da możność krajowym hutom zaopatrywania się w bogaty galman, użycie którego w pomieszaniu z naszemi uboższemi może się przyczynić do zniżenia kosztów produkcyi i zapewnić właścicielom zakładów cynkowych znaczny zysk, nawet bez podnoszenia cła na cynk i jego przetwory.

Oprócz środków mających się przyczynić do rozwoju przemysłu węglowego, żelaznego i cynkowego były na zjeździe rozbierane i ogólne odnoszące się do nich wszystkich razem. Środki te według porządku przedstawionego w rezolucyi zjazdu są następujące:

1. Budowanie odnóg kolei żelaznych do kopalń i zakładów.

Zdaje się że to zapewne będzie łatwo przeprowadzić, bo przecież leży w interesie kolei żelaznych żeby jak najwięcéj rozszerzać zakres swéj działalności, należy się więc spodziewać, że każda kopalnia lub zakład uzyska połączenie z głównemi liniami kolejowemi jeżeli przedstawi rękojmie, że się wybudowana linia pomocnicza opłaci.

2. Doprowadzenie dróg bitych łączących zakłady do należytego porządku.

Jest-to jedna z najgwałtowniejszych potrzeb naszego przemysłu górniczego a jednak najmniéj ze wszystkich uwzględniana. Żeby sobie stworzyć wyobrażenie co to jest u nas szosa w okolicy górniczéj, dosyć przejechać się drogą od Olkusza przez Sławków do Dąbrowy lub téż od Dąbrowy do Siemoni. Trudno jest przedstawić ogrom cierpień przenoszonych przez ludzi i konie przy przewozie ciężarów po tych drogach, zapewne najwięcéj uczęszczanych w kraju. W tym stanie rzeczy słuszność nakazuje wyznać, że nas dzieli cała nieskończoność pod względem dróg od krajów cywilizowanych i dla tego téż zdaje się, że żądania przemysłowców tyczące się naprawy dróg były za słabo motywowane.

3. Dozwolenie budowania dróg bitych i kolei konnych z prawem wywłaszczania potrzebnych do tego gruntów.

Zdaje się że to żądanie, przynajmniéj o ile się dotyczy kolei konnych, jest słuszne i zaspokojenie go może się znacznie przyczynić do rozwoju kopalń.

4. Dozwolenie układania kolei konnych po bokach istniejących dróg bitych.

Rozstrzygnięcie téj kwestyi może się bardzo przyczynić do rozwoju kolei konnych, unikałoby się bowiem przy ich budowie trudności wynikających z powodu nabywania gruntów.

5. Dozwolenie nabywania gruntów potrzebnych do urządzania zakładów, kopalń, dróg i kanałów, które na zasadzie ukazów z 19 lutego 1864 r. i 28 października 1866 r. stały się własnością włościan i mieszkańców miast.

Jak wiadomo zakaz sprzedaży gruntów przez włościan i mieszkańców miast był czasowy i wydany w celu, żeby utrudnić przechodzenie gruntów z rąk włościańskich. Od czasu jednak wydania uwłaszczających ukazów mija lat 20, w ciągu których włościanie nauczyli się być właścicielami, za dowód czego mogą służyć liczne przykłady parcelacyi większych własności, przekonywujące, że włościanie nietylko umieją utrzymywać pierwotnie nadaną im własność, ale nawet przy sprzyjających warunkach znacznie ją powiększać. Zdaje się więc, że nadszedł już czas zniesienia zakazu, który w pewnych razach nie tylko nie przynosi włościanom pożytku, ale jest dla ich interesów szkodliwy. Obecnie nabycie kawałka gruntu od włościanina w celach górniczych jest połączone z bardzo wielkiemi trudnościami, pociągającemi za sobą znaczne wydatki, które w razie ułatwienia nabywania gruntów mogłyby być uniknione i przemysłowcy górniczy mogliby więcéj płacić włościanom za po-

trzebne do urządzenia kopalń przestrzenie. Jakiekolwiek nastąpi rozstrzygnięcie téj kwestyi mającéj ogólno-krajowe znaczenie, to zawsze należy się przemysłowcom górniczym uznanie za to że ją poruszyli.

6. Ułożenie w obydwóch okręgach górniczych kart na których byłyby oznaczone wszystkie teraźniejsze i dawne kopalnie.

Znajomość geologicznéj budowy naszego kraju pozostawia wiele do życzenia. Rozmaite przyczyny złożyły się na to że nie mamy dotąd kart geologicznych, sporządzenie których uważa się we wszystkich krajach cywilizowanych za konieczność, na którą nie szczędzi się chociażby bardzo znacznych wydatków. Bez przesady można powiedzieć, że dobra mapa geologiczna otwiera często nieprzewidziane widoki i w pewnych razach wielokrotnie podnosi zamożność i potęgę mieszkańców. Kiedy się nasz kraj doczeka takiéj pracy potęgującéj jego produkcyjność, przewidzieć trudno, zdaje się że powinna być ona dokonaną za pośrednictwem inicyatywy prywatnéj, kosztem właścicieli większych własności, którzy mają najżywszy interes w niezwłocznêm jéj przeprowadzeniu. Czy właściciele większéj własności uznają to za użyteczne dla siebie jest to ich rzeczą, wierzymy jednak że władze Towarzystwa kredytowego ziemskiego, korzystając ze swego wpływu w sferach ziemiańskich, podniosą tę kwestyą i odpowiednio wymaganiom nowoczesnéj nauki przeprowadzą. Postawione więc na zjeździe życzenie stanowi zaledwie małą cząstkę wskazanego tu zadania, chodzi w nich bowiem o karty okręgów górniczych, które być może będą wykonane kosztem rządu pod kierunkiem niedawno otwartego w Petersburgu komitetu geologicznego.

4. *Szkoła górnicza.*

Od czasu zniesienia akademii górniczéj w Kielcach, założonéj za staraniem Staszica, nie mamy w kraju żadnéj szkoły do kształcenia młodzieży w zawodzie górniczym. Co prawda nasze górnictwo nie ma, przynajmniéj dotąd, takiego znaczenia, żeby potrzebowało oddzielnéj szkoły wyższéj dla kształcenia inżenierów, albowiem mogą się kształcić w dostatecznéj liczbie w instytucie górniczym w Petersburgu lub zagranicą, lecz za to dzisiejszy rozwój kopalń i zakładów gwałtownie wymaga szkoły niższéj dla kształcenia dozorców i niższych urzędników, którzy są bezpośrednimi wykonawcami wszelkich prac górniczych. Obecnie tak użyteczni ludzie kształcą się tylko praktycznie, przybywają w młodym wieku na kopalnie i zakłady i zwolna nabierają wprawy i obycia w załatwianiu

robót które im są poruczone. Taki sposób, kształcenia rzadko kiedy doprowadza do szerszego poglądu na naturę i sprawy ludzkie zwłaszcza wobec zupełnego braku w naszéj literaturze dzieł traktujących o górnictwie. Dla tego téż wiele kopalń szczególniéj należących do cudzoziemców sprowadza dozorców górniczych ze Szlązka, co jest im dogodne z dwóch względów: najprzód że Szlązacy mówią wcale dobrze po polsku i mogą wskutek tego porozumiewać się z naszymi robotnikami i oprócz tego, że często mają więcéj teoretycznego wykształcenia od krajowców. Widocznie jednak sprowadzanie dozorców ze Szlązka nie zaspakaja wszystkich potrzeb tutejszego przemysłu górniczego, ponieważ nawet cudziemskie towarzystwa, zwykle obojętne na losy naszéj oświaty, życzą sobie założenia szkoły górniczéj, wskutek czego potrzeba założenia wspomnionéj szkoły została wyrażona na zjeździe, z rzadką w naszych powikłanych stosunkach jednomyślnością. Wybrano więc komisyą, która ma opracować ustawę przyszłéj szkoły i projekt zebrania potrzebnych funduszów na jéj założenie i prowadzenie.

Fundusze te mają pochodzić z trzech źródeł:

1. Z zapomogi przyrzeczonéj przez rząd, składającéj się z potrzebnych do urządzenia szkoły lokalów i być może z jednorazowego zasiłku na rozmaite pomoce naukowe.

2. Z procentów od kapitału, zapisanego jeszcze w 1826 r. przez obywatela Walickiego na szkołę górniczą, znajdującego się w banku polskim i wynoszącego obecnie 34 tysiące rubli.

3. Ze składek od właścicieli kopalń i zakładów.

Po zatwierdzeniu projektu, mającego się wypracować, szkoła górnicza będzie mogła być otwarta jeszcze w bieżącym roku.

5. *Stowarzyszenia górnicze i kasy pomocy dla górników.*

Wszędzie gdzie tylko górnictwo doszło do poważniejszego rozwoju, zabezpieczenie na wypadek od zmian losowych, narażonéj na mnóstwo niebezpieczeństw pracowitéj ludności górniczéj uważa się za konieczność. Dla tego téż we wszystkich krajach cywilizowanych zakładanie stowarzyszeń i kas pomocy dla górników reguluje się drogą prawodawczą i robotnicy wszystkich kopalń oraz ich właściciele pociągani są do pewnych opłat, z których zbiera się fundusz potrzebny na utrzymanie szpitali, leczenie chorych, rozmaitego rodzaju zapomogi, emerytury itd. Dzięki tym zbawiennym urządzeniom żaden pracownik górniczy nie może się tam nigdy znaleść w położeniu rozpaczliwém, jeżeli tylko nie wpadnie w niegodne człowieka zapomnienie o sobie, wskutek tego w okolicach górniczych napo-

tyka się zwykle ludność rozwiniętą, znoszącą spokojnie niebezpieczeństwa i trudy swojego zawodu i w ogóle odznaczającą się przymiotami jakie ludziom nadaje pewność położenia, które bez pomocy stowarzyszeń są tylko udziałem zamożnych. Staszic organizując u nas górnictwo rządowe nie pominął i téj ważnéj sprawy, założone przez niego stowarzyszenie górnicze dla kopalń i zakładów rządowych trwa i dotąd, lecz coraz więcéj chyli się ku upadkowi. W kopalniach rządowych stali górnicy zwani przysięgłymi wnoszą 6 procentów od swoich zarobków i za to otrzymują bezpłatnie: leczenie w razie choroby w domu lub szpitalu, pomoc pieniężną w czasie choroby i oprócz tego emeryturę; czasowi robotnicy opłacają tylko 4 procenty i za to dostają to samo co i przysięgli z wyjątkiem emerytur. W razie jeżeli fundusze stowarzyszenia nie wystarczają, to rząd pokrywa niedobory. Dawniéj przysięgli górnicy t. j. ci, którzy obowiązywali się ciągle pracować w kopalniach byli wolni od wojska. Zachęcało to ludność do zapisywania się na stałych robotników i powiększało liczbę członków stowarzyszenia opłacających 6 procentów; zaprowadzenie ogólnéj powinności wojskowéj ten stan rzeczy zmieniło tak stanowczo, że do stowarzyszenia przestali wchodzić nowi członkowie stali, skutkiem tego wkrótce na kopalniach rządowych pozostaną tylko robotnicy czasowi, nie mający prawa do emerytury. Okoliczność ta, jak również znakomity rozwój kopalń prywatnych, dały powód do projektów celem utworzenia ogólnego stowarzyszenia, którém się od dziesięciu lat zajmują ciągle sfery górnicze. Wskutek tego na zjeździe, który miał miejsce przed dwoma laty w Piotrkowie i był zwołanym celem rozpatrzenia przygotowanych projektów ustawy stowarzyszenia górniczego, wybrano komisye i polecono im wypracowanie ostatecznych projektów, które po przyjęciu przez tegoroczny zjazd mają być przedstawione do zatwierdzenia rządu. Komisye opracowały cztery projekty, a mianowicie: dwa dla okręgu zachodniego i dwa dla wschodniego. Przedmiotem pierwszego projektu dla okręgu zachodniego jest stowarzyszenie emerytalne, o tym projekcie tyle można dziś powiedzieć, że został opracowany na wzór ustawy górno-szląskiego stowarzyszenia górniczego, którą znawcy uważają za bardzo dobrą. Szkoda tylko że projektujący pociągają właścicieli kopalń i zakładów do mniejszéj dopłaty aniżeli to ma miejsce na Szląsku, gdzie przemysłowcy składają tyle co i robotnicy, kiedy w tym projekcie żąda się od nich tylko połowy tego, co wnoszą robotnicy. Można więc mieć obawę, że fundusze mogą być w przyszłości niedostateczne, w razie gdy liczba emerytów wzrośnie. Projektujący jednak zapewniają, że w razie potrzeby znajdzie się na to rada, bo w projekcie jest

przewidziane jak się ma postępować jeżeli funduszów zacznie braknąć. Drugi projekt tyczący się okręgu zachodniego ma na celu normalną ustawę kas wzajemnéj pomocy, z których mają się zaspokajać głównie wydatki na leczenie robotników. Projektujący odstąpili w tym względzie od ustawy górno-szląskiéj, która łączy w sobie tak samo jak i u nas w stowarzyszeniu górniczém rządowém i emerytury i leczenie. Na uwagi robione im w tym względzie na zjeździe, że może byłoby prościéj objąć w jednéj ustawie obydwa cele, odpowiedzieli że uczynili zadość ogólnemu życzeniu przemysłowców, którzy sądzą, że leczenie będzie się odbywać i taniéj i skuteczniéj jeżeli każdy zakład i kopalnia urządzą się w tym względzie oddzielnie. Wobec tego należy tylko życzyć naszéj ludności górniczéj, żeby obydwa wypracowane projekty uzyskały jak najprędzéj moc obowiązującą dla obydwóch stron interesowanych to jest dla robotników i przemysłowców. Komisya wybrana w Piotrkowie dla okręgu wschodniego nie uznała za właściwe urządzać stowarzyszenie emerytalne dla tamtejszych robotników, utrzymując jakoby miejscowe warunki na to nie pozwalały, chociaż te warunki nie przeszkadzają temu, że w tamtejszych zakładach rządowych od 60 lat istnieje stowarzyszenie emerytalne i wydaje zbawienne skutki. Bądź jak bądź komisya okręgu wschodniego przedstawiła tylko projekt kas wzajemnéj pomocy i oszczędności.

Taki był zakres kwestyj podjętych na zjeździe górniczym, z których wszystkie, pomijając powiększenie ceł, o którém mogą być różne zdania, miały na celu ułatwienie produkcyi, rozszerzenie zbytu, polepszenie i ustalenie losu pracowników górniczych oraz ich oświatę t. j. wszystkie zamiary dodatnie, miejmy więc nadzieję, że przyszły zjazd zastanie większość tych pytań rozwiązaną i będzie mógł zwrócić się w inne strony, wymagające z kolei jego rozwagi.

PAMIĘTNIKI HUSARZA

Z PIERWSZYCH LAT XVII WIEKU.

(SAMUEL MASZKIEWICZ).

Wszędzie—u nas zaś więcéj niż gdzieindziéj—badania historyczne noszą charakter procesu wytoczonego przeszłości o zawody, straty i krzywdy obecnéj chwili; proces ten polega na roztrząsaniu nagromadzonych dokumentów i badaniu powoływanych przed trybunał historyi winowajców i świadków. W procesie naszéj przeszłości największe znaczenie mieć może badanie świadków i uczestników zarazem życia politycznego, których legion cały oczekuje na przesłuchanie.

Świadków tych i środków do ich wskrzeszenia, metody skutecznego ich badania dostarcza dziejopisowi literatura posiadająca w swych zabytkach liczne i wierne wizerunki jednostek, które czuły potrzebę przekazania potomnym swych przygód, przekonań i pragnień.

Jak w tufie pokrywającym Pompeję, przechowały się odciski ciał jéj mieszkańców, pozwalające nam przy umiejętném postępowaniu otrzymywać odlewy osób zaskoczonych katastrofą w postawie, w jakiéj je śmierć spotkała; tak śród plątaniny rozmaitych szczegółów stanowiących osnowę licznych pamiętników i dyaryuszów, kryje się autobiografia i charakterystyka ich autora umożebniająca odtworzenie treści jego ducha a więc zarówno grup pojęciowych jak i zwikłanéj tkanki uczuć i dążeń. Poznawszy tę psychiczną podstawę jego przekonań i czynów, pochwyciwszy ten kąt duchowy, pod jakim patrzył na życie, możemy, z opowieści jego przygód i wrażeń, wydobyć cały szereg wyjaśnień i wskazówek pełnych znaczenia dla wielkiego dziejowego procesu.

Życie indywidualne odbiło się tém wierniéj w naszéj dawnéj literaturze, że piszących nie krępowały wcale względy i wymagania polityczne czy estetyczne. Pisali jak umieli i wypowiadali to co wiedzieli i czuli. Z pod pióra ich wychodziły zwykle nie obrazy wypadków i nie wizerunki ludzi, ale tylko jakby przygotowawcze szkice, pojedyńcze bezładnie kreślone rysy. Wyswobodzenie tych rysów od przypadkowego związku z drobiazgami, z którymi je splotła niezdarna ręka rysownika, zestawienie właściwe i uzupełnienie—o ile to możliwa—stanowi jedno z najwdzięczniejszych zadań krytyki literackiéj.

Prócz tych oderwanych rysów, śród suchych notatek dyaryusza przepełnionych datami, nazwiskami, faktami, pojawiają się nam niekiedy—jak miniatury zdobiące marginesy ciężkich traktatów średniowiecznych—pełniejsze obrazki i wizerunki narysowane od niechcenia ale z werwą wielką, zamaszystością i humorem. Nagradzają one mozolne odczytywanie urywanych i niejasnych zwykle notatek i dostarczają wskazówek ułatwiających robotę rekonstrukcyjną. Gdy się nam uda wreszcie wcisnąć w głąb duszy i serca piszącego, zrozumiéć jego pojęcia, pobudki czynów, fizyologiczne, społeczno-polityczne i psychiczne warunki życia; wtedy dopiero suche notatki nabiorą wymowy, każdy rys stanie się żywą postacią, każdy fakt obrazem i wystąpi przed nami nietylko osoba samego autora, ale cała galerya jego krewnych, sąsiadów, kolegów, szereg scen obyczajowych, wojennych, kościelnych uroczystości i publicznych obchodów, słowem cała różnobarwna mozajka stanowiąca pouczającą ilustracyą zarówno dziejów politycznych jak i dziejów literatury.

Jak fizyolog, dla poznania praw kierujących życiem skomplikowanego ustroju zwierzęcego, bierze pod mikroskop pojedyncze komórki i tkanki tego ustroju i w tych najprostszych, najdrobniejszych cząstkach odszukuje wskazówek do zrozumienia budowy całości; tak dziejopis chcący pojąć życie społeczeństwa w pewnéj epoce, wyjaśnić istotę pojawów tego życia, powinien poddać bacznemu, drobiazgowemu rozbiorowi, pojedyncze czynniki organizmu społecznego, rozpatrzéć warunki i koleje bytu jednostki.

Takim czynnikiem, taką zasadniczą komórką w organizmie dawnéj Rzeczypospolitéj był szlachcic polski; a jedną z najwybitniejszych i najbarwniejszych postaci, w jakich występuje on na widowni dziejowéj, jest postać husarza—skrzydlatego rycerza. Zidealizowana przez poetów i malarzy, postać ta stała się niejako uosobieniem wojennéj sławy narodu, wcieleniem męstwa i patryotyzmu naszych ojców.

Świetność odnoszonych przy udziale husaryi zwycięstw, odwaga i wytrwałość, jakiéj niejednokrotnie dawali dowody, wreszcie malowniczy rynsztunek—wszystko to ułatwiało idealne przekształcenie postaci husarza w wyobraźni pokoleń, które znały ją z tradycyi, książek i rysunków. Czy pod świetnemi zbrojami mieściły się równie świetne i czyste duchy, czy skrzydła sterczące u ramion odpowiadały istotnie idealnemu polotowi ich uczuć i podniosłości pojęć, czy wreszcie męstwo tych rycerzy istotnie przeważało szale boju w tylu zwycięstwach? o to troszczono się mało.

Wprawdzie pamiętniki Paska odsłoniły, i to bardzo otwarcie, ujemne strony pancernych postaci, ale świetny humor nieporównanego gawędziarza, obfitość anegdot i scen różnorodnych, jakiemi zabawia swych słuchaczów pobudzając ich do szczeréj wesołości, nie dają czasu do robienia spostrzeżeń i usposabiają do pobłażliwości względem czynów rażących nasze poczucie moralne. Druga połowa wieku XVII, w któréj żył Pasek, uznana ogólnie za epokę upadku politycznego, umysłowego i moralnego, nie daje nam prawa do surowego sądzenia postaci, które nie mogły być lepszymi niż całe otoczenie.

Inaczéj się ma rzecz z ludźmi istotnie świetnéj epoki dziejów naszych, z pokoleniem, które przyszlo na świat za czasów Batorego, karmiło się owocami cywilizacyi rozkwitłéj za Zygmuntów i miało przed sobą żywe wizerunki wielkich mężów, jakich zastęp cały przyozdabiał panowanie Zygmunta III. Jeżeli gdzie, to śród tego pokolenia winniśmy znaleść idealne postacie, któremi wyobraźnia nasza zapełnia sejmy i obozy, sądy i szkoły, dwory pańskie i dworki szlacheckie. Jeżeli mamy odszukać najdoskonalszy typ husarza, to chyba upatrywać go należy śród hufców, które walczyły pod Kircholmem, Kluszynem, Chocimem, którym przewodniczyli Żółkiewski i Chodkiewicz.

Zadanie to ułatwia nam wielce pamiętnik skreślony przez człowieka, który może uchodzić za jednego z wybitniejszych przedstawicieli husaryi polskiéj. Pamiętnik ten stanowi zarówno ciekawe źródło dziejowe jak i zabytek literatury przewyższający inne dyaryusze bogactwem obszernych obrazów, widniejących na suchéj kanwie dziennych notatek, żywym, jasnym choć szkicowym rysunkiem wypadków, w których uczestniczył. Jak zwykle w dawniejszych wiekach, pamiętnik ten wyszedł z pod pióra nie literata z zawodu, lecz człowieka czynu: rycerza i dworaka zarazem— Samuela Maszkiewicza (1).

---

(1) Weryha Darowski znany ze swéj ekscentryczności zbieracz i poszukiwacz w zakresie dziejów polsko-ruskich prowincyj ogłosił w 1863 r. w Brukselli ciekawą

I.

Pochodził on z zamożnéj rodziny rusińskiéj—jak o tém świadczy nazwisko, osiadłéj na Litwie w powiecie nowogrodzkim. Urodził się około 1575 r. prawdopodobnie, w Serweczu stałéj siedzibie rodziców, którzy posiadali jeszcze kilka innych wiosek zarówno w nowogrodzkim jak pińskim i słonimskim powiecie. Młodociane lata Samuela upływały w epoce, gdy słońce nowéj cywilizacyi przedarłszy się przez zamglone puszcze i bagna Litwy, Polesia i Wołynia, rozbudziło i podnieciło śród średnich i wyższych klas ludności nieznane przed tém potrzeby i popędy. Synowie téj bujnéj lecz dzikiéj przyrody rzucili się ku najjaskrawszym i najdostępniejszym darom nowéj kultury i oświaty, chwytając skwapliwie to co ich olśniewało i upojało, co odpowiadało pragnieniom i popędom rwących się do używania swobody i czynności temperamentów. Podbudzanie systematu nerwowego wygodném życiem, nowémi napojami i przyprawami—a duszy nowemi obrazami, pojęciami i uczuciami dostarczanémi przez starożytną i współczesną literaturę wywołało na Litwie i Rusi, śród szlachty naturalnie, nadmiar życia przelewający się to w gorliwém apostołowaniu protestantyzmu i aryanizmu, to w burzliwym politykowaniu, to wreszcie w skwapliwém garnięciu się do służby wojskowéj bez względu na to, kto i przeciw komu ogłaszał zaciągi. Orzechowski, Wereszczyński, Maszkiewicz—to pokrewne sobie pochodzeniem i temperamentem, choć wielce różne kolejami życia, pojęciami i celami postacie.

Pamiętnik Maszkiewicza zaczyna się od 1594 r.; jestto albo data ukończenia nauk szkolnych albo też termin pełnoletności, a może co prawdopodobniejsze na wybór téj daty wpłynęła chęć upamiętnienia dwóch ważnych wydarzeń, które przerwały zwykły bieg życia w ustronném rodzinném gnieździe. Wypadkami temi były: wyruszenie starszego brata autora „pana Jana" na wyprawę przeciw Nalewajce, co-to wtargnąwszy na Litwę w 1594 r. „czynił złego siła," i śmierć ojca w następnym roku (1595).

Samoistne życie p. Samuela zaczyna się dopiéro z chwili gdy ów starszy o wiele brat, którego zawsze nazywa „panem Janem, lub panem podsędkiem," ożeniwszy się z córką Bogdana Chreptowicza Referendarza W. ks. litewskiego, opuszcza Serwecz, gdzie rządził po śmierci ojca, i osiada w innym majątku rodzinnym w Jarze. Zwierzchnictwo nad młodszymi braćmi przechodzi na matkę

---

i rzadką dziś biografią Maszkiewicza doprowadzoną tylko do 1611 r. Część druga téj kilkunasto kartkowéj broszurki nie ukazała się wcale.

a starszeństwo z kolei na Samuela; korzystając z uzyskanéj swobody puszcza się on zaraz na pierwszą swą wyprawę wojenną do Inflant, w chorągwi podkanclerzego litewskiego Wojny. Skromny ten debiut „na parę koni" nie obfitował widocznie w czyny i wypadki, którymi-by się można było pochwalić, zbywa go też w dyaryuszu krótką wzmianką.

Służba wojskowa pociągała wówczas ku sobie żywszą część szlacheckiéj młodzieży, stanowiąc jedyny zawód, w którym mogła ona zaspokoić swe z temperamentu więcéj niż z duchowych potrzeb wynikające pragnienia swobody, ruchliwego koleżeńskiego życia, silnych wrażeń, wreszcie sławy i fortuny nawet. Uczucie patryotyczne, poczucie obowiązku obywatelskiego nie odgrywało tu zwykle wydatniejszéj roli. Za to silnym bodźcem była chęć poznania szerszego świata, o którym wiedział młodzieniec z opowieści lub ksiąg niekiedy, ważną również pobudkę stanowiło nieraz pragnienie wyemancypowania się z pod rodzicielskiéj opieki. W domu przy ojcu, chłop choć pod wąsem, był niczém, w wojsku stawał się niezależnym, równym każdemu innemu towarzyszowi. Karność wojskowa i regulamin służbowy były wówczas tak luźne i lekkie, że nawet najniesforniejszym rzadko zaciężyć mogły.

Złudzenie moralne, jakiemu zwykle podlegamy w poglądzie na przeszłość, jest powodem fałszywego pojmowania charakteru dawniejszéj służby wojskowéj w różnicy od dzisiejszéj. Zdaje nam się mianowicie jakoby w ubiegłych wiekach wojsko składało się z samych ochotników wstępujących do służby przez miłość dla kraju i poczucie obowiązku obywatelskiego. Pogardliwie spoglądamy na dzisiejszych przymusowo służących żołnierzy, mając przed oczyma wymarzony ideał dobrowolnie poświęcającego się rycerza. Tymczasem w rzeczywistości inaczéj się to nam przedstawia. Pospolite ruszenie zwoływane rzadko, w wyjątkowych jedynie położeniach, było w istocie służbą przymusową, nakazaną prawem pod grozą surowych kar. Wiadomo jednak z jaką niechęcią przyjmowała szlachta każde powołanie pod chorągwie, jak opieszale się zbierało i żółwim krokiem wlokło się to wojsko na plac boju, jak niesfornością swoją utrudniało działanie wojenne. Jeżeli szlachta tak niechętnie spełniała obowiązek służby wojskowéj, zkądże więc brali się ci ochotnicy zapełniający chorągwie tak zwanego kwarcianego wojska? Sprzeczność pozorna zniknie, gdy przekonamy się, że stała służba wojskowa była zawodem, „rzemiosłem wojenném" jak ją zwano, przedstawiającym obok ponęt ruchliwego, wesołego i swobodnego życia, jeszcze dość znaczne materyalne korzyści i widoki. Zaciągając się pod chorągiew szlachcic polski nie występował w roli ochot-

nika śpieszącego spełnić obowiązek względem Rzeczypospolitéj, ale przyjmował służbę—opartą na umowie, u potrzebującego siły wojskowéj—mógł to być tak dobrze król polski jak cesarz niemiecki, car Moskwy lub hospodar mołdawski.

Do służby téj obowiązywał się stanąć w odpowiednim rynsztunku i z odpowiednim pocztem (czeladzią i końmi), za co stosownie do ugody otrzymywał kwartalną płacę wysoką na owe czasy (60 do 100 czerw. zł. niekiedy na konia), i całkowite utrzymanie w naturze lub pieniędzmi (*strawne*) oraz udział w łupach wojennych. Przed upływem oznaczonego w umowie terminu mogły obie strony wypowiedzieć dalszą służbę. Forma ta zaciągu, odpowiadała ówczesnemu ubóstwu skarbu państwowego; koszta rynsztunku wojennego, koni i wszelkich rekwizytów ciążyły na zaciągającym się towarzyszu; żywności dostarczały w naturze ziemie, w których wojska stały. Zapłata pieniężna stanowiąca stosunkowo jedną z mniejszych pozycyi kosztów wojennych stawała się zwykle dla rządu Rzeczypospolitéj szkopułem, o który rozbijały się szersze plany polityczne. Niepłatne chorągwie uważając się za zwolnione, przez niedotrzymanie warunków umowy, od dalszéj służby, wypowiadały posłuszeństwo wodzom i dla skutecznego poparcia swych słusznych pretensyj zawiązywały tak zwane, „konfederacye wojskowe.“ Oceniając takie postępowanie według dzisiejszéj skali naszych pojęć obywatelskich i moralnych i nie wchodząc w szczegóły samego faktu, potępiamy zwykle te związki jako czyn zbrodniczy, zdradę sprawy ojczystéj; gdy jednak staniemy na stanowisku, z jakiego patrzyli na nie nasi praojcowie w XVII w., gdy poznamy ich pojęcia i uczucia; wtedy będziemy musieli sąd nasz już nie złagodzić lecz zmienić zupełnie.

Wprawdzie nietylko w XVII ale i w XVI a nawet XV wieku spotykamy się z uczuciami patryotycznémi z podniosłém pojęciem obowiązków obywatelskich, lecz tylko, z małémi wyjątkami, w granicach Małopolski i Wielkopolski, w obszarze objętym przez kilkowiekową już kulturę. W dalszych, późniéj wcielonych i ucywilizowanych prowincyach, zarówno nizki stopień kultury jak powolność procesu asymilacyjnego, nie dopuszczały wytworzenia się podobnych pojęć i uczuć. Z drugiéj znów strony wpływ téj saméj kultury, która umożebniła wyrobienie się wyższych dusz i umysłów śród szlachty mało polskiéj i wielkopolskiéj, osłabił u niéj ducha wojennego i wytworzył liczny zastęp „rycerzy do miecza przypasanych“ mówiąc słowy Kochanowskiego. Na Mazowszu, Litwie i Rusi przeciwnie niższy stopień kultury, wybujałość młodzieńcza a przytém zapewne i gorsze ekonomiczne warunki, zachęcały i zniewalały młodzież do

służby wojskowéj, która stawała się szkołą manier szlacheckich, polskości, ułatwiała poznanie wszystkich prowincyj Rzeczypospolitéj, zawiązywanie pożytecznych stosunków, korzystne ożenienie, słowem przedstawiała liczne a ponętne widoki.

Maszkiewicz i Pasek są przedstawicielami pojęć i uczuć kół wojskowych XVII w., złożonych przeważnie z żywiołów śród niższéj wychowanych kultury. Wszyscy bracia p. Samuela wstępują po kolei do służby. Koszta wyekwipowania pocztu były bardzo znaczne; to téż każdy z nich musiał czekać, aż zbierze się w domu dostateczna ilość koni, własnego zwykle chowu i zapas pieniężny na sprawienie rynsztunku. Jak widzieliśmy, pierwszy z domu wyruszył najstarszy z braci Jan; ożenienie jego wyzwoliło dopiero Samuela, który z młodzieńczą niecierpliwością, nie uważając na brak środków, wyrywa się „w parę koni“ na wyprawę inflancką. Przekonawszy się dowodnie, jak smutną rolę odgrywali w chorągwi biedacy wobec zasobnych towarzyszy, gdy wyrusza powtórnie na wojaczkę, zabiera ze sobą 16 koni i około ośmiu ludzi. Drugi brat Daniel, o którym nie wiele i z pewną oziębłością wspomina Samuel, pomimo iż kolegowali z sobą w wyprawie do Moskwy, dość długo, do saméj śmierci pozostawał w wojsku, najmłodszy wreszcie Gabryel zaciąga się także ale dopiero w jakiś czas po wstąpieniu do służby otrzymuje swój poczet zorganizowany za staraniem Samuela. Ponieważ poczet taki wpływał wiele na stanowisko samego towarzysza w chorągwi, wystawność bowiem i bogactwo działało tém silniéj na prostacze umysły, przeto szlachta sadziła się na piękne konie, bogate zbroje, liczną służbę, obficie zaopatrzoną śpiżarnię, skutkiem czego wysoki stosunkowo żołd a nawet i wojenne łupy rzadko wystarczały na pokrycie kosztów wyekwipowania i wydatków życia koleżeńskiego, tak, iż w braku zasobów gotówki towarzysz niejeden wpadał w długi.

Nadzieja znacznych zysków choćby przy najmniejszém prawdopodobieństwie ich osiągnięcia, wystarcza do pobudzenia przedsiębiorczego a raczéj awanturniczego ducha u ludzi, nie mających przed sobą wytkniętych prostych i pociągających dróg postępowania. Nie znając wartości życia, którego nie umieją i nie mogą często należycie zużytkować, rzucają je chętnie na szale losu, by w zamian karmić się nadzieją wielkiéj wygranéj i wrażeniami długiéj nieraz gry. Szlachcic małopolski i wielkopolski nie czuł tak próżni życia, bo mu ją zapełniały zajęcia gospodarcze, którym z zamiłowaniem się oddawał, literatura, któréj niwę sam częstokroć uprawiał, życie towarzyskie bardzo rozwinięte i ogładzone w formach; zanadto miłował on swój zagon ojczysty, rodzinne i sąsiedzkie

związki, wyższą kulturę obyczajową, z którą się zżył oddawna, by mogły mu się uśmiéchać awanturnicze wyprawy w dalekie ziemie, pogoń gorączkowa za wrażeniami, sławą i fortuną. Jeżeli pragnął wrażeń, to puszczał się w podróż do Włoch lub Francyi, stanowiska zaś i stosunków dobijał się nauką, wymową, dworską ogładą i wysługiwaniem po kancelaryach magnatów i królów. W dalszych jednak prowincyach rzeczypospolitéj nic nie powstrzymywało, a wszystko za to zachęcało młodzież szlachecką do służby wojskowéj, stanowiącéj jeśli nie jedyne, to najwłaściwsze pole do zużytkowania wrodzonych przymiotów i uzdolnień.

II.

Zamęt jaki zapanował w Moskwie w epoce samozwańców i poparcie, jakie u magnatów polskich znalazł pierwszy z pretendentów do tronu carskiego, otworzyły szerokie pole dla awanturników wszelkiego rodzaju. Zyski i godności, ukazujące się choć w dalekiéj ale świetnéj perspektywie, stały się potężnym bodźcem, który pociągnął tysiączne tłumy pod chorągiew Dymitra.

Był to na małą tylko skalę naturalnie ruch jaki spotykamy na Zachodzie po odkryciu Ameryki. Ekonomiczne i socyalno-polityczne warunki wytwarzają od czasu do czasu takie nagromadzenie bezczynnych sił, które znalazłszy dla siebie ujście rzucają się w pewnym kierunku i jeśli mają śród siebie zdolnych wodzów i organizatorów, dają początek trwałym kreacyom i przekształceniom politycznym: w przeciwnym razie zużywają się bezowocnie.

Pamiętniki Maszkiewicza dostarczają nam wielu danych co do natury i rozmiarów tego ruchu. On sam tłómaczy go tém, „że wojska nie mało bez służby było w koronie i radzi byli téj okazyi, szli z wielką ochotą jak na miód.“ Miodem tym były widziane w wyobraźni bajeczne skarby Moskwy i dostojeństwa, jakie po objęciu tronu udzielić musi samozwaniec tym, co mu drogę utorują. Za przykładem Mniszcha, nie wahającego się swéj córki rzucić na stawkę w téj grze, inni możniejsi lub śmielsi zaciągają na swoję rękę oddziały i śpieszą z nimi do obozu Dymitra. Ruch ten wzmógł się głównie po przybyciu wiadomości o wprowadzeniu do Moskwy i koronacyi Samozwańca. Nie zważając na śmierć dopiero co ukoronowanego i na wyraźne samozwaństwo drugiego Dymitra, zachęceni osiągniętém powodzeniem, dążą tłumami ochotnicy szlacheccy i kozacy zaporozcy jak dzikie ptaki na żer. „Na siedm obozów wojsko polskie Carzykowe stało, którego się liczyło do 40,000 sa-

niego kopijnika i więcéj. Kozaków zaporoskich w każdym obozie i z osobna na inszych miejscach, po wszystkiéj ziemi było jako mrówek.... ledwie że nie z koszem wyszli.“ Jak te tłumy gospodarować musiały w upragnioném Eldorado, łatwo sobie wystawić. „Bezpieczeństwa wielkiego (t. j. wygód i korzyści) zażywali nasi po wszystkiéj ziemi za mil 100. Pacholikowie i towarzystwo na przystawstwach bezpiecznie i żywność i pieniądze do obozu wozili.“ Gdy i król sam uznał za potrzebne wyruszyć z wojskiem i ująć ten prąd w pewne karby, sypnęły się za chorągwiami zaciężnymi liczne poczty pańskie i chmara ochotników. „Ale jaki pożytek i przysługę z tych pocztów i wolantaryuszów miał król Jegomość, doznały tego kraje litewskie na sobie i Biała Ruś, gdzie i tam i sam przechodząc wielkie szkody poczyniły; doznało tego i wojsko pieniężne (kwarciane), których bardzo prędko w żywność zgłodzili, wyganiając często i wielkimi stady dobytki za granicę; doznał Jego Królewska Mość na sobie, którego jeno przy samém pieniężném wojsku zostawiwszy, a nic się nie bawiąc z plonem wielkim a dobytkiem nazad wracali“ (str. 12). Choć czuć w tych słowach wzgardę husarza doświadczonego dla nieznających rzemiosła wojennego ochotników i niechęć litwina ku koroniarzom, jednak, że w istocie rzeczy chciwość była głównym bodźcem, wiodącym tak samo hufce królewskie jak tłumy ochotnicze, świadczy podany przez Darowskiego fakt, iż w metryce litewskiéj przechowało się ośmset nadań poczynionych przez Zygmunta III w obozie pod Smoleńskiem na rachunek spodziewanéj aneksyi państwa moskiewskiego.

Te same pobudki, może tylko z domieszką młodzieńczéj ciekawości, gorączki nowych wrażeń, skłoniły i Samuela Maszkiewicza do wyruszenia z własnym pocztem w drogę ku obozowi Dymitra. Jednym z etapów téj wędrówki było miasteczko Brahim (pow. rzeczycki, gubernia mińska) dawne dziedzictwo W. Ks. Kijowskich, a w XVI wieku własność i siedziba Wiszniowieckich. Tu właśnie w 1604 r. pojawił się na dworze książęcym Samozwaniec i pozyskaniem sobie ks. Adama Wiszniowieckiego zapewnił dalsze powodzenie swéj sprawie. W chwili gdy poczet Maszkiewicza stanął w Brahimiu, Dymitr zasiadł już na tronie carskim a opiekun jego ks. Adam bawił przy nowym dworze w Moskwie, oczekując nagrody za swe przysługi. W dworcu brahimskim tymczasem nudziła się osamotniona małżonka książęca. Pojawienie się młodego wojaka nasuwało sposobność urozmaicenia nudnego życia. Obyczaje kobiet na Litwie i Rusi nie odznaczały się wówczas surowością; na dworach magnackich mianowicie panowała bardzo wielka swoboda. Świadczy o tém zarówno „Daphnis“ Twardowskiego jak „Satyry“ Opa-

lińskiego, wreszcie obrazy obyczajów téj epoki kreślone przez takiego znawcę stosunków w prowincyach litewsko-ruskich jak dr. Rolle. Otóż i księżna Wiszniowiecka bez wielkich skrupułów zapewne zatrzymała na swym dworze młodego husarza, przekładając mu, że niema po co jechać do obozu, gdyż wojna skończona a Dymitr zasiadł na tronie.

Dyskretny i milczący litwin, trzymając się zasady, że przy wszystkich nielegalnych położeniach najlepiéj gdy „i ty cyt i ja cyt,“ nie chwali się ze swego powodzenia i zaledwie półsłówkami pozwala domyślać się czytelnikowi swego stosunku z księżną. „Nie miałem się tam (do obozu) po co kwapić, zostałem pod Brahimem, przy p. Janie Jundzille (zapewne marszałek dworu lub plenipotent książęcy) gdziem się *miał ledwie w niebie lepiéj.*“ Możnaby sądzić, że to on, Jundziłł, taką zapłonął przyjaźnią dla młodego wojaka, iż ten przybywszy w czerwcu siedzi aż do listopada, lecz daléj nieco dowiadujemy się, że wyjeżdżając w listopadzie dla wstąpienia do wojska (ogłoszono właśnie wtedy zaciągi) zostawia młody rycerz swój poczet u p. Jundziłła i dostaje od „księżny jejmości kilkaset złotych na sprawunki we Lwowie.“ Ponieważ jednym z rotmistrzów wyznaczonych do formowania chorągwi był ks. Michał Wiszniowiecki, jedzie p. Samuel do Wiszniowca, może z listem polecającym od księżny, ale tu nic nie sprawia, bo sam książę tak lekceważył przyjęte obowiązki, iż został z nich zrzucony. We Lwowie, gdzie nasz bohater przybył 20-go listopada, zaciągi się już skończyły. W istocie młody wojak nie kwapił się wcale do służby, udawał tylko że się stara, by przed rodziną i ludźmi mieć pewną wymówkę swéj bezczynności. Wracając ze Lwowa zatrzymuje się przez święta Bożego Narodzenia w Chobniu (pow. rzeczycki, głucha ustroń śród bagien i lasów) u starosty Charlińskiego. Ośmielony swém powodzeniem w Brahimiu zaleca się śmiało do pani starościny, która pamiętna okazywanych jéj afektów zaraz po śmierci niemłodego widocznie męża, stara się przyciągnąć na stałe chwilowego adoratora. Nie długo tu siedział p. Samuel, gdyż wierny zapewne danemu przyrzeczeniu, stawia się na Nowy Rok (1606) w Brahimiu. Zdaje się że dla obu stron sytuacya stała się dość drażliwą, a stygnące bo zaspokojone namiętności nie dodawały bodźca i energii do stawiania czoła możliwym przeszkodom w utrzymywaniu dłuższém zawiązanego stosunku. Wyjazd księżny na ślub siostrzenicy ks. Koreckiéj, wychodzącéj za Chlebowicza, wybrano za okazyą rozerwania związku. P. Samuel „już ze wszystkiem wybrawszy się, z pocztem i czeladzią“ eskortował księżnę do Korca. Wyjechali w styczniu z Brahimia, 14-go przyjechali do Aleksandrowa „tu rozgniewano się na

mnie ale nie nadługo." Nazajutrz stanęli w Korcu. Zdaje się że dumny swym stosunkiem do księżny, nie umiał w téj podróży Maszkiewicz dość taktownie się zachowywać i nie ukrywał należycie poufałości do jakiéj nawykł w ciągu ośmiomiesięcznych związków. Brat księżnéj, wojewoda trocki, Aleksander Chodkiewicz, przybywszy do Korca na wesele, dostrzegł to i w nieobecności męża sam ujął jego honoru obronę. „Miałem tyle biedy iżem ledwie się z niéj wywikłał" — powiada lakonicznie p. Samuel o całém zajściu, które musiało mieć dość gwałtowny charakter skoro „rozpierzchniona czeladź" łączy się ze swym panem dopiero w Derażni pod Barem. Być może, iż jak domyśla się Darowski, był tu w robocie kobierzec i miał miejsce doraźny, ojcowski wymiar sprawiedliwości. Trudno żądać od naszego wojaka by się przyznał do tego. „Februaryi 12-go pożegnawszy się z księżną wyjechałem z Korca z wielką nieochotą" — powiada o swym rozstaniu się Maszkiewicz. W Derażni „wypoczywał z końmi" przez cały mięsopust polski i następnie zgromadziwszy czeladź wyruszył do chorągwi Pretwica Kamienieckiego, która na zimowe leże rozłożyła się w Chreptyjowie na Podolu.

Po słodyczach pobytu w Brahimiu nie wesoło było p. Samuelowi siedziéć w odludnym zakącie i uganiać się za hajdamakami, „od których mieliśmy wielkie przenagabanie, że nie lża było i na przystawstwo wychylić się czeladnikowi." Dopiero pojmanie samego herszta Sałaty, uspokoiło na jakiś czas zuchwalstwo band rozbójniczych gospodarujących swobodnie na południowo-wschodnich kresach Rzeczypospolitéj. Przeniósłszy się z chorągwią do Płoskirowa, zaczyna p. Samuel ruchliwe aż do zbytku prowadzić życie. Opozycya szlachecka pod sterem Zebrzydowskiego przeszła w jawny rokosz; król zmuszony był gromadzić wojsko dla własnéj obrony. Chorągiew Pretwica pociągnęła z Podola pod Mogielnicę, ztamtąd ją zwrócono do Glinian a w końcu pod Wiślicę, gdzie przebywał król podówczas. Obóz rokoszan był pod Sandomierzem i Pokrzywnicą. Wojska królewskie dopędziły ich pod Janowem nad Wisłą; Stadnicki, jeden z przywódców rokoszan, zdołał z kilkuset ludźmi się przeprawić przez Wisłę do Kazimierza; większość jednak zostawszy otoczoną weszła w układy z królem. Maszkiewicz zachowuje się najobojętniéj względem téj sprawy; ani król ani rokoszanie nie mają jego sympatyi, przytém zdaje się, iż nie rozumie zupełnie znaczenia całego ruchu. Służy królowi, bo mu za to płacą, lecz tak samo gotów służyć Zebrzydowskiemu, jeśli będzie miał widoki większych korzyści. Skoro tylko król „na dosługiwaniu służbę wypowiedział, niezwykłym sposobem w niedziel dwie przed wyj-

ściem ćwierci“ jedzie wraz z drugim towarzyszem jako delegaci chorągwi układać się z Zebrzydowskim to w Bełżycy, to powtórnie w Stężycy. „Nic nie umówiwszy z panem wojewodą, wróciliśmy do króla.“ Widząc, że pomimo nieregularnéj wypłaty żołdu, służba królewska daje większe gwarancye i lepsze widoki, zaciąga się Maszkiewicz pod chorągiew ks. Poryckiego, która razem z innymi poszła pod Warszawę, gdzie król gromadził swe siły. Wkrótce przychodzi do krwawego starcia z rokoszanami pod Guzowem i Orońskiem. „Mieliśmy potrzebę z niemi za łaską Bożą szczęśliwie“—powiada nasz husarz, uważając za jedyny swój obowiązek wierność chorągwi w któréj służy, do czasu naturalnie, na jaki się zobowiązał i dokąd mu punktualnie płacą.

Ten żołdacki prawdziwie indyferentyzm ma dla nas tém większe znaczenie, iż Maszkiewicz innemi swemi przymiotami zdobywa sobie coraz większe uznanie śród towarzyszów i może wobec potomności uchodzić za przedstawiciela ówczesnego husarstwa. Gdy król nie mając pieniędzy daje swe srebra stołowe na zapłatę wojska, p. Samuel zostaje wydelegowany do odbioru tych sreber ze skarbu. Późniéj nieco odbiera w Kazimierzu żołd dla swéj chorągwi. Widzieliśmy już, jak jeździł do Zebrzydowskiego dla prowadzenia układów w imieniu swych towarzyszów. Widocznie więc musiał wyrobić sobie opinią roztropnego, uczciwego i dobrze się przedstawiającego, gdyż podobne delegacye niejednokrotnie i to w ważnych sprawach podejmuje.

Obojętność na sprawy publiczne, na dążenia zarówno króla jak i opozycyi szlacheckiéj, pochodzi u Maszkiewicza ztąd, że obcą mu jest cała przeszłość dziejowa Rzeczypospolitéj, tradycya prawno-politycznych dążeń szlachty małopolskiéj i wielkopolskiéj, jéj wiekowe walki i zatargi z królami, obcym sam ideał rzeczypospolitéj szlacheckiéj, w którym zespoliło się z rysami czysto polskimi niejasne odbicie przeistoczonych zarysów politycznéj organizacyi starożytnego Rzymu. Jest on ciekawym widzem raczéj niż uczestnikiem życia publicznego. Na wyższych pojęciach i uczuciach zbywa mu zupełnie; warunki, w jakich pędził życie, nie sprzyjały ich rozwinięciu.

III.

Wojska królewskie rozgromiwszy rokoszan pod Guzowem (1607 r.) poszło pod Krasnystaw a następnie stały pod Zawichostem. Na zimę chorągiew ks. Poryckiego, w któréj służył p. Samuel, przy-

była jak zwykle do Kowla. W grudniu przyszło polecenie wymarszu aż na podgórze karpackie dla osłony Krakowa od strony Węgier. Nowy rok (1608) rozpoczął p. Samuel w Bieczu. Z wiosną wreszcie otworzyła się młodemu husarzowi sposobność odbycia upragnionéj wyprawy do Moskwy.

Po Zielonych Świątkach król wyruszył z wojskiem w pochód, a w dzień św. Michała 29 września stanął pod Smoleńskiem. Będąc poraz pierwszy zapewne, świadkiem oblężenia warownego miasta, przypatruje się z ciekawością Maszkiewicz temu nowemu widowisku i na podstawie swych obserwacyj kreśli w pamiętniku bardzo wierny i szczegółowy obraz sytuacyi obu stron walczących. Widowisko to za długo się jednak przeciągało i opóźniało tak upragniony pochód do Moskwy. Król tymczasem widząc wzrastające prawdopodobieństwo wyzyskania panującego w państwie carów zamętu na korzyść własnego tronu i rzeczypospolitéj, wyprawił posłów do obozu samozwańca, by zapewnić sobie posłuszeństwo i współudział licznych polskich hufców popierających sprawę Dymitra. Rzecz naturalna, iż nie chcąc stawać w kolizyi z własnym monarchą, który i w Moskwie saméj śród bojarów pozyskał zwolenników przekładających oddanie tronu królewiczowi polskiemu nad anarchią samozwańców — polskie chorągwie po długich przecie targach oświadczyły swe posłuszeństwo królowi a Dymitr lękając się wydania uciekł z obozu. Jedyny wyjątek stanowił Sapieha. Wraz z podległymi mu chorągwiami, tłumem czeladzi i kozaków pozostał ambitny magnat wierny Dymitrowi i pośpieszył za nim do Kaługi. Nie pochwalając tego Maszkiewicz dodaje: „Ze znacznych wojsk nie wiele tam poszło, motłoch wszystko, a po prostu szlachty tam mało, jeno pod husarskiemi chorągwiami, których nie wiele.“ Dla łatwiejszego oderwania od Dymitra chorągwi polskich, zobowiązał się Zygmunt III wypłacić całkowity należny im żołd od chwili zaciągu według warunków umowy z werbownikami (70 złp. za ćwierć na konia). Wzmocniwszy tymi chorągwiami swe siły, wyprawia król Żółkiewskiego z częścią wojsk ku Moskwie, sam zaś z resztą zostaje pod Smoleńskiem. Maszkiewicz ze swą chorągwią należy do wyprawy.

Najświetniejszą chwilą tego śmiałego i energicznie prowadzonego pochodu była bitwa pod Kluszynem, w któréj przymioty husaryi polskiéj zajaśniały w całym blasku. By uprzedzić koncentracyą sił zagradzającego drogę i wielekroć liczniejszego nieprzyjaciela, Żółkiewski zostawia obóz z całym taborem pod strażą niewielkiéj garstki, a sam, z wyborem husaryi (2,500 koni) i dwoma polnymi działkami, wyrusza w cichości wieczorem i przebywszy w nocy

cztery mile, dzielące go od nadchodzącego nieprzyjaciela, uderza o świcie na nieprzygotowanych. Mimo chwilowego zamięszania potężne liczebnie hufce stanęły wkrótce w szyku bojowym; Maszkiewicz liczy je razem z chłopstwem spędzoném do wożenia bagaży i kobylic obozowych na 70,000 ludzi. Wziąwszy trzecią część nawet téj przesadnéj widocznie cyfry, otrzymamy ilość dziesięćkroć jeszcze większą od garstki jazdy polskiéj. Pamiętać tylko trzeba, że przeciwnicy nie mieli zbroi a husarze byli zabezpieczeni od strzałów i cięć w najważniejszych częściach ciała. Mimo to zadanie ich było niełatwe. Po całonocnym pochodzie na koniach zmęczonych i głodnych, bez posiłku i wytchnienia, walczyć od świtu do południa podczas gorącego, letniego dnia, na to trzeba było istotnie niepospolitéj siły, wytrwałości i męstwa. „Jak w otchłań piekielną wpadłszy, długo w pośrodku nieprzyjaciół się skrywając zaledwo kiedy że się ukażą z chorągwią, którą, coraz do sprawy wołają.“ Patrząc na to zanurzanie się szczupłych chorągwi w tłumach nieprzyjaciół, hetman „zwątpił o sobie i o wszystkich nas i jako drugi Jozue ręce do góry trzymając po wszystek czas o zwycięstwo prosił.“ Po ośm do dziesięciu razy szarżowały, mówiąc dzisiejszym językiem, niektóre roty „co do wierzenia niepodobne“—dodaje Maszkiewicz. Kopie w końcu potrzaskały się na kawałki, rynsztunek uległ rozlicznym uszkodzeniom, konie ustawały i ręce odmlewały od ciągłego boju. W zamęcie walki trudno było robić spostrzeżenia p. Samuelowi. „Tym zlecam dowodniéj mówić o tém, kto patrzył jeno, ale mnie trudno było, bom téż swoją gębę oganiał.“ Mimo swéj siły i wytrwałości, jakiéj dawał dowody w dalszym ciągu kampanii, uważa on tę walkę za wysiłek nadludzki. Bodźcem jedynym był dla walczących wzgląd, „że w pół ziemi nieprzyjacielskiéj sąśmy, a tak wielki tłum nieprzyjaciela okrutnego przed sobą mając... jeno w łasce Bożéj szczęścia a w rękach nadzieja. To jeden drugiemu często a często podawając, dodawaliśmy sobie ochoty i serca.“

Kiedy nareszcie ostatni wysiłek już chwiejących się szyków zapewnił im zwycięstwo i skłonił piechotę niemiecką do przerzucania się w znacznéj części na stronę polską, znalazło się w husarzach dość energii do gonienia za idącymi w rozsypkę przeciwnikami „na mil dwie albo trzy.“

„Wracaliśmy już nadwieczór do swoich, zastaliśmy już i Niemców wszystkich u p. Hetmana i obozy obydwa rozszarpane, zostaliśmy też na Mszą i *Te Deum laudamus*... Mało co koniom wytchnąwszy a nic najmniéj nie jedząc, ruszyliśmy się nazad ku swe-

mu obozowi, a Niemcy z nami, i o zachodzie słońca byliśmy w obozie swoim mil cztery odtąd, gdzie była potrzeba.“

Rzeczywiście czytając powyższe szczegóły, czujemy się pigmejczykami w obec herkulesowego pokolenia, które dostarczyło tych rycerzów.

Rzecz naturalna, iż każda namiętność wywoływała w takich organizmach objawy odpowiedniéj potęgi. Gniew czy radość, zapał czy rozpacz takich olbrzymów grzmiała burzą prawdziwą, nawałem giestów, wykrzyków, ruchów. Przewodzić wojsku lub marszałkować sejmikowi złożonemu z takich jednostek było to niełatwe zadanie.

Zwycięsto pod Kluszynem otworzyło bramy stolicy i skłoniło bojarów do traktowania z hetmanem co do oddania korony królewiczowi Władysławowi. Po ułożeniu i zatwierdzeniu obustronném warunków rozpoczął się obrzęd składania przysięgi nowemu carowi. Trwało to siedm tygodni, w saméj Moskwie, wedle Maszkiewicza, złożyło przysięgę trzykroćstotysięcy. Gdy z nadejściem zimy trzeba było rozstawić wojska po kwaterach, wodzowie Polscy nie chcieli wprowadzać chorągwi do stolicy, „a to dla zbytków od naszych, któremi rozumiał (hetman) że Moskwie by naprzykrzył“ (co potém tak było)— powiada prawdomówny Maszkiewicz. Trafne i rozumne to postanowienie nie ostało się wobec domagania się wojska o dozwolenie „okiełznania Moskwy“ na co rad nierad zgodzić się musiał hetman.

P. Samuel odgrywa teraz wydatniejszą rolę w chorągwi, odkąd został awansowany na porucznika. Uczestniczy on zarówno w świetnéj uczcie, jaką Żółkiewski wydaje w obozie dla bojarów jak i w bankiecie, którym na wywzajemnienie kniaź Mścisławski podejmuje hetmana i starszyznę wojskową. Kuchnia moskiewska nie znalazła uznania p. Samuela: „nic mi się nie podobało jeno ciasta, które nakształt francuskich mają.“ Dary również, któremi starodawnym obyczajem gospodarz obdzielił gości, zawiodły ich oczekiwania.— „Hetmanowi sorok soboli nie przednich, rotmistrzom po parze jeno soboli.... jeno aby się nie obrażała Moskwa przyjmowano wrzkomo.“ Podniecona długiém wyczekiwaniem chciwość korzyści, wybuchła z całą siłą przy wybieraniu żywności ze wsi i miast wyznaczanych dla każdéj chorągwi. „Na moję rotę— powiada Maszkiewicz — dostało się dwa gorody: Suzdal i Kostroma mil 70 od stolicy. Tameśmy rozesłali zaraz Towarzystwo z pacholikami dla wybierania żywności; ale nasi nie kontentując się, że pokój mamy od nich, tak sobie bezpiecznie poczynali, że co się komu podobało i u największe-

go Bojarzyna, żona albo córka brali je gwałtem. Czem się wzruszyła Moskwa bardzo, a miała czem zaprawdę.“ Dla zapobieżenia podobnym gwałtom zamieniono dawanie żywności w naturze przez zapłatę pieniężną po 50 zł. na konia. Mimo to rozdrażnienie wzajemne wzrastało: „przyjaźń była w ustach a kamienie w zanadrzu, częstowaliśmy bankietami jeden drugiego a myśleliśmy co innego.“ Samozwaniec zginął, królewicz nie przybywał, wybryki i gwałty żołnierstwa polskiego rozjątrzały ludność, która patrząc na szczupłą liczbę przewodzącego nad nimi wojska, czuła się na siłach wyzwolić z narzuconéj opieki. Z odjazdem Żółkiewskiego, który zdał naczelne dowództwo Gosiewskiemu, karność wojskowa znacznie osłabła a wrzenie między ludem, podbudzanym przez duchowieństwo wzrastało z każdym dniem; katastrofa była nieuniknioną. Przezorny i przebiegły Maszkiewicz wkręca się do domu bojara Gołowina, pod pozorem dostarczenia mu wiadomości o rodzinie brata jego, który dawno już osiadł na Litwie. Korzystając z nieświadomości bojara co do istotnego stanu rzeczy prawił mu „co przyszło na myśl nic nie wiedząc i udając zmyślenia za prawdę. Od tego czasu zaprzyjaźniliśmy się i jeden drugiego nazywał kumem.“ Poczciwy bojar osypywał swego kuma grzecznościami: zapraszał na obiady z całém towarzystwem, przysyłał prowiant, który przywożono mu z majątków, owies i siano dla koni, wreszcie „ostrzegł mnie o innych nieprzyjemnych zdarzeniach, przez co mi wyrządził ważną usługę.“ Zdarzenie te „nieprzyjemne“ musiały być jakimiś nieczystemi sprawkami pana Samuela, któremi nie śmiał się pochwalić.

Co się tyczy najważniejszego wypadku, to „ostrożność nasza była daremną; bunt spadł jak grom nie wielu przewidywać go mogło. Prawdomówny Maszkiewicz nie tai że hasło do walki dali polscy żołnierze przez rabunek sklepów i domów. Ludzie, których pragnienie bogactw zapędziło w tak dalekie strony i podnieciło do zniesienia tylu trudów, wiedząc, iż lada dzień będą wypędzeni z téj Moskwy, na któréj skarbach opierali swe nadzieje, nie mogli się oprzéć pokusie zapełnienia swych tłómoczków chociażby drogą rabunku.

„Żal uwiódł któregoś podobno“—chciano „uprzątnąć pierwéj w domu niż drudzy nastąpią... a potém już i hamować trudno było.“ Napróżno Gosiewski „wypadł na koniu aby hamował.... musiał im dać pokój, żeby już kończyli zaczętą robotę.“ Rzeź była naturalnym wynikiem rabunku. Ludność z dawna przygotowana do walki wysypała się na ulice. Śród ciasnych zaułków, przy zabarykadowaniu przejść wyginęłaby niechybnie co do nogi garść rycerstwa pol-

skiego. „Radyśmy sobie dać nie mogli i nie umieli“—powiada Maszkiewicz o sobie i kolegach nienawykłych i niezdolnych zupełnie, przy ciężkim rynsztunku, do walki ulicznéj. W tém rozpaczliwém położeniu przyszła komuś straszna myśl szukania ratunku w podpaleniu drewnianego miasta.“ Hasło „palcie domy“ obiegło w jednéj chwili oddziały polskie i wnet zostało w czyn wprowadzone. Przyjazny kierunek wiatru umożebnił chorągwiom odwrót pod osłoną muru płomieni prącego przed sobą uciekającą ludność.

W ogniu tym spłonęła i kwatera Maszkiewicza. Poprzedniego dnia właśnie brat jego Daniel, służący w regimencie Strusia, przysłał mu z Możajska na dwudziestu czterech podwodach „owoców, wszelkich wiktuałów i karmu dla koni.“ Zarówno te zapory jak i inne rzeczy i bagaże zniszczały: „wszystko dyabeł pobrał, jedno poszarpali a drugie pogorzało“—mówi z goryczą zawiedziony w swych rachubach wojak.

Starszyzna wojskowa nie widziała innego środka obrony w rozpaczliwém położeniu jak prowadzić daléj zaczęte zniszczenie. W nocy wydano rozkaz zapalenia miasta na wszystkich punktach i w tym celu wyprawiono z Kremla o świcie husarzów pieszo i dwie chorągwie konno tudzież dwa tysiące piechoty niemieckiéj, „Na dwie godziny przed świtaniem wyszliśmy z Kremla pożegnawszy się z tymi, którzy zostawali w zamku, prawie bez nadziei ujrzenia się kiedykolwiek.“ Nie mogąc przedostać się przez zawalone gruzami pogorzelisk ulice, posuwała się wyprawa rzeką po lodzie. W tém straż z wieży Iwana w Kremlu spostrzega, iż pułk Strusia, który na wieść o buncie przybiegł na pomoc z Możajska, usiłuje się wedrzeć do miasta, lecz drewniany ostrokół i bramy pozamykane a bronione tamują mu drogę. Stojący na lodzie oddział zwraca się na pomoc przybywającym i usuwa przeszkodę przez zapalenie parkanu. Zaledwie runęła „ta machina“ tworząc wał płonących głowni, Struś „człowiek wielkiego animuszu i serca, nie czekając dłużéj, zwarłszy konia ostrogami krzyknie: *Za mną dzieci, kto cnotliwy* i tak przez ten płomień i węgle wpadł do nas a za nim wszyscy. Radziśmy mu byli jak Bóg dobréj duszy; otrzeźwieliśmy trochę, serca nam przybyło.“ Powstrzymane chwilowo tym wypadkiem dzieło palenia poprowadzono z tém większą energią, podkładając ogień przez dzień cały. Straszny i wspaniały zarazem widok przedstawiać musiało w ciągu długiéj marcowéj nocy to morze płomieni i dymów, w którém niszczały siedziby i mienie setek tysięcy ludzi. Walka uliczna i pożar rozpoczęły się we wtorek 29 marca (wielki tydzień); pożar podsycany ciągle trwał do wielkiego piątku. „A że w piątek dorobiliśmy téj roboty

właśnie jak on wiersz w psalmie „A miasto pańskie tak umiotę, iż nic tam nie zostanie—a mogę śmielę rzec i kota“ powiada z żołnierskim humorem Maszkiewicz. Ogień jednak, chwilowo zabezpieczył tylko polską załogę; pożar Moskwy jak wielki płomienny sztandar powołał ludność całą pod broń i zaraz po świętach wielkanocnych zebrały się pod murami stolicy ogromne siły nieprzyjacielskie; które opasały zewsząd zamkniętą w Kremlu gromadkę. Nastały chwile ciężkiéj pokuty za poprzednią swawolę. I chciwość łupów ostygła wobec słabéj nadziei wydostania się z matni.

Ponieważ w pierwszym dniu rozruchu podczas gdy jedni się bili drudzy rabowali, tak iż „ni jeden kram cały nie został w Kitajgorodzie“ przeto, wedle wojskowych zwyczajów ówczesnych, urządzono w każdym pułku tak zwany majdan. Po wykonaniu przez towarzyszów i czeladź ułożonéj w tém celu przysięgi każdy składał na majdan porabowane rzeczy, po zebraniu których delegowany towarzysz rozpoczynał licytacyą. Towarzyszom służył przywiléj nabywania sprzedawanych przedmiotów za połowę ceny ofiarowanéj przez kupców i szynkarzów (obozowych zapewne). Otrzymane ze sprzedaży pieniądze dzielono późniéj na równe części. W tym razie wypadło po 28 zł. na konia.

Rozpasane rabunkiem namiętności smutne wydawały owoce. „Po przysiędze karał Pan Bóg całe wojsko—widać że wielu było krzywoprzysiężców“—powiada Maszkiewicz z okazyi pozabijania się w kłótni przy grze dwóch towarzyszów, u których po śmierci znaleziono wiele nieoddanych na majdan przedmiotów. Demoralizacya szerzyła się w wojsku, zwłaszcza przy ciężkich warunkach bytu w oblężonéj twierdzy. Głód nieraz dokuczał żołądkom nawykłym do dostatków; „wór zboża był droższy niż wór pieprzu“ brakowało paszy dla koni, dla których z wielkim trudem i niebezpieczeństwem trzeba było sprowadzać siano z po za obozu nieprzyjacielskiego. Karność upadła: „p. Gosiewski nie chciał sądzić ekscesów na p. Hetmana składając.“ Gdy w dniu 6 października zjawił się z odsieczą Chodkiewicz w 2,000 ludzi, zamiast radości zniechęcenie zapanowało w załodze. „Wnet go sobie omierziwszy serce stracili wszyscy prócz niektórych nas.“ Powodów zniechęcenia było wiele. Głównym choć niewyjawionym głośno był zawód osobistych nadziei i rachub każdego z uczestników wyprawy. Zamiast dostojeństw i skarbów doczekali się niepowodzeń, niebezpieczeństw i trudów oblężenia. Liczne nadania poczynione przez króla pod Smoleńskiem utraciły swą wartość w obec niknącéj nadziei zrealizowania ich w kraju, który nie myślał się już poddać władzy królewicza czy króla pol-

skiego. W wojsku przytém nie zbywało na awanturnikach i różnego rodzaju malkontentach; między innymi znalazła się spora liczba „ekscesniczków inflanckich, na których się pan Hetman gniewał i z wojska inflanckiego precz kazał... a ledwo i nie wytrąbiono.“

Pobłażliwość a raczéj tchórzliwość lub słabość Gosiewskiego, który patrzał na niekarność i nieład obozowy przez szpary, ozuchwaliła tylko niesforne żywioły; skoro więc Chodkiewicz wziął się do ukrócenia swawoli, wybuchło ogólne oburzenie podsycane przez owych inflanckich wichrzycieli chcących pomścić swe zniesławienie dawniejsze. Zawiązano konfederacyą, wysłano deputatów do króla z wypowiedzeniem służby a hetmanowi oznajmiono, że zdają mu Moskwę a sami muszą wyjść dla wypoczynku i odżywienia koni.

Nie widząc innego sposobu uciekł się Chodkiewicz do poruszenia najczulszéj struny w sercu ówczesnego rycerstwa. Ogłosił, iż postępuje płacę tym co zostaną na murach po 20 zł. na miesiąc towarzyszowi a 15 zł. pacholikowi. Ponieważ pieniędzy nie było, więc wierni królewiczowi bojarowie dali rycerstwu na zastaw odpowiednią ilość klejnotów i kosztowności ze skarbcu carskiego. Środek ten poskutkował i około 3,000 pozostało w Kremlu. Hetman z resztą wojska pociągnął daléj by osłonić stolicę i zaopatrywać załogę jéj w żywność. Maszkiewicz nie został, ponieważ nie miał koni ani żywności dla swych ludzi. Pomimo iż nadszedł dzień (6 stycz. 1612) w którym się kończyła rycerstwu służba, nie myślało ono wracać do kraju, łudząc się ciągle nadzieją przybycia królewicza i powetowania poniesionych strat i trudów. Choć więc zawiązaną została konfederacya i zorganizowana cała związkowa hierarchia (marszałek—pułkownicy i deputaci) jednak „daliśmy się na perswazyą Jegomości (hetmana), namówić żeśmy zostawili towarzystwo swoje na stolicy do 14 marca.“ Nie mając dostatecznych sił do zluzowania załogi, w tym terminie przewlókł Chodkiewicz służbę do maja. Energiczny Struś przybył wreszcie ze świeżymi siłami szukając „sławy w dotrzymaniu stolicy królewiczowi.“ Szedł on już do domu lecz na wezwanie hetmana i ukazaną mu zapewne perspektywę świetnéj nagrody wrócił się z pod Smoleńska.

Ludzie nie mający przed sobą jasno wytkniętych, już nie mówię wyższych, ale pospolitszych nawet celów życia i dróg postępowania, kierują się zwykle przypadkowémi zachceniami i wpływami. Żyjąc bez planu, z dnia na dzień, zmieniają z wszelką łatwością swe postanowienia i uczucia, nie oparte na trwałéj podstawie wyrozumo-

wanych sądów i poważniejszych pragnień. Maszkiewicz, podobnie jak i Pasek powoduje się zwykle zewnętrznemi, przypadkowemi pobudkami. Utraciwszy przy niespodziewanym napadzie na wieś, gdzie stał na zimowéj kwaterze, wszystkie kosztowności jakie zebrał rozmaitémi sposobami w téj wyprawie, nie kwapi się do domu, radby zostać, choć osłabła w nim wiara w osiągnięcie świetnych korzyści. „Ja umyśliłem zostać na stolicy i czekać królewicza, ponieważem wszystko coraz stracił.“ W tym celu „sam z dobréj woli“ przyłącza się do oddziału wyprawionego z obozu dla zluzowania części załogi w Kremlu i opatrzenia jéj żywnością. Tymczasem zaszła zmiana w rozporządzeniach hetmana i pomimo usiłowań Gosiewskiego, który pragnął dotrwać do końca, by zdać stolicę spodziewanemu królewiczowi, obronę zamku powierzono energicznemu Strusiowi i jego pułkowi. „Tom też i ja odmienił zamysł, powiada p. Samuel,.... a dobrze się tak stało za przejrzeniem Najwyższego, bobym i ja koniecznie został na stolicy by był z naszego wojska kto został a byłbym taki jako i drugi.“ Rzeczywistym powodem téj zmiany było postanowienie związku wojskowego porzucenia wypowiedzianéj już królowi służby. P. Samuel wyrobiwszy sobie wydatniejsze stanowisko w wojsku i pozyskawszy względy hetmana, który go poznał jako niejednokrotnego deputata rycerstwa w sprawie związku i starał się ująć swą łaskawością, mógł spodziewać się protekcyi do królewicza i hojnéj nagrody za poniesione zasługi. Tymczasem solidarność ze związkiem, który go darzył swym zaufaniem, nie pozwalała przez pozostanie zdradzać sprawy ogółu towarzyszów. Rad nie rad ruszył w powrotny pochód, przedsięwzięty naturalnie wbrew woli hetmana. Dowiedziawszy się o tym akcie samowoli król, rozesłał uniwersały do grodów zalecające: ponieważ „swywolnik z Moskwy wychodzi aby go wszędzie bito i niepuszczano.“ Przezorny p. Samuel dbając o swą opinią od Smoleńska już nie odbywa drogi z wojskiem. „Jam téż był pozostał trochę w Smoleńsku u brata pana Gabryela, a umyślniem to uczynił, abym przez Litwę z wojskiem nie szedł. I tak w kilka dni po nich w szkucie do Orszy popłynąłem, a ztamtąd ku domowi sam lądem.“ W podobny zupełnie sposób waha się między związkiem a hetmanem i królem p. Jan Chryzostom Pasek. Wahanie obu wojaków nie pochodzi ze skrupułów sumienia, z kolizyi między uczuciem obywatelskiém a obowiązkiem solidarności koleżeńskiéj, lecz po prostu z niepewności, która z obu dróg doprowadzi do większych korzyści. Sprytny Pasek dotarł aż do króla i wyzyskał z powodzeniem jego przychylność, p. Samuel byłby może téj drogi próbował gdyby nie obawa związku, który wzrósł do wielkiéj potę-

gi przez połączenie się z chorągwiami sapieżyńskimi. Smutne to doprawdy zjawisko ta dyktatura siedmiutysięcy żołdaków rozrządzających samowolnie całym krajem, terroryzujących zarówno spokojną ludność miejską jak sejm i senat swą solidarnością i energią w wyciskaniu należnego im żołdu. „Z tymi (sapieżyńcami) się nasi porozumieli abyśmy bezpieczniéj zasług dojść i potężni przeciwko tym uniwersałom być mogli.“ Jakże ta liga kondotierów szlacheckich nie miała się stawiać zuchwale wobec króla i sejmu, jeżeli Zygmunt zdecydowawszy się wreszcie wyruszyć do Moskwy dla objęcia tronu na rzecz własną nie syna, wyprawił trzech senatorów do traktowania ze związkiem o uczestnictwo w téj wyprawie. „Mieliśmy posłów od króla do siebie“ powiada Maszkiewicz ale bezskutecznie „bo my wrócić się nie mogli przez zejście (brak) na wszystkiém“ zaciąg świeżych sił nie mógł królowi dostarczyć ludzi, bo właśnie w tym czasie Potocki Stefan przedsiębrał na własną rękę wielką wyprawę na Wołoszczyznę w celu osadzenia swego szwagra na hospodarstwie. Gorączka awanturnicza napędziła w jego szeregi tłumy młodzieży, która zamiast rojonych zysków i tryumfów znalazła zgon częścią od oręża nieprzyjacielskiego częścią w nurtach Prutu i Dzieży w czasie pogromu. „Płacz i narzekanie matek było wielkie w Polsce o potracenie dzieci bo z akademii ze szkół wywiódł był na tę wojnę“— powiada Maszkiewicz.

To jednak nie zniechęciło innych od próbowania szczęścia przy nowéj sposobności. Oto Gabor Batory wojewoda siedmiogrodzki (krewny i wychowaniec Andrzeja Batorego kardynała) prowadząc domową wojnę ze swymi poddanymi, saskimi osadnikami i własnym krewnym i sprzymierzeńcem niedawnym Betlenem Gaborem wyprawia swego agenta do Polski dla werbunku. Wielamowski, jeden z rotmistrzów z wojny moskiewskiéj, podejmuje się tego przedsiębierstwa i otrzymawszy pieniądze zbiera do 3,000 ludzi. Maszkiewicz opowiada przygody jednego z młodych ochotników Jana Wojny syna podkanclerzego litewskiego Gabryela. Wbrew woli ojca ucieka on z domu i zmieniwszy nazwisko zaciąga się do oddziału Wielamowskiego. Strapiony ojciec wydał 3,000 zł. na daremne poszukiwania. Tymczasem synek „wrócił ztamtąd z niczém jak i drudzy“ i bojąc się ojca przyjął służbę jako pachołek u Dudzińskiego towarzysza w chorągwi Młockiego stojącéj na Podgórzu. Dworzanin Radziwiłła woj. trockiego poznawszy młodego Wojnę doniósł o tém księciu, który uwiadomił ojca. Najlepiéj na téj sprawie wyszedł ów Dudziński, bo za doprowadzenie do Lublina i wydanie ojcu młodzika wziął od Radziwiłła 200 zł. a od ojca 300 zł. Przekonawszy się

dowodnie, że życie awanturnicze nie takie rozkoszne jak się wydawało w wyobraźni młodéj, nasz wojak tak się zadomowił, że gorszył tém sąsiadów i znajomych wymagających by syn bogatego dygnitarza, synowiec biskupa, posiadacz starostwa Mareckiego prowadził wesołe, wystawne życie. „Żal mu się Boże bo wielki kiep z niego teraz. Po śmierci ojca z domu się ludziom nie ukaże choć to pierwéj uciekał rzekomo dla służby," powiada Maszkiewicz, będący echem opinii jaką na dworze Radziwiłłów pozyskał w późniejszych latach młody Wojno.

(*dokoń. nast.*)

Bronisław Chlebowski.

CZARODZIEJKA.

POWIEŚĆ.

XXI.

Na niebie błysnęło gwiazd kilka. Powietrze owadów brzękiem, wody melancholijną muzyką żab, powitały cichy, majowy wieczór. W zieleniejących się sadach siół ruskich odezwał się słowik jeden, wnet odpowiedział mu drugi, daleko jak echo, trzeci zaśpiewał i rozpoczął się tercet ptaszków. W ślad do tego koncertu bąk się dołączył, od czasu do czasu hukał z trzcin niedalekiego stawu, wzywając niby głosem kapelmistrza resztę milczących muzyków. I posłuszny temu wezwaniu odezwał się derkacz z pól przytykających do wsi, gwałtownie zaskrzeczały żaby i ukryte gdzieś w trawach, jak roztrojone klarnety, nieśmiało zawtórowały świerszcze.

Z trwogą, niepokojem i z uczuciem niewysłowionéj rozkoszy na myśl zobaczenia niewidzianéj tak długo Anny— podjechałem pod dwór Maliniecki. We wszystkich oknach paliły się światła, z wnętrza gmachu dolatywał szum i gwar przesuwających się i rozmawiających osób.

Czarna sala płonęła setką lamp ujętych w alabastrowe kielichy, na tle jéj ciemném rysowały się prześlicznie bogate stroje i piękne linie ramion kobiecych. Olbrzymia ta komnata z dziwaczną ornamentacyą ścian i sufitu, na którym zczerniałe bronzowania ram ujmujące malowidła bóstw greckich, nie mogły rozjaśnić posępnego wnętrza, z szerokim z czarnego marmuru kominem, u którego rozesłana skóra tygrysia patrzyła potworną paszczą zwierza; z czarnemi w rogach kolumnami, ubranemi w wieńce zasuszonych kwiatów—nie była zbyt odpowiedniem miejscem dla zabaw i wesołości.

Na uczczenie dnia imienin pana Starży zjechali się liczni goście ze wszystkich stron naszego kraju. Świat arystokratyczny z Kra-

kowa, Wielkopolski, Korony i Litwy, miał tu mnogich swych reprezentantów. Kilku panów z Podola sztywnych i zimnych przesuwało się przez marmury komnat, kilku wołyńskich magnatów zadzierało nos do góry, cedząc przez zęby niezrozumiałe wyrazy na kopyto polskie z francuskiego przerobione języka. Ukraina miała równie swych przedstawicieli, ale i ci — prócz jednego hrabiego Tytusa Ornowskiego—nie należeli, z małym przynajmniéj wyjątkiem do śmietanki społeczeństwa.

Z niekłamaną radością przywitał mnie gospodarz domu. Rozpoczęły się prezentacye. Większość towarzystwa była mi nieznajoma, ale znajdowali się i tacy, z którymi, choć przelotnie, zapoznałem się w moich zagranicznych podróżach. Hrabia Tytus powitał mnie lekką wymówką, żem o Mrugotynie zapomniał, na co otrzymał zapewnienie, że za dni kilka go odwiedzę. Kłaniając się na wszystkie strony, podając ręce znajomym i dopiero co poznanym, z bijącém sercem zbliżałem się do grona dam, między któremi jaśniała pięknością i wdziękiem pani Anna Ornowska. Lekkie gazy otulały jéj kibić, kilka róż i pączków kilka rzuconych gdzie niegdzie na suknię i zaczepione o kędziory spływające na piękne ramiona, rumieniły się lekko, świecąc brylantem rosy, nieodstępne perły na obnażoném drżały łonie.

Czy nie zauważyła wchodzącego? czy nie mogła pokryć gwałtownego jakiegoś uczucia? kiedym stanął na przeciw i oczy się nasze spotkały, twarz jéj nagle bladość śmiertelna powlokła, usta zadrżały i zacisnęły się gniewem niby. Jakby mnie uprzedzając w powitaniu, skłoniła głową tylko tak zimno i dumnie, żem się wstrzymał, wpatrzył w nią — i musiałem całą siłę woli na pomoc przywołać, żeby pokryć trwogę i ból, który szarpnął sercem i bladością czoło moje pokrył. Pani Anna odwróciła twarz i spuszczając oczy zaczęła się bawić wachlarzem, zagryzła różowe usta, ale rumieniec na lica nie wrócił — widziałem jak ręka jéj drżała, przesuwając łabędzie piórka wachlarza.

W rycerskiéj sali zastawiono stół dlugi— zbroice, hełmy i miecze uporządkowane wisiały u ścian. Pan Starża podał ramię jednéj z pań i dał hasło do uczty.

Na to wezwanie wszyscy z miejsc się podnieśli, gwar powstał, mężczyźni damom podawali ramiona. Pary za parami opuszczały komnatę, przedemną przesunął się hrabia Wiłosz, prowadząc Annę.

Uczta miała poważny nastrój, rozmowę prowadzono pół głosem, żaden śmiech żywszy nie zabrzmiał, echa w rogach sali spać mogły spokojnie. Brzęczały tylko złote naczynia, stękały butelki i kielichy dzwoniły.

Miejsce mi wypadło obok Ornowskiego, który parę razy rozpoczynał ze mną rozmowę ale posłyszawszy odpowiedź ni w pięć ni w dziewięć, spojrzał na mnie dziwnemi oczyma i umilkł.

Byłem w pół senny, myśli plątały się w mózgu, w piersi serca nie czułem.

Po chwili i szmer rozmowy ustał, w powietrzu lekkie zadrżały dźwięki, jak brzęk muszych skrzydeł, jakby wiatr potrącił arf struny i arfy westchnęły.

To Wojtalira grał na teorbanie.

I płynęła pieśń cicha, drżąca, niby stłumiony jęk srebrnego dzwonu, w pierś którego uderzyły wichry swawolne, pieszcząc się płaczem smutnego grajka.

Pan Starża lubił tę nutę smętną dum kozaczych. Z uśmiechniętemi usty, z podniesioném czołem słuchał — oczy w daleką przestrzeń rzucił, jakby gonił uciekającego anioła młodości, który ciskał kwiatami wspomnień i ostatnią grał pieśń pożegnania.

Wojtalira uderzał w struny—struny śpiewały—pan marzył.

Spojrzałem na Annę.

Głowę miała schyloną, na różach rosy brylanty drżały jakby łzy świeżo upadłe.

Uczta się miała ku końcowi, służba rozniosła napełnione szampanem kielichy, milcząca sala zadrżała okrzykami.

Pito zdrowie pana domu.

Gospodarz podziękował—i stawiając puhar na stole odezwał się w te słowa:

— Wezwałem was panowie i panie na ucztę, któréj cel ma być donioślejszym nad zwykły zabaw i tańców szał. Dziś obchodzę sześćdziesiątą siódmą rocznicę imienin i urodzin swoich. Gdy myślą przebiegam te szeregi lat długich, odnajduję w nich chwile, które ciężarem swoim gniotą mi duszę i nie pozwalają spokojnie iść do grobu. Słuchajcie! powiem wam bajeczkę:

„Był ojciec, który miał dziécię jedno—nie kochał go, bo było kobietą... I zamknął przed nią serce swoje i życie jéj i szczęście jéj zdruzgotał ręką tyrańską. Szczegółów téj historyi nie wyjawię—dość wam wiedziéć, że człowiek ten nosił imię i nazwisko moje!“

Umilkł—nikt nie przerwał milczenia, Anna tylko z trwogą spojrzała w twarz ojca...

Starża pokręcił wąsa, ruszył powiekami łzy rozpędzając i głos podniosłszy tak dal éj mówił:

— Tak, panowie! tym ojcem byłem ja!.. Dzisiaj publiczném win wyznaniem chcę odzyskać serce stracone odtrąconego dziecięcia...

Szmer się zrobił—Anna powstała z krzesła i szła do ojca.

— Córko! Anno!—zawołał Starża wyciągając ramiona—czy mi przebaczysz grzech wielki? czy dasz mi serce zabite nikczemnie?!..

Łzy przerwały mu mowę; Anna zawisła na szyi ojca, który ją w białe czoło całował....

Uroczysta panowała cisza; hrabia Tytus muskał faworyty i spuszczonemi oczyma patrzał na dno próżnego kielicha.

Nagle zabrzmiał głos Anny, drżący, złamany jakimś bólem wielkim. Białemi dłońmi ujęła skronie ojca i patrząc w twarz jego mówiła:

— Na co ty siebie oskarżasz? Tyś nic nie winien! Żadna moc ludzka nie zmieni wyroków w górze pisanych. Są kwiaty, których liście muska powietrze ciepłe, złote słońce ogrzewa... i są inne, skazane losem na śmierć! Błyśnie im promień jasny, kwiaty się szczęściem uśmiechną, ale blask zgaśnie — to meteor biegł przez błękity! Ojcze mój! ja ciebie zawsze kocham, o twojéj winie nie wiem nic!..

— Puhary w górę! — zawołał Starża — niech święci się dzień wróconego mi wesela!..

Brzęknęły szyby od wiwatów — echa w czterech rogach biesiadniczéj izby klasnęły.

Wtém z górnéj galeryj czarnéj sali odezwała się muzyka dwunastym polonezem Ogińskiego. Dźwięki popłynęły gwałtownie, ale z takim jękiem boleśnym jakby miały dać hasło do uroczystości pogrzebu nie zabaw i szału... Zaledwie zrobiłem ruch, chcąc Annę do poloneza prosić, gdy ona podała rękę hrabiemu Wiłoszowi i wsparta na jego ramieniu w pląs poszła.

Oparty o marmurową kolumnę, wpół senny i nieprzytomny jak ptak, któremu wichry złamały skrzydła i z błękitów rzuciły na ziemię, patrzałem na wir wspaniałego tańca, który wężem długim sunął się przez wszystkie komnaty gmachu, wił się, plątał w jakiémś uroczystem milczeniu. Starża prowadził poloneza z właściwą temu pląsowi powagą. Szedł na czele idących par, zapraszał nietańczących, do mnie kilka razy odezwał się: panie Adamie! za mną polskiego!.. ale jakąś siłą przykuty nie mogłem ruszyć się z miejsca, goniąc tylko błędnemi oczyma smutną, bladą, powiewną postać Anny, idącą z głową na pierś spuszczoną, ruchem powolnym, wśród uśmiechniętych twarzy z jakąś ciszą upiorną, jak widmo wezwane gwałtem do dawno postradanego życia. W głowie czułem zamęt szalony, byłem bliski omdlenia. Nagle taniec się splątał: zmieniano damy, mężczyźni postępowali naprzód, odbijając tancerki, Anna przechodziła z rąk do rąk i widziałem jak białe ramię podała ojcu,

który zbliżywszy się do mnie okręcił się z nią i stając na przeciw mnie, odezwał się:

— Zwykle zaczynam poloneza, dokończyć go nigdy nie mogę! Jest w nim jakaś siła okropna, która mówi do mnie głosem lat tysiąca, wspomnieniami, które szarpią pierś moją. Panie Adamie! wyręcz starego!

I oddając mi Annę dodał:

— Naprzód młodzi!—dokończcie rozpoczęty tan polski!..

Ująłem drżącą rękę Anny i wystąpiłem naprzód prowadzony czarującémi dźwiękami muzyki. Mieniały się tancerki daléj, ale plątałem tak figury poloneza, że Anna co chwila musiała do mnie powracać, zaledwie traciłem ją z oczów, zwijało się znowu koło i powracała znów do mnie, choć widziałem, że to z niejakim przymusem robiła. Po raz dziesiąty podając jéj ramię rzekłem do niéj szeptem:

— Daremno pani chcesz uciec odemnie, bez nici Ariadny odnalazłbym ciebie w Labiryncie większym sto razy!

— Żeby się pobawić i śmiać się późniéj—rzekła głosem, w którym tłumiony jęk posłyszałem.—Skończ pan taniec, znużona jestem!

Rozwinąłem koło, doszedłem do damy pana Starży i zakończyłem poloneza.

Obejrzałem się w krąg sali: Anna siedziała pod wazonami zasuszonych kwiatów, koło niéj miejsce było puste.

Zbliżyłem się...

— Widzę w pani niezrozumianą dla siebie zmianę — rzekłem siadając przy niéj.

— Czy mnie się zmieniać nie wolno, gdy tylu innych téj wolności nadużywa?

— Nie wiem o jakich to innych pani mówi?

— Czy pan siebie uważasz za granit?

— Nie, pani! ale choć skromnym krzemieniem być mam prawo, który i po stu latach jednemi i temi samemi iskrami błyśnie!

— Dobrze się pan wyraziłeś! iskrami błyśnie nie ogniem zapłonie!.. Iskrę krzemienia łatwo wykrzesać, która trwa chwilę jak jęk nagłego skonania i gaśnie bez uszczerbku krzemienia; płomień się pali aż przepali i w popiół zamieni, z którego nie dostaniesz skry już żadnéj, prócz wspomnienia, że kiedyś gorzał nie pryskał iskrami gasnącemi i powstającemi łatwo.

— Powiedziałaś mi pani zagadkę.

— Któréj rozwiązać pan nie chcesz.

— Nie mogę i boję się nawet.

— Żeby w jéj rozwiązaniu nie zobaczyć swojego imienia.

Powstała i znikła w różnobarwnym niewiast tłumie.

Nie mogłem zrozumieć słów tych ni głosu, jakim wypowiedziane zostały. List Anny, który miałem przy sobie, mówił mi o jéj miłości i tęsknocie, teraz powitany zostałem obojętnością, z jaką najobojętniejszego się nie wita. Chciałem się do niéj zbliżyć, ale Anna unikała mojego towarzystwa; zrazu smutna i milcząca, późniéj jakby zadając gwałt sercu, śmiać się zaczęła, niezwykła ją opanowała wesołość, która prawie w szał się zmieniła...

Muzyka zaczęła grać walca. Anna jednéj nieodpoczywała chwili. Tańczyła najwięcéj z hrabią Wiłoszem, który krokiem nie odstępował od niéj. Rozmawiała z nim tylko, śmiała się i znów się w pląs rzucała z namiętnością jakąś szaloną. Hrabia Wiłosz towarzyszył jéj ciągle.

Tym nowym zwrotem jéj postępowania urażony zostałem. Miałożby to być drażniącą polityką kobiet, do rzędu których zaliczyć nieśmiałem tak wyżéj od nich stojącéj Anny? chciałażby tém postępowaniem wzbudzić we mnie zazdrość, rozpalić miłość silniéj?... Nigdy! nigdy! ona nie mogłaby się zniżyć do gry tak nędznéj, tak upaść nisko!

Więc cóż to było?

Czy lalkowaty hrabia Wiłosz zajął jéj serce? lecz w takim razie co znaczyła ta bladość twarzy kiedym się do niéj zbliżył? te słowa rzucone ojcu w odpowiedź o kwiatach? te wyrazy powiedziane przed chwilą, w których krył się wyrzut niezasłużony? Daremno biłem się myślą—jakaś boleśna zagadka stała przedemną.

Muzyka grała walca; jednego z tych walców Strausa, który unosił, rozmarzał, upajał... Zobaczywszy Annę siedzącą w otoczeniu licznem tancerzy i prowadzącą żywą rozmowę, gniew zawrzał mi w sercu—postanowiłem choćby przebojem przyjść do niéj i puścić się w tan szalony. Podszedłem do krzesła na którém siedziała i stojąc za niem odezwałem się nachylając nieco:

— Tak pani jesteś porywaną, że nie mogłem z panią przetańczyć ulubionego przez nas obojga, zdaje się tańca... Czy mogę o jeden walc prosić panią?

Hrabia Wiłosz, który stał na uboczu, prowadząc z hrabią Tytusem Ornowskim rozmowę, posłyszawszy te słowo, nim mogła Anna odpowiedzieć, podbiegł do niéj.

— Pani ze mną tańczy — rzekł.

I podał jéj rękę.

Anna powstała, spojrzała na mnie i na hrabiego, zdawała się namyślać. Już miała podać rękę hrabiemu, ale spojrzawszy w twarz moję, któréj wyraz przeraził ją może, bo czułem, że rozpacz i gniew

były na niéj wyryte, zwróciła się nagle do mnie, i podając rękę, rzekła do hrabiego Wiłosza:

— Pan Szczerodyński wprzód mnie prosił—służę panu!

Wziąłem ją pod ramię i zbliżając się zwolna ku środkowi sali, szepnąłem:

— Anno! dla czego mnie męczysz?

Czułem jak serce jéj zadrżało, jak ząbki zadzwoniły niby brylant o szkło trącił, jak się zachwiała; lecz nagle przychodząc do siebie:

— Po walcu—rzekła - czekam pana w ogrodzie, koło krzyża Maryi...

To wróciło mi spokój. Wiedziałem, że po samotnéj z nią rozmowie zerwana struna naciągniętą być musi, że powróci równowaga serc zakłócona jakimś głosem fałszywym.

Z Anną tańczyłem walca. Miałem ją blisko siebie, obejmowałem jéj kibić drżącą, tuliłem dłoń jéj w swym ręku i zapomniałem o wszystkiem, co mnie bolało i męczyło. Urocze dźwięki muzyki kołysały nas, unosiły. Zdawało mi się, że w szale wiru dotknąłem jéj białego czoła. Czy było tak? nie wiem! to mnie wydało się tylko.

Walc się skończył, muzyka umilkła. Hrabia Wiłosz szukał Anny, ale jéj w sali nie było.

Przez aleję lip stuletnich szedłem pośpiesznym krokiem do wskazanego przez Annę miejsca.

Na końcu ogrodu, zkąd czarowny roztaczał się obraz pól rozległych i drzémiących stawów, na niewielkiem wzniesieniu stał duży krzyż kamienny, postawiony przez pana Starżę w dzień śmierci niezapomnianéj kobiety, pierwszéj kochanki lat młodzieńczych. Na nim czerniał krótki napis:

Pamięci Maryi.

Miejsce to dla pana Stanisława świętem było. Tu długie spędzał godziny na rozmyślaniu i modlitwie. Gdy był miotany gniewem gwałtownym, rzucenie jednego spojrzenia na tę drogą sercu pamiątkę łagodziło go, wracało mu dawny spokój, tu wszelkie przebaczał urazy i wszelkie krzywdy zapominał.

Wieczór był cichy; złoty róg księżyca przeglądał się w spokojnych falach bliskiego stawu, powietrze oddychało wonią rozkwitających kwiatów, słowiki nieumęczenie śpiewały...

Na kamiennéj ławie koło krzyża siedziała Anna, miała czoło w dłoniach ukryte. Zbliżyłem się i ukląkłem, kładąc głowę na jéj kolanach.

Anna drgnęła nagle, twarz jéj oblała się purpurą i wstając z siedzenia i patrząc na mnie wzrokiem pełnym gniewu, rzekła urywanemi wyrazy:

— Nie po to wezwałam tu pana! Chciałam go prosić tylko o zwrot mojego listu.. bo skradzionego mi pocałunku oddać nie możesz...

Mówiąc te słowa, zachwiała się i zakrywając twarz dłonią, padła na ławkę, w głośny płacz wybuchając.

— A! jakie ze mnie dziecko! jakie dziecko! — szeptała przez łzy... Uwierzyć tak prędko! rozczarować się tak prędko!.. O! czemu nie umarłam po pierwszym pocałunku, który do tak niedawna był talizmanem szczęścia!

Chwyciłem jéj obie ręce i do ust przycisnąłem, okładając namiętnie pocałunkami.

— Droga moja! piękna moja! — wołałem — odsłoń straszliwą tajemnicę, któréj nie rozumiem. Zkąd łzy te? to zwątpienie o mnie, do którego nie masz prawa? Życie moje jest twojem, bez ciebie nie pojmuję życia ni tu ni tam!

Po chwili gwałtownego płaczu Anna uspokoiła się, podniosła głowę i w twarz mi się wpatrzyła.

— Jeżelibym miała sądzić z pięknego twojego czoła, z tych oczów, co na mnie tak patrzą miłośnie, musiałabym znowu ci uwierzyć. Ale precz rojenia! Ty nie jesteś winien nic—nic! Ja nie miałam prawa wiązać ci życia, przykuwać ciebie do okropnego losu, który mnie przypadł w udziale. Bądź tylko uczciwy... nie wspominaj o mnie nigdy i przed nikim! Niech tylko w pamięci twojéj czystą zostanę—o to dziś proszę ciebie.

Ujęła dłoń moją, ścisnęła konwulsyjnie i chciała odejść, ale jéj nie puściłem. Otoczyłem ramieniem kibić i patrząc w twarz zarumienioną od walki strasznéj, w oczy, w których łzy duże drżały, mówiłem:

— Nie puszczę ciebie ztąd, dopóki nie rozwiążę niezrozumiałéj dla siebie zagadki. Jeżeli mnie kochasz, dla czego temi słowami rozdzierasz serce i tak zbolałe, że przy twojém nigdy nie będzie mogło uderzyć?

— O mojém zapomniałeś zbyt prędko—wyszeptała.

— Kto ci to powiedział? kto tobie to kłamstwo powiedział?!— zawołałem głosem tak silnym, że Anna przelękła się i mimo woli przytuliła się do mnie.

— Więc ty mnie kochasz?—zapytała podnosząc oczy.

— A któż ci śmiał powiedzieć inaczéj?

— Adamie! — zawołała, składając ręce — wracasz mi życie! Ale.. ale... byłożby to tylko snem okropnym? Słuchaj! Po napisaniu listu do ciebie, w którym się skarżę, że jaskółki już powróciły a ciebie niema, przyjechał do nas znajomy twój, pan Eustachy Hohola, który mi powiedział, żeś się oświadczył o rękę jego córki. Dla czego on mówił o tém—nie wiem! ale w twarz mi patrzał i widział jak bladłam, drżałam; śledził, gdym wychodziła, chwiejące się moje kroki... Posłyszawszy wieść tę straszliwą, która mi do reszty świat ten odarła z uroczych zasłon, pobiegłam do białéj sali, chcąc niedawne wspomnienia wezwać i żądać od nich protestu, bo czułam, że serce mi pęknąć może. Adamie! więc to kłamstwo?

Wziąłem Annę za rękę i zbliżyłem się do krzyża.

— Czy wiesz kto była ta kobieta, któréj imię wyryte na tym kamiennym krzyżu?

— Była pierwszą i ostatnią kochanką mojego ojca, po któréj śmierci świat mu stał się cmentarzem a serce kamieniem.

— Anno!—mówiłem stojąc u stóp krzyża—ta kobieta była wydartą ojcu mojemu i była moją matką!

Anna oczy podniosła na mnie.

— Ona?! ta nieszczęśliwa!

— Tak! i ja na jéj imię przysięgam, że żadnéj kobiecie nie oddawałem serca, że ono jest twoją własnością—na wieki!

Anna patrzyła na mnie, oczy jéj łez pełne zaświeciły blaskiem radości, krzyk wyrwał się z piersi:

— To ty mnie zawsze kochasz?! dla czego ci ludzie tak kłamią?

Wyciągnąłem ramiona i tuliłem do piersi płaczącą cicho.

— Piękna moja! — szeptałem jéj na ucho — za dni kilka będę u ciebie. Odnowimy zaklęte w białéj sali wspomnienia, dokończymy przerwaną pieśń pocałunków. Spokojnie czoło na pierś moję pochyl, w niéj serce bije, w którém nic znajdziesz zdrady!

— Adamie! Adamie!—mówiła Anna, kładąc piękną swoję głowę na mojém ramieniu—ty nie wiesz, co ja przecierpiałam w ciągu tych dni kilku! nie wiesz jaki żal i ból okropny serce mi ścisnął, gdy niespodzianie zobaczyłam wchodzącego ciebie z uśmiechem na ustach, z czołem pogodném zawsze... Zdawało mi się, żeś przyszedł urągać ze mnie, cieszyć się łatwym tryumfem. Miłość dawnego ciebie i nienawiść do człowieka, który tak prędko pozyskał wiarę moję, starły się bojem szalonym lecz nie wiedziałam, które z tych uczuć zwyciężało. Postanowiłam śmiać się i tańczyć, śmiechem zagłuszyć płacz serca, tańcem się upić... I czy wiesz, że kiedy z tobą stanęłam do walca, prosiłam Boga żeby mi serce pękło.

— Razem dwa pękłoby wtedy, Anno! Ty moją być musisz, choćbym na rękę pół świata miał wyzwać!

W téj chwili, na szybkich falach powietrza niesione, zabrzmiały skoczne dźwięki mazura i szmer par tańczących do naszych doleciał uszów.

— Adamie ja z tobą tańczę, szał rozpaczy muszę szałem szczęścia nagrodzić. Wszystkim proszącym mnie do mazura odmówiłam, może się gniewają, co mi tam! Daj mi rękę, chodźmy tak, razem! nie mamy się czego ukrywać. Niech zniknięcie nasze nie będzie powodem do sądów sto razy gorszych od rzeczywistości.

Podawszy rękę Annie, wsparty jéj śmiałością i dumny powróconą wiarą, szedłem z nią przez szeroką aleję, na końcu któréj jaśniały otwarte podwoje balowéj sali. Naprzeciw ujrzałem sunącą się postać mężczyzny, który w miarę naszego zbliżania się wstrzymywał kroku, przypatrując się idącym.

Był to hrabia Wiłosz.

Poznawszy Annę idącą ze mną pod rękę, zatrzymał się nagle i podchodząc do niéj syknął przez zęby:

— *A! c'est vous, madame! avec qui vous vous promenez?*

I ruszył lekko ramieniem.

— *Pas avec monsieur, comme vous le voyez bien!* — odpowiedziałem.

I omijając pana Wiłosza, wszedłem do sali.

Nikt, kto widział Annę przed chwilą, nie poznałby jéj teraz. Rumieniec życia całym wdziękiem młodości igrał na twarzy, srebrny śmiech z jéj ust wybiegał, nie szał namiętny ale wesołość niewidziana od dawna opanowała ją całą. Anna tańczyła dużo, ze mną najczęściéj; w rozmowie zwracała się do mnie, rzucała pytania, to o zdania pytała, co widząc hrabia Wiłosz sposępniał i spochmurniał.

— Co to jest ten pan Szczerodyński? — zapytał, zbliżając się do Starży.

— Prosiłbym naprzód pana hrabiego — odpowiedział Starża — *co* na *kto* zamienić, bo w domu swoim przyjmuję istoty odpowiadające na pytanie *kto*, a jeżeli są inne, to do nich nie pan Szczerodyński należy.

— Wybacz pan, mimowolna omyłka! Ale... czy pan nic nie uważasz?

— Przeciwnie!—odpowiedział Starża — zwracam pilną uwagę, ażeby w moim domu nikt nikomu nie śmiał ubliżać ni podejrzywać!

Starża się oddalił, hrabia Wiłosz zbliżył się do Ornowskiego.

— *Vous connaissez ce monsieur?* — zapytał wskazując na mnie.

— A znam!—odpowiedział pan Tytus. — *A neuf lieues od Mrugołyna il a un village;* to bardzo ładny majątek, dwóch nawet wojewodów było tego co on nazwiska, ale z latami zmienia się wszystko,

nasz wiek szczególnie na opak idzie. Szczerodyński zapomniał o swojéj krwi, zachcianki demokratyczne mu posmakowały i dziś należy do rzędu tych ludzi, którzy wierzą, że bez nas świat nie zaginie.

— *C'est drôle!* — zaśmiał się hrabia Wiłosz—to wszystko jedno, co chcieć usunąć filary podtrzymujące kopułę bazyliki Św. Piotra i wierzyć, że kopuła nie runie. Przecie my jesteśmy temi filarami, na których dźwiga się gmach naszego kraju.

Hrabia Wiłosz był jedynym z magnatów Wielkopolski, który olbrzymią fortunę swoich przodków sprzedał spółce przemysłowców niemieckich i ulokowawszy kapitał na bankach zagranicznych, w Paryżu bąki strzelał...

Spojrzałem na ten filar z gukiem w oku i smutno by mi się zrobiło, gdyby kraj nasz nie miał innéj nad tę słomianą podpory.

Brzask świtu pobielił niebo, światło przeddzienne walczyło z bledniejącym lamp błyskiem. Bal się skończył grzmotem wiwatów, na cześć solenizanta wzniesionych. Czarna sala opróżniała się, bliżsi sąsiedzi pana Starży odjeżdżali, goście z dalekich stron kraju udawali się na spoczynek. Pan Starża usilnie mnie prosił ażebym dni parę zabawił u niego ale dawszy słowo ojcu, musiałem, choć niechętnie, pożegnać pana Stanisława.

— Kiedy pan będziesz u nas? — spytała mnie Anna, gdym do niéj zbliżył się z pożegnaniem.

— Za tydzień najdaléj, opowiem wtedy pani historyą nie moich oświadczyn, któréj intryga dziś mi dopiero zrozumiałą się staje, powiedziałem cicho.

Ze smutkiem opuściłem dom pana Starży, który, gdym odjeżdżał, szepnął do siebie:

— Jak on podobny do niéj!

Lekkiemi kopyty muskając ziemię, uniosły mnie rącze rumaki z przed tylko co gwarnego dworu. Anna stała w oknie posyłając za mną długie spojrzenie... Lekki oddech poranku poruszał jéj włos rozpuszczony, blade róże opadły z wijących się warkoczów na łono śnieżne i świeciły rosy brylantem i drżały westchnieniami jéj piersi trącane...

W kryształowych głębiach powietrza zadrżało blasków kilka. Mistrzyni natura malowała wschód słońca.

Na ciemne płótno szafirów rzuciła naprzód blado-zielone światło, wązkim paskiem opasała czoło nieba niby wstęgą ze szmaragdów utkaną, późniéj pas rozwinęła, rozszerzyła, przykryła siatką barw rubinowych, pyłkiem brylantów posypała i rozpoczęła szeroki haft złotem...

Malarz pracował szybko, z pośpiechem myśli niespokojnéj.

Rwące się nici złota palił i płomienne odrzucał precz w powietrze, pełnym pędzlem chwytał kolory, całe garście świateł w błękity rzucał, kładł farby na farby, aż roztoczywszy płaszcz purpurowy przez pół nieba, wprowadził nań bohatyra swéj myśli, jak żar czerwone słońce...

Widziałem jeszcze Annę; czerwony obraz trwał chwilę. Mgły srebrne szerokiem roztoczyły się kołem i zakryły widmo urocze.

XXII.

Pan Feliks oczekiwał mnie w ganku. Śpieszyłem szybko do ojca po rozwiązanie nowéj zagadki, którą widziałem w wymaganiu natychmiastowego z Maliniec powrotu, i ledwie słońca ostatni promień zgasł na zachodzie, zatrzymałem się przed domem.

Witając ojca, zauważyłem, że on bacznie mi w oczy patrzał, jakby chciał coś z nich wyczytać, ale widząc mnie uśmiechniętego i wesołego, potargał gniewnie wąsa i sadząc koło siebie, wydął wargi, jak to robią ludzie, którym coś, niespodziewanego pokrzyżowało plany. Do badawczych spojrzeń pana Feliksa przyłączył się wzrok Wojciecha, który poruszał niechętnie głową i zasępiał się równie. Wojciech każdy ruch niemal ubóstwionego naśladował pana.

— A jakże się tam bawiło, hę? — zapytał mnie po chwili pan Feliks.

— Doskonale, mój ojcze! i żałowałbym mocno, gdyby coś stanęło na przeszkodzie mojemu do pana Starży wyjazdowi.

— Doprawdy?—mruknął pan Feliks—hm!

Potarł czoło i gniewnie brwi ściągnął; Wojciech także okrutnego urządził marsa.

Uśmiechnąłem się.

— Czego się waćpan śmiejesz? mnie to wcale nie bawi, że dwór maliniecki tak się podobał waćpanu. Pańskie zapachy odurzają głowę szlachcica i spać mu spokojnie nie pozwalają na twardym materacu...

— Możesz być o mnie spokojny, ojcze! głowę mam mocną i snu mi z powiek nie spłoszą marne błyskotki. Cichych ścian swojego domu nie zamieniałbym na żadne pałace. Znalazłbym tam przepych i wygodę ale każdy kątek musiałbym napełniać nowemi wspomnieniami, bo tych moc żadna do nowéj nie przeniesie siedziby. Na tych pamiątkach opiera się miłość ojczyzny, tęsknota wygnańca; dla nich wolimy smutne niebo nasze niż rozjaśnione błękity krajów szczęśliwszych...

— Odbiegliśmy od przedmiotu, panie Adamie, a ja chciałbym pogadać o balu w Malińcach.

— Słucham cię mój ojcze!

— Więc... tedy... aha! Było tam towarzystwo jak zwykle, tylko męzkie?

— Przeciwnie i płeć piękna była tam licznie reprezentowana. Zjazd był ogromny, nawet z Poznańskiego kilku panów przybyło.

— A jacy?

— Hrabia Wiłosz...

— Z gukiem w oku?

— Ten sam!

— Poznałem tego durnia przed dwoma laty u wód w Karlsbadzie. Jak zaczął mi dowodzić, żeśmy powinni Bismarcka w rękę całować, o małom szklanką piwa w łeb go nie trzasnął... No! a kto tam był gospodynią domu?

— Oczywiście, że córka pana Starży, hrabina Anna Ornowska.

Pan Feliks poruszył się w krześle i wzrok badawczy utwił we mnie; Wojciech uczynił to samo.

Z ruchów tych domyśliłem się, że ojciec mój musiał wiedzieć o celu wyjazdu do Mrugotyna pana Eustachego Hoholię, który prawdopodobnie był wysłany na zwiady i inkwizytorskie zbadanie mojego do Anny stosunku. Nic dziwnego, że zobaczywszy twarz jéj nagle pobladłą po doniesieniu o moich oświadczynach o rękę jego córki, przebiegły ex-adwokat domyślił się wszystkiego, więcéj nawet niż było i niezwłocznie o tém, po powrocie z tajemniczéj podróży swojéj, uwiadomił pana Feliksa. Zrozumiałém mi teraz stało się łatwe zezwolenie, nawet naleganie ojcowskie, na wyjazd do Maliniec. Oszukana, dumna pani musiałaby mnie przyjąć zimno, wśród gwaru zabawy nie byłbym w stanie rozmówić się z nią, a nagły mój odjazd po balu zaraz, bo musiałem danego słowa ojcu dotrzymać, stałby się pierwszym powodem do zerwania. Tymczasem pan Feliks widział się zawiedzionym w nadziejach. Z oczów moich mógł tylko wyczytać uśmiech szczęścia, na twarzy nie mógł dojrzéć najmniejszego cienia smutku i niepokoju. Badawczem okiem patrzył to na mnie, to wzrok przenosił na Wojciecha, który wzdychał od czasu do czasu i głową rozpaczliwie kręcił.

— Opowiedz że mi, panie Adamie, coś o téj hrabinie Ornowskiéj—zaczął pan Feliks. Cuda słyszałem o niéj! Czy rzeczywiście jest tak piękną, jak mówią? Jakże tam powitała ciebie? ciągnął powoli—słyszałem, żeś się jéj dosyć podobał...

— Zkądże ojcze, o tém mogłeś słyszyć? zapytałem prędko.

— Nie pamiętam kto to mi mówił. Zaraz, zaraz... nie—nie przypomnę! ale wiem, że ktoś ze stron tamtych, który u Ornowskich bywa, mówił mi, że ta pani chwaliła ciebie dosyć... żeś się wśrubował do jéj łatwo otwierającego się serduszka.

— Chwalenie, mój ojcze, to jeszcze niewiele! Ten ktoś widocznie z bardzo małych rzeczy umie duże wyprowadzać wnioski. W każdym razie radziłbym temu ktosiowi nie kłaść między drzwi palców, bo go mocno przycisnąć mogą.

— Dla czegóż się zaraz obruszasz!—mruknął pan Feliks—a może właśnie wniosek był słuszny i pani Anna wywraca oczy do ciebie bo nie smakuje jéj krew zeps...

— Mój ojcze! rzekłem biorąc go za rękę—cicho o tém!..

I całując, dodałem:

— To mnie boli!

Pan Feliks groźnie na mnie spojrzał—

— Boli! co boli?!... Słuchaj waszmość! poczciwém mi dotąd byłeś dzieckiem. Bałamucić żony bliźniego, jest gorszą może zbrodnią od krwawego zabójstwa. To zabíja tylko ciało—tamto spokój całego życia i wiarę. Musisz oszukiwać, oczy mydlić i jak podły płaz włazić do domu, który gościnnie ci wrota otworzył. Panie Adamie! to rola nie dla ciebie!

— Niepodobny jestem do téj istoty, którą tu opisałeś ojcze. Nędznym uwodzicielem nie byłem nigdy—a jeżeli kocham, tylko kocham i owa miłość mi wystarcza, to co ci do tego? Jeżeli to jest osoba, którą związały losy z nikczemnym człowiekiem, a która upaść ni doprowadzić do upadku nie jest zdolną, przeciwnie, podnieść i odrodzić może—to czy taka miłość jest zbrodniczą? powiedz!..

— Pleciesz, panie Adamie, jak sroka! Kobieta, która nie jest wolną a bałamuci człowieka, przed którym życie otworem stoi, koczkodonem jest i basta! Gdyby nie ona, byłbyś mężem Jagusi; za rok huśtałbym może wnuka, a tak co? Chcesz zerwać słowo, które w twojem imieniu dałem, bałamucisz ludzi jakąś podbiegunową wyprawą a mnie szydło w serce pakujesz. Hę! czy nie tak?

Podniósł się z siedzenia zaperzony i zaczął zwolna chodzić po ganku, targając niemiłosiernie białego wąsa i sapiąc mocno.

— Święta prawda, co mówi pan stary! zaczął Wojciech, ale mu wzrokiem nakazałem milczenie.

Pan Feliks chodził długo, nakoniec, zbliżając się do mnie i kładąc dłoń na ramieniu, rzekł:

— No—Adasiu! później o tém!.. Ja mam nadzieję, że to przejdzie i jakoś będzie dobrze. Zwróćmy się teraz do innego przedmiotu.

Łagodny ton mowy ojca i *Adasiu*, źle coś wróżyło.

Pan Feliks ciągnął daléj:

— Prosiłem ciebie, ażebyś dzisiaj koniecznie z Maliniec powrócił, a to dla tego, że musisz mnie wyręczyć w kilkudniowéj podróży. Brat pana Eustachego Hoholi prosił mnie o pożyczenie 2.000 rubli— zechcesz więc mnie, kalekę, którego dalekie wycieczki nużą, zastąpić i tę sumę zawieść panu Ksaweremu. Jutro, Adasiu, wyjedziesz, za dni pięć będę ciebie oczekiwał z powrotem ale mi trzeba, żebyś koniecznie w piątek powrócił—koniecznie! Wcześniéj nie możesz bo to mil dwadzieścia z ogonem ale w piątek koniecznie—przed południem, choćby konie padły—daj słowo!

— Koniecznie przed południem—dla czego tak, ojcze? spytałem zdziwiony tym rozkazem.

— Dowiesz się potém—to mały mój sekrecik—ot! kaprys kaleki!.. Więc słowo?..

I dłoń do mnie wyciągnął.—

— Dobrze... dobrze, mój ojcze!

— Nie późniéj tylko jak przed południem—wcześniéj możesz— choćby konie padły!..

Patrzyłem na ojca nie mogąc pojąć tego dziwnego żądania.

— No—co tak patrzysz? zawołał pan Feliks—czy na starość kaprysić mi nie można? kiedyś był dzieckiem dogadzałem wszelkim zachciankom waćpana, a starość jest drugiem dzieciństwem—czy ty mi dogodzić nie zechcesz—hę!!

— Daję ci słowo, ojcze! Nie późniéj jak o godzinie dwunastéj w piątek będę tu—choćby konie padły!

— Wiem, że słowa dotrzymywać umiesz—dziękuję ci! Ale-- ale--zajedź po drodze do Kurnéj i weź z sobą Leonka, który przy téj zręczności chce stryja odwiedzić...

Podał mi rękę, pocałował w czoło i poprzedzając mnie udał się do jadalnego pokoju, gdzie na nas czekała wieczerza.

Byłem zaniepokojony trochę jakby się miała odegrać nowa, podobna do przedwczorajszéj, komedya.

W czasie wieczerzy ojciec powrócił do dawnego spokoju, był wesół, pił dużo i całe zło, jakie jest na świecie, przypisywał nieuczciwéj Bismarka polityce.

XXIII.

Nigdy jeszcze z takiém uczuciem odrazy jak dzisiaj nie przyjeżdżałem do domu pana Hoholi. Brzydziłem się wszelkim podstępem a tu go pan Eustachy niekoniecznie w godziwy użył sposób. Mówić

przed Anną o oświadczynach, które nastąpiły w ślad po moim z Mrugotyna powrocie, było, ni mniéj ni więcéj, jak podać mnie za człowieka, dla którego honor kobiéty jest tylko marną i lichą igraszką. Domyślając się, że piękna pani nie jest obojętną mojemu sercu, lecz swojego przypuszczenia nie będąc jeszcze pewnym, naprowadził rozmowę o mnie i niby niechcący wspomniał o słowie daném ustnie przezemnie Jagusi. Zmięszanie się Anny odkryło mu całą tajemnicę. Znając hrabinę Ornowską dawniéj, wiedział, że należała do tych istot, które nie łatwo przebaczać umieją lekceważenie, a raz obrażona duma stanie nieprzepartą zaporą wszelkim przeprosinom i tłómaczeniom się stronie przeciwnéj. Mogła zresztą Anna nie uwierzyć słowom mało jéj znajomego człowieka—ale tu mówił ojciec, który córki swojéj nie mógł plątać dla błahéj jakiejś intrygi. Wysłany dziś w niezrozumiałym dla siebie interesie do brata pana Eustachego, o którym wiedziałem, że nigdy a nigdy od nikogo żadnéj nie miał potrzeby zaciągać pożyczki, bo kilkanaście tysięcy nieśmiertelnych zawsze w kantorku u niego leżało; przewidywałem nową jakąś plątaninę, która choć niepokoiła mnie nieco, nie mogła znowu zbyt wielką nabawiać trwogą—bo po pierwszéj nieudałéj próbie, nie łatwo drugiéj dać obrót szczęśliwszy. Anna wiedziała o mojéj szczeréj miłości—wszelka więc wieść nowa źle o mnie mówiąca, z jakichkolwiek by ust wychodziła, musiała by być niczém inném jak kłamstwem tylko. Lecz będąc teraz przygotowanym na wszystko, postanowiłem śmiało stawiać czoło przeciwnościom.

Ledwie kogut trzecie wydzwonił hasło, a już na dworze kurneńskim wszystko było w ruchu gospodarską zajęte pracą. Jagusia w stroju odświętnym pilnowała dojarek, pani Dorota również wyczapurzona gderała na źle widocznie tłómaczącą się klucznicę, nawet pan Eustachy wyświeżony siedział na ganku, ciągnąc błękitnawy dym z dużego cybucha.

Na turkot mojego powozu Jagusia z ułagodzoną panią Dorotą śpiesznym krokiem zbliżyły się do ganku. Właśnie wchodził tam Józek, niosąc kawę, któréj przygotowaniem, nieoceniona w preparowaniu różnych specyałów, trudniła się panna Agnieszka. Zadziwił mnie ten strój niezwykły zacnéj familii, boć to zaledwie kury się ze snu obudziły i słońce czerwoną tarczą zakołysało się nad ziemią. Widocznie czekano na kogoś—a któż tym *ktosiem* mógł być, jeżeli nie ty, panie Adamie? Pan Eustachy więc wiedział o nowym stołeczku, którego pan Feliks, może nawet za jego poradą, miał mnie podstawić—ale teraz śmiałem się w duchu, będąc przekonanym, że broń przeciwko mnie użyta nie mnie urazi. Byłem pewny, że cios potężniejszy był już użyty—dziś słabsze tylko razy paść mogą.

Zimno powitałem gospodarstwo—niewinnéj Jagusi serdecznie dłoń uścisnąłem.

— A! zawołał pan Eustachy—to pewno pan się wybiera do mojego brata, któremu tak nagle zabrakło pieniędzy, że gdyby nie zacny papa pana dobrodzieja, musiałby, wbrew swemu zwyczajowi, na lichwiarskie procenta u żyda pożyczyć. Ale czemuż możemy zawdzięczać tak ranną u nas wizytę?

— Prawda, że pytanie mojego męża jest naiwne? wtrąciła nienaiwna pani domu—on tak zawsze! myśli, że tylko ludzi mogą interesa łączyć i przyciągać, a serce i uczucie—to nie! No! nie rumień się Jagusiu! dodała zwracając się do córki, która rumienić się wcale nie myślała—lecz nalej swojemu narzeczonemu kawę—gotowałaś sama, z przyjemnością więc wypije. Nieprawda, panie Adamie? dokończyła z uśmiechem, patrząc mi bystro w oczy.

— Kawę wypiję z przyjemnością—ale, wybaczą mi państwo, że nie mogąc długo bawić, zapytam o Leosia, który miał ze mną do pana Ksawerego jechać.

— A! Leoś śpi pewno—odezwała się pani Dorota—Józek! zbudź panicza i powiedz, że pan Adam czeka na niego.

Siedliśmy koło stołu. Jagusia rozlewała kawę—zgarnęła mi niemal cały, przepyszny, tłusty kożuszek i podając w pulchnych swych paluszkach kilka sucharków, wyprostowana jak struna usiadła naprzeciwko, jasno błękitnych nie spuszczając ze mnie oczów.

— Pan zdaje się był w Malińcach—odezwała się nieśmiało—na balu... i dobrze się pan tam bawił?

Pan Eustachy nadstawił ucha a pani Dorota przysunęła się do mnie z krzesłem.

— Wybornie, pani! odpowiedziałem. Bal ów pozostanie mi długo w pamięci jako jedno z najroskoszniejszych wspomnień...

Pan Eustachy dmuchnął w powietrze duży kłąb silnego dymu i chrząknął parę razy, gładząc ostatki siwiejących włosów—pani Dorota dobyła chustki od nosa i zatrąbiła.

— Dużo było osób? spytała Jagusia.

— Czterdzieści par do mazura stawało.

— A stroje były ładne?

— Prześliczne, pani!

— Która z pań najpiękniéj była ubrana?

— Dla mnie pani Anna Ornowska. Biała gazowa suknia, róż kilka lekko zarumienionych, na listkach których świeciły małe brylanty niby krople rosy—oto wszystko co miała ze stroju na sobie. Nie potrzebowała zresztą sztuką podwyższać niezrównanych swych wdzięków. Królową téż balu była oczywiście ona i czarowała wszystkich.

— I pana? zapytała niecierpliwa pani Dorota.

— O pani! ja jéj wdziękami oczarowany od dawna jestem.—

Pani Eustachowa posłyszawszy to moje otwarte wyznanie, syknęła, jak to miała zwyczaj czynić, gdy ją kto na mały palec lewéj nogi nastąpił, na którym, według mi udzielonéj przez Leosia relacyi, niezmiernéj wielkości siedział nagniotek—i spojrzała na męża porozumiewając się z nim oczyma. Jagusia spojrzała na matkę z minką taką i gestem jakby mówiła:—a widzi mama, że nic z tego nie będzie! i machnąwszy niechętnie ręką, zaczęła paluszkiem dłubać dziurkę w sucharku. Była chwila milczenia przerywana tylko ciężkim oddechem pana Eustachego, który znać zauważywszy, że lepiéj drażliwéj kwestyi nie wszczynać, co zrobić wielką miała ochotę pani Dorota—odezwał się nagle:

— Że piękna—to piękna! mnie samemu nawet kiedyś w głowie się zakręciło.

Pani Dorota, mimo dwudziestu lat pożycia z mężem, była, jak mówiliśmy, niezmiernie o swojego małżonka zazdrosną, który jakkolwiek nie mógł nigdy dawać do tego powodu, często najniewinniéj był podejrzywany i atakowany przez małżonkę. Wspomniał zaś teraz o zakręceniu się swojéj łyséj głowy dla tego tylko, że nic na razie stosownego do powiedzenia nie znalazł. Ale pani Dorota wzięła to za wybuch mimowolny tajonego uczucia i zaledwie mógł biedny małżonek opamiętać się—jak grad wyrzutów posypał się na niego...

— Jezus Marya! Duchu święty! zawołała zrywając się z siedzenia i rozlewając na ziemię niedopitą kawę—to tak? to tak? Ja kłopocę się z dziećmi, gospodarstwa doglądam a ty się bałamucisz i zaniedbujesz mnie? a przecie ja twoja żona, ja twoja połowica, któréj wierność mnie samę nieraz w zdumienie wprawia! O biedne my kobiéty! *Pauvres femmes que nous sommes!* wołała rozpaczliwie łamiąc dłonie i zwracając się nagle.

— Józek! krzyknęła—każ konie zaprzęgać—zaraz tylko!

Daremno pan Eustachy dawał jakieś znaki obydwoma rękami, daremno coś chciał jéj szeptać na ucho—pani Dorota nie utulała się w żalu, sypała gromy na biedną małżonka głowę, dając coraz nowe dowody zadziwiającéj swojéj wierności i kończąc każdy monolog wykrzykiem:—pauvres femmes que nous sommes!

Zakłopotanie pana Eustachego nie miało granic. Podchodził do niéj, lecz nie mogąc przyjść do słowa, zwracał się ściskając ramiona i drapiąc łysą głowę. Jagusia chciała umitygować matkę ale odtrącona przez nią wróciła do pracy nad sucharkiem.

W tém gwałtownie drzwi się od sieni otwarły i jak bomba wleciał Leoś wybrany już zupełnie do drogi. Widząc tę scenę, któréj nie raz był świadkiem i uśmierzycielem, zatrzymał się nagle i podnosząc obie dłonie w górę, zawołał:

— Tara-ta-ta! tara-ta-ta! znowu się mama rozmachała? i czego to—jestem ciekawy?

— Leosiu! mój kochany Leosiu! zawołała pani Dorota, obejmując za szyję pieszczocha—i jakże tu się nie rozmachać, kiedy ojciec twój bałamuci się i pokątne jakieś miłostki prowadzi?

— No! to i cóż w tém złego? odpowiedział Leoś. Ja za to wcale ganić papy nie myślę! To tylko dowodzi, że papa porządnie się prowadził za młodu, co mu się chwali—a mama niech nie lamentuje djabeł wié czego bo mamci papcio na długo jeszcze wystarczy. Czy serca papci mamci za mało jeszcze—co?

— Mało—mało! jęczała pani Dorota.

— Jeszcze mało?! zawołał Leoś. A Frania! a Poliksenka! a Malinka! a Filipinka! i tak daléj i daléj!.. i jeszcze mamie nie dosyć? Ej! matuchno—miarkuj się, żeby czasem przeludnienia nie sprawić—dokończył, śmiejąc się chłopiec.

W tém sześciokonna kareta państwa Hoholów, śpiesząc na rozkaz niecierpliwéj pani, wtoczyła się przed ganek. Pani Dorota jednym skokiem była w powozie, i zatrzaskując drzwiczki, krzyknęła na furmana:

— Od domu do domu—ruszaj!

Woźnica rozwinął bata, palnął raz, drugi i trzeci, i dobréj krwi rumaki pomknęły wyciągniętym kłusem znajomą dobrze sobie drogą...

Spojrzałem na pozostałą rodzinę.—

Pan Eustachy z załamanemi rękami stał w ganku, goniąc okiem za uciekającą pośpiesznie karetą—Jagusia wydrążywszy na wylot dziurkę w sucharku włożyła go jak pierścionek na palec a Leoś z całą powagą żegnał trzykrotnie odjeżdżającą, życząc szczęśliwéj podróży.

— I cóż papciu teraz będzie? zagadał chłopiec zwracając się do zbiedzonego ojca—cała okolica zatrąbi!..

— Zatrąbi!.. powtórzył pan Eustachy.

— Że papcio się bałamuci.

— Bałamuci...

Tu nagle urwał pan na Kurnéj, i bijąc się w piersi zawołał pokutniczym grosem:

— Jak Boga kocham—ja się nie bałamucę!—gdyby mi choć podobna myśl przyszła do głowy; gdyby choć przyśniło się—i to nie!

— E! papciu!—odezwał się Leoś, klepiąc ojca po ramieniu— że się tam czasami coś śnić musi, to musi—ale to przecie nie grzech!..

— No! prawda, że nie grzech! powtórzył pan Eustachy—ale jak Boga kocham, że mi się jeszcze nic nie wyśniło!..

Założył w tył obie ręce i zaczął się szybko przechadzać po ganku...

— I zróbże co z tą kobiétą!—szeptał. Ja tu myślę o losie Jadzi a jéj Bóg wié co się w głowie plącze! Czyscowe' męki, panie łaskawy, i koniec! Do nieba prosto pójdę—to o tém i gadania niema!..

— Ej! żeby to mamcia posłyszała, co papa mówi!.. bąknął Leoś.

— No! no! tylko ty nie wygadaj się czasami—zawołał przestraszony pan Eustachy i ucałował oba policzki Leonka—ale ty sam widzisz przecie!..

— Widzę—odpowiedział chłopiec—i cierpię na tém!

— Drogie dziecko! zawołał pan Eustachy ze łzami, tuląc go do piersi...

— No! ja wiem, że papci to już nie uchodzi—ale ja bym taką żonę na cztery wiatry przepędził.

— Ba! robiąc gest rozpaczliwy wyrzekł z ciężkim westchnieniem pan Hohola.

Niechcąc być dłużéj świadkiem zabawnéj ale smutnéj zarazem sceny—pożegnałem zbolałego pana na Kurnéj i bawiącą się sucharkiem Jagusię, i wskakując z Leosiem do powozu.

— Ruszaj! zawołałem na Piotrusia.

— Od domu do domu!—dokończył nielitościwy malec.

Odjeżdżając od ganku, posłyszałem za sobą ciężkie pana Eustachego westchnienie i wyrazy, z jakiemi zwrócił się do córki:

— Zdaje się Jagusiu! że potrzeba będzie pomyślić o panu Trumbińskim?

— Ja to już dawno mówiłam—odpowiedziała moja narzeczona.

Gdyśmy się oddalili kilka staj ode dworu, zwróciłem się do towarzysza podróży.

— Powiedz mi, Leonku—rzekłem—jak ty możesz tak bez ceremonii postępować z rodzicami? Jeżeli ciebie pieszczą na wszystko pozwalają, tém delikatniejszym względem nich być powinieneś.

— Ale, mój kochany panie Adamku—odpowiedział chłopiec— gdybym ja nie utrzymywał w subordynacyi papy i mamy, szczególniéj mamy—toby dom do góry nogami wywrócili. Jednéj trocha Jagusi boję się—więcéj nikogo—ale i z nią zaczynam się pomaleńku oswajać. Wczora jakem huknął to aż mnie samemu straszno się zrobiło a Jagusia jak młody gawron dziób ze zdziwienia otworzyła. Początek tylko był trudny—teraz ja wszystkich za czub wezmę!..

Poranek wiał chłodem, konie szły rączo po drodze zwilżonéj obfitą rosą i mgłą opadającą—Leoś plótł jak kołowrotek, ja myślałem o Annie i ciemnéj przyszłości swojéj.

XXIV.

Załatwiwszy dane mi przez ojca polecenie i zostawiając na kilka dni Leosia u pana Ksawerego, który biorąc odemnie zapieczętowany pakiet z pieniędzmi uśmiechał się czegoś—pośpieszałem do domu palony gorączką niecierpliwości i chęcią dowiedzenia się o téj nowéj komedyi czy sidłach zastawionych na mnie przez pana Feliksa. Byłem jednakże najlepszéj myśli, przelotna nawet chmurka niepokoju nie zmarszczyła mi czoła. Piotruś za to przewidywał różne niepowodzenia, nieszczęścia nawet. Zaledwieśmy wyjechali z popasu; spotkaliśmy jadącego na przeciw parocha, co w mniemaniu ludu naszego jest wcale niepomyślną wróżbą—późniéj nam dziewczyna drogę z próżnemi przeszła wiadrami, na koniec na równém polu wyskoczył jak z pod ziemi zając i w poprzek gościńca przeleciał. Daremno tłómaczyłem Piotrusiowi, że podobnego rodzaju wypadki nie mogą mieć żadnéj z losami ludzkimi styczności—chłopiec kręcił głową i spluwał po trzykroć.

— At! co pan gada!.. kiedy u naszego starosty krowa miała zdechnąć, to dnia tego powracając z jarmarku aż trzech duchownych spotkał—a staremu Jaremie dwa zające przebiegło drogę tego ranka kiedy jego Ochrem się powiesił. Ja panu mówię, że u nas się coś w domu zrobiło. Nawet konie nie prychają jak zawsze a klacz z lewéj strony ani razu ogonem nie machnęła.

Tu umilkł nagle wróżbita i pokazując ręką duży słup pyłu kręcony przez wichry na stepie daleko—odezwał się:

— Czy widzi pan?

— Co?

— Jak tam djabeł piaskiem kręci—doczekamy się burzy i perunów...

Była godzina dziesiąta rano. Słońce patrzyło przez mgłę. Do koła roztaczały się pola równe, gładkie, zieloną trawą zbóż pokryte. Najlżejszy nie przelatywał wietrzyk—tylko gdzie nie gdzie tańczyły mniejsze to większe słupy pyłu, sunąc się cicho przez spokojnie leżące równiny. Ta cisza stepu, te tańce rozwiewanych co chwila i co chwila tworzących się wirów, mają w sobie oryginalną piękność, która duszę smutkiem, serce tęsknotą napawa. Te wirujące gdzie nie gdzie pląsy wiatrów wśród powszechnéj ciszy, są wysłańcami burzy

dalekiéj. Na tych równinach okiem nieobjętych możesz przypatrzyć się jéj wspaniałemu pochodowi...

Siwe chmur kłęby pokazały się na wschodniéj stronie nieba i jakąś siłą milczącą parte, sunęły ruchem równym, cicho, szybko, zasłaniając słońce i lazury. Stepowy orzeł buja w powietrzu, piersią w ciche uderza błękity, szuka słońca, uderzając skrzydłem o łono chmur jakby urągał z ich mocy... Niebo poszarzało, cień smutny upadł na ziemię. Wirujących słupów co raz więcéj skacze po stepie, czasem dwa, trzy biegną obok siebie, zbliżają się, porywają w bary, rosną w kolumnę olbrzymią, rwą się, szamocą, dopóki nowy rozkaz gromowładnéj burzy nie uderzy wichrem w pierś niesfornych służalców i w proch nie rozsypie...

Jakiś wąż złoty przebiegł przez szary całun chmur—jakiś huk zakołysał powietrzem i rozpłynął się grzmotem długim po bezbrzeżnéj przestrzeni pól. I wichry uderzyły w pierś ziemi szumem i jękiem gwałtownym—muzyka gromów zagrała—świat się okrył tumanem i mgłą...

Król burzy na złocistym tronie błyskawic, przy odgłosie trąb piorunowych i płaczu chmur, przechodził w majestacie niszczącéj chwały swojéj. Targał czupryny drzew upornych, rózgami deszczu miotał, rył bruzdy głębokie w zieloném łonie ziemi, gniotąc nielitościwie plon ludzkiéj pracy i, unosząc z sobą przekleństwo niejedno, z gromowym rykiem tryumfu, na zachód daleki poszedł, pozostawiając słońcu naprawę klęsk przez siebie wyrządzonych. I dobroczynne słońce wzięło się zaraz do pracy. Wynagradzając krzywdę ziemi ciepłym otoczyło ją promieniem, całowało listki zbóż potargane, do kropel rosy się śmiało, wdzięcząc się kryształową piersią błękitów.

Dwunasta wybiła na zegarze, kiedym wszedł do ojcowskiego pokoju.

W głębokim fotelu, zamiast pana Feliksa, drzemał Wojciech trzymając oburącz puchem lat siedmdziesięciu przesypaną głowy, Na szelest mych kroków podniósł się i przecierając zaspane ocz powstał z siedzenia.

— Dwunasta! rzekł, patrząc na zegar—jak Boga kocham dwunasta! Po kawalersku, *verbum nobilium*—jak to pan stary jakoś mówi... W samą porę—w smutną porę!..

Podrapał łysą głowę i zbliżywszy się do stołu nalał wodę do szklanki.

Twarz Wojciecha wyrażała zakłopotanie, niepewność i smutek. jakiś...

— Gdzie ojciec? zapytałem prędko.

— Pan... pan—bąkał Wojciech—zaraz po pańskim wyjeździe wypakował się i gdzieś pojechał.

— Bez ciebie!—zawołałem—dokąd?

— Otóż to, że bezemnie—sam tylko z Semeńkiem. Panu bezemnie—to wszystko jedno co drugą kulę do nogi przyłożyć—ale tak chciał i basta!

Pokręcił głową, patrząc na wskazówkę zegaru...

— O pierwszéj tu będzie punktum—niezawodnie! Nie mniéj ni więcéj jedną minutą—o pierwszéj—punktum!

Ten wyjazd ojca-kaleki, który od lat wielu parę razy tylko do roku wyjeżdżał o mil dwie najdaléj w sąsiedztwo i zawsze z nieodstępnym Wojciechem, a raz tylko w towarzystwie mojém dla poratowania zdrowia do Karlsbadu—nieopisaną mnie przejął trwogą, jakbym stał przed zasłoną, po podniesieniu któréj akt piąty dramatu miał się odegrać. Zacząłem trząść się febrycznym dreszczem, nie mogąc niespokojnych myśli do porządnego doprowadzić ładu.

— Wojciechu! urywanym zacząłem głosem—co to jest?

— Ja nic nie wiem—pan stary kazał mi tylko panu coś powiedziéć—ale to nie zaraz.

— Jakto nie zaraz?.. mów! nie męcz!..

Wojciech spojrzał na zegarek.

— Jeszcze nie czas!

— A kiedyż ten czas będzie?

— Nie długo—za minut dziesięć...

Było pół do pierwszéj.

— A! co te minut dziesięć znaczą? krzyknąłem.

— Niby nic—ale tak stary pan rozkazał. A pan zobaczy jak te minut dziesięć długiemi będą.

Nie mogłem nalegać. Wojciech jak weteran wojskowy święcie spełniał wodza rozkazy.

Chodziłem niespokojnie po pokoju, co chwila patrząc na wskazówki zegaru. Zegar był stary, zdawał się ociągać z czasem—dużém wahadłem uderzał powoli sekundy. Raz—dwa—co raz powolniéj, zdawało mi się, że się zatrzyma i nie doliczy tych minut dziesięciu. Została jedna tylko—ta jedna płynęła wiekiem stu godzin. Wojciech cierpliwie czekał, póki większa wskazówka zegaru nie doszła do przeznaczonego kresu.

— Za minut dwadzieścia—punktum! będzie pierwsza i stary pan nadjedzie. O czterdzieści minut na pierwszą pan stary kazał mi panu ten list oddać.

Tu sięgnął w zanadrze, wyjmując ręką ojca zaadresowany list do mnie.

Z gorączkowym pośpiechem rozdarłem kopertę—ręce mi drżały—zęby dzwoniły spazmatycznie. Wojciech wziął szklankę z wodą i stanął naprzeciwko, bojaźliwie patrząc mi w oczy.

— Na co ta szklanka z wodą? spytałem.

— Pan stary mi mówił, że pan czytając ten list może zemdléć—to żebym ja w sam raz chlupnął na pana.

To mówiąc palec prawéj ręki włożył do szklanki.

List ojcowski zawierał te słowa:

„Krew Starżów nie daje mi spoczynku. Lat temu trzydzieści wydarto mi żonę—teraz ta krew djabelska chce mnie jedynego dziecięcia pozbawić. Obowiązkiem moim jest czuwać nad tobą, dopóki zamiast dziur w czaszce mam oczy, zamiast próchna serce w piersiach, które dla szczęścia twojego starłbym na mąkę pod kamieniem młyńskim. Powróciłeś do mnie obałamucony—wiedziałem, że na ciebie jakaś Ewa urok rzuciła. Posłyszawszy o zrobionéj wizycie Ornowskim, byłem pewny, że piękna hrabina, o któréj wdziękach niejednokrotnie słyszałem, stała się przyczyną twojego uporu w postanowieniu uczynioném przezemnie co do połączenia ciebie z panną Agnieszką. Nie będąc jednakże przekonanym, prosiłem pana Eustachego, żeby pojechał do Mrugotyna i w stosownéj chwili wspomniał od niechcenia pani Annie o twoich oświadczynach. Bladość, która twarz jéj okryła—stłumione łkanie i szybkie wyjście, były prawie dostateczną odpowiedzią, że miłym jéj jesteś. Ale do przedsięwzięcia dzisiejszego kroku, potrzebowałem dowodu mówiącego więcéj niż prosty acz prawdopodobny domysł. Z rozkazu mojego wykradziony list przez Wojciecha, w czasie udanéj przezemnie choroby—powiedział więcéj, niż domyślać się mogłem. Kobiéta wabi cię zasuszonemi kwiatami i tęsknym głosem turkawki! Za daleko więc zaszedłeś, panie Adamie! Listy nie piszą się gdy tylko głowa się kręci... Do czego to wszystko? Na co tobie wolnemu kula niegodziwych obowiązków? Myślałem, że na imieninach u pana Starży, pani Anna tyle godności mieć będzie, że na ciebie nie spojrzy—na ciebie, któryś słowem się z inną połączył a dawną miłość precz rzucił. Ale stało się inaczéj! Promieniejący wyraz twéj twarzy, uśmiech słodkiego zadowolenia—mówiły mi jasno, że harmonia między wami nadwerężoną nie została. Zmuszony więc zostałem do kroku, dla mnie niemiłego—dla ciebie, wiem!—smutnego—ale mam nadzieję postawić między wami mur, który jeżeli ta pani ma odrobinę dumy, przebitym już nigdy nie zostanie...

„Ja—chory, kaleka—puściłem się w daleką do Mrugotyna podróż..."

Nie mogłem czytać daléj—serce mi drżało—w oczach pożółkło... i padłbym gdyby nie chlupnięcie Wojciecha, który mi bryznął w twarz wodą. To orzeźwiło mnie, zwracając uciekające siły...

Po chwilowem omdleniu czytałem daléj:

„Stanę przed nią i powiem, żeby nie zatruwała twego i nieskracała mego niedługiego już życia. Niech mocy wdzięków swoich na wymokłém jakiém książątku, nie na synie prostego szlachcica, probuje, który nie w sentymenta grać powinien lecz z myślą spokojną i z nie nadwątlonemi nerwami około gleby swych ojców uczciwie pracować. Powiem jéj, że krew Starżów nie nagrodziła mi krzywd serdecznych, nie wypłaciła długu zaciągniętego na swoje sumienie—niech więc nowym nie plami się występkiem, wreszcie niech swojego dobrego imienia nie rzuca na poniewierkę plugawych paszcz ludzkich. Wymagać tego mam prawo jako ojciec—starzec—i kaleka, przez krew tę, co w żyłach jéj płynie.

„Ty wiesz, że raz postawionego nie cofam kroku, że ze słów mogę sztylety zrobić—a wątpię, żebym spotkał kobiétę, co by szał romansowy nad obrażoną godność miłości własnéj przeniosła.

„Wyprawiłem ciebie w zmyślonym interesie do pana Ksawerego, żebyś, choćby czynem rozpacznym, nie mógł mnie powstrzymać od raz powziętego zamiaru. Prosiłem ciebie o powrót dzisiaj, byś to pismo w mojéj nieobecności przeczytał—kazałem Wojciechowi list ten ci wręczyć na dwadzieścia minut przed pierwszą, w téj chwili będę dojeżdżał do swojego domu. Spokoju Adamie! stała się rzecz nieunikniona—podwoje Mrugotyńskiego pałacu zawarły się przed tobą—na wieki!“

Skończyłem list straszny. Czarna przepaść rozwarła się przedemną—cios okropny nie mógł chybić celu. Znałem Annę! Prędzéj by czołem uderzyła w dno trumny, niżby znieść mogła poniewierkę godności swojéj i dumy. Zdawało mi się, że widziałem starca tego jak stał przed nią i łamał serce biedne i z radością dzikiego zwycięzcy obrywał liść po liściu z ostatniego wieńca, marzeń ostatnich, zdawało mi się, żem głos słyszał drzący lecz silny:—idź pan i powiedz swojemu synowi, że już mnie nigdy nie ujrzy!

Stałem jak słup kamienny bez czucia, bez myśli, z jakimś wielkim bólem w sercu—krew młotem biła mi w skronie, łzy jak lód zimne po licu ciekły. Noc czarna otoczyła mnie zewsząd, powiała chłodem jakim wieją mogiły. Przed oczami zaczęły tańczyć mary okropne, krwawe serca trzymały w rękach—ciskały je o głazy i słyszałem każdego serca pęknięcie. Szum krwi mnie ogłuszył, wlewała się w pierś moję, napełniała ją po brzegi, dusiła—dławiła... Nagle

błyskawica wielka przez mózg mój przeleciała, serce uderzyło z mocą niezmierną i jakiś krzyk przekleństwa w powietrze poleciał.

W tém ściany mojego domu zadrżały—tentent gwałtownie pędzonych koni zabrzmiał w dziedzińcu...

Zegar uderzył pierwszą.

— Pan przyjechał—szepnął Wojciech, Paniczu—spokoju! on biedny, stary, kaleka!...

W przyległéj komnacie słyszałem stuk kuli ojcowskiéj—szedł pośpiesznie, biegł prawie...

Myśl rozstrojona snuła okropne widziadła.

W tym niezwykle przyśpieszonym chodzie kaleki słyszałem groźbę straszliwą... Czego on tak biegł szybko?.. czy uciekał może— od trupa Anny?..

Stuk kuli co raz głośniejszym się stawał, straszniejszym jakby mi w pierś uderzał a echo serca odpowiadało...

Stałem po środku gabinetu blady jak ściana, z zagryzionemi usty gniewem nieludzkim, ze ściśniętemi konwulsyjnie pięściami.

Drzwi się otwarły—wszedł ojciec.

Spojrzałem w twarz wchodzącego i piekło męki zwiększyło się uczuciem zgrozy i nienawiści jakie w téj chwili do tego człowieka uczułem.

Na czole pana Feliksa żadnéj bruzdy smutku ze sprawionego mi bólu nie było. Przeciwnie—oczy niezwykłym płonęły blaskiem; usta weselem się śmiały, jakaś żywość, jakby mu lat sporo ujęto, w całéj przebijała się postawie. Wesoło, pogodnie wszedł do swojego pokoju—zobaczywszy mnie dopiéro, stanął nagle, brwi zmarszczył i wzrok mi w oczy utopił.

Zmierzyliśmy się.

— Postawiłeś, ojcze, na swojem—rzekłem głosem, o ile mi sił starczyło, powolnym i spokojnym. Chwała zwycięztwa jest przy tobie—nie wątpię! kobiéta, któréj serce rozdarłeś, umrze—lecz pluć sobie w twarz nie pozwoli. Odtrąciłeś mnie na zawsze od niéj... lecz i od siebie. Do piersi swojéj nie przytulisz syna już nigdy!..

Pan Feliks drgnął i spąsowiał jak upiór.

— Więc tak się to dzieci odwdzięczają za życie im dane, za noce bezsenne przy ich kolebce, za długie trudy wychowania, za pieszczoty i łzy niepokoju?..

— Życie! odpowiedziałem—dar drogocenny ale pożądany nie zawsze. Więc na to życie to dałeś, na to pieściłeś—żeby, gdy żyć się zacznie, w proch je zetrzéć?..

Pan Feliks potarł niecierpliwie czoło i zaczął chodzić po pokoju. Zdawało mi się, że walczył z myślą jakąś—twarz miał zaczerwie-

nioną, oczy szeroko rozwarte i palące się ogniem dziwnym. Przeszedłszy parę razy pokój stanął przedemną i kładąc dłoń swoję na mojém ramieniu, rzekł z uroczystą powagą:

— Panie Adamie! co stało się—odstać się nie może! Dobrze ksiądz Baka powiedział:

Nje wyorzesz wczora pługiem
Nje dogonisz jutra cuglem!..

A więc: spokojnie Adasiu! spokojnie!.. Złe się nie naprawia nigdy—dobre się nigdy nie psuje!..

Objął mą głowę i pocałował mię w czoło kilka razy.

— Więc tak nędznym robakiem jestem dla ciebie, że dla jednéj kobiéty uciekłbyś odemnie i powiek byś mi nawet nie zamknął?...

Westchnął ciężko i usiadł na fotelu smutny i ponury.

— No! rzekł po chwili—to nic dziwnego! My mamy tylko was do kochania, wy cały świat przed sobą. Gdy orłowi dziób się od starości zakrzywi i z gniazda swojego już do słońca ulecić nie może, trudno mu nakazać orlętom nie trzepnąć w błękity!

Spojrzał na mnie i łzami oczy mu zaszły.

— Siadaj synu! opowiem ci o téj strasznéj podróży.

Jak bezwładny automat mający wzrok i słuch tylko, usiadłem naprzeciw ojca, oddając serce na razy śmiertelne.

Pan Feliks pogładził siwiejącą czuprynę włosów i tak mówić zaczął:

XXV.

„Wyprawiwszy ciebie z pieniędzmi do pana Ksawerego i zostawiając Wojciechowi list ci wiadomy—zacięty gniewem na ową kobiétę piszącą o jaskółkach, ruszyłem do Mrugotyna. Po spędzonym noclegu w dzierdzijowieckiéj karczmie, gdzie spotkałem jakąś małpę, wabiącą się Bonifacym Piskałą, króry mi kiedyś sekundował w pojedynku z panem Stanisławem Starżą—udałem się do siedziby hrabiów Ornowskich.

Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedym wjechał w ciemną aleję lip i kasztanów. Powietrze przepełnione zapachem bzów i jaźminów, mówiło o bliskiéj rezydencyi tych państwa, do których mus srogi zbliżyć się tylko mi kazał. Na wzgórzu zarysował się gmach pałacu—w kryształowych szybach okien łamały się czerwone promienie żegnającego ziemię słońca. W całéj naturze uroczysta pano-

wała cisza. Niebo było równe, gładkie, bez chmurki żadnéj, żadna muszka nie brzęknęła w srebrném powietrzu, żaden ptak nie zaśpiewał, gmach parku stał niemy, milczący, tylko piramidy olbrzymich świrków strzelały czołem w błękity. Ten spokój, ta cisza przedwieczornéj godziny, zdawały się być na to, żeby łagodzić gniew, co wrzał mi w sercu. Ciepłe tchnienia powietrza muskały mi czoło, słońce się śmiało, patrząc przez liście drzew... Wjeżdżając dopiéro w bramę spostrzegłem niedaleko pałacu jakąś smukłą postać kobiety w czarnéj sukni, z misternie splecionym warkoczem włosów kruczych, z białym sznurem pereł na szyi, która szła powoli przeprowadzana przez dwoje malutkich wiejskich dziatek czepiających się jéj kolan i drobnemi rączętami szukających białéj dłoni *pani dobréj*, jak któreś z nich nazwało ją głośno... Doprawdy! że widowisko to było bardzo ładne! Te dziatki o złotych włosach rozwiewanych przez lekkie wiatru oddechy, tuliły się jak gołąbki do idącéj w zadumaniu kobiéty, któréj cień długi snuł się za nią, smutny jak ona, niby współtowarzysz jéj milczącéj tęsknoty..."

Tu umilkł pan Feliks i zamyślił się.

Przedstawiony obraz przez ojca, żywemi barwami przesuwał mi się przed oczyma—zdawało mi się, żem wpadł w sen letargiczny, w którym się snuły niebieskich krain widziadła.

— A co, Adasiu! zawołał nagle, uderzając nogą o posadzkę—widzisz, żę nie tylko ty umiesz poetycznie się wyrażać! kobiéta taki robi pewne na człowieku wrażenie—dodał.

Pokręcił wąsa i siwą pogładził czuprynę.

„Była to pani Anna Ornowska.

Na jéj widok zęby mi się gniewnie zacięły i brwi ściągnęły. Podjechałem pod pałac w chwili kiedy ona boczną galeryą ganku do wnętrza weszła.

Na turkot kół po brukowanym dziedzińcu wybiegła z pałacu cała liberjowana hałastra. Widzieli gamonie, że trudno mi było trafić kulą na stopień powozu a żaden z nich się nie ruszył, patrząc tylko na przybysza wytrzeszczonémi ślepiami. To podwoiło mój gniew, z czego oczywiście rad byłem—boć to nie łatwe przedsięwzięcie stanąć przed słabą kobiétą i zmusić ją do rumieńca wstydu i oburzenia...

— Jak mogłeś, ojcze, nie zawrócić się z przed bramy pałacowéj? zawołałem, przykładając dłoń do rozpalonego czoła.

— Wiesz, waćpan, że gdybym postanowił panu Bogu słowa prawdy powiedziéć—powiedziałbym.

Wiedziałem o tém dobrze. Ojciec mój przed powziętym zamiarem namyślał się długo, lecz raz uczyniwszy postanowienie nie zmie-

niał go nigdy, choćby to o jego własne życie chodziło. Zatrzymując oddech w piersiach, słuchałem duszącéj mnie powieści.

„Wygramoliłem się jakoś z powozu i wszedłem do sieni. Przedemną stanął marszałek dworu.

— Czy jest hrabia? zapytałem.

— Niema.

— No! to i lepiéj—a hrabina?

— Jest! odrzekł.

Pokręciłem wąsa i zęby mi zaszczękały. Gniew się wzmagał, żem go musiał rozsądkiem hamować.

Postąpiłem ku drzwiom środkowym, gdy nagle kamerdyner zastąpił mi drogę.

— Proszę o bilet—powiedział.

Sapnąłem gniewnie i czułem, że nozdrza mi się rozdęły.

— Nie przyjechałem na spektakl żaden—odpowiedziałem— a tylko w interesie do waszéj hrabiny.

I zrobiłem krok naprzód.

— Nazwisko waćpana? zawołał impertynent, zasłaniając wejścia swoją figurą.

— Ono do ciebie nie należy... smarkaczu! syknąłem przez zęby.

— Bez opowiedzenia się ja pana nie puszczę!

— Ruszaj mi do stu piorunów!—huknąłem—bo jak cię chlasnę.

Sługa na wszelki wypadek usunął się—ja drzwi otworzyłem i wszedłem do salonu.

Oko moje ponury uderzył przepych. Słońce dwoma snopami światła oblewało karmazynowe ścian adamaszki i odbite w szklących się taflach marmurowéj posadzki, raziło mi oczy. Poszedłem parę kroków i o małom nie upadł tak mi się pośliznęła kula na wygładzonym marmurze...

W tém naprzeciw drzwi wchodowych zaszeleściała jedwabna kotara i weszła pani Anna Ornowska. Postąpiłem znowu i znów się pośliznąłem—piękna pani podbiegła i podała mi ramię z pomocą.

Spojrzałem jéj w twarz.

Ona z uśmiechem—powiadam waćpanu, że takim uśmiechem aniołowie tylko do Boga się śmieją—patrzyła na mnie, a długie rzęsy jéj powiek jakiś cień smutny na białą twarz jéj rzucały.

Czy słońce wzmocnione odbiciem od ścian karmazynowych różowym oblało ją blaskiem? ale z jéj liców jakieś przezrocza patrzyły, krew koralów przelewała się w wilgotnych jéj ustach... Zimno mi się zrobiło i jakbym się czegoś nastraszył serce paf! paf! paf!..

Zacisnąłem zęby przywołując uciekającą energię...

— Pani hrabina—rzekłem—nagniecie i powala delikatne paluszki, dotykając grubéj sukmany mojéj. Powoli ale potrafię sam przejść przez to lustro, po którém bezpieczniéj na łyżwach chodzić.

— Nie bój się pan—odpowiedziała pani Anna—te palce dotykały nie raz łachmanów nędzy, nie powalały się jednak ani zgrubiały...

Głosu takiego, jak pana Jezusa kocham, nie słyszałem jeszcze. Arfa piękniéj nie zadzwoni jak to ona gardziołkiem swojem zrobiła.

Usiedliśmy...

Długo kręciłem wąsa nim byłem zdolny coś wypaplać. Na koniec uspokoiłem się—postanowienie górę wzięło nad głupią słabością. Mnie chodziło o ciebie!

— Ojcze mój! zawołałem—to chyba trzeba być kamieniem nie człowiekiem!

— Co mi tam waćpan wyrywasz się z morałami jakiemiś! krzyknął pan Feliks. Siedziéć i słuchać! jeżeli chcesz wiedziéć końca tragedyi.

Umilkłem, czekając gromu, który miał we mnie uderzyć.

— „Nazywam się—Feliks Szczerodyński, rzekłem do pani Anny...

— Ojciec pana Adama? spytała hrabina prędko.

Rumieniec twarz jéj oblał...

Ach! jaka ona była piękna z tym rumieńcem!

— Tak jest, pani hrabino! Ojcem—Adasia...

— Jakiż los dobry sprowadził tu pana?

— Nie mówiłabyś, pani, *los dobry*—gdybyś wiedziała o powodzie mojego tu przybycia...

Pani Anna spojrzała na mnie rozwartemi oczyma, w których ujrzałem głąb jakąś niezmierzoną, jak bym patrzał w szafirową otchłań mórz...

— Mów pan!.. nie męcz! szepnęła. Ja przywykłam do gwiazd, które gasną—do marzeń, które nie mają jutra...

Coś mi sercem szarpnęło gdym posłyszał te słowa wypowiedziane z jakimś spokojem strasznéj boleści. Mówiła te słowa szeptem, ale jęk piersi tysiąca większéj by mocy mieć nie mógł.

Spuściłem oczy bo nie byłbym wstanie mówić inaczéj.

— Przybyłem tutaj... Ale jak ja mam to pani powiedziéć?.. Mój syn... Adaś—ten mój syn...

Słowa mnie kołkiem w gardle stanęły.

Spojrzałem na nią...

Nie wiem co jéj się stało—nie powiedziałem nic jeszcze—przeczuła chyba!...

Gdyby jednę kroplę krwi w ustach miała!.. Oczy rozwarły się szeroko—łzy duże w nich stanęły, błysnęły jak brylanty w szafirów oprawie i cicho na pierś upadły, piękniejsze sto razy od pereł co miała na szyi.

Powstała—i chwiejąc się jak trzcinka wiatrem chylona, zbliżyła się do mnie...

Podniosłem się również.

— Pan mnie coś okropnego przynosiz! jęknęła cicho.

I ząbki jéj zadzwoniły jak kryształ, czysty kryształ z gór Syberyjskich...

Słyszałem jak jéj się w piersi coś rwało, jakby pękała struna ostatniego jęku pieśni...

— Pani hrabino—rzekłem—czego tak drżysz? czego tak sercem stukasz jak to, co ma umrzeć?..

Wziąłem jéj rękę...

Jak ona drżała!.. jak motyl, który zimnym rankiem ze snu się obudzi.

— Czy Adam żyje?.. szepnęła.

I czułem, że jéj się kolana łamały.

Nie wiem co mi się stało, ale drżącą jéj rączkę do gorących czegoś swoich ust przycisnąłem.

— Uspokój się, pani, rzekłem—Adaś żyje, żyje—i przepada za tobą!!.

Słowa te miały moc eliksiru. Rumieniec całą krwi falą w twarz jéj uderzył, usta się uśmiechnęły, piersią rzuciła westchnienie jakby pozbywając gniotącego ją ciężaru—i tuląc dłonie moje do drżącego szczęściem serca, podniosła do koralowych ust swoich.

Dziękowała mi za powrócone sobie życie.

Coś mi się mokro w oczach zrobiło—daremno łypnąłem dwa razy powiekami, jakaś zastawka tam się zepsuła, łzy jak grad potoczyły mi się po twarzy.

— Czy ty go bardzo kochasz? diabeł wie dla czego szepnąłem.

— Ojcze! ratuj mnie! krzyknęła w płacz wybuchając gwałtowny i piękną głowę o ramię opierając moje.

Źle poszła sprawa!..

Całowałem ją w czoło otaczając drżącą kibić prawém ramieniem i jak bóbr płacząc...

— A cóż do stutysięcy twój Adaś robi? huknąłem. Złota ma mało? mam pełną skrzynię uzbieranych dukatów—bierzcie ją i wiatrem ztąd w świat szeroki! Mazgaja pokochałaś waćpani! Gdyby mi nie ta kula u nogi—dmuchnąłbym, ot! tak zaraz z tobą i tak bym się ukrył, że o naszém schronieniu Pan Bóg by do końca świata nie wiedział... Nie płacz! nie płacz—czarodziejko ty moja! szeptałem jej

na ucho. Przyślę ja tobie tego błazna, rozmów-że mi się z nim, a dobrze! Konie rozstawię, dukatów dam dwa wory i za wami sam pokuleję—czarodziejko ty moja!“

Nie skończył jeszcze pan Feliks powieści jak leżałem u nóg jego, całując kolana i ręce łzami oblewając. Poczciwy Wojciech skakał z radości i przez łzy bełkotał:

— Machnąć! machnąć! Jak Boga kocham, do Ameryki machnąć i basta!

Pan Feliks pocierał czuprynę i śmiał się wesoło, gładząc mnie po głowie drżącą od wzruszenia ręką.

— A co, panie Adamie? dobrze dopisałem sam sobie! Ale to urok i nic więcéj! Ta kobieta to jakieś niepojęte stworzenie! I cóż dziwnego, że tobą jak gruszą zatrzęsła, gdy mnie staremu wrzątku nalała do żył. Zmaltretowała mnie swojemi oczyma na nic, a w źrenicach ciągle jak świeczka stoi, niby plama słoneczna gdy w blask się jego wpatrzysz. Pocałowała mnie tu—w rękę... Jaka moc tego pocałunku!.. Czuję jeszcze!.. dwa listki ust jéj koralowych czuję tu jeszcze!.. Eh! — westchnął głęboko—gdyby nie ta kula, przesadziłbym ciebie przez nogę, panie Adamie, chociaż rodzonym mi jesteś!

Prędzejbym się trzęsienia ziemi spodziewał, niż takiéj zmiany w panu Feliksie, który się uśmiechał wesoło, czupurzył, to smutniał nagle i wzdychając.

— Eh! gdyby nie ta kula!—powtarzał.

Mój tatko się zakochał, serdecznie zakochał!

— Słuchaj Adasiu!—mówił—nie marudź mi ty tylko! Ucieczka to ucieczka! rozwód to rozwód! ale raz, dwa, trzy i naprzód! Starża się wścieknie, to dobrze! nie marudź mi tylko!.. Eh! gdyby nie ta kula u nogi!

— Wyobraź sobie, Adasiu!—prawił daléj—jakby w domku tym było jasno i gwarno, gdyby ten kolibryk tu zamieszkał? kwiaty by same rosły i w złote rozpękały kielichy, niebo wiecznym błękitem patrzyło, girlandy jaskółek, te szczęścia dobre wróżbity, unosiły by się nad domem naszym, a jabym was tulił do piersi i błogosławił, błogosławił bez końca!.. I cóż ty na to, Adasiu?

— To raj, mój ojcze! to szczęście tak wielkie, o którém myśl sama strachem przejmuje!

— Tfu! do stutysięcy siarczystych piorunów! O strachu gadać gdy niebo się chyli w ramiona, gdy gwiazdy same w złoty się łańcuch plotą!. Jabym za barki wichry stepowe porwał i musiałyby mię zaraz unieść do kochanki! jabym grom jasny okulbaczył i w ramionach na samo słońce ją zaniósł! Trzepałaby się już dawno w mych objęciach, paląc mi usta ogniów pocałunkami, lejąc roz-

kosz w serce szczęśliwe!.. Eh! Jezu! gdyby nie ta kula u nogi... no!—dodał po chwili smutno—i lat przeszło sześćdziesiąt!.. Ale mnie trzydzieści ubyło dzisiaj! — zawołał wstając. Strzeż się, Adasiu! strzeż się—bo... taki ta kula zawadza!..

Umilkł, spochmurniał, ale prędko twarz wypogodził i przycisnął mnie do serca mocno.

— Ojcze drogi! — zawołałem pełen uśmiechów i szczęścia— a cóż z Jagusią będzie?

— Gąska głupia!—burknął pan Feliks—djabli ją tam nie wezmą! Ani ognia ani życia żadnego w téj purchawce, która ci śpiewać będzie jak lada dudek rozkaże. Kra! to i ona—kra! mekeke! to i ona ci jak koza zabeczy. Ostryga! którą połknąć tylko bo rozżuć nie można! Marynaty jéj robić nie gotować szczęście tobie.— Galareta ikry żabiéj!

— Galareta! — zawołał Wojciech — dobrze jaśnie pan powiedział! i to ta galareta, którą nasz Marcin spartoli.

— Panie Wojciechu!—odezwał się mój ojciec zwracając twarz ku niemu. Waćpan milcz jak ryba o tém wszystkiem coś słyszał, a każ paniczowi konie zaprzęgać—zaraz!

Wojciech wyszedł z rozkazem ojcowskim, pan Feliks dobył ogromnego klucza z zanadrza.

— Odsuń to łoże żelazne, bo ja już nie mam siły.

Spełniłem rozkaz ojca.

— Tam znajdziesz w podłodze otwór; klucz ten otworzy. Pokręć raz, dwa—tak! Szarpnij do góry!—a co!

Błysnęły dukaty.

— Nie wiedziałeś nic o tym skarbie, który dla ciebie od dnia twoich urodzin zbierałem. Pieniądze masz! młodość i miłość cudnéj kobiety masz! energii tylko więcéj, zapału więcéj a ogromne szczęście mieć będziesz.

Dziedziniec zatętnił lotnemi kopytami rumaków.

— Z Bogiem synu!—odezwał się pan Feliks — ja przygotuję tu wszystko. W lesie dzierdzijowieckim będą na was czekały konie. Lotem błyskawicy—marsz! Spotkam się z wami pod pięknem niebem ojczyzny Dantego lub w ziemi Cyda!..

Nie upłynęło minut kilka jak rwące się konie uniosły mnie z przed ganku rodzicielskiego dworu, na którym stał długo pan Feliks, robiąc duży znak krzyża świętego.

Mówił mi Wojciech, że w noc późną, gdy wszyscy do snu się w starym ułożyli dworze, pan Feliks wyszedł do ogrodu. Drugi raz kur zapiał, on jeszcze siedział nad brzegiem szumiącego potoku, słuchał piosenki słowika, szmeru liści i w księżyca twarz bladą patrzał.

XXVI.

Konie jakby szły na wyścigi z mojemi myślami, dotykając lekko kopytami tętniącéj piersi ziemi, pędziły szerokim gościńcem. Łany zielonych zbóż falowały i cichym szmerem grały pieśń harmonijną. Dwa białe gołąbki zleciały z błękitów i zawisły w powietrzu nademną, całując się dziobkami. Piotruś dobrze wróżył, palnął z bata i huknął na step cały jakąś pieśń zaporoską. W powiewie wiatru słyszałem szmery i dźwięki jakieś, jakieś duchy klaskały w dłonie, perłowy śmiech brzmiał do koła, powietrze pocałunkami drżało...

„Trzy razy nie obiegnie ziemi księżyc złoty, a serce twoje tętno drugiego posłyszy, białe ramię ci szyję oplecie, miłośny szał w kraje uniesie rozkoszy. Słowiki się w pieśniach rozemdleją, błękity nachylą, z koralowéj czary ust kochanki wypijesz nektar boski!“

Tak śpiewał skowronek szary zawieszony w srebrnym krysztale powietrza.

Czy słońce spóźniło się z zachodem? czy konie za rączo biegły? dość, że jeszcze dzień był jasny jak mnie ze słodkich snów obudzi hałas psiarni pana Piskały.

— Piotruś!—zawołałem, chwytając chłopca za pelerynę płaszcza—po jakiego licha tu się wpakowałeś?

— Na popas, paniczu serdeczny! Trzeba koniom dać oddechunek, sapią jak wściekłe, a jakby kto ich mydłem wyszorował taka piana z nich leci. Umachaliśmy mil pięć jak ogonem kiwnął, jak posuniemy tak daléj to sami do dyszla się zaprzęgniemy.

W istocie zhasane konie robiły niemiłosiernie bokami, rozdętemi nozdrzami sapały jak miechy kowalskie. Rad nierad musiałem złożyć swój szacunek sławetnym gospodarzom Dzierdziejówki.

Na samym wstępie, jak zwykle, powitał mnie Florek, ale o dziwo! był umyty i w nową, choć źle przykrojoną sukmanę ubrany. W sieniach zarzuconych rozmaitemi gratami, panował ład i porządek niebywały. Ściany pobielono, podłogę nawet żółtą pomalowano farbą.

W salonie ustrojonym w kwiaty, u którego okien powiewały świeżo co wyprane firanki, panowała jakaś cisza odświętna. Na ścianach świeciły zwierciadła w odnowionych ramach, kanapa i krzesła patrzyły nowém wzorzystém obiciem, stół pokryto dywanem w tulipany i róże. Na nim stała lampa niewidziana przedtém, któréj kielich ze szkła matowego spoczywał na dłoni przygarbionego Satyra. Przez otwarte okna wlatywał wiatr swawolnik, trzepo-

tał się w przezroczystych firankach, potrącał rozpęknięte główki kwiatów fuksyi, nawet mocował się ze sztywnym fałdem zwieszającego się ze stołu kobierca. W jednym kąciku, na małym stiukowym słupku, stał błękitny flakonik z fijołkami, których zapach unosił się w czystém powietrzu i mięszał się z wonią skromnéj rezedy, rosnącéj w wazoniku na oknie.

Zajrzałem do jednego i drugiego pokoju: wszędzie ten sam porządek ta sama czystość niezwykła i spokój miły. W sypialni pana Piskały koło porządnie zasłanego łóżka leżała para nowych papuci, na których świecił deseń wyszyty różnokolorową włóczką i srebrnemi blaszkami. Tu tylko nie usunięto podartego fotelu, ani zamieciono podłogi.

Rozglądałem się wokoło zdziwiony tą niespodziewaną metamorfozą, gdy wtém dały się słyszeć głosy pana Piskały i Świdrusia, który jakąś bajkę z tysiąca i jednéj nocy śmiejącéj sie rozpowiadał wujeneczce.

Zacne towarzysto używało przechadzki po łopuchami i pokrzywą zarośniętych alejach ogrodu. Psów szczekanie i turkot powozu zmusiły do powrotu szanownego gospodarza wraz z jego otoczeniem.

Pan Bonifacy był równie jak i jego kamerdyner, umyty, wygolony starannie, w nowym czarnym surducie, z dużym, kolorowym krawatem na szyi. Stojący kołnierz przyzwoicie wypranéj koszuli, niemiłosiernie tylko wykrochmalony, podrzynał obwisłe uszy pana na Dzierdzijówce. Pan Franciszek, choć nie zrzucił długich butów, ale je wyszuwaksował starannie, kozaczkę zapinaną na bok miał czystą i dobrym zrobioną krojem, ale co mu było do twarzy, to śliczne wąsiki, które węgierską wysmarowane pomadą, impertynencko lecz chwacko zarazem sterczały po obudwu stronach pulchnych policzków. Pani Magdalena również nie byle jak była ubraną. Złote kolczyki w uszach tańczyły nieustannie poruszane kręcącą się ciągle główką gosposi—broszka na kanausowéj fioletowego koloru sukni świeciła pięknie brylantowém okiem misternie zwiniętego węża.

Pan Piskała roztworzył ramiona i zbliżył się do mnie.

— Jeżeli się nie mylę — rzekłem po przywitaniu — to trafiłem na jakąś uroczystość w domu państwa?

— Tak! tak, łaskawy panie! — odpowiedział gospodarz—dziś dzień świętego Bonifacego, patrona mojego, którego błogosławione imię noszę.

— Jakżem szczęśliwy — zawołałem — że choć wypadkiem pozwoliły mnie niebios wyroki złożyć panu życzenia lat długich i kalifornijskich skarbów.

— Spytaj no pan co ja życzyłem wujciowi—odezwał się Franciszek.

— Cicho Świdruś, bo mnie zarumienisz!—przerwała Magdusia...

— Widziałem w pokoju pana papucie. — Pewnie to dar imieninowy żony pańskiéj?—spytałem.

— Tak! tak, panie łaskawy! Poczciwa Magdusia ofiarowała mi własnéj roboty cichostępy, a Franuś kochany ofiarował mi rogi jelenie. Powiesiłem zaraz na nich kaszkiet z kozerkiem i ręczniczek do golenia się...

— Żałuję mocno, że nie będąc przygotowanym, nic panu oprócz życzeń w ten dzień tak ważny dać nie mogę.

— Szkoda! wielka szodka! — zamruczał solenizant—ale ja i po imieninach przyjąć mogę. Pan mnie daaa... parę korcy kartofli, trochę owsa dla koni, pośladu dla kur, karpiów kilka, bo słyszałem, że u pana w stawie śliczne są karpie—iii... grochu!

Dusząc się od śmiechu, przyobiecałem panu Piskale niezwłocznie przysłać żądanych rzeczy.

— Teraz panie łaskawy! dziękuję serdecznie za życzenia, ale ten dzień nie dla tego jest mi ważnym, że noszę błogosławione imię Bonifacego, ale—że dzisiaj ostatecznie Dzierdzijówka ma być moją.

Przypominamy sobie, że hrabia Tytus Ornowski przyrzekł solennie panu Piskale dzień jego imienin uczcić prezentem, którym oczywiście nie co innego jak Dzierdziejówka być miała.

— Tumanił-że mnie pan hrabia, tumanił! ciągnął daléj pan Bonifacy, bo potrzeba łaskawemu panu wiedziéć, że jaśnie wielmożna hrabina imieniem Matylda, mama hrabiego Tytusa, z domu baronówna Hochwajben-Poturtyńska, za czynione jéj rozmaite przysługi, w których nieraz i sumienie musiało się powalać—zrobiła mi zapis z Dzierdziejówki, ale jakaś tam nieformalność wlazła, któréj hrabia Tytus ani jak poprawić nie chce i prawnie bezpretensyonalność do tego majątku przyznać... Dochodziły mnie różne wieści o jakichś krokach robionych przez niego do wydziedziczenia mnie z ciężko zapracowanego kawałka ziemi, lecz dowiedziéć się prawdy nie mogłem. Adwokaty milczą, bo chcą, żebym im gębę otworzył gotówką, ale zkąd mi jéj wziąć, panie łaskawy? a jakkolwiek na krzyż pański przysięgałem, że im to bardzo hojnie nagrodzę—nie wierzą, psia wiary, tylko bezwstydnie wyciągają łapy. Ale dziś dzień ostatni próby słowności jaśnie wielmożnego hrabiego... lecz jeżeli — broń Boże! oszuka? jeżeli mnie za robione usługi finfą zapłaci? Na krzyż pański!..

Tu złożył palec i do ust przycisnął.

— Na mękę niewinnego Chrystusa! ja mam takie szczypce, że jemu wątrobę wyjmę ze środka i serce na kawałki poszarpię!..

Twarz pana Piskały nabrzmiała gniewem tłumionym, usta toczyły ślinę, oczy jakimś piekielnym ogniem gorzały...

— Patrz! droga wujaneczko— szepnął pan Franciszek na ucho Magdusi—jaki on ładny teraz! Jak Boga kocham cacany chłopiec, choć do serduszka przygarnąć! Pocałuj go wujeneczko prosto w buziaka!

— Żeby mnie trzy dni nudziło?—odszepnęła Magdusia.—Dosyć, że ja patrzyć na niego prawie każdego dnia muszę.

— A tak go przycisnąć—nie?

— Aj! już mnie nudzi—Franek! daj pokój—bo... pfe! pfe!

I splunęła na ziemię parę razy.

Rzeczywiście pan Piskała był jakimś poronionym płodem natury. Równie duszą jak i ciałem ohydny, robił wrażenie człowieka, na którym szlachetne piętno myśli ludzkiéj zatarło się zupełnie, pozostał tylko pierwotny ślad zwierzęcia.

W pół godziny po moim przyjeździe uprzejma gosposia zaprosiła nas do stołu zastawionego dość suto, jak na znane sknerstwo pana Piskały. W posłudze pomagał jéj Franek, rzucając ciągle jakieś słówka do ciekawego ucha, na co tylko—at! lub et! było odpowiedzią, ale słuchało się daléj i odpowiadało czasem ukradkiem.

Pan Świdruś był duszą towarzystwa. Plótł jak na mękach niezważając na dobór wyrazów, coś szeptał mizdrzącéj się wujeneczce, nakoniec zaczął opowiadać o nieudałéj szparagarni pana Bonifacego.

— Już to z tą szparagarnią, pan Piskała oczywiście nie przyznawał się, że kopał skarby, to wystrychnąłeś mnie na porządnego dudka. Dwieście z górą rubli mnie to rowisko kosztuje i cóż z tego?—figa!

— Ale, mileńki mój wujaszeczku! — tłómaczył się pan Franciszek—co ja temu winien że grunt zły, i że po ostateczném zbadaniu go orzekłem, że ze szparagów nic a nic być nie może!

— Trzymałem tylko ciebie dwa miesiące i dni jedenaście za darmo, przez które więcéj mi zjadłeś, niż byś mógł na to w ciągu roku zapracować.

— No! że apetyt mam niezły na wszystko, co jest wujaszka— to prawda! ale wie co wujaszek, może w inném miejscu zaczniemy kopać szparagarnię?

— Niech cię djabli wezmą z tą szparagarnią razem!—krzyknął zaperzony pan Bonifacy. — Będę kopał po całych miesiącach, wydawał robotnikom pieniądze a ty mnie objadać będziesz! Nie mam chleba na karmienie próżniaków!

— Próżniaków? ou!! to mnie już wujaszek śmiertelnie obraził! Postaram się jak najśpieszniéj wyrejterować z Dzierdzijówki.

— Choćby i dziś!

— Może i dziś, ale jeszcze tych obwarzaneczków posypanych migdałami sprobuję!

Wyciągnął rękę do talerza z ciastkami.

— Smutno jednakże wujaszkowi będzie bezemnie!

— Nie umrę z żalu.

— Kto to wie?

— No! nie gadaj ty mnie o śmierci, bo ja tego nie lubię.

Nastało milczenie. Dzwoniły tylko łyżeczki w szklankach, chrupały gryzione sucharki i łakome chłeptanie spijanéj z miseczki herbaty przez pana Bonifacego rozchodziło się po pokoju.

Okna saloniku wychodzące na dziedziniec stały otworem. Od dawna słyszałem jak gdzieś—daleko, dzwonek pocztowy dygotał w powietrzu. Dźwięk jego miarowy rwał się na chwilę, znowu kołatał coraz wyraźniejszym się stawał, przycichał, znów uderzał, głośniéj i głośniéj i zdawał się biedz prosto gościńcem prowadzącym do dworu dzierdzijowieckiego.

Nagle psy zaszczekały gwałtownie.

Wóz ciągniony parą końmi, z przyczepionym do dyszla dzwonkiem, zatoczył się przed ganek domu pana Piskały.

— A co to za licho w dzień świętego Bonifacego przyjeżdża do mnie?—odezwał się gospodarz, powstając z miejsca.

— Jakiś urzędnik—odpowiedział Świdruś—widziałem gwiazdkę na czapce siedzącego na wozie jegomości.

W rzeczy saméj był to urzędnik z gubernialnego miasta.

Wszedł do salonu z całą powagą włożonéj na siebie misyi, uchylił lekko głowę i spytał o gospodarza domu.

— Ja nim jestem, do usług łaskawego pana!— odezwał się pan Bonifacy—a pan?

— Józef Chapenko, urzędnik pałaty, po dziele do pana — odpowiedział przybyły.

— Do mnie?—zapytał nieco zdziwiony pan Piskała.

— Tak!—odpowiedział krótko urzędnik.

— W jakim interesie, jeżeli można spytać łaskawego pana?

— Żebyście się wynosili won z Dzierdziejówki!

Pan Piskała wyprężył się jak struna, oczy mu krwią nabiegły i zakołowały pod powiekami, długie ręce z rozczapierzonemi palcami opadły ku ziemi i drgały konwulsyjnie.

— Ja!... ja!... — bąkał nieprzytomnie — precz z Dzier... Dzier... Dzierdzijówki?

— Taka rezolucya senatu. Graf zwalił zapis nieprawny. Oto papier! rozpisujcie się zaraz, bo mnie z powrotem spieszno.

Myślałem, że krew pana Bonifacego zabije. Spąsowiał jak księżyc przy wschodzie, pot kroplisty spływał mu z czoła, szczęki drgały, usta rozszerzyły się straszliwie, pokazując dziąsła próżne, w których jeden duży żółty ząb tylko sterczał po środku.

— A graf! graf!— zaryczał okropnie—psi syn!!..

I runął jak długi na ziemię.

Ledwieśmy mogli ocucić straszną wieścią porażonego ex-pana Dzierdzijówki.

Powstał trzęsący się, mętnemi wodząc dokoła oczyma, ślina z warg ciekła, głębokie brózdy pofałdowały mu twarz.

— Podpisujcie prędzéj—nalegał urzędnik—nie mam czasu!

— Psi syn! graf! ścierwo!— bełkotał nieprzytomnie pan Piskała. Do nędzy mnie chciał doprowadzić, z torbami pod kościół wyprawić! . Siurpryza w dzień świętego Bonifacego... ha! duszo Lucypera! zapłacę ci... dziś jeszcze! Nie zdarłeś ostatniéj koszuli!.. mam... tam!.. skarr... mam!

I szeptał coś daléj nieprzytomnie, obejmując trzęsącemi się rękami skronie i głowę...

Urzędnik podsunął papier, na którym pan Piskała drżącemi palcami dzień odebrania strasznego wyroku podpisał.

Chapenko otrzymawszy papier skłoni się i wyszedł.

I znów miarowo zajęknął dzwonek pocztowy, unosząc z sobą dziesięcioletnie niemal marzenia pana Piskały.

Zbytecznym byłem gościem w téj chwili. Pożegnawszy życzeniem spokoju ociekającego potém gorącym pana Bonifacego, wskoczyłem do powozu, słysząc za sobą tylko jakieś przekleństwo biednego Piskały i słowa rzucone na powietrze:

— No! Dzierdzijówka przepadła, ale i ty!..

XXVII.

Droga do Mrugotyna kręciła się piękną wstęgą po wznoszącéj się coraz przestrzeni, na końcu któréj otoczona wieńcem drzew rozzieleniających się co chwila pod życiodajnym oddechem wiosny, widniała piękna rezydencya Ornowskich. Bliżéj na lewo, z ciemnéj zieleni lip odwiecznych, smukła wieżyczka mrugotyńskiego kościoła strzelała złotym krzyżem w błękity, z któréj dzwon rozmodlony rozlewał się dźwiękami płaczów wszystkich i łez wszystkich, niespełnionych marzeń mieszkańca ziemi, zawiedzionych nadziei, krzy-

kiem serc ludzkich padających w proch pod siłą przeznaczeń. [Słońce pąsowe jakby od łez świeżo otartych, dotykało płomienną tarczą kraju ziemi, ostatnie jéj niosąc dziś pożegnanie światłem jaskrawem i promieniami ramion swoich czepiało się brzegów, w dalekim błękicie zawieszonych obłoków, farbując białe ich krawędzie niby kroplami krwi czerwonéj... Daléj za modlącą się świątyńką, bielał domek księdza Atanazego, otulony białem kwieciem drzew czeremchowych, które miodowym zapachem wabiły niezmordowane pracownice z pasiek wsi całéj.

Nie mogłem ominąć zacnego mieszkańca plebanii, ominąć cichego kątka, gdzie uderzyło mi serce miłością świętą, gdzie ujrzałem piękną, smutną, moję dziś—tak! moję już Annę!..

Zgasły ostatnie promienie zachodzącego słońca, gdy domek proboszcza zadudnił turkotem kół wjeżdżającego powozu, i w tejże saméj chwili, z nagle roztwierających się drzwi plebanii, wyleciał famulus księdza Atanazego wyparty silną ręką ojca.

— A mazgaju! — wołał ksiądz — czy nigdy mi zasnąć nie dasz spokojnie? Trzy doby oczów nie zmrużyłem a ten rum! bum! to drzwiami, to szklankami, jakby go kto najął do robienia harmideru....

Urwał w połowie słowa, bo właśnie powóz mój przed ganek plebanii się zatoczył.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — wołał ksiądz Atanazy, porywając mnie w ramiona — zawsze do mnie wpadasz, kiedy ja jestem w usposobieniu fukania i targania.

Ucałował mnie kilka razy i daléj ciągnął:

— Ale ten urwis zawsze mnie z najsmaczniejszego snu zbudzi. Jasiek! — zawołał na chłopca, który przytulony do ściany domu, z miną wykrzywioną lewe pocierał ucho—boli?

— Boli, ojcze duchowny! — odpowiedział Jasiek głosem zbiedzonym.

— Kiedy to ty sam się narażasz na nieprzyjemności! — tłómaczył się ksiądz Atanazy.

— No! dziś to może i ja winien — jęczał chłopiec — ale dobrodziéj choćby go i do chorego budzić, byle tylko budzić, po uchu zaraz maca.

— Bo masz zwyczaj do samego łóżka podchodzić i za łydkę szczypać, jak byś nie mógł stać w przyzwoitéj odemnie odległości!

— Kiedy i tak ojciec duchowny biegnie do mnie...

— To uciekaj lecz nie stój, dopóki czupryny ci nie wytargam. Chodź tutaj Jasiek! — zawołał — i gdy się chłopiec zbliżył zaczął go gładzić po głowie i dmuchać w zaczerwienione nieco ucho...

— Kiedy nie masz sprytu w głowie to miéj w nogach — rozumiesz? — No! ruszaj, weź sobie kilka kawałków cukru i pamiętaj o mnie!..

Jasiek nie posiadał się z radości. Kto wie czyby za wolność brania bez świadków cukru i drugiego nie nadstawił ucha. Wpadł do pokoju uśmiechnięty i szczęśliwy, i za chwilę powrócił, mając coś nadto od dolnego ubrania odstające kieszenie.

— Całą mi cukiernicę wypróżnił hultaj! — zaśmiał się ksiądz Atanazy i biorąc mnie pod rękę.

— Chodź do ogrodu — dodał— tam będzie nam lepiéj o wspólnych smutkach rozmawiać. Wieczór taki śliczny i tak pachną moje czeremchy jakby Pan Bóg miód rozlał w powietrze jasne.

Poszliśmy do ogrodu, który świecił jeszcze odbiciem czerwonéj łuny słońca, toczącego się gdzieś w głębiach świata już nie naszego.

Ogródek księdza Atanazego składał się z kląbów, kilku bzów białych, kilku czeremch usianych woniejącém kwieciem i dwóch jaworów, stojących samotnie na zielonéj murawie małego gazonu, który pstrzył się kwiatem lewkonij i balsaminów arabeskiém. Przed gankiem ogrodowym uprawiana ręką księdza grządka pełnych stokrotek wiła się w zygzak misterny, który się plątał i pisał imię Anny.

— To moje miejsce dumań! — rzekł ksiądz, siadając na darniowéj ławeczce, usypanéj na przeciw rabatki różnobarwnych stokroci... Miłość kapłana wylała się tym wężem kwiatów. Nie wolno mi nic więcéj! czytać tylko to imię drogie, kochać spokojnie i czuwać nad białą duszą anioła... O! żeby pęta zerwać co jéj dłonie związały i na nową drogę życia, usłaną kobiercami róż tylko, pobłogosławić—szczęśliwy byłbym jeszcze!

Wpatrzył się w plątaninę kwiatów i tajemniczą władzą myśli w przeszłość umarłą poleciał...

Nie śmiałem przerywać téj cichéj tęsknoty serca, nawiązywania zerwanéj nici lat dawnych, téj milczącéj pracy pamięci, która groby roztrąca ciemne i trupy mogilne w szaty rumieńców i życia stroi.

— Ty może nie wiesz—zaczął kapłan po krótkim przestanku—że od dnia twojego spotkania się z Anną, kilka jasnych blasków na życie jéj padło? Zdawała się na nowo rozpoczynać to życie. Ty nie wiesz jakim ona ciebie nimbem otacza, czém jesteś dla niéj!.. W noc księżycową nie raz łódź lekka kierowana jéj dłonią pruła srebrne fale jeziora i pieśń jéj drżąca kłóciła się z echem drzew parku. Łowiłem sercem całem te tony czyste, rozsypane w powietrzu, biegnące w błękity ciche z takim dźwiękiem nieswojskiéj harmonii, jakby kto perły rozrzucił i grał niemi na wyciągniętych stru-

nach kryształu. Doprawdy! Anna się bardzo zmieniła... Niech błogosławiony będzie ten co kilka róż pod nogi jéj rzucił!

I znowu duch milczenia przeleciał. Powietrze tylko grało szklaną muzyką komarów i dalekim, namiętnym żab skrzekiem, dodającym dziwnego uroku wonnemu wieczorowi wiosny....

— Wczora z nią—mówił znowu ksiądz Atanazy—odbywałem zwykłą pielgrzymkę po chatach wieśniaczych, gdzie sieroctwo lub zły duch upadku zabłądziły. Spotkaliśmy dziewczynę, którą Anna uczyła i wychowywała. Stała oparta o pień spróchniałéj wierzby, patrząc w step głuchy, ale jéj oczy i usta się śmiały.

— Oksano!—odezwała się Anna—czy tak się do słońca i nieba śmiejesz? jakieś szczęście spotkało ciebie?

— Oh! szczęście, panienko biała! (inaczéj jéj lud nie nazywa). I jakże mam się nie śmiać i nie cieszyć, kiedy Taras jedwabne mi przysłał ręczniki?

— Kochasz go?—zapytała Anna.

— Jak słońce rosę, w któréj się ciągle przegląda — odpowiedziała dziewczyna.

— A gdyby kto ci dał złota dużo i pałac taki jak mój, a Tarasa wysłał po sól do Krymu i on się w morzu Czarnem utopił, czy złoto i pałac nie otarłyby tobie łez?

— Co mi bez niego świat i wszystkie bogactwa jego!—zawołała dziewczyna, załzawione ocierając oczy.

Anna ją przytuliła do piersi i różowemi usty dotknęła czoła szczęśliwéj...

— Ojcze! — rzekła zwracając się do mnie — na co mi świat i wszystkie bogactwa jego?

Przechodziliśmy zbożne łany w milczeniu uroczystém; blask oczów Anny przygasał, jakby w sercu rozwinięty niedawno biały kwiat nadziei wiądł i listek po listku tracił. Żal mi tego bławatka, który ginie bez słońca!...

Wczora krzyk jéj napełnił sale pałacu... Strwożona służba rozbiegła się po pokojach ale do sypialni pani wejść nie śmiała, bo gabinet pana był pusty. Zamknięte podwoje drżały jakąś walką cichą; powietrze klekotało szmerem pasowania się, marmury posadzki zagrały szelestem głuchym jakby się na nie potoczył grad rozsypanych pereł. Po chwili drzwi się otwarły, hrabia wybiegł gniewem pijany i własną niemocą, wściekły z nieuskutecznionego czynu zbrodni nowéj...

Nie raz w mózgu tym—tu uderzył się w czoło—myśli rozszaleją! Szukam wybawcy dla spadłego z nieba anioła, ale ziemia toczy się w otchłaniach głucha na krzyk mój zbolały. Czasem opa-

nowany szałem obłąkańca, czarną tę sukienkę rwę, szarpię... i padam bezsilny, padam piersią na ziemię, całując to imię wypisane kwiatami stokroci.

Ah! gdyby nie ta sukienka!... Dłonie namaszczone olejem świętym, takiéj świętości nawet jak ona, tknąć nie mogą!...

Są ludzie, którzy płakać umieją, nawet ją kochają w sekrecie, ale odwagi na włos lichy w nich niema, żeby ją unieść w ramionach dawnych rycerzy!..

Dziwne te słowa księdza Atanazego były wrzącym olejem do pochodni płonącéj dodanym. Postanowienie porwania jéj choćby przemocą, sformułowało się w myśl jasną, w słodkie, upragnione jarzmo obowiązku...

— Ojcze!—rzekłem powstając — nie przyjechałem tu tylko po to, żeby odwiedzić ciebie i ją! Spójrz na konie moje okryte białą pianą jazdy szalonéj. Błogosław drogę tę—tam, która ginie w mroku zapadającego wieczora...,

Ksiądz w twarz mi spojrzał: uśmiech niewysłowionéj radości poruszył mu usta, i w czoło mnie ucałował z mocą ogromną, kreśląc na niém mały znak zbawienia.

Ostatni blask zorzy wieczornéj zagasł na niebie, dziedziniec plebanii jęknął od kopyt unoszących mnie koni.

Przez oświecone bladem światłem lampki okna probostwa, widziałem księdza Atanazego, klęczącego u stóp czarnego krzyża.

— Słuchaj Piotruś! — wołałem gorączkowo— masz dziesięć dukatów w złocie, ale w nocy... o godzinie drugiéj, wyprowadź konie moje z hrabiowskiéj stajni, tak, żeby nikt ze sług nie widział i za ogrodem, za kląbem bzów nad jeziorem rosnących... czekaj na mnie.

— Czy na samego panicza?

— Zobaczysz!...

(d. n.) *Kazimierz Gliński.*

NAJNOWSZE BADANIA PODAŃ I ICH ZBIORY.

(Wilh. *Hertz* Die Sage vom Parzival und dem Gral, Wrocław, 1882, str. 41 w 8-ce w. Herm. *Varnhagen* Ein indisches Märchen auf seiner Wanderung durch die asiatischen und europäischen Literaturen, Berlin, 1882, str. 122. *Baring-Gould* Curious myths of the Middle-age, Londyn, 1869, str. 93—112. *Rohde* w Rheinisches Museum XXXV od 157; XXXVII od 465. J. *Koch* Die Siebenschläferlegende, ihr Ursprung und ihre Verbreitung, Lipsk, 1883, str. 216. Edw. *Grisebach* Die treulose Wittwe, eine orientalische Novelle und ihre Wanderung durch die Weltliteratur, wyd. 4-te, Lipsk, 1883, str. 127. Zbiory rzeczy ludowych litewskich i łużyckich.

Zastanawianie się nad podaniami ludu i legendami, nad ich rolą w mitologii, piśmiennictwie i wogóle w cywilizacyi, w ostatnich latach trzydziestu, w Niemczech, Francyi, Anglii i Włoszech przybrało ogromne rozmiary. Czarodziejskie bajania starożytności i wieków średnich, zdyskredytowane przez myślicieli i literatów wieku XVIII, i początku XIX, zbudzono do nowego życia i powtórnego rozkwitu; naprzód poeci romantyczni, a obecnie liczny zastęp uczonych specyalistów otrząsają z pyłu dawne baśni i wierzenia, szukają ich początków, przekształceń, dziejowego znaczenia i międzynarodowej wędrówki. Ogłoszono drukiem tysiące tomów, zapełnionych zbiorami podań ludowych, legend świętych, poezyi wieszczów średniowiecznych i studyów nad niemi. Puszczono w obieg nowe wyrazy, nowe nazwy istot, pojęć i rzeczy dawno zapomnianych; wskrzeszono niby zaklęty zamek i uśpione w nim rycerstwo, drzemiące dziewice, senne gołąbki na dachu i zamilkłe świerszcze na murawie.

Któż do niedawnego czasu wiedział np. o świętym Gralu? A jednak w pojęciach średniowiecznych jakże znaczną rolę odgrywał ten skarb tajemniczy, to summum bonum marzeń i pragnień bajarzy; lecz już w XV w. poczęto mu nadawać złowrogie jakieś znaczenie,

utożsamiając z mocami szatańskiemi; później gralem zaczęto nazywać górę, czy pieczarę, w której gromada szaleńców i potępieńców zbiera się na orgje; wreszcie zapomniano zgoła o przenajświętszym talizmanie, tak iż pewien uczony niemiecki w połowie XVIII w. pisze w swym słowniku, objaśniając wyraz *gral*: „staroświecka zabawa, odbywana niegdyś z tańcami i krzykiem.“ Przyszła jednak chwila, że odkopano skarb zaklęty i zapomniany. Pod czarodziejską różdżką romantyzmu i nowszéj nauki zajaśniał gral dawnym blaskiem i dzisiaj tomy o nim piszą, ogłaszają poemata, w których dawniéj był opiewany i starają się wytłómaczyć jego znaczenie.

Niemcy, Francuzi, Włosi, Anglicy wydobyli z zapomnienia mnóstwo pieśni, legend, poematów; wydania ich mnożą się, każdy uczony śpieszy porównać i oczyścić tekst, wyjaśniać ciemniejsze wyrazy i zwroty, odszukać wątki i źródła, dośledzić autora, oznaczyć wartość i wpływ owoczesny jego utworu. Sto lat temu, Fryderyk pruski, przezwany wielkim, gdy mu Müller ofiarował egzemplarz Nibelungów, tak mu odpisał (1784): „Mojem zdaniem takie poezye nie warte są szczypty prochu i nie zasługują, aby je z pyłu niepamięci wydobywać. W zbiorze moich książek nie mogę cierpieć takiego nędznego płodu i wyrzucam go; niech czeka swego losu w tutejszéj wielkiéj bibliotece.“ A jednak „nędzny ten płód“ doczekał się swego losu. Obecnie posiadamy go w setnych wydaniach i tłómaczeniach; najlepsi uczeni opracowują go, objaśniają; poeci czerpią zeń natchnienie; szkoły niemieckie uczą się na nim dawnéj mowy przodków i nowéj krytyki filologicznéj. Habent sua fata libelli!

Zamierzam w niniejszéj rozprawce zapoznać czytelników naszych z najnowszemi pracami na polu podanioznawstwa. Nie uprzedzając w niczém sądu jego i nie zapuszczając się w porównania i wyjaśnienia mitologiczne, ograniczę się zwróceniem uwagi na następne trzy nici przewodnie, których niech raczy w ciągu czytania pojedynczych referatów nie spuszczać z oka.

Nasamprzod: godném jest uwagi ciągłe przekształcanie się wątku podaniowego. Odkryty badaniem najdawniejszy kształt jego nosi charakter pierwotny, naturą swą bardzo bliski owych prastarych uosobień sił natury, które według nowszych zasad mitologii, dały początek wszelkim wierzeniom w mocy i istoty nadprzyrodzone. Powoli wątek ten przybiera coraz to kunsztowniejszą postać, a myśl pracuje nad zabarwieniem jego jakąś moralną sygnaturą; początkowa, prawie obojętna etycznie fabuła, staje się stopniowo apologiem, a przy współdziałaniu mniejszego lub większego talentu obrabiaczy, oprócz podkładu moralnego, nabywa jeszcze artystycznéj ogłady

i nieraz, pod ręką mistrza, przedzierzga się w arcydzieło literackie (np. Hamlet, Faust).

Powtóre: na téj metamorfozie odbijają się stopniowo wpływy jéj otoczenia; każda epoka, każdy lud, każda osobistość (o ile ją znamy) wyciska na fabule swoje odrębne piętno (np. Parzival francuzki, Parzival Wolframa i Parzival Wagnerowski).

Po trzecie: podanie, przechodząc od narodu do narodu i z jednéj epoki do drugiéj, służy za dowód i żywe świadectwo téj, że tak ją nazwę, infiltracyi cywilizacyjnéj, tego cementu, który cegły przeróżnych plemion i czasów spaja w jeden gmach cywilizacyi wszechludzkiéj. Przypatrując się z téj strony wędrówce podań, wyświadczamy nauce dziejów istotną usługę, okazując, zkąd każdy naród brał osnowę myśli i uczuć swoich; bo jakkolwiek błahemi wydawać się mogą niezdarne i nudne czasem baśni starodawne, nie zapominajmy, że w swoim czasie odgrywały one tę rolę, jaką dziś w życiu naszém duchowém grają dzieła największych mistrzów poezyi: kształciły wolę i charakter, pobudzały do pewnego kierunku w czynach, rozwijały lub przytłumiały pewne zdolności umysłu. Otóż poznając tajemne ścieżki legend, wyświetlamy szlaki pochodu i zapożyczania cywilizacyi, bo tą drogą, którą przywędrowało podanie, przybywały bezwątpienia i inne żywioły cywilizacyi i kultury: kunszta, prawa, nauki i wynalazki. Oto np. dzieje sztuki przekonywająco dowiodły, że styl gotycki, który do niedawnego czasu Niemcy za własny wytwór uważały, szczycąc się nim jako kwintescencyą twórczości swego narodu, że styl ten nie jest pochodzenia niemieckiego, lecz romańskiego i że najdawniejsze katedry gotyckie budowano we Włoszech północnych i we Francyi południowéj, a ztamtąd dopiero gotyk przeniósł się w dziedziny teutońskie. Ujrzymy téż w dalszym ciągu téj rozprawki, że większa część średniowiecznych poematów niemieckich, np. Parzival, Tannhäuser itd. również romańskiego jest pochodzenia.

Wreszcie i tę jeszcze wyciągniemy maksymę, że największe znaczenie artystyczne i cywilizacyjne osiągają prawie te tylko utwory poetów, które się snują z podań i legend. Wspomnijmy dramata i poemata Shakespeara, Göthego, Schillera, Mickiewicza i wielu wielu innych, nie mówiąc już o nieśmiertelnych rapsodjach homerycznych i o cyklu dramatów i bajań indyjskich. Musi coś być w naturze baśni, co ją usposabia do tak świetnego rozkwitu; wątki nie „wysysają się z palca“: są one ukochanem dziedzictwem narodów, a ci poeci, którzy stare fabuły umieli prześwietlić nowym duchem, najwyższe miejsca na naszych parnasach zajmują.

I. Parzival.

Zdaje mi się że imię Parzivala jest prawie nieznane u nas. Lecz w Niemczech, ostatniemi szczególnie czasy, z dwóch względów często je powtarzają: naprzód jako tytuł poematu rycerza bawarskiego, Wolframa z Eschenbachu; powtóre jako nazwę opery Wagnera, która w roku 1882, w Bayreucie, zachwycała jednych, a wstręt i uśmiech politowania budziła w innych. Poemat Wolframa należy do najcenniejszych zabytków literatury średniowiecznéj niemieckiéj; komentowany, rozbierany, tłómaczony i wydawany był nader często i pilnie; opera zaś, z tekstem samego Wagnera, sprawiła tyle hałasu i podzieliła krytyków na tak wzajemnie przeciw sobie rozjątrzone obozy, a publiczność na tak roznamiętnione dwa stronnictwa chwalców i potępiających, że dzieje sceny muzycznéj, śmiało rzec można, nie pamiętają równego rozgorączkowania i co zatém idzie, podobnéj przesady w uwielbieniu i naganach.

Wolfram zaczerpnął wątek swéj opowieści rymowanéj z rycerskiego poematu francuzkiego, jak i wogóle pieśniarstwo minezyngierów germańskich posiłkowało się rycerskiemi pieniami południa Francyi; do Parzivala wplótł on i podania (również romańskie) o świętym Gralu; tą drogą, na samym początku XIII wieku, ukazał się z pod dyktowania jego (bo pisać podobno nie umiał) obszerny utwór, napisany, jak i równoczesna pieśń o Nibelungach, w mowie średnio-górno-niemieckiéj.

Oto w skróceniu treść tego poematu.

Dom królewski andegaweński, według podań o królu Arturze, pochodził w prostéj lini od niewieściéj istoty nadprzyrodzonéj, którą miłość ze śmiertelnikiem połączyła. Jednym z potomków tego rodu był błędny rycerz Gahmuret; na wędrówce swéj w krajach pogańskich pokochał on królewnę maurytańską Belakanę i miał z nią syna Feirefiza, ale wkrótce porzucił, tęskniąc do życia awanturniczego; wróciwszy do krajów chrześciańskich, wywalczył na turnieju Herzeloidę (po franc. Herselot), królewnę norgalską (Nord-Wales) i odziedziczył po niéj królestwo andegaweńskie; lecz gdy posłyszał o wojnie na wschodzie, znów tam pociągnął i zginął. Młoda wdowa, zrozpaczona śmiercią męża, chcąc syna swojego Parzivala uchronić od burzliwego żywota rycerskiego, postanowiła go wychować w zupełnéj niewiadomości spraw orężnych: zamknęła go tedy w odludnym domku w lesie i zabroniła sługom mówić o rycerstwie i wojnie. Ale na nieszczęście pewnego dnia Parzival wyszedł na polowanie i spotkał czteréch rycerzy w świetnych zbrojach. Myśląc że to

bogowie, padł przed nimi na kolana i błagał o miłosierdzie. Ci mu oświadczyli że są rycerzami. A cóż to są rycerze, kto tworzy rycerzy? pytał ciekawie młodzian. Odpowiedziano mu że król Artur. Parzival dotykał rękami ich zbroi, chcąc zrozumiéć do czego służy; rycerze, śmiejąc się z prostactwa młodzieńca, odjechali. On zaś pobiegł do matki i domagał się, aby go król Artur rycerzem zrobił. Biedna Herzeloida zemdlała z przerażenia i smutku; gdy przyszła do siebie, namyśliła się i postanowiła wyprawić syna w świat, ale ubranego jak prostak i błazen, aby go wszędzie wyśmiano i poturbowano, tak iż by stracił ochotę do ojcowskich awantur. Sporządziła więc mu dziwaczną opończę, z grubego płótna, ze śmiesznym kapturem, parę butów z nieoskrobanéj skóry cielęcéj i tak ubranemu dała na drogę rady następne: unikać ciemnych brodów, wszystkim się kłaniać, słuchać starych, a gdy napotka czystą dziewicę, starać się pierścień i uśmiech jéj zdobyć, objąć ją i pocałować.

O ranném świtaniu puścił się Parzival na lichym koniku w drogę; biedna matka długo za nim goniła; padła zrozpaczona i ducha wyzionęła.

Przybywa jeździec nad strumyk, ale pomny rozkazu matki, w bród się nie puszcza, lecz cały dzień jedzie brzegiem; nazajutrz dopiéro przebywa wodę i na drugim brzegu znajduje uśpioną pod aksamitnym namiotem piękność; była to księżna Jeszuta. Parzival, ujrzawszy pierścień na jéj rączce, rzuca się na nią, całuje i obejmuje, idąc zawsze za wskazówkami matki, potém zabiera jéj klejnoty, je, pije za stołem i odjeżdża. W tém pojawia się zazdrośny mąż pięknéj pani, Orilus von Lalander (Orgeillous de la lande), poznaje po śladach obecność jakiegoś jeźdzca i podejrzewając żonę o wiarołomstwo, ubiera ją w strój haniebny i prowadzi za sobą.

Parzival jedzie daléj i spostrzega na łące dziewicę podtrzymującą na łonie zabitego rycerza i płaczącą w niebogłosy; była to jego siostra cioteczna, któréj narzeczonego Orilus tylko co zabił w pojedynku. Krewni się poznają, a Siguna (tak się zwała panna) oznajmia braciszkowi, że się nazywa Parzivalem, bo i tego dotąd nie wiedział. Pragnie on pomścić skrzywdzoną i jedzie szukać mordercę jéj kochanka, witając po drodze wszystkich, jak matka kazała.

Trafia do Nantes, gdzie się znajduje dwór króla Artura i prosi o pasowanie na rycerza; wszyscy się dziwią jego piękności i naiwności, a śliczna Cunnewara, która nigdy się nie śmiała, dopiéro zobaczywszy Parzivala, śmiechem parsknęła. Udaje mu się zabić pewnego rycerza i zbroję jego zdobyć; nie wkłada jéj jednak inaczéj jak na swój płócienny kitel, bo matka chciała, aby go nigdy nie zrzucał.

Dosiada konia zabitego rycerza i jedzie dalej w świat, trafia do zamku księcia Gurnemanza, który go uprzejmie przyjmuje i naucza zasad rycerskich. Ztamtąd dojeżdża do grodu Pelrapeire (Bel repaire), otoczonego w tej chwili przez nieprzyjaciół, a będącego własnością siostrzenicy Gurnemanza, cudownie pięknej królewny Condwiramury, oblega jej zamek pewien stary król, chcąc ją zmusić aby go poślubiła. Parzival dostaje się aż do królewny, która go jak wybawiciela przyjmuje i siada przed nią, ale milczy uparcie, bo mu stary król zakazał niedorzecznie mówić, królewna opowiada mu swe nieszczęścia, a młodzieniec, po wypoczęciu z długiej podróży, przywdziewa zbroje i udaje się na plac boju, zabija napastnika królewny, zwycięża króla, który go chciał pomścić i poślubia piękną Condwiramurę.

Ale i teraz nie uspokoił się jeszcze awanturniczy duch błędnego rycerza. Zapragnął on widzieć matkę, o której śmierci nie wie; puszcza się więc sam jeden w drogę i po długiej wędrówce spotyka nad pewnem jeziorem jakiegoś bladego, smutnego, przepysznie ubranego pana; prosi go o wskazanie gospody; ten mu odpowiada, że na trzydzieści mil niema w okolicy przytułku, ale zaprasza go do siebie i drogę wskazuje. Przybywa Parzival według tej wskazówki do cudnego, zaczarowanego pałacu; przyjmują go tam z największemi honorami i wprowadzają do pysznej sali, oświetlonej stu świecznikami i mnóstwem świateł na ścianach; na marmurowych kominkach pali się drzewo aloesowe; sto łóżek stoi naokoło, każde o czterech siedzeniach. Przed jednem z ognisk siedzi blady, schorowany, w kosztowne futra owinięty władca tego zamku; prosi on Parzivala aby zasiadł przy nim. W tem wpada giermek z zakrwawioną dzidą; wszyscy jęczeć i płakać zaczynają; giermek obnosi ją po całej sali, a narzekania wtedy ustają, gdy się oddalił. Teraz znowu otwierają się drzwi żelazne; dwie jasnowłose dziewice, z wieńcami na głowie, w purpurowych szatach, wnoszą płonące świeczniki; potem inne przynoszą stoliki, kryształy, kadzidła; nakoniec przecudna królowa Repanse-de-schoye (niby pensée de joie), o promienistem obliczu, wnosi na jedwabnej zielonej poduszce „rajskie pragnienie, szczyt wszelkiego pożądania ziemskiego, święty Gral"; jest to skarb nad skarbami, talizman nad talizmanami, rzecz niewypowiedziana, tajemnicza; „jest to owoc szczęścia, pełnia słodyczy ziemskiej, coś prawie równego krolestwu niebieskiemu." Dworzanie wnoszą stoliki i stawią je przed siedzeniami; rozpoczyna się uczta, a jadła i napoje ukazują się same na stolikach, bo dość tylko zapragnąć, a z grala wychodzi i kładnie się na talerzu to co każdy pomyśli.

Parzival patrzy zdumiony na te czary, ale pomny nauk matki i starego Gurnemanza, milczy jak zaklęty. Przynoszą wspaniały miecz z rubinem na rękojeści; gospodarz ofiaruje go młodemu gościowi, mówiąc że to broń jego własna, któréj teraz, cierpieniem złamany, unieść nawet nie zdoła.

Tu trzeba było żeby Parzival spytał, dla czego? Tak stało w księdze przeznaczeń. Ale ograniczony nasz bohater milczał uparcie. Wyniesiono znowu wszystko, a gościa odprowadzono na nocleg do pysznéj komnaty.

Nazajutrz, gdy się obudził, w zamku panowała cisza grobowa; nie było ani żywego ducha. Parzival ubrał się, wsiadł na swojego konika, który stał na dziedzińcu i odjechał; gdy już ze zwodzonego mostu dostawał się na ziemię, most ten usunął się tak gwałtownie, że koń tylko co nie padł, a głos jakiegoś niewidzialnego giermka zawołał: — Czemużeś, głupcze, nie pytał o nic pana? straciłeś wielki, wielki zaszczyt!

Młodzieniec jechał i jechał zasmucony; wreszcie ujrzał niewiastę z nieżywym mężem w objęciu; była to wierna Syguna. Dowiedział się od niéj, że ten zamek zaczarowany, to Munsalväsche (mont sauvage), dzika góra; kto go szuka świadomie, ten go nie znajdzie; chory pan nazywa się Anfortas.—Byłbyś najszczęśliwszym z ludzi— mówiła—gdybyś go spytał, dla czego cierpi i jakim sposobem go ucałować możesz. A żeś tego niebaczny nie uczynił, biada ci i biada twojemu zbawieniu! — Parzival jedzie daléj i napotyka biedną Jeszutę, któréj niegdyś pierścionek i cześć odebrał; mąż ją wozi za sobą w hańbiącéj odzieży, za karę; otóż bohater nasz zaprzysięga niewinność téj damy i zmusza jéj męża do pogodzenia się z małżonką. Tymczasem król Artur słysząc o walecznych czynach Parzivala, chciałby go na rycerza pasować i zaprosić do „okrągłego stołu;“ ale temu nagle stanęła w pamięci ukochana Condwiramura i zatęsknił do niéj niezmiernie; w przystępie platonicznego tego zachwytu napada i bije różnych rycerzy Arturowych, bez żadnéj zresztą potrzeby; nareszcie ktoś go do przytomności przywołuje i zaprasza do króla: tam Parzivalowi godność rycerską ostatecznie przyznano.

Wtém przyjeżdża na dwór króla Artura sławna z mądrości wieszczka Cundrie, jako posłanniczka od rycerzy świętego grala; ogłasza że Parzival znalazł się haniebnie w Munsalväsche, nie zapytał króla czemu cierpi i przez to dobrowolnie go nie wybawił; rzuca klątwę na naszego bohatera i oświadcza, że wstyd Arturowi i jego rycerzom przyjmować go do swego grona. Parzival jest w strasznem wzburzeniu: słuchałem dotychczas matki—powiada—słuchałem

Boga, ale mi to na złe wyszło; odtąd zrywam z niebiosami, w jedną tylko miłość wierzę. To rzekł i w świat odjechał, z mocném postanowieniem wyszukania grala i naprawienia dawnego błędu. Ożywiają go dwa uczucia: tęsknota do młodéj małżonki i silniejsze od niéj pragnienie znalezienia grala. Pięć lat błąka się zrozpaczony, omija kościoły i klasztory. Razu pewnego spotyka w lesie starego pokutnika, który z gołą głową i boso po śniegu podąża. — Jak śmiesz — powiada do Parzivala — w pełnéj zbroi jechać? wszak to dziś wielki piątek! Upokorz się, opamiętaj; jedź daléj, a napotkasz w tym lesie pustelnika; ten ci da rozgrzeszenie. Ta przemowa czyni wrażenie na błędnym rycerzu; myśli sobie, jeżeli mam kiedy doznać łaski bożéj, jeżeli łaska ta nie powinna ominąć prawego jak ja rycerza, to chyba dzisiaj jéj doznam. Jedzie tedy daléj i natrafia na pustelnika; był nim brat Anfortasa, nieszczęsnego stróża świętego grala. Parzival pokutuje i dowiaduje się dziwnych rzeczy o gralu. Ma to być cudowny klejnot, który spełnia wszelkie życzenia; jego to mocą odradza się feniks z popiołów; widok jego udziela wiecznéj młodości; kto raz nań spojrzał, w tym tygodniu nie umrze. W każdy wielki piątek spuszcza się z nieba biały, świetlany gołąbek i składa na nim hostyą, ztąd moc jego cudowna. Gral jest tak ciężki, że cała grzeszna ludzkość zruszyć go nie zdoła, ale jedna czysta dziewica unosi go z łatwością; poganinowi jest on niewidzialnym. Ukazują się na nim czasami wyrazy pisane: to nakazy woli boskiéj; po przeczytaniu znikają. Na Munsalväsche służą mu dziewice i rycerze, których, gdy są dziećmi jeszcze, owe napisy wskazują; służąc gralowi, muszą się oni odznaczać pokorą i czystością. Drogę do Munsalväsche znajdzie tylko powołany. Gdy gdzieś na ziemi kraj jaki zostanie bez władcy, rycerze wysyłają jednego z pośród swoich do zajęcia opróżnionego tronu; oni téż dziewice rozdają książętom za żony. Rycerze ci stanowią bractwo i nazywają się templaryuszami (Templeisen); nie służą miłości, lecz tylko spełniają pokuty. Strzegą dróg do zamku gralowego i śmiercią karzą niepowołanych przybyszów. Pierwszemi stróżami grala byli ci z aniołów, którzy w buncie Lucypera przeciw Bogu spokojnie się zachowywali. Z ich rąk gral dostał się chrześcijanom. Pierwszym królem, piastującym chorągiew grala, był Titurel; przybrał on sobie za godło synogarlicę (tourterelle), a za nim i inni templaryusze. Anfortas jest wnukiem Titurela; za karę że w sprawach miłośnych nie szedł za rozkazami grala, otrzymał ranę od zatrutéj dzidy pogańskiéj, którą Parzival widział w zaczarowanym pałacu; Anfortas miał cierpieć straszne boleści, aż pókiby ktoś bez zamiaru nie zabłąkał się do zamku i z własnego natchnienia nie zapytał o przy-

czynę choroby. Temu przybyszowi przeznaczone było panowanie w Munsalväsche po Anfortasie. Po wysłuchaniu téj opowieści, Parzival wyznaje, że to on był dopuszczony do oglądania grala i nierozwagą swoją nie przyczynił się do uratowania króla; wyznaje téż i inne swe grzechy; Treorizent (tak się nazywa pustelnik) daje mu rozgrzeszenie i naucza jak ma daléj postępować. Ale i tu jeszcze nie kończą się awantury bohatera: walczy on z różnemi zapaśnikami, spotyka Feirefiza i z nim razem udaje się na dwór króla Artura. Znowu przybywa tam Cundrie, posłanniczka grala i błaga Parzivala, aby się udał do Munsalväsche, bo na gralu ukazał się napis, zapowiadający że on zostanie następcą biednego Anfortasa. Po przybyciu do niego, pierwszém zapytaniem Parzivala jest: na co cierpisz, królu? i to uzdrawia chorego. Posyłają po Condwiramurę, ta przybywa z synkami bliźniętami: Lohengrinem i Kardeizem; starszego z nich Parzival zabiera do Munsalväsche, a młodszego żeni z księżniczką Repanse-de-schoye i naznacza dziedzicem państwa swojego; ich potomkiem był głośny w legendach „pop Jan;“ Lohengrin zaś sławny „chevalier du cygne,“ rycerz z łabędziem, niepoślednią téż rolę odgrywa w wymarzonym świecie bajań średniowiecznych.

Taka jest w skróceniu treść ogromnego z 25,000 wierszy składającego się utworu Wolframa. Opuściłem liczne epizody i zboczenia, nie mające istotnego związku z podaniem o Parzivalu.

Na pierwszy rzut oka widać, że poemat ten składa się z dwóch kunsztownie spojonych części: podania o błędnym rycerzu Parzivalu i legendy o świętym gralu. Ale połączenia tych dwóch cyklów nie Wolfram dokonał, lecz trubadurowie francuzcy. Cały bowiem utwór Wolframa, jakeśmy to już nadmienili, jest przerobieniem pierwowzorów romańskich, i to nie zawsze wierném, bo sam Wolfram żartuje z siebie, że po francuzku nie dość dobrze umie i tak np. mówiąc o naczyniu, w którém gral spoczywa, nie rozumie starofrancuskiéj nazwy misy czy talerza (talleor), odnosi ją do tailler (krajać) i robi z *talerza* dwa srebrne *noże*. Sam téż wyznaje, że czerpał wątek opowieści z dwóch poetów francuskich: Krystyna z Troies (XII w.) i Kiota (właściwie Guiot). Poemat pierwszego istnieje, posiadamy go w licznych rękopisach i wydaniach; utwór drugiego dotychczas nie został odnalezionym i z tego powodu niektórzy badacze mniemają, że różnice, istniejące pomiędzy powieścią Wolframa a Krystyna, są własnym pomysłem Niemca, który wymyślił jakiegoś Kiota, aby tém zręczniéj własne dodatki do podania wcielić.

Francuski poemat o Gralu, z dodatkami i uzupełnieniem niedokończonych pieśni Krystyna, stanowi oddzielną, ogromną, dwa

razy większą od niemieckiego Parzivala całość (50,000 wierszy). Literatura o nim i wogóle o gralu rozrosła się ostatniemi czasy do sporych rozmiarów. Obecnie nie będę się rozwodził nad tą gromadą podań, mając zamiar późniéj oddzielnie ją rozpatrzyć (1). Wystarczy tymczasem krótka wzmianka: że nazwa *Gral* oznacza w narzeczach romańskich misę i dziś jeszcze w formie *grial* we Francyi południowéj istnieje; od czego pochodzi, nie wyjaśniono należycie; jedni mówią że od *gratialis*, inni od *gradalis*, Diez sądzi że od *cratalis* (to zaś od *crater* kielich, w średniowiecznéj łacinie *cratus*). Jakkolwiekbądź misa owa cudowna miała być tą samą. z któréj Chrystus z uczniami spożywał ostatnią wieczerzę i do któréj krew z boku jego spłynęła. Dostała się ona Piłatowi, ten ją darował Józefowi z Arymatei, który uciekł z garstką wiernych na pustynię i tam pierwszą gminę chrześcijańską założył i na pamiątkę męki Chrystusa używał téj misy przy modlitwach, pokrywając ją prześcieradłem, którém otarto ciało Jezusa, po zdjęciu z krzyża (korporał) a z wierzchu pateną, mającą wyobrażać płytę grobową. Jaką drogą gral dostać się miał do znanego nam zamku, a opieka nad nim rycerzom-templaryuszom, o tém legendy milczą. To tylko wydaje się do prawdy podobnem, że ojczyzną podań o gralu była Anglia, chlubiąca się mniemaném swém pierwszeństwem w nawróceniu się na chrześcijaństwo. Zresztą Wolfram zgoła nie wie już o pochodzeniu grala; nie wie nawet czém on jest właściwie: w oczach jego to po prostu cudowny kamień-talizman, „droższy nad zbawienie.“

Pomijamy dalsze zacieki nad legendą o gralu u minezyngiera bawarskiego i wracamy do Parzivala. Co to za imię? oczywiście francuskie; *Perceval* znaczy dosłownie przeskoczy dolinę, niby przeskoczydół; utworzone jest tak samo, jak imię młodego lisa we francuskiém podaniu, odpowiadającem „Reinecke-Fuchs'owi“ niemieckiemu: *Percehaie* (przeskoczypłot), albo jak nazwa bohatera innego romansu francuskiego z XIV w., *Perceforest* (przeskoczylas) i t. p. zresztą w Anglii dziś jeszcze istnieją nazwiska rodowe *Perceval* i *Percival*.

Jakaż jest najprostsza, pierwotna postać samego podania? I tu odpowiedź nie trudna dla każdego, komu choć trochę są znane

(1) Ciekawy czytelnik znaleźć może streszczenie odnośnych studyów w książkach Birch-Hirschfelda: Die Sage vom Gral, ihre Entwickelung und dichterische Ausbildung in Frankreich und Deutschland im XII und XIII Jahrhundert. Lipsk, 1877, str. 291, w 8-ce, — oraz Martina: Zur Gralsage, Untersuchungen. Sztrasburg, 1880, str. 48, w 8-ce.

baśni ludowe nasze lub obce: naiwny (to samo prawie co niewinny, w duchu bajek), prawie głupowaty wyrostek, zawsze opacznie pojmujący to co mu zalecają, śmiesznie ubrany, jak ów piecuch lub kopciuszek w naszych bajkach, co to sypia na piecu, za piecem, albo i w samym piecu, pomimo swą głupotę, ową „Tumpheit“ (Dummheit) Wolframa, dokonywa wielkich czynów i wyzwala zaklęte królewny, zaklętych rycerzy, znajduje skarb i t. d.; postać to dobrze znana i w świecie bajań. Przypomnijmy niezliczone baśni nasze o trzech braciach, z których najmłodszy jest „głuptawy:“ „głupkowaty,“ albo po prostu „dureń,“ lecz pomimo to szczęśliwszym jest na końcu od swych mądrych braci. Przypomnijmy ową krotochwilną formę opowiadań ludowych o głupim synu, który zawsze na opak wypełnia rozkazy i polecenia matki: naprzód otrzymaną od panny igłę chowa do siana i nie może znaleźć, a gdy mu matka powiada, że trzeba było igłę wetknąć do czapki, więc potém dostawszy pieska, niesie go w czapce, potém ciągnie mięso na sznurku i woła: psi, psi! a nareszcie dziewczynę przyprowadza do domu na powrozie i uwiązuje w stajence (1). Otóż Parzival jest właśnie tym głupcem. Kto zna pierwowzór Hamleta Shakespearowskiego, ten wie, że i Amleth pierwiastkowy, jak go maluje Sakson Grammatyk, nie jest niczém innem, jak owym odwiecznym głupcem bajań ludowych. Orest i Odysseusz podań greckich, Brutus rzymski, to wszystko waryanty tego samego wątku. Istniał niezawodnie w starożytności cały cykl podań o tryumfującym głupcu. Jednakże pierwotne pojęcie głupoty nie takie było, jak nasze dzisiejsze. Głupotę łączono w myśli z idyotyzmem, idyotyzm z opętaniem, nawiedzeniem i natchnieniem; tą drogą idyota budził nie tylko współczucie, lecz pewien zabobonny nawet podziw i szacunek, jako istota „od bóstwa nawiedzona.“ Pogląd ten i dzisiaj nawet u ludu prostego, naszego np. lub wielkoruskiego, trwa w całéj sile. W Bajarzu Glińskiego (2) czytamy następne wyrazy, jeżeli może nie dosłownie z ust ludu powtórzone, to z pewnością trafnie malujące pojęcia jego: „Bo czyż jego to wina, że się głupcem urodził? Zresztą, kto wiedzieć może, jakie zrządzenie boże: czasem rozumu władza być szczęśliwym zawadza, czasem zaś głupstwo istne bywa dobre, korzystne, zwłaszcza kiedy cnotliwe.“ To „głupstwo cnotliwe“ jakże dokład-

---

(1) Porównać: Kolberg, Lud, Kujaw. I, 161, 162; Krak. IV, 197; Zbiór Wiad. do Antrop. kraj. V, 237 i wiele innych. Niema zbioru podań ludowych, w którymby choć jednéj bajki tego rodzaju nie było. Np. w Leskiena i Brugmana pieśniach i podaniach litewskich (Sztrasburg 1882) N. 7 (32), oraz przypis na str. 573 do N. 32.

(2) Tom III, str. 73. wyd. 1862.

nie charakteryzuje Parzivala! „Głupia, bo już jéj tak pan Bóg dał,“ powiada bajarz pod Czerskiem (1). „Głupiemu szczęści pan Jezus,“ mówi chłop pod Miechowem (2). „Z durnym Boh,“ powiada lud nad górnym Niemnem (3). Pryżov, w ciekawéj swéj rozprawie o „Klikuszach,“ wspomina o dwóch świątobliwych idyotach w Ustiugu, w XVII wieku (4).

Głupcowi danem bywa dokonanie jakiegoś wielkiego dzieła: znalezienia skarbu, wyzwolenia istot zaklętych, poślubienia zaczarowanéj księżniczki i t. p,; tak brzmiały powieści starodawne. A największym skarbem, w cyklu innych znowu bajań, był święty gral. Cóż więc naturalniejszego, że „cnotliwemu głupcowi,“ Parzivalowi, przeznaczono zdobycie największego skarbu i uwolnienie nieszczęsnego stróża jego z pod zaklęcia i przekleństwa. Tak się wyjaśnia połączenie podań o Parzivalu z legendami o gralu.

Lecz w formie opowieści Wolframa widzimy zabarwienie pierwotnego podania kolorytem czasu i pojęć poety. Żył on w świecie rycerstwa, a to się rozwinęło na gruncie najżywszéj, najnaiwniejszéj religijności. Otóż te dwa czynniki: rycerskość i religijność przejęły nawskróś pierwotne podanie i zmieniły go w romans rycersko-duchowny w stylu XIII wieku. Parzival jest błędnym rycerzem w całéj okazałości: pobożny, czuły dla dam, szlachetny, goniący za przygodami, chwilowo wątpiący, potém szczerze pokutujący. Skarb zaś, strzeżony przez bajeczne potwory, w bajaniach starożytnych, przemienia się w poemacie rycerskim na klejnot chrześcijański, a stróże jego na rycerzy zakonnych. Podkładem całego utworu Wolframa są pojęcia moralne i społeczne jego epoki; pierwotny koloryt baśni o głupcu i skarbie prawie zatarty i tylko drogą badania i porównania wykrywa się jéj ślad starożytny.

Pomijam inne przeróbki naszego wątku, które poprzedziły utwór poety niemieckiego, gdyż rozpatrywanie powolnego rozwoju najdawniejszéj postaci jego zbyt wieleby miejsca zajęło. Ma się rozumiéć że nie od razu przekształcenie to nastąpiło, lecz przebyć musiało całą gamę ewolucyj, niektóre tony téj gamy są nam znane, inne dotychczas pozostają w ukryciu. Zamierzyłem tylko trzy stopnie rozwinięcia wątku naszego wskazać, aby dowieść jak najprostsze, etycznie bezbarwne baśni pierwotne, z czasem stają sie osnowami coraz to bardziéj skomplikowanych utworów literackich i otrzymują

---

(1) Kozlowski, Lud czerski str. 365.

(2) Kolberg, Lud, Krak. IV, 200.

(3) Tygodnik illustr. 1870, w powieści Historya o kapit.-głupstwie.

(4) Věstnik Evropy 1868, V, 648.

coraz to nowy koloryt moralny, prześwietlając się, symbolizując i odbijając w sobie mniejszy lub większy talent osoby obrabiającéj, pojęcia moralne, naukowe, społeczne i religijne tak poety, jak jego otoczenia i czasu. Otóż pierwszym stopniem w rozbieraném podaniu jest wersya najdawniejsza, niekunsztowna i moralnie obojętna (powiedzmy nawet niemoralna, bo idealizująca głupotę); jako okaz drugiego stopnia widzimy utwór Wolframa: w jego poemacie fabuła służy już tylko za obsłonę pewnych pojęć etycznych, stanowiących sumę poglądów średniowiecznych; trzeci stopień przebywa baśń nasza w naszych oczach: znakomity Ryszard Wagner tekstem swoim i operą nadał jéj zupełnie nową postać, w którą usiłował wlać wszystkie marzenia i bóle, całą treść życia duchowego i ideałów naszego wieku. Że zaś przedstawienie Parzivala w Bayreucie r. 1882 było głośnym w Niemczech wypadkiem; a ponieważ podzieliło ono stanowczo cały niemiecki świat literacki i artystyczny na dwa wrogie obozy: fanatycznych zwolenników i zaciętych przeciwników muzyki przyszłości, powinniśmy bliżéj się przypatrzyć tekstowi nowéj opery. W innych warunkach nie zwróciłby on uwagi, bo się nie odznacza niczém niezwykłem. Ale nagromadzona od lat wielu elektryczność skupiła się z powodu Parzivala Wagnerowskiego i huknęła piorunami; prądy społeczne, naukowe, religijne i polityczne wydęły przedstawienie Bayreuckie do wysokości ewenementu; godzi się więc abyśmy przyjrzeli się uważnie téj burzy w szklance wody.

Osoby, występujące w operze Wagnera, zmieniły do pewnego stopnia role, a w części i nazwiska. Parzival nazywa się u niego *Parsifalem* (zobaczymy poniżéj dla czego); jest to „czysty głupiec" (der reine Thor), który późniéj cudem jakimś staje się „przez litość wiedzącym" (durch Mitleid wissend); Anfortas, czyli *Amfortas*, jak go zwie Wagner, cierpi straszne boleści, jak w poemacie Wolframa i czeka wybawiciela; ojciec jego (w podaniach dziad), Titurel żyje i wydaje synowi rozkazy: Gurnemanz jest tu już nie jakimś udzielnym księciem, lecz wiernym sługą Amfortasa i grala; Kundry (Cundrie poematu) przedzierzga się w demoniczną kusicielkę, która uwiodła Amfortasa, za co właśnie tak srodze cierpi; pobudza ją do złego zły duch Klingsor, pan sąsiedniego zamku, rycerz maurytański, wróg grala i jego stróżów; posiada on już dzidę świętą, którą przebito bok Chrystusowi, a pożąda zagarnąć i krew jego, w świętości grala przechowaną. Rzecz dzieje się w Hiszpanii, a gral znajduje się w *Montsalvat*, niby na górze zbawienia (dowolne przekształcenie Mont-salvage, góry dzikiéj).

Do poświęconego obrębu wpada „czysty głupiec" Parsifal, i zabija z łuku łabędzia, popełniając tym sposobem świętokradztwo, bo

ani wchodzić, ani polować w granicach świętego zamku nikomu nie wolno; Gurnemanz wypytuje się przybysza, kto jest i czego chce i z odpowiedzi jego domyśla się że to ów zapowiedziany wybawiciel Amfortasa; lecz uprzedzić go aby zapytał, czemu cierpi zwierzchnik, nie jest mu pozwolonem. Wprowadzają Parsifala do przybytku gralowego: milczy on i zdumiewa się tylko; oburzony tém Gurnemanz wypycha go za drzwi, śpiewając: zostaw łabędzie w spokoju, a szukaj sobie gęsi!

W drugim akcie Parsifal popada w moc szatańską pogańskiego Klingsora, który postanawia odjąć mu czystość w objęciach uroczéj Kundry; ale Parsifal opiera się pokusie, porywa dzidę świętą, przeklina czarodzieja i cały dwór jego: wszyscy giną, zamek zapada; ocalała jedna tylko Kundry. Podczas sceny uwodzenia dowiadujemy się co znaczy Parsifal—Kundry śpiewa: „Nazwałam cię, o głupowaty a czysty, *Fal parsi*, czystym głupcem, Parsifalem.“ Jest to wywód, błędny zresztą, z języka perskiego, nasunięty przez jednego z oryentalistów niemieckich; Wagner go przyjął, podłożył pod muzykę i utworzył tym sposobem jedyny może w dziejach lingwistyki okaz błędnego słoworodu, śpiewanego z towarzyszeniem orkiestry.

W trzecim akcie błądzący a smutny Parsifal trafia przypadkiem znowu w granice „góry zbawienia,“ ale już inny teraz, „świadomie litośny,“ owiany czarem proroczym i świątobliwym; tego dnia właśnie jest wielki piątek; Amfortas nie chce odkrywać świętości grala, bo mu życie zbrzydło. Gurnemanz przyprowadza Parsifala do sali zamkowéj: jednem dotknięciem świętéj dzidy goi się rana Amfortasa; Titurel umiera, Parsifal zostaje mistrzem.

Ze słów libretta i z niektórych szczegółów akcyi widać, że Wagner chciał zagrać głównie na strunie religijnéj. Nie dość wyraźne, przez adjutanta Wagnerowskiego, pana von Wolzogen nieco wyjaśnione wskazówki dowodzą, że Parsifal ma być zwrotem ku szczeréj pobożności średniowiecznéj. „W grzesznéj ranie Amfortasa cierpi sam Zbawiciel, ten duch miłości niebieskiéj, wydany w ręce opieki ludzkiéj, na świat grzechów i zmazy. Lecz równa mu siła boska świadoméj litości wybawia go z cierpień winy człowieczéj i przynosi zbawienie zbawicielowi (tak!)“ (1). Istotnie, ostatnie słowa tekstu

---

(1) Thematischer Leitfaden durch die Musik des Parsifal. Lipsk. 1882, str. 11.— Do jakiego stopnia „zacietrzewienia“ dochodzą fanatycy wagneryanizmu, o tém powziąć można wyobrażenie ze świeżo ogioszonéj książki jednego z fakirów mistrza bayreuckiego, Edmunda von Hagena: Beiträge zur Einsicht in das Wesen der Wagner'schen Kunst. Berlin, 1883. Słusznie o autorze mówi jeden z krytyków, że wziął sobie za zadanie ży-

Wagnerowskiego brzmią: „O cudo najwyższéj łaski, zbawienie zbawicielowi.“

Ile tu jest mistycyzmu, jakim sposobem dochodzi się do *świadoméj litości* (das wissende Mitleid), jak można zbawić tego, kto sam był zbawicielem, dla czego mianowicie głupcowi ta rola się dostaje, są to pytania, na które jasnéj odpowiedzi ani sam mistrz, ani satelici jego nie dają. Ale co najbardziéj zwraca uwagę, to zapożyczenie szczegółów ewangelicznych. I tak, podczas spotkania Parsifala z Kundrą, on jéj głowę oblewa wodą, niby chrzci, a ona myje mu nogi, wyciera swojemi włosami i namaszcza olejkiem z flakonika, jak Magdalena; Gurnemanz chrzci wodą Parsifala, a późniéj, gdy już mistrzem grala zostaje, spuszcza się nań z nieba biały gołąb.

Wogóle rzecz biorąc, utwór Wagnera jest nie tylko dziwny, ale dziwaczny, jak i język, którym jest napisany. Wszystko tam jakieś niedomówione i niedokończone, zupełnie jak motywy muzyczne Wagnera, które zaczynają się zwykle cudownie, ale nigdy się nie zaokrąglają i nie kończą.

Chwalcy powiadają, że Wagner Parsifalem swoim „dotknął krwawiącéj się rany ludzkości“ i jest nowym jéj „zbawicielem“ (tak, tak!). Przeciwnicy zaś twierdzą że to bardzo zręczny kuglarz, który podsłuchał tajemne pragnienia i instynktowne popędy masy i pochlebił jéj tendencyą swéj opery, odurzając akcesoryami przedstawienia. Najdaléj z ganiących posunął się znany dziejopis sztuk pięknych Lübke, w jednym z tygodników literackich niemieckich: nazywa on Wagnera po prostu oszustem, wyzyskiwaczem, obłudnikiem, starym grzesznikiem, udającym pokutę, mistrzem kakofonii, doktorem dyssonansu itd. itd. Mnie się zdaje, że wśród przesady nagan i pochwał nie dość zwrócono uwagi na jednę z najważniejszych sprężyn, któréj używa poeta-kompozytor niemiecki; na to mianowicie że chce on podziałać i podziałał rzeczywiście na instynkta mistyczno-religijne masy. Wiadomo że w Niemczech, pod wpływem krytyki teologicznéj i protestantyzmu wogóle, duch naiwnéj pobożności znacz-

---

cia pisać najgorsze książki o najlepszych operach Wagnera. Tak np. w owém *a* waltorniowem, które gra rolę motywa w operze Rienzi, pan Hagen pisze takie dziwolągi, takie podkłada pod tę jednę nutę głębokie pobudki i takie mu przypisuje filozoficzne i polityczne znaczenie, że doprawdy zakrawa to już na objaw patologiczny. Do tego rzędu objawów należy również świeżo wydana broszura Wolzogena: R. Wagner und die deutsche kultur, Lipsk, 1883.—Radzę czytelnikom, aby odświeżyli w pamięci piękne, pełne umiarkowanego i trzeźwego sądu o Wagnerze studyum Jana Kleczyńskiego w „Ateneum“ 1876. tom II i III; o owem *a* mówi K. na str. 525 tomu II.

nie przygasł, nie zgasł jednak zupełnie. Dusze wrażliwsze, marzycielskie, o rozkołysanéj wyobraźni i podrażnionych nerwach, kobiety przedewszystkiém, katolicy, spirytyści, mistycy—szukają czegoś, a czego sami nie wiedzą. Są to szczątkowe objawy religijności średniowiecznéj, owéj naiwnéj wiary w cuda i relikwie. Rozdmuchać je, rozbudzić usypiające zachcenia mistyczne, nie jest trudno, szczególnie gdy się podziała na wszystkie zmysły i na umysł razem. Takie przedstawienia Bayreuckie, odbywające się w tajemniczéj, mrocznéj sali, przy dźwiękach utajonéj orkiestry, przy czarach niesłychanie udoskonalonéj maszyneryi scenicznéj i dekoracyjnéj, wśród dźwięków poważnych, uroczych a namiętnych działają haszyszowym sposobem: odurzają, sprawują zawrot głowy, zmącenie zdrowego rozsądku, atawistyczną fascynacyą budzą starego, uśpionego człowieka średniowiecznego, przypominają ekstazy i zachwyty owych dawnych ludzi, do których można stosować słowa poety niemieckiego: „beten, beten und in Entzückung vergehen“—modlą się, modlą i wpadają w zachwycenie. Stary rewolucyonista i bezbożnik, stary rozpustnik (jak powiadają), starzejący się dyabeł w roli pokutnika, wyzyskuje tèn nieświadomy popęd mas a sobie buduje na téj średniowiecznéj podstawie pomnik za życia. Nie chcę jednak temi słowami potępiać muzyki Wagnera: ma ona swoje wysokie zalety, tak sądzę przynajmniéj z tych kilku oper, które znam, a które zawierają cudowne ustępy, nieporównane effekta orkiestrowe i momenta niezwykłego uroku i natchnienia. O Parsifalu słyszałem od znawców, że bez porównania bogatszym jest w piękniejsze ustępy od ostatnich oper, które pełne są nader nudnych i rażących dyssonansami kawałków, jak np. Walkirya. Główną właśnie naganą twórczości Wagnerowskiéj szczególnie ostatniego okresu, jest właśnie owo określenie, że *są w nich śliczne ustępy*... ale niéma całości, ciągłości, zaokrąglenia, tych zalet, któremi się odznaczają opery Mozarta, Cherubiniego, Moniuszki, Gounoda.

Widzimy z powyższych wskazówek, jaki zwrot nadano Parzivalowi w najnowszym utworze Wagnera i w najnowszych nań poglądach krytyki. Smutno że pierwotny głupiec podaniowy znalazł się w tak zwaném arcydziele muzyki i poezyi przyszłości „zbawicielem zbawiciela“... Pokazuje się że duch reakcyi wieje nie tylko na niebie polityczném. Zresztą przypomnijmy sobie, jakie to wsteczne wiatry dmuchały we Francyi po wysiłkach epoki napoleonowskiéj; może to nam wytłómaczy obecny stan Niemiec, które tylko co przebyły olbrzymie zapasy z Danią, Austryą, Francyą i Rzymem. Wahadło dziejowe pochyla się na prawo i na lewo; teraz skłoniło się ono w Niemczech ku reakcyi, a szukający bądź cobądź aplauzu Wagner

i swój ciężarek pośpieszył na niém zawiesić; ale właśnie tenże ciężarek przyczyni się może do tém dalszego odchylenia w lewo, gdy czas nadejdzie...

Kończąc tę zbyt może długą relacyą dziejów podania o Parzivalu, pochwalić muszę książeczkę, która dała mi powód do napisania uwag powyższych. Autor jéj jest cenionym w Niemczech poetą i obok tego niepospolicie uczonym badaczem podań. Dawno znana mi jego książka o Wiłkołaku (1) najlepszą jest monografią, tego potwora legendowego, a zbiór podań alzackich (2) nie jest prostą wiązanką rzeczy ludowych, lecz umiejętném i pracowitém zestawieniem porównawczem zabytków mitologicznych Alzacyi z innemi odpowiedniemi. Praca jego o Parzivalu doskonałą jest w swoim rodzaju i zwięzłą, wyczerpującą i bardzo krytycznie napisaną, co na tém większą pochwałę w poecie zasługuje. Nie mogę nie przytoczyć któtkiego z niéj ustępu, który wypowiada nader trafny pogląd na znaczenie podań w wiekach średnich (str. 15).

„Poeta epiczny, powiada Hertz, zajmował względem fabuły swojéj zupełnie inne niż dzisiaj stanowisko. Nie jakiejś ślicznéj gry wyobraźni, ale prawdy domagano się od niego. Nie umiano jeszcze odróżniać historyi od podania. Bo przecież od wieków, dla większości narodu, podania epiczne były jedyną skarbnicą wspomnień dziejowych. Jak dzieci i dzisiaj każde opowiadanie przyjmują ze szczerą wiarą, tak wówczas cały ogół przyjmował za rzecz niezawodną, iż wypadki, opiewane przez poetę, istotnie zachodziły; i jak dziatwę póty najpiękniejsza bajeczka zajmuje, dopóki ją ma za prawdziwą, tak też poecie średniowiecznemu nie można było gorszego zarzutu uczynić, jak powiedzieć, że podaje wymysły. Zarzut podobny tém bardziéj trwożył dusze, przywykłe do niezmąconéj wiary tak w rzeczach świeckich, jak i duchownych, że zdolność osądzenia niemożebności lub nieprawdopodobieństwa jakiegokolwiek twierdzenia na zasadzie przyczyn wewnętrznych zaledwie się rozwijać poczynała. Najniebezpieczniejszego tego oręża umieli szczególnie używać duchowni na poetów dworskich i pieśniarzy. Dla tego to wieszczowie, pod względem treści, starali się najgorliwiéj unikać cienia nawet oryginalności: wszyscy téż, tak pieśniarze ludowi, jak i poeci z urzędu, ze względu na konieczność zasłaniania się jakiemikolwiek powagami w obec ogółu, jak dziejopisowie na źródła, powoływali się na jakąś baśń, na jakąś „awanturę," lub na książkę jakąkolwiek. Ktokolwiek

---

(1) Der Werwolf, Beitrag zur Sagengeschichte, z dewizą: homo homini lupus. Sztudgart, 1862.

(2) Deutsche Sage im Elsass, tamże, 1872.

zabierał się do ułożenia epopei, musiał przedewszystkiem wyszukać sobie jakiejś pewnéj tradycyi. Jeżeli fabułę znajdował w różnych odmiankach, to wybierał taką, która, zdaniem jego, odznaczała się znamionami większego podobieństwa do prawdy. Były to początki krytyki historycznéj.“

II. Winieleus.

„Był król Winieleus; ten był taki pełnomocny, taki podufały, taki pyszały, ze ino ón jeden i pan Bóg na świecie; ze niby mu równy. Posed do spania i tak sobie przemyśliwał. Na drugi dzień posed do polowania do lasu, to samo; do kąpania, to samo. Ano, jako sługom rozkazano, zeby ś nim w lesie pojechali do stawku do kąpieli, bo par był wielki, a woda mu się w lesie udała (podobała). Zdjąn swoje mondury i ostawiuł przy wodzie na gałęzi, a słudzy byli przy powozie. Kąpał się, a myślał o swojéj wielgości; ku wiecorowi się ma, a ón się jesce kąpie. I przystąpił janiół za niego do powozu i wsiad do powozu. Słudzy myśleli ze to król, jako w téj postaci króla, i pojechali ś nim, a króla odeśli, jak się ciaplał we wodzie.

Król wychodzi z wody: ani powozu niéma, ani sługów niéma, ani mondurów niéma. Musiał biezyć tak, naguśki, jazci przecie jekieś prześciéradło nalaz; i biezy jaz do warty. A warta go puścić nie chce, bo jakze, kiej z królem juz przyjechali. Hano dobrze; a ón się przecie uprosiuł piérséj warcie, puściła go; uprosiuł sie i drugiéj warcie, puściła go; ale trzecia warta nie chciała puścić, bo jakze? król Winieleus przejechał, co ty odartuchu, waryjaku kces? co to za mamona! i nie puściła, ino wzięni go do strazy i wypchli, wygnali, zkądeś przysed, tam idź. Cóz miał robić nieborak? chodzić od miejsca do miejsca jak dziad, zebrak, a ludzie się ino: śmiali z jego królestwa po drodze.

Ale idzie. Miał pustelnika w lesie; posed do niego i kołace sie beze drzwi. Pustelnik waguje sie (waha się) otworzyć, bo w nocy, cy to złe cy dobre? Ano, dopiéro mu się spowiada beze drzwi on Winieleus, ze jest król i prosi go, zeby go wpuścił. A pustelnik, ze był człek świętobliwy, poznał i mówi: „Eh, królu Winieleusie, musiałeś co przestąpić, kiedyś tu do mnie przysed.“ A król: „A ty pustelniku, puść mnie, bo ja jestem ten sam.“ Pustelnik dopiéro go wpuścił do izby, i przyodział go i nakarmił. I dopiéro poznał król Winieleus, ze nie jest taki mocny jak Pan Bóg. I dopiéro tamten król co był z janioła, zniknoł kęsiś, a król Winieleus przysed do pałacu z pustelnikiem, co go przyprowadził.“

Inna wersya mówi że: „Radził mu pustelnik iść do spowiedzi; a kaplan, wysłuchawszy go, kazał mu się iść kąpać powtórnie do téj saméj wody, jako do miejsca, gdzie naprzód myśl jego grzeszna powstała i tam z pokorą, jako proch marny, pana Boga przeprosić. Co uczyniwszy znalazł swoje bogactwa i mundury na brzegu i wrócił do pałacu, gdzie dotąd Duch święty wszystkim jakoby bielmo na oczy a doradcom kłódki na usta był pozakładał.“

Takie podanie opowiadali wieśniacy pod Krakowem panu Kolbergowi, około roku 1875 (1).

Porównajmy z niém śliczną „powieść sycylijską“ Longfellowa, któréj nie mogąc podać w przekładzie wierszowanym, dosłowne tłómaczenie zamieszczam (2).

„Robert sycylijski, brat papieża Urbana i Walmonda, cesarza Alemanii, przystrojony w wspaniałe szaty, z orszakiem licznych rycerzy i giermków, siedział dumnie na nieszporach, w wigilię świętego Jana, i słuchał księży, śpiewających „Magnificat“; a gdy się przysłuchiwał, wpadły mu w ucho raz po raz nakształt zwrotki lub przyśpiewu powtarzające się wyrazy: „Deposuit potentes de sede et exaltavit humiles“; i zlekka wznosząc swą królewską głowę, powiedział do siedzącego obok uczonego kapłana: Co znaczą te wyrazy? ksiądz odrzekł: Ściągnął mocarze z stolic ich, a wywyższył uniżone. Na to król Robert mruknął wzgardliwie: To dobrze że takie buntownicze słowa śpiewane są tylko przez księży i to po łacinie; bo księżom i ludowi niech będzie wiadomo, że niema potęgi, któraby mię mogła z tronu zrzucić. I oparłszy się znowu, ziewnął i usnął, ukołysany jednostajném, grubem śpiewaniem.

Gdy się obudził, noc już była; kościół pusty, światła pogaszono, tylko gdzieniegdzie mdłe, drobne lampki migotały niewielkiemi kołami przed obrazami świętych. Powstał z siedzenia, obejrzał się, ale nie spostrzegł ani żywego ducha i nie usłyszał żadnego dźwięku. Szedł omackiem ku drzwiom, lecz te znalazł zamknięte; krzyczał więc głośno i słuchał, potém zaczął stukać i straszne wygłaszać przekleństwa i groźby na ludzi i świętych. Ale tylko jego głos odbijał się od ścian i sklepienia, a jemu się zdawało że słyszy szyderstwa zmarłych księży siedzących w stallach! Wreszcie sługa kościelny, usłyszawszy z podwórza krzyk i stukanie, myśląc że złoczyńcy wkradli się do świątyni, przyszedł z latarnią i spytał: kto tam? Dusząc się z wściekłości, król Robert dziko zawołał: Otwieraj, to ja, król! Czego się lękasz? Przerażony zakrystyan, klnąc

---

(1) Kolberg, Lud, Krakowskie IV, 102—103.

(2) Longfellow, Tales of a wayside inn. Londyn, 1864, str. 34—42.

i mrucząc, że to tam chyba jaki pijany włóczęga, lub coś gorszego, pokręcił ogromnym kluczem i szeroko podwoje otworzył. Jakiś człowiek jednym skokiem przemknął się koło niego i był brzydki, pół-nagi, bez kapelusza i płaszcza; ani się odwrócił, ani nań spojrzał, ani przemówił, tylko się rzucił w mrok nocny i znikł mu z oczu jak widmo.

Robert sycylijski, brat papieża Urbana i Walmonda, cesarza Alemanii, odarty z szat wspaniałych, z gołą głową, bez tchu, błotem zwalany, z rozpaczą w duszy, krzywdą i zniewagą wzburzony, biegł daléj, trącił bramę pałacu, gonił przez dziedziniec, popychając ze złością na prawo i na lewo starszych i paziów; szerokiemi, echem rozbrzmiewającemi wschodami biegł z bladą jak duch twarzą, w blasku pochodni, bez tchu przebył komnaty jedną po drugiéj; słyszał głosy i krzyki, lecz na nic nie zważał; aż wpadł nakoniec do sali bankietów, płonącéj światłem, woniami tchnącéj. Tam na tronie zasiadał król jakiś, ubrany w jego suknie, koronę i z jego sygnetem na palcu, sobowtór króla Roberta w rysach, postaci i wzroście, lecz cały prześwietlony anielską jasnością. Był to anioł; obecność jego napełniała boskim blaskiem powietrze, a przez suknie jego przybrane niby światłość migała, choć nikt nie poznawał w nim utajonego niebianina.

Strącony monarcha przez chwilę bez mowy i ruchu, zdumiony patrzył na anioła, który spotkał wzrok jego gniewny a przerażony boskiem współczuciem swych oczu, a potém rzekł: Ktoś ty i czego tu przychodzisz? Król Robert na to, z szyderskim śmiechem: Jestem król i przybywam upomnieć się swego, u oszusta, który tron mój przywłaszcza! Na te słowa zuchwałe porwali się nagle gniewni biesiadnicy i mieczów dobyli; anioł zaś odrzekł z pogodném czołem: Tyś nie król, lecz błazen królewski; odtąd masz nosić dzwoneczki i czapkę śpiczastą; jako radcę swojego masz nosić małpę, masz słuchać sług moich, gdy na cię zawołają i posługiwać dworzanom na salach.

Głusi na groźby, prośby i krzyki króla Roberta, dworacy wypchnęli go z sali i wschodów; biegła przed nim ze śmiechem zgraja paziów; a gdy na oścież podwoje do wyjścia rozwarto, zamarło w nim serce, bo słyszał za sobą hałasy i głośne śmiechy zbrojnych panów, a cała komnata sklepiona rozbrzmiewała szyderskim okrzykiem: Niech żyje król!

Nazajutrz rano, zbudzony pierwszym dnia brzaskiem, rzekł w duchu: To był sen! Lecz w tém, gdy głowę poruszył, zaszeleściała pod nim słoma, ujrzał czapeczkę i dzwonki przy łożu, a koło niego wznosiły się nagie, bezbarwne ściany, tuż obok słyszał żujące ru-

maki, a w kącie, o zgrozo! spostrzegł przeklętą małpę, skrzeczącą i miotającą się. Więc nie był to sen; świat, który tak kochał, obrócił się dlań teraz w mgłę i popioły, jakby za jednéin dotknięciem!

Przychodziły i mijały dni; dla Sycylii wrócił wiek Saturnowy pod błogosławionym rządem Anioła, szczęśliwa wyspa opływała w zboża i wino, a olbrzym Encelad, w głębokiem łonie płonącéj góry wypoczywał teraz. Król Robert poddał się losowi, ale ponury, milczący i niepocieszony. Odziany pstrym, błazeńskim strojem, o błędném oku i nieprzytomném spojrzeniu, z podgoloną czupryną, wyszydzany przez pachołków, jedynego przyjaciela mając w małpie, a pokarm jedyny w cudzych ogryzkach, nie dał się jednak złamać. Gdy się spotykał z Aniołem, ten doń wpół żartem, wpół poważnie przemawiał, pytając surowo, choć z pewną litością, tak że czuć w słowach jego było miecz stalowy w aksamitnéj pochwie ukryty: Czyś król? wtedy cała groza niedoli wybuchała zeń gwałtownie, nieprzepartą potęgą i wznosząc czoło wysoko, ciskał mu dumną odpowiedź: królem jestem, królem!

Blizko trzy lata upłynęło. Przybyli przesławni, wielmożni posłowie od Walmonda, cesarza Alemanii do króla Roberta, oznajmując, że papież Urban wzywa go listownie, aby przybywał zaraz na wielki czwartek do miasta jego, Rzymu. Anioł z wielką radością przyjął gości i obdarzył ich haftowanemi szaty, płaszczami z aksamitu, bogato podszytémi gronostajami, pierścieniami i klejnotami najrzadszémi. Potém puścił się z nimi morzem do ślicznéj Italii, któréj piękność jeszcze się podniosła przejazdem tego zastępu, wśród którego migotały pióra, płaszcze, czapraki, przy brzęku uzd kosztownych i złotych ostróg.

A oto, wpośród służalców, w ubiorze trefnisia, na pstrym koniku, kroczącym kulawo, w płaszczyku w lisich ogonów, z wiatrem bujających, z poważną małpą, sztywnie za nim sterczącą, jechał król Robert, budząc śmiech po drodze w miasteczkach.

Papież przyjął gości z wielką wystawą i uroczyście, wśród odgłosu trąb i w cieniu chorągwi, na placu świętego Piotra, udzielając błogosławieństwa i ściskając serdecznie, z wdziękiem apostolskim. Podczas gdy Anioł zajęty był powitaniem i modlitwą, Robert, błazen niespostrzeżony przecisnął się przez tłum, wpadł pomiędzy nich i zawołał: To ja król jestem! Patrzcie i poznajcie we mnie Roberta, brata waszego, króla Sycylii! Ten człowiek, który przed oczami waszemi moje podobieństwo nosi, to oszust w królewskiém przebraniu. Czyż mnie nie znacie? Czy żaden głos wasz nie odpowie na okrzyk mój i nie przyświadczy, żeśmy bracia? Papież zmieszany, milczący popatrzył w spokojne oblicze Anioła; a cesarz rzekł z uśmiechem:

To igraszka osobliwsza trzymać warjata za błazna na dworze! I biedny, w nadziei zawiedziony trefniś, sromotnie odepchnięty, zmieszał się z ciżbą.

Uroczyście przeszedł wielki tydzień; na niebie zajaśniała niedziela wielkanocna. Postać anioła blaskiem swym oświeciła niebo jeszcze przed świtem i nowym zapałem napełniła serca ludzkie, które uczuły, że Chrystus znowu zmartwychwstał. Nawet błazen na swém słomianém posłaniu oglądał błędném okiem niezwykłą jutrzenkę i uczuł w sercu nieznane dawniéj wzruszenie; klęcząc na deskach podłogi, słyszał szelest odzieży Pańskiéj, płynącéj cichem powietrzem ku niebu.

Po skończonych odwiedzinach, gdy Walmond wracał ku brzegom Dunaju, Anioł podążał ku domowi, znów okolice blaskiem swym napełniając, przebywając miasta włoskie aż do Salerno, a ztamtąd morzem wędrując. Gdy już był w murach Palermo i zasiadł na tronie w uroczystéj komnacie, usłyszał dzwony wieczorne z wież klasztornych, niby rozmowę lepszych światów z naszym; skinął wtedy na króla Roberta, aby bliżéj przystąpił, a innych znakiem ręki oddalił; gdy byli sami, rzekł Anioł: Czy królem jesteś? Wówczas król Robert schylił głowę, złożył ręce na piersi i cicho odpowiedział: Ty wiesz to najlepiéj! Grzechy moje krwawe są jak szkarłat, pozwól mi ztąd odejść i w klasztornéj szkole pokuty pełzać obnażonemi kolanami po kamieniach, któremi wyłożona jest droga do nieba, aż nim się nie oczyści moja grzeszna dusza! Anioł się uśmiechnął, promienne oblicze jego świętą jasnością napełniło całe otoczenie, a przez otwarte okna doleciał ich uszu głośny i czysty śpiew mnichów z poblizkiéj kaplicy, głusząc hałas uliczny: „Ściągnął mocarze z stolic ich, a wywyższył uniżone!“ lecz wśród pieśni téj przebijała się druga melodya: „Jam jest Anioł, a ty jesteś królem!“

Król Robert, stojąc przy tronie, podniósł oczy, i, o dziwo, był sam! Lecz strój miał na sobie jak za dawnych czasów, złocisty i gronostajami ozdobiony; a gdy nadeszli dworzanie, zastali go klęczącego, zatopionego w cichéj modlitwie.“

Widać z porównania obu powyższych legend, że płyną z jednego źródła i jedną myśl moralną wyrażają: upokorzenie dumnego pana. Obie zabarwione są kolorytem chrześciańskim, a zatém do stosunkowo późniejszéj epoki należą. Nasuwa się przeto pytanie, gdzie szukać należy najdawniejszéj postaci wątków, z których te podania wysnuto.

Na to pytanie odpowiedzią jest bardzo zajmująca i uczona praca Varnhagena. Powiada on, że legendy powyższe opierają się na pierwotnéj wierze w możność przechodzenia duszy jednego człowie-

ka w bezduszne ciało drugiego i najdawniejszą formę podania upatruje w indyjskiéj bajce o starym krolu Vikramaditji, którego pewien czarodziéj namawia, aby, nauczywszy się od niego sztuki czarnoksięzkiéj, porzucił swoje zgrzybiałe ciało i odrodził się, wchodząc w świeżo zmarłego młodzieńca; ale gdy król poszedł za jego radą, chytry czarodziéj zabija młodzieńca, a sam duszę swoję wprowadza w ciało królewskie i panuje na jego miejscu.

Wątek ten, przybierając różne postaci, rozszerzając się i splatając z rozmaitemi pobudkami moralnemi, służy za podstawę kilku innym podaniom indyjskim. Spotykamy go i w innych krajach wschodu, np. w zbiorze baśni tureckich, zwanym Tuti-Name, dokąd się dostał zapewne przez Persyą; daléj wciska się on w cykl legend o królu Salomonie, czepiając się wersetu 12 kaznodziei Salomona: „Ja, kaznodzieja, *byłem* królem Izraelskim w Jeruzalem;“ z wyrazu *byłem* wnoszono że czas jakiś sławny król *nie był* królem i bajano że zły duch Asmodeusz (perski Aeszma-daewa) wszedł sztuką czarnoksięzką w ciało Salomona i czas jakiś królował; w talmudzie rolę Asmodeusza przypisano aniołowi i w kilku wersyach powtórzono legendę; tak zwana „kabała“ jeszcze szerzéj ją rozrobiła. Opowieść księgi Danielowéj o Nebukadnezarze zamienionym w wołu należy poniekąd także do zakresu naszego, chociaż nieco inaczéj wątki swe układa. W podaniach arabskich przeniesiono również na osobę Salomona podobną legendę.

Kędy i kiedy w mowie będące podanie przeszło na zachód Europy, z pewnością oznaczyć trudno: czy Arabowie, czy Żydzi je przynieśli, czy przywędrowało przez Bizancyum do Włoch i Hiszpanii, jak to najczęściéj z legendami bywało, — dzisiaj niepodobna na to stanowczo odpowiedzieć. Dość że od XIII wieku znaném już jest w naszéj części świata i odtąd rozrasta się, modyfikuje i służy za fabułę przeróżnym utworom literackim, mniéj lub więcéj udatnym.

Początkowa postać legendy przeniesionéj do Europy, była jak się zdaje jedyna i brzmiała prawie tak samo, jak ją Kolberg pod Krakowem słyszał. Późniéj rozgałęziła się na dwie odmianki, niewiele od siebie różne i przybrała jeszcze trzecią formę, mieszając na nowo te odmianki w jedną całość. Pierwsza wersya dostała się do sławnego zbioru legend, znanego pod nazwą „Gesta Romanorum,“ pochodzącego, jak się zdaje, z końca XIII wieku. Bohaterem jéj jest tu mityczny cesarz rzymski Jovinianus. Zdaje się mnie że nasz Winieleus jest przekręceniem tego imienia; zresztą niema wątpliwości, że legenda krakowska wprost pochodzi z Gesta Romanorum, tylko jest znacznie zwięźlejszą. Jaką drogą dostała się ona do ludu naszego, czy była drukowana po polsku, gdzie i kiedy tego

dojść nie mogłem, nie mając odpowiednich pomocy naukowych pod ręką.

Hans Sachs, poeta niemiecki XVI w., pierwszy podał niemieckie obrobienie legendy z Gestów, naprzód w postaci wierszowanéj ballady, a późniéj w formie dramatycznéj p. t. „Komedya z dziewięciu osobami do grania: Julian cesarz w kąpieli, w pięciu aktach.“ Varnhagen podaje obszerną treść téj sztuki (str. 29—38). Daléj udziela wiadomości o dramatach francuskich i hiszpańskich i o różnych obrobieniach wierszowanych niemieckich i innych naszego wątku.

Drugą odmiankę legendy powyższéj poznaliśmy w balladzie Longfellowa: cechą jéj jest nowy wątek: dumny pan, słuchając słów pieśni kościelnéj, wyraża pychę zuchwałemi słowy i za to późniéj odnosi karę poniżenia. Najpierwsze obrobienie téj postaci spotykamy we Włoszech w XV w.; na początku bieżącego stulecia, znany pisarz włoski Cesari (umarł 1828) utworzył na ten temat zgrabną powiastkę, a przed nim jeszcze, nieznany z imienia poeta wysnuł bardzo w swoim czasie lubiony dramat ludowy: „Pyszny król,“ a kilku innych Włochów próbowało swoich sił poetyckich na téj osnowie.

Nieco zmodyfikowaną postać nadawano jeszcze wątkowi naszemu w Niemczech, Francyi, Anglii i Danii: zamiast kąpieli po polowaniu, podstawiono kąpiel w łazience pod pałacem dumnego pana. Varnhagen przegląda ten cykl od str. 52 do 90, poczynając od prozy niemieckiéj z XIII wieku, kończąc na Longfellowie. Widzimy tu stopniowe wydelikacanie uczucia moralnego, oraz wprowadzenie nowego wątku: że poniżony król na rolę błazna jest skazany. W téj postaci powieść znana już była w w. XIV w Anglii i Longfellow bardzo niewiele od osnowy jéj odstąpił.

Wreszcie roku 1876 ukazał się, bez imienia autora, duński dramat „Den forvandlede konge,“ osnuty na tym samym gruncie. Grano go wielokrotnie na scenie królewskiéj w Kopenhadze, zawsze z wielkiém powodzeniem. Sądząc z obszernéj treści, podanéj przez Varnhagena (73—90), wnosić można iż zalety utworu tego nie mniejsze są od powodzenia. Bohaterem sztuki jest tu potężny król z rodu normandzkiego Roger drugi, władca Sycylii (umarł 1154). Akcya trwa trzy dni i tyleż aktów wypełnia. Obawiając się przeciążenia rozprawki mojéj zbytnią ilością przytoczeń, odsyłam ciekawego czytelnika do książki Varnhagena, lub, co jeszcze właściwsza, do oryginału duńskiego, jeżeli się chce z nowym płodem dramaturgii skandynawskiéj obeznać, albo może przyswoić go naszemu piśmiennictwu.

Trzecią odmiankę legendy naszéj rozpatruje autor od str. 90 do 101. Powstała ona, jakeśmy to powiedzieli wyżéj, ze zmieszania wątków Gestów z motywami drugiéj wersyi. Niejaki Reimundus pierwszy zdaje się tę postać podania zapisał. Korzystał z tego obrobienia kaznodzieja niemiecki XVII wieku, benedyktyn Trauner i użył legendy za temat do nader zabawnego kazania, które się znajduje w ciekawym zbiorze pod osobliwszym tytułem: „Gallus cantans, czyli piejący kur domowy, przeznaczony ku budzeniu śpiących w grzechach domowników wielkiego Gospodarza.“ Późniéj kilku jeszcze duchownych obrabiało ten sam temat, bez szczególnego odznaczenia.

Ciekawą jest rzeczą, że znany poeta niemiecki z początka bieżącego wieku, Langbein wylał żółć swoję na Napoleona I w formie „Bajki o królu Lutbercie,“ osnutéj na rozbieranym przez nas temacie. Zmieniony po kąpieli, odepchnięty przez dworaków i wojsko król musi jak żebrak po świecie chodzić, a na miejscu jego panuje anioł; zrozpaczony i głodny, trafia do pustelnika i chce mu się z grzechów wyspowiadać. Lecz ten mu powiada: „Znam i ciebie i twoje przewinienia i wszystko co cierpisz i czego pragniesz. Spojrz na swą przeszłość! Patrz jak wszędzie, przez twą szaloną żądzę zdobyczy, zakwitł piekielny zasiew: straszny ocean krwi pochłonął szczęście twojéj ojczyzny. Bez ustanku chorągwie twoje uprowadzały dzielnych jéj synów, pociechę i podporę ojców i strącały ich w grób bezdenny. Resztka narodu twego, uciemiężona ohydnym uciskiem, z krwi wyssana, straciła wszelką radość żywota; każdy wolał umrzéć, niż marniéć wśród mąk powolnych. Byłeś dla podwładnego ci ludu niewysychającém źródłem niedoli i nigdy o gniewie boskim nie pomyślałeś. Miałeś się sam za boga najwyższego i szydziłeś z wszelkiéj świętości; a tych, których nadużyciem swéj władzy odarłeś ze wszystkich darów szczęścia, zuchwałemi usty nazywałeś pasożytném robactwem i głodnemi psami.“ Otóż pan na niebie ukarał cię. Zesłał anioła aby twe miejsce zajął, dopóki się nie ukorzysz. Król Lutbert płakał i zdawał się skruszonym. Więc pustelnik nakazuje mu wyjść i dosiąść konia, którego zaraz znajdzie. Lutbert wychodzi i znajduje własnego konia i przytroczone do siodła własne ubranie. Lecz na ten widok budzą się w nim dawne żądze: przebiera się, wsiada na rumaka i z dawną zuchwałością pędzi do pałacu swojego: tam go jak pana przyjmują. „Ale jak postępował daléj, czy się poprawił, o tém stara legenda nic nam nie podaje“ — tak kończy poeta niemiecki.

Otóż jeszcze jeden wątek przesunął się nam przed oczami. Widzieliśmy ile metamorfoz przebył w przebiegu dziejów i ilu utworom wyobraźni dał początek. Bajka ludowa, legenda święta, dramat, kazanie, ballady, nauczki moralne, — wszystko to czerpało po kropli z odwiecznego źródełka. A może niejeden jeszcze poeta poszuka w niém natchnienia.

Książka Varnhagena posługiwała się w części przygotowawczemi pracami Benfeya (w Panczatantrze); wiele jednakże sam autor dopełnił i odszukał. Studya swoje potrafił streścić w bardzo zajmujący i treściwy sposób, a wskazaniem źródeł, z których czerpał, ułatwił drogę przyszłym pracownikom i dał możność sprawdzenia wniosków, do których sam doszedł.

III. Siedmiu braci śpiących.

Podanie o siedmiu braciach śpiących tak jest powszechnie znaném, że nie widzę potrzeby powtarzania tu jego osnowy. Zwrócę tylko uwagę czytelnika na najnowsze badania krytyczne i streszczę ich wnioski, dodając od siebie parę wskazówek, odnoszących się do naszych podań, mających pewien związek z legendą o braciach efezkich.

Pierwszy, ile wiadomo, zapisał ją biskup mezopotamski, syryjczyk Jakób Sarug (umarł r. 521); późniéj dostała się ona przez biskupa Grzegorza z Tours (um. r. 594) do Europy i rozpowszechniła się szybko w tysiącznych odmiankach, aż się skrystalizowała w postaci, że tak powiem wulgaty, w Złotéj Legendzie, około połowy XIII wieku.

Dzisiaj niema już wątpliwości, że jest ona echem bardzo dawnych, przedchrześcijańskich mitów; „ujęła je ręka chrześcijańska i ochrzciła“ — powiada Baring-Gould (str. 104); spotkało to nie tę jednę zresztą legendę: dość wspomnieć o metamorfozie Buddy w Barlaama i Jozafata.

Przypatrzmy się elementom podania o braciach śpiących w starożytności przedchrześcijańskiéj. Rohde pierwszy zwrócił uwagę na ustęp fizyki Arystotelesa, tak mniéj więcéj brzmiący: „Gdy myśl nasza spoczywa, czas mija wtedy niepostrzeżony, jak owym, co to spali przy bohaterach na Sardynii; gdy się obudzą oni, czas obecny wyda się im jako dalszy ciąg upłynionego.“ Jeden z późniejszych objaśniaczy Arystotelesa dodaje, powołując się na dawnego pisarza, że mowa tu jest o dziewięciu bohaterach, synach Heraklesa, których niepsujące się ciała, niby w śnie pogrążone, spoczywają na

wyspie Sardynii. Pliniusz i Dyogenes z Laerty, mówiąc o poecie Epimenidesie, współczesnym Solonowi, przytaczają jednę z legend, któremi ustrojono wieszcza kreteńskiego, mianowicie że ojciec posłał go raz, by odszukał zbłąkanéj owcy, że młodzieniec usnął w grocie i przespał tam pięćdziesiąt siedm lat; obudziwszy się, myśląc że chwilkę drzémał, począł szukać owcy, a nie znalazłszy jéj, wrócił do domu i zastał wszystko zmienione. Młodszy brat jego, teraz już siwy staruszek zaledwie go poznał. Wieść o długim śnie Epimenidesa rozeszła się po Grecyi: uważano go za ulubieńca bogów i wzywano do różnych posług nadprzyrodzonych; zmarł przeżywszy według jednych lat 157, według innych 299. Przypomnijmy zresztą Endymiona, kochanka Artemidy, który drzemał bez końca, co mu nie przeszkadzało spłodzić z Seleną pięćdziesiąt córek. I Endymion i Epimenides i legendowy towarzysz braci śpiących byli pasterzami i spoczywali w grocie,—to jeden z pierwotnych, wspólnych rysów podania. Sięgając jeszcze głębiéj w podania greckie, znajdujemy strąconego boga Kronosa i zwyciężonych tytanów wiecznym snem śpiących gdzieś na wyspie brytańskiéj.

Cudowne przedłużenie życia, a raczéj zawieszenie jego, w oczekiwaniu jakichś przyszłych wypadków, powtarza się jako wątek mityczny w niezliczonéj ilości podań i w przeróżnych, nieraz nader poetycznych przekształceniach. Mówiąc o Żydzie Tułaczu, zgromadziłem garstkę pokrewnych faktów (1): możnaby ją prawie do nieskończoności powiększyć. W pierwotném pojęciu mityczném, u wszystkich ludów, przebija się rys wspólny, następnéj treści: gdy tylko następuje zetknięcie człowieka z „tamtym światem," żywot jego przedłuża się, choć mu się zdaje, że tak nie jest. „Tamten świat" leży gdzieś we wnętrzu ziemi, za rzeką lub morzem; dostać się tam można najłatwiéj przez otwory w ziemi, to jest przez groty, jaskinie, szczeliny. Świat ów jest mieszkaniem bóstw i istot zmarłych; jest to raj, niebo podań naszych, piekło starożytnych. Bogowie posiadają nieśmiertelność, a gdy się do nich żywy człowiek dostanie, ulega mierze czasu niebieskiéj. Indowie, którzy tak lubią szafować liczbami, wyobrażali sobie, że jeden dzień Brahmy równa się 432,000 lat. Razu pewnego, powiada podanie indyjskie, książę Raiwata udał się z córką do Brahmy, aby się poradzić co do jéj zamążpójścia. Gdy wszedł do sali tronowéj, właśnie śpiewacy niebiescy cudną pieśń wygłaszali. Raiwata doczekał końca i prośbę swą Brahmie przełożył. Bóg zapytał go o imiona zalotników dziewicy, a gdy ojciec je wymienił, Brahma z uśmiechem odrzekł:

---

(1) Bibliot. Warsz. 1873, zeszyt lipcowy i sierpniowy.

Wszyscy, których tu nazwałeś, dawno już nie żyją; wnukowie ich, nawet wnukowie wnuków dawno już w grobie spoczywają; albowiem dwadzieścia pokoleń przeminęło, podczas gdy pieśni naszéj słuchałeś. Podobną do téj legendy zapisał rodak nasz, sławny w swoim czasie dziejopis, Marcin Polak (pod koniec XIII w.). Jakiś mnich, powiada on w jedném ze swych kazań (1), prosił Boga, aby mu pokazał choć najmniejszą z rozkoszy rajskich i wnet zaczęła śpiewać przy nim drobna ptaszyna, a gdy ją chciał złapać, zaszedł aż do ogrodu klasztornego i słuchając jéj przestał pod drzewem 365 lat; usłyszawszy dzwon, pośpieszył ku bramie i ujrzał klasztor zupełnie zmieniony; zaledwie go wpuszczono, bo żaden braciszek go nie poznał; a gdy wszyscy jemu, a on wszystkim się dziwił, spytał go opat, co robił i dokąd chodził, kto był opatem i przeorem, kiedy się oddalił; gdy przyniesiono kroniki, sprawdzono, że tyle właśnie lat upłynęło od owego czasu, a on twierdził iż mu się zdawało, że godzinę tylko spędził w ogrodzie.

Przypomniéć téż należy śliczne podanie, obrobione przez R. Zmorskiego w utworze „Wieża siedmiu wodzów“ (2) i drugie, bardzo do tego podobne, które opowiadano na Podlasiu (tamże str. 30 i dal.). Nie wiem dla czego Encyklopedya wielka utrzymuje, że Zmorski legendę tę wziąć miał z sagi skandynawskiéj (3). Podobne podania spotykamy często u ludów słowiańskich i innych; niema zresztą powodu wątpić o wiarogodności Zmorskiego, który powiada, że baśń o siedmiu wodzach słyszał na Mazowszu. Jak w legendzie o tyluż braciach śpiących, tak i tu snem prawie śmiertelnym uśpieni bohaterowie czekają ważnych wypadków przyszłości; tylko że względem braci efezkich uważano iż wypadki te już zaszły i kazano im się obudzić. Jakie to były wypadki? Dostatecznie tego nie wyjaśniono. Jedni ich biografowie i komentatorowie powiadają, że trzeba było zaprzeczyć szerzącéj się niewiarze w życie przyszłe, inni że należało poskromić jakąś herezyą i dać świadectwo wszechmocy boskiéj. Co do pierwszego, już Złota Legenda robi uwagę, iż obudzenie się męczenników i ponowna śmierć ich nikogo nie mogła przekonać o nieśmiertelności duszy. Bądź co bądź w legendach chrześcijańskich niema zgody ani co do imion braci śpiących, ani co do czasu kiedy zasnęli i obudzili się, ani nawet co do ich liczby i miejsca, gdzie spoczywali. Nic w tém dziwnego. Na wschodzie po dziś dzień, w Persyi np. wskazują kilkadziesiąt pieczar, w których spać mają lub mieli „heft ten“ (siedmiu mężów); w Arabii

---

(1) Ustęp ten przytaczam z Hertza Deutsche Sage im Elsass, 1872, str. 264.

(2) Warszawa, 1860. — (3) Tom XXVIII, str. 660.

również rozmaicie opowiadają i umiejscowiają to podanie; znał je Mahomet i wcielił do Koranu. Rzecz ciekawa, iż w legendach arabskich nieodstępnym towarzyszem owych braci jest piesek, zwany Katmir lub Kitmir; biegł on, gdy uciekali, nie dając się odpędzić ani kamieniami, ani biciem i złamaniem nogi, nawet przemówił głosem ludzkim, wyznając że i on w jedynego boga wierzy, więc młodzieńcy musieli go wpuścić do jaskini i tam śpi razem z nimi; inne zaś podanie mahometańskie twierdzi, że dostał się nawet do raju, nie wiem czy to prawda, ale powiadają, że jeden z kościołów chrześcijańskich cześć mu oddaje (1).

Najnowszy pogląd mitologiczny usiłuje wyjaśnić wszystkie podania z punktu symboliczno-kosmicznego. Liczba siedm i sen są wskazówkami siedmiomiesięcznego snu bohatera słonecznego podczas zimy; liczbę z miesięcy przeniesiono na ludzi. Tak mniema Baring-Gould (str. 109—110), dodając słuszną, jak się zdaje uwagę, że umiejscowienie legendy mogło nastąpić przez zmieszanie jéj z podaniem o św. Janie, tak samo według podań śpiącym w Efezie. Wyjaśnienie Kocha, który tę legendę tłómaczy zbliżeniem z kabirami nie przekonywa dostatecznie; wogóle, mimo pracowitość i oczytanie, monografia tego autora świadczy o małéj znajomości mitologii i nieufności jego do metody porównawczéj, która, zdaje mi się, jedynie prowadzić może do ułatwienia trudności.

W dalszych rozdziałach pisma swojego Koch rozpatruje wędrówkę legendy w kronikach, poezyach i dramatach zachodnio-europejskich. Rozdział VII poświęca zestawieniu sądów krytycznych XVI do XVIII wieku, od Baroniusza do Gibbona; bardzo to ciekawy ustęp, malujący budzenie się zmysłu krytycznego po wiekowym letargu średniowiecznym. W XIX wieku poeci i muzycy znaleźli w legendzie téj wcale wdzięczny temat: Göthe napisał balladę, idąc za wersyą mahometańską (w „Westöstlicher Divan“) i oczywiście nie pomijając pieska; Löwe utworzył do słów Giesebrechta, oratoryum muzyczne (1833); wielu poetów próbowało sił swoich na tymże wątku. U nas, ile mi wiadomo, oprócz powtarzania legendy w żywotach świętych i wydawnictwach ludowych, nie wiele o niéj rozprawiano; wiem tylko z Lindego że w Pamiętniku warszawskim jest mowa o siedmiu braciach śpiących (2).

---

(1) Grisebach w książce wskazanéj str. 48, powołując się na Göthego.

(2) „Pamiętnik Warszawski,“ wydawany naówczas przez Ludwika Osińskiego, pomieścił w r. 1810 nie podpisany artykuł p. n. *„Historya wiary w świętość liczby 7“* (tom I, str. 102—111, 203—217). Wzmianka o siedmiu braciach śpiących służy tu tylko za jeden z przykładów rozpowszechnienia wiary w mistyczne znaczenie siódemki i za-

IV. Wiarołomna wdowa.

Edward Grisebach, obecnie konsul niemiecki w Petersburgu, pozyskał pewien rozgłos w Niemczech zbiorkiem poezyi, pod napisem „Nowy Tannhäuser." Jako zwolennik naturalizmu i zolizmu, przesadził trochę wieszcz niemiecki w drastyczności malowidła miłości i poczuwając się do tego zapewne, utwór powyższy r. 1869 puścił w świat bezimiennie. Wiersze sprawiły wrażenie i dotychczas dwunastu wydań się doczekały; w każdém z nich jednak poeta znaczne poczynił odmiany i modyfikacye. Ogłosił także studya nad najnowszą poezyą niemiecką, w których, pomimo różne ekscentryczne i paradoksalne wyskoki, złożył dowody wielkiéj przenikliwości i bystrości sądu. Posiada on styl barwny, w rodzaju francuskim, i dużo oczytania; szkoda, że spora doza szowinizmu niemieckiego zawadza trzeźwości sądu i mąci wszechstronność poglądów. W „Wiarołomnéj wdowie" zwrócił się Grisebach ku mało znanéj literaturze powieściowéj chińskiéj i przyznać należy, przysłużył się piśmiennictwu europejskiemu, otwierając nowy pokład bardzo oryginalnego a wdzięcznego natchnienia chińskiego. „Wdowa" podobała się publiczności niemieckiéj i obecnie ukazała się w czwartém wydaniu. Zachęcony jéj powodzeniem, Grisebach przełożył i inne powiastki zbiorku chińskiego, do którego „Wdowa" należy (1).

W piśmie, które tu rozpatrzyć zamierzamy, autor zamieścił nasamprzód powieść chińską (str. 1—37), którą przełożył z dosłownego tłómaczenia angielskiego. Znano ją w Europie od połowy XVIII wieku z naśladowania francuskiego, ale takowe, jak utrzymuje G., nie daje wyobrażenia o oryginale i zaciera naumyślnie cechy jego charakterystyczne. W następnym rozdziale (do str. 55) autor zapuszcza się w rozprawy o świętości małżeństwa i niewierności żon, przyznając tylko Niemkom poczucie obowiązku ślubnego, a o narodzie swoim twierdząc, iż „wydaje się obecnie w wielu względach najpierwszym na świecie" (str. 55); rozdział ten z korzyścią dla pracy Grisebacha mógłby być opuszczony, a przesadne słowa o wyższości narodu niemieckiego nad innemi i o wzorowości

---

warte jest w tych słowach (I, 112): „W książce *Martyrologium* zwanéj o 7 braciach śpiących czytamy." Za najgłówniejszą przyczynę „zabobonnego względem liczby 7 uprzedzenia" podaje autor zaobserwowany „bieg księżyca i co 7 dni dziejące się z nim zmiany widoczne," dodając, że u ludów wschodnich „księżyc większe uszanowanie niż słońce odbierał" (str. 214 i 215). (*Przyp. Redakcyi*).

(1) Kin-ku-ki-kuan. Neue und alte Novellen der chinesischen 1001 Nacht Sztudgart, 1880. — Śliczna tu jest powiastka „Pudełko z klejnotami."

żon niemieckich świadczą jedynie o gołębiéj naiwności szowinizmu germańskiego, któremu sią zdaje, że tryumfy dyplomatyczne i wojenne przekonać są zdolne kogokolwiek o gatunkowéj wartości tryumfatorów jako ludzi. Rozdział następny, zatytułowany „Wschód", i ostatni, pod napisem „Zachód", opowiadają wędrówkę powiastki o żonie wiarołomnéj w literaturach Azyi i Europy. Rzecz cała napisana bardzo ładnie i zajmująco, z wyjątkiem niektórych wybryków moralizujących i szowinizujących, jak np. zachwycania się nad zwyczajem indyjskim palenia wdów, głoszenia że Niemcy są bezpośrednimi i jedynymi dziedzicami geniuszu aryjskiego i t. p. W zestawieniach widać wiele pilności i uczoności, a także trafną charakterystykę epok i ludzi, którzy rozpatrywany w téj książce wątek obrabiali.

Żałuję bardzo, że nie mogę powtórzyć całkowitéj treści powiastki chińskiéj, bo się odznacza ona niepospolitemi zaletami: naprzód wielką oryginalnością, jakimś smakiem właściwym, do którego podniebienia nasze zupełnie nie są przywykłe; potém nader wdzięcznym i nie grubym realizmem, zabarwionym delikatną ironią i melancholią. Dość obszerne rozmiary nowelki i ta okoliczność, że musiałbym podać ją w tłómaczeniu z trzeciéj ręki, wstrzymują mię od podzielenia się nią *in extenso* z czytelnikami. Niechże choć streszczenie, zacierające barwę pierwotną i zalety stylowe, znajdzie tu miejsce, abyśmy rozpatrzyć mogli wędrówkę fabuły po przestworzach świata, od Chin aż do Francyi.

Pewien głęboko uczony i uczciwy mandaryn żyje sobie w odosobnieniu z młodą, trzecią z kolei żoną i zdaje mu się, iż jest bardzo kochany. Przechadzając się razu pewnego, spostrzega ładną, młodą i wytworną damę, która bardzo gorliwie i żwawo porusza wachlarzem nad kopcem świeżo usypanéj ziemi. Zdjęty ciekawością, podchodzi i zapytuje, co robi. Pani odpowiada, że pochowany tu jest świeżo zmarły jéj mąż, nieznośny głupiec, i że nie mogąc wyjść powtórnie za mąż, póki mogiła nie oschnie, pracuje nad jaknajprędszém osuszeniem wilgotnego piasku. Nasz mandaryn ofiaruje swą pomoc, którą dama ze słodkim uśmiechem przyjmuje i wkrótce osusza kopiec, a w nagrodę dostaje wachlarz; niesie go do domu, pokazuje żonie i opowiada, co widział i słyszał. Żona unosi się oburzeniem, powiada, że owa ładna pani jest nikczemną przeniewierczynią, potworem i w uniesieniu niszczy pochodzący od niéj wachlarz. Lecz w kilka dni potém mandaryn popada w ciężką niemoc i na trzeci dzień umiera. Żona tonie we łzach i rozpaczy; przywdziewa grubą żałobę, składa nieboszczyka w trumnie i stawi ją, obyczajem chińskim, w sypialnym pokoju. Ale w kilka dni potém przybywa do

ustronia nieutulonéj wdowy śliczny, bogato ubrany młodzieniec, oświadcza, że pragnąc korzystać z nauk sławnego mędrca, przyjechał z daleka i że niezmiernie żałuje, iż przy życiu go nie zastał. Wdowie podobał się on od razu; smutek jéj zmniejsza się w odwrotnym stosunku do wzmagającéj się miłości dla przybysza: z początku przez sługę jego, a potém już otwarcie oświadcza mu swe uczucia i chęć zostania jego żoną. Nieboszczyka wynoszą do staréj stajenki; piękna pani stroi się w szaty weselne, zapala światła w pokojach i bierze ślub z interesującym przybyszem. Ale właśnie w chwili, kiedy najczulsza ma nastąpić scena, młodzieniec dostaje napadu jakiejś dziwnéj choroby: traci przytomność, piana mu na usta występuje; pani woła sługę, a ten oznajmia jéj, że panicz miewał już i dawniéj takie paroksyzmy i że jedyném lekarstwem w takich razach jest mózg żywego, albo świeżo zmarłego człowieka. Nie długo się namyślając, młoda mężatka, uzbrojona siekierą, bieży do stajenki i zabiera się do rozwalenia trumny starego męża; ale po kilku uderzeniach, o dziwo, nieboszczyk zmartwychwstaje i pyta przerażonéj żony, co tu robi, dla czego ma w ręku siekierę i czemu trumnę w stajence umieściła; zręcznemi kłamstwami stara się ona zaspokoić ciekawość mężowską i prowadzi go do pokojów; ale tam już nie umie się z iluminacyi wytłómaczyć; wtedy mandaryn gorzkiemi a ironicznemi słowy wyrzuca jéj wiarołomstwo, kobieta ze wstydu i rozpaczy, zdjąwszy pas z siebie, wiesza się na nim przy łożnicy, a mandaryn ze zgrozy i oburzenia podpala dom i ucieka w dalekie okolice, z mocném postanowieniem nie żenienia się po raz czwarty i szukania pociechy w zaciekach filozoficznych.

Rzeczywiście, jak powiada Grisebach, jest w powiastce téj materyał, z którego naturalistyczny romansopisarz francuzki, *mutatis mutandis*, mógłby wysnuć efektowną powieść realistyczną. Pokazuje się, że trzeźwy, praktyczny, sceptyczny umysł chiński dawno już próbował tego rodzaju literatury, o którym wyobrażamy sobie, że zrodził się we Francyi za naszych czasów pod piórem Flauberta, Zoli i innych; ile sądzić można z przekładu, zachodzi nawet pewne powinowactwo w stylu, szczegółach i manierze obu tych tak odległych czasem i przestrzenią kierunków.

Na ziemi obiecanéj podań, w Indiach, szukać należy pierwowzoru téj powiastki o wdowie wiarołomnéj. Dowiedzioną jest bowiem rzeczą, iż Chińczycy nie tylko buddyzm, ale wraz z nim i ogromny zasób wątków powieściowych przyjęli od Indów. W rozbieranéj tu opowieści są nawet wyraźne wskazówki, iż pojawiła się ona po wprowadzeniu buddyzmu do państwa niebieskiego.

Benfey podaje w Panczatantrze (II, od str. 303 baśń o wiarołomnéj żonie, którą streścić można następnie: Pewien bramin niezmiernie kocha żonę swoję i gdy ona nagle umiera, a głos z nieba oznajmia, że wtenczas tylko odżyje, gdy on pół życia swojego za to odda, chętnie czyni tę ofiarę; ale wskrzeszona małżonka zdradza go haniebnie dla jakiegoś cudnie śpiewającego kaleki i topi męża w studni; lecz późniéj bramin, wydobyty z wody i do życia przywrócony, upomina się o swoję połowę życia, a żona znowu umiera i tym razem już na zawsze.

Jest to jedna z wersyj ogromnie na wschodzie rozgałęzionego cyklu powieści o przewrotności i wiarołomstwie kobiét. Z różnemi odmianami znajdujemy wątek ten we wszystkich zbiorach podań perskich, arabskich (w 1001 nocy), talmudzie, a także w licznych redakcyach i modyfikacyach w Indiach. Tam, gdzie żona była prawie niewolnicą, postępowała jak niewolnik: za nieufność i pogardę mściła się fałszem, podstępem i oszukiwaniem. Dziwném jest doprawdy, gdy w romansach francuzkich i u Grisebacha czytamy tyle wyrzekań na dzisiejsze przeniewierstwo żon i tyle sposobów rozwiązywania zawikłań małżeńskich, które, wedle teoryi Dumasa redukują się do trzech typów: zabij ją, zabij siebie, niech się sama zabije. Rzecz zdaje mi się jasna, iż tam gdzie mężczyznie wszystko wolno, a od kobiety wymaga się anielstwa, nie może być mowy o poczytalności żon: dopóki one traktowane są jak odaliski i istoty niższe, dopóty nie można mówić o moralnych zobowiązaniach kobiét.

Czytelnik znajdzie w objaśnieniach Benfeya do Panczatantry (w tomie I) wiele wskazówek rozpowszechnienia wątku o wdowie wiarołomnéj na wschodzie. Do Europy dostał się on bardzo dawno, w postaci powieści „O matronie efezkiéj.“ Petroniusz obrobił go w swoim Satiriconie (111, 112). Treść tego obrobienia jest następna: Pewna nieutulona w żalu po śmierci męża żona postanawia umrzéć z głodu na mogile jego. Niedaleko cmentarza stoją trzy szubienice, a na nich wisi trzech świeżo powieszonych łotrów; przy nich postawiono żołnierza, aby pilnował, iżby wisielców nie skradziono. Żołnierz jest młody i ładny, ma jadło i wino; płacząca wdowa również jest młoda, ale przy tém głodna; żołnierz kusi ją naprzód jedzeniem, potém miłością; z początku bez powodzenia, potém z pomyślnym skutkiem. Lecz tymczasem rodzina jednego wisielca, korzystając z nieobecności straży, kradnie trupa z szubienicy; żołnierzowi grozi to śmiercią; domyśla się tedy czytelnik, że jak w powieści chińskiéj, nieutulona wdowa idzie po mózg nieboszczyka męża, tak tu matrona efezka oddaje ciało najdroższego męża na powieszenie zamiast porwanego wisielca.

Inną jeszcze drogą, w postaci „Historyi o siedmiu mędrcach„ przyszla powieść o wiarołomnéj wdowie do Europy i rozpowszechnila się niesłychanie w wiekach średnich. Czytelnik spotkał zapewne nieraz książeczkę jarmarkową z powyższym tytułem; otóż w niéj „Siódma powieść ostatniego mistrza Joachima o pewnym rycerzu, który dla trochy krwi swéj żony zakończył życie“ zawiera tę samę powiastkę, tylko z dodatkiem, iż kiedy wdowa zawiesiła swojego nieboszczyka na szubienicy, żołnierz przypomina sobie, że zdjęty z niéj łotr nie miał z przodu dwóch zębów; wtedy rozkochana wdowa wybija kamieniem dwa zęby mężowi i teraz już nie widzi przeszkód do pobrania się z pięknym żołnierzem; ale ten tak ją odprawia: „O nędzna i przeklęta między wszystkiemi niewiastami, któż odważyłby się pojąć ciebie za żonę? chyba diabeł a lucyper z piekła mógłby to uczynić“... To powiedziawszy, wydobył z pochwy miecz i uciął jéj głowę (1).

Wątek ten obrabiano w średnich i nowszych wiekach w Europie nader rozmaicie i często. W postaci anegdot, mniéj lub więcéj budujących i udatnych powieści prozą i wierszem, dramatów, komedyj, w formie rzeźby nawet, bajek zwierzęcych i oper spotykamy wiarołomną wdowę we wszystkich krajach. Nie będę tu wyliczał wszystkich metamorfoz téj fabuły, bo nie podając treści, musiałbym sporządzać suchy katalog, a wypisując treść, chociażby skróconą, rozciągnąłbym nad zamiar rozprawkę moję. Wspomnę tylko że Brantôme, Lafontaine, Voltaire („Zadią“), Alfred de Musset („La coupe et les lèvres,“ 1832), Goldsmith („Citizen of the world“, 1762 coś nakształt Listów perskich Monteskiusza, list 18), Lessing („Matrone von Ephesus,“ komedya niedokończona), Wieland, Chamisso i wielu innych, mniéj głośnych pisarzy, snuli rozmaite utwory na téj wiecznéj kanwie. Porównawcze badanie tych utworów rzuca bardzo pożądane światło, z jednéj strony na ducha czasu i otoczenia z drugiéj na pojęcia etyczne i społeczne piszących.

(*d. n.*) *Jan Karłowicz.*

---

(1) Zakres rozprawki mojéj nie dozwala mi pomówić obszerniéj o dziejach i rozpowszechnieniu niezmiernie lubionéj wiązki bajań, zawartéj w Liber de septem sapientibus. Ciekawi znajdą o tém obszernie w Kellera Les romans des sept sages, Paryż, 1836; Comparetti'ego Ricerche intorno al libro di Sindibad, Medjolan, 1869. Oprócz tych pism, literatura Siedmiu Mędrców bardzo jest obfita.

Finanse Rosyi w XIX wieku.

(*Ciąg dalszy*).

X.

Wracamy do czynności administracyi wewnętrznéj podczas działań wojennych.

Rozpoczęcie kroków wojennych i wyjazd cesarza z Petersburga wywołały wielkiéj doniosłości ukaz wydany d. 3 kwietnia 1812 r., określający sposób postępowania i porządek spraw w Radzie Państwa pod nieobecność monarchy w stolicy.

Prezesem wszystkich departamentów mianowany został przy téj okazyi ks. Łopuchin, a dla przyspieszenia decyzyi w sprawach wymagających asygnowania potrzebnych na wydatki funduszów, ukaz ten zlewał departamenty Prawa i Ekonomii Rady Państwa.

Wskutek takiéj zmiany w organizacyi Rady Państwa, Mordwinow, prezes dep. Ekonomii, musiał również opuścić swoje stanowisko i wyjechał z Petersburga.

Uwolnienie dwóch tych niestrudzonych pracowników, stojących na straży całości dochodów państwowych—Sperańskiego i Mordwinowa, usiłujących przedewszystkiém przywrócić nominalną wartość asygnat, podkopało odrazu przedstawiony przez nas powyżéj a zaledwie wprowadzony system finansowy. Odtąd nowe emisye pieniędzy papierowych następowały szeregiem jedna po drugiéj, powodując taką obniżkę ich wartości, że chwilami płacono niewiele więcéj jak 10 kopiejek za rubla.

Ukaz ten nakazywał także połączonym departamentom:

1) przejrzéć środki przedsięwzięte od 1810 r. we wszystkich gałęziach zarządu finansowego;

2) podać środki, jakie mają być przedsięwzięte na przyszłość;

3) wskazać środki do jakich należy się uciec w razie nadzwyczajnych wypadków.

Postanowienie takie sankcyonowało przygotowywaną od dawna reakcyą, tak, że następujący po tym ukazie manifest z d. 9-go kwietnia „wprowadzający wszędzie jednostajny obieg państwowych bankowych asygnat,“ to jest wprowadzający *obieg przymusowy*, podług wartości nominalnéj rubla papierowego, był tylko logicznem następstwem odniesionego nad Speranskim zwycięztwa.

Nie możemy też pominąć uwagi, że ogromną doniosłość tego manifestu, regulującego dowolnie dotychczasowe stosunki pieniężne, mało kto oceniał i rozumiał w ówczesném społeczeństwie, a że postanowienia naówczas powzięte znajdują poraz drugi niejakie zastosowanie w dzisiejszych stosunkach, uważamy za właściwe przytoczyć je tutaj we wszystkich szczegółach.

Manifest rzeczony brzmiał jak następuje:

„Dochodzące nas zewsząd wiadomości o zawikłaniach, jakie mają miejsce w niektórych guberniach Naszego państwa w obrotach pieniężnych, tak prywatnych, jak i w obrachunkach ze skarbem publicznym, przekonywają Nas coraz bardziéj o konieczności wprowadzenia wszędzie jednostajnego obiegu państwowych asygnat bankowych.

„W tym celu biorąc pod uwagę zdanie Rady Raństwa, postanawiamy:

„1. Wszelkie obrachunki i wypłaty na całym obszarze Cesarstwa dokonywać, poczynając od daty dzisiejszéj, w państwowych asygnatach bankowych.

„2. Papierami témi dokonywają się wszystkie tranzakcye: *a*) wypłaty osób prywatnych Skarbowi, *b*) wypłaty Skarbu osobom prywatnym, *c*) wypłaty osób prywatnych pomiędzy sobą.“

Po takim przepisie ogólnym manifest ten ustanawiał zarazem stopę pierwotnéj zamiany i tak: podatki, ciężary i zaległości, obliczane dotąd w srebrze, miały być pobierane w asygnatach, licząc po *dwa* ruble asygnacyjne za rubla srebrem; opłaty zaś celne, dochody z lasów i poczty, oraz z dóbr rządowych, jak niemniéj czynsze i dochody z innych źródeł, polecono przyjmować również w asygnatach, lecz tutaj licząc po *trzy* ruble asygnacyjne za rubla srebrem.

Wypłaty skarbu osobom prywatnym, obliczane w srebrze, polecono uskuteczniać asygnacyami *podług kursu dziennego*. Co się zaś tyczy wypłat pomiędzy osobami prywatnemi, to wszystkie umowy, zobowiązania i koszta, od chwili wydania rzeczonego manifestu miały być obliczane wyłącznie w asygnatach; dawniejsze zaś umowy w srebrze lub w asygnatach wedle kursu.

Wstąpiwszy zaś raz na dawną drogę, nie było już powodu do przestrzegania zalecanéj przez Speranskiego ogłędności w wypusz-

czaniu pieniędzy papierowych i w tejże dacie d. 9 kwietnia wydany też został ukaz imienny do ministra skarbu, upoważniający do wypuszczenia asygnat „na sumę potrzebną do pokrycia nadzwyczajnych wydatków wojennych.“

W ten to sposób, bez względu na nieobliczone szkody wyrządzone ówczesnemu i przyszłemu—aż do obecnéj chwili—gospodarstwu finansowemu, odtrącono jednę z najważniejszych podwalin programu Speranskiego, jaką stanowiło zmniejszenie ilości pieniędzy papierowych znajdujących się w obiegu.

Gdy w ten sposób usuwano zasadnicze podstawy, zaledwie co przyjętéj polityki finansowéj i wydalano z zajmowanych stanowisk takich mężów stanu jak Speranski i Mordwinow, dwaj przeciwnicy owéj polityki Armfeld i Rosenkampf, widząc pustki w kasie państwowéj zaproponowali naiwnie zaciągnięcie 6% pożyczki wewnętrznéj, z zastrzeżeniem przyjmowania w niéj nietylko asygnat i innych papierów oraz monety brzęczącéj i kruszców, lecz nawet brylantów i zapasów zboża. Połączone departamenty prawa i ekonomii Rady państwa odrzuciły jednak tę propozycyą, ponieważ uciekanie się rządu do tak ostatecznego środka, mogło było — ich zdaniem—jak najniekorzystniéj oddziałać na publiczność, a wybierając z dwojga uważano na mniéj złe, wypuścić na pokrycie potrzeb wojennych w r. 1813 wprost zagranicą około 70 milionów rubli asygnacyjnych.

Rezultat takiéj operacyi łatwy był do przewidzenia: pomimo nader trudnéj jak wiadomo komunikacyi w owe czasy, około 20 milionów z wypuszczonych naówczas asygnat w bardzo krótkim czasie powróciło do Rosyi, a kurs ich z 16 pensów za rubla obniżył się zrazu na 14, a następnie i na 12 pensów, czyli że za funt sterling zamiast 6 rub. 25 kop., musiano płacić 20 rubli—i to pomimo bardzo korzystnych warunków ówczesnego handlu z zagranicą, oraz otrzymanych od Anglii subsydyów.

Jak zwykle tak i tym razem następstwem takiego obniżenia się kursu asygnat była powszechna drożyzna, leniwe wnoszenie podatków, wzrastanie zaległości i t. p. objawy.

W takim stanie rzeczy minister skarbu Gurjew zaprojektował zamianę wszystkich znajdujących się za granicą asygnat na papiery procentowe, mianowicie na bilety kredytowe po 100 i 1000 talarów, które miałyby być wykupywane brzęczącą monetą w $^1/_{12}$ części co pół roku. Niewykonalny ten projekt słusznie jednak został odrzucony nie zyskawszy sobie uznania cesarza.

Tymczasem kłopoty skarbu wzrastały coraz bardziéj, gdyż wydatki na potrzeby wojenne ogromne pochłaniały sumy.

I tak: ze sprawozdania przedstawionego cesarzowi w Warszawie d. 24 marca 1815 roku przez głównodowodzącego wojskami, feldmarszałka ks. Barclay de Tolly okazuje się, że wydatki na wojnę francuską w latach 1812, 1813 i 1814 wynosiły w okrągłych cyfrach jak następuje:

	Rubli asygn.
Żołd	71,000,000
Kupno koni wierzchowych	7,000,000
Umundurowanie oficerów	1,500,000
Kupno i transport różnych efektów	4,500,000
Służba zdrowia	2,500,000
Remont koni	3,500,000
Żywność (racye)	8,000,000
Utrzymanie kozaków i konie pociągowe	6,000,000
Wydatki wewnętrznego departamentu intendentury	5,000,000
Żywność	12,000,000
Artylerya	2,500,000
Wydatki nadzwyczajne	5,500,000
Nagrody	6,000,000
Austryi i Prusom zapłacono	16,000,000
Hrabiemu Siewers i innym za amunicyą	3,500,000
Wydano na rachunek innych władz	1,000,000
Razem	155,500,000

Wypełniwszy zaś ściśle zaokrąglone wyżéj cyfry, otrzymamy jako rzeczywisty ogół wydatków wojennych w latach 1812—1814 rubli asygnacyjnych 157,450,410 kop. 59, czyli średnio na rok 52¼ mil. rub. asygn.

Wszystkie te okoliczności razem wzięte sprawiły, że ilość papierowych pieniędzy wzrosła w okresie od 1810—1816 r. do 700 milionów rubli. Oprócz tego, długi wewnętrzne powstałe z pożyczek zaciągniętych z Banku Pożyczkowego oraz z kapitałów opieki powszechnéj i innych źródeł, wynosiły 153 miliony rubli. Długi zaś zagraniczne, a w szczególności dług holenderski, po dzień 1 stycznia 1816 r. wynosił wraz z procentami 101,600,000 guldenów.

Ale urzędowe te cyfry przybliżone tylko dają pojęcie o smutnym stanie finansów, do jakiego doprowadzały Rosyą ciągłe wojny, w okresie tych dziesięciu lat od 1805 do 1816 r. Położenie to pogarszała w znacznym stopniu okoliczność, że armia Napoleona wprowadziła do Rosyi ogromną ilość fałszywych asygnat, co rozumie się spowodowało wielki zamęt w stosunkach i utrudniło bardzo obieg pieniędzy. Rząd téż chcąc uniknąć katastrofy, był zmuszony przyjmować na równi z prawdziwemi fałszywe te asygnaty, powiększając o tyle ciężary państwa.

XI.

Po powrocie cesarza Aleksandra do Petersburga i przywróceniu ukazem z d. 10 stycznia 1816 roku dawnego porządku rzeczy w Radzie państwa, życie wewnętrzne Rosyi weszło w zwykłą koléj; zgubne jednak następstwa wojny 1812 roku, dotkliwie ciążyły na ekonomicznym stanie kraju i wywoływały powszechne narzekania. Niechcąc zaś widziéć istotnych przyczyn biedy, tkwiących w zgubnym powrocie do dawnéj nieoględności, targnięto się jeszcze na ostatnie resztki zbawczego programu Speranskiego.

I tak: upadek handlu i przemysłu przypisywano przedewszystkiem zmianom wprowadzonym przez taryfę celną z 1810 r. Rząd zatém czyniąc zadość ogólnym żądaniom, przystąpił z początkiem 1815 r. do przejrzenia niektórych jéj przepisów.

W tym celu ustanowiono komitet specyalny, który po odpowiednich naradach zaproponował: zezwolić na wprowadzenie do Rosyi wielu przedmiotów dotąd wzbronionych w przywozie, a od innych cło obniżyć.

Przejrzana w ten sposób taryfa, miała obowiązywać przez 12 lat, poczynając od d. 1 stycznia 1816 r. Rada państwa jednak rozpatrując ją w końcu 1815 roku zmieniła niektóre rozporządzenia, odnoszące się do wywozu kruszców i wódki, co spowodowało zwłokę, że nowa taryfa ogłoszoną została dopiero dnia 31 marca 1816 roku.

Owóż jakkolwiek niewiele czasu upłynęło od zmiany finansowéj polityki państwa, jednakże i to krótkie doświadczenie dostatecznie było przekonywającém, że system zwolenników asygnat jest w istocie zgubnym i że racyonalniejsze były chociaż liberalne poglądy Speranskiego i Mordwinowa, aniżeli deklamacye reakcyonistów.

Doszedłszy więc do takiego przeświadczenia, powołano znowu Mordwinowa na zajmowane przez niego poprzednio stanowisko i niebawem (d. 30 sierpnia 1816 r.) powrócono téż Speranskiego z wygnania, mianując go gubernatorem penzeńskim.

Pierwszą czynnością Mordwinowa, po ponownem objęciu tych obowiązków, było wyłożenie zasad, któremi miał się na przyszłość kierować. Zasady te wyłuszczył w obszernym i bardzo szczegółowym memoryale, przedstawionym Radzie państwa p. t. „O zgubnych rezultatach, jakie za sobą pociąga zarówno dla skarbu jak i dla prywatnego mienia, błędny zarząd skarbem państwa.“

Praca ta miała za przedmiot obronę systemu, któremu Mordwinow hołdował, kiedy opuszczał departament ekonomii państwo-

wéj w 1812 roku, ale ponieważ uwagi w niéj zawarte, pomimo tak znacznéj przestrzeni czasu, jaka od ich wypowiedzenia ubiegła, nie utraciły bynajmniéj wartości swojéj *i mogłyby z korzyścią być wysłuchane obecnie*, mamy zamiar przytoczyć je tutaj w dosłownéın brzmieniu.

„Wypuszczenie w obieg zbytniéj ilości papierowych pieniędzy—pisał Mordwinow *w 1816 roku*—ilości przewyższającéj konieczną potrzebę zamiany, jest najzgubniejszą ze wszystkich czynności, jakie mogą państwo na szwank narazić. Pomyłka rządu w innych gałęziach administracyi państwowéj przynosi zazwyczaj szkodę, ograniczającą się do dziedziny zarządu, w którym popełnioną została, zdeprecyowanie zaś wartości monety dotyka wszystkich gałęzi narodowego gospodarstwa i dla tego skutki tych błędów i szkody przez nie zrządzone są daleko większe—niemal nieobliczone.

„Żadna osobista krzywda, żadna niesprawiedliwość, żadne naruszenia prawa publicznego, choćby najbardziéj dotkliwe, nie może oddziałać na umysły i serca poddanych w takim stopniu, jak pozbawienie pieniędzy wartości jaką im pierwotnie nadano.

„W razie upadku wartości monety utyskuje obywatel, szemrze żołnierz, daje się przekupywać sędzia, chroma wierność, słabnie pomoc i zmniejszają się wzajemne usługi; porządek, spokój i cnota, ustępują miejsca występkom, nierządowi i rozpuście.

„I nie może być inaczéj, gdy wszyscy zostają tém dotknięci, skoro mienie każdego codziennie się zmniejsza, gdy traci zarówno bogacz jak i biedny, marnotrawca i człowiek oszczędny, próżniak i pracowity, obarczony rodziną i kawaler, kiedy każdemu staje przed oczami widmo nędzy, tém straszniejsze, że niezasłużone osobiście.

„Przebranie miary w wypuszczaniu pieniędzy papierowych—mówiąc prawdę bez ogródek — nie jest niczém inném jak utajoném przywłaszczaniem sobie cząstek mienia wszystkich obywateli kraju. Wszystkie téż znane rewolucye brały początek w rozstroju finansów i zaniedbaniu przez rząd środków, zmierzających do ich polepszenia. W takiém położeniu państwa wszyscy poddani jednozgodnie manifestują niechęć, szemrzą i wreszcie powstają.“

Wywody te kończył Mordwinow następującemi słowy:

„Poprawienie naszych finansów zależy wyłącznie od dobréj woli rządu, ale potrzeba postanowienia niezłomnego i wytrwałości w wykonaniu. Chcąc dopiąć tego, nieodzownéın jest przedewszystkiém ścisłe umiarkowanie w szafowaniu dochodami. Każdy zbytek, każde chwilowe zachcenie i wogóle każdy wydatek nieusprawiedliwiony konieczną potrzebą, powinien być poczytany za zbrodnię stanu, za zamach na dobro publiczne.

„Udręczenie Rosyi i tak jest już wielkie — cierpią wszystkie stany. Szemrania rozpościerają się na całéj przestrzeni Państwa: w każdém mieście, w każdéj rodzinie, w każdém zebraniu, przy każdém zetknięciu się osób jedném wszędzie rozpoczyna się i kończy każda rozmowa — sarkaniem na drożyznę, na utratę mienia, na zmniejszenie się możności zaspokojenia najniezbędniejszych potrzeb. Bogacz skarży się—że zubożał, zamożny—że zbiedniał, biedak—że się stał nędzarzem; a głos tak licznéj masy jest przekonywający i nakazuje przedsięwziąć niezwłocznie środki zaradcze, lecz nie czasowe i zmienne ale stałe i rzeczywiście skuteczne.“

Skreślony przez Mordwinowa obraz ówczesnego stanu rzeczy, nie był bynajmniéj przesadzonym, co gorsza nie było sposobu zdać sobie dokładnie sprawy, co należy przedsiębrać, żeby stanowczo złemu zaradzić przy danym składzie administracyi....

Program ówczesnego ministra skarbu Gurjewa, zamiast usuwać złe z gruntu, zalecał tylko półśrodki; ponieważ jednak był łatwiejszy do wykonania i ponętniejszy dla ludzi, dla których *własne ja i obecna chwila* najważniejszą odgrywają rolę, został więc przyjęty i postanowiono wycofywać z obiegu pieniądze papierowe, poczynając od 1817 roku, przeznaczając na to, oprócz specyalnych funduszów wpływy w mających się zaciągnąć na ten cel pożyczek.

Jak dalece błędném było przedsiębranie podobnych półśrodków, okazały najwymowniéj rezultaty: pomimo bowiem, że w przeciągu pięciu lat od 1817 do 1822 r. wycofano z obiegu za pomocą owych pożyczek i innych resursów około 240 milionów rub. as. i zmniejszono ogólną ich ilość do 595,776,310 rubli w 1823 roku, kurs jednak rubla asygnacyjnego prawie się nie zmienił. Ale inaczéj być przecież nie mogło, gdyż wydatki państwa powiększyły się o całą sumę procentów należnych od zaciągniętych pożyczek, a nie zrobiono nic dla ożywienia pracy narodowéj.

Wprawdzie kwestya włościańska zwróciła na siebie uwagę ówczesnych statystów, dzięki czemu zrobiono téż niejakie ulgi poddanym, lecz nie nadszedł był jeszcze czas do działań stanowczych. Jakkolwiek dążenia rządu schodziły się tu z dążeniami inteligencyi, myślących w duchu prawdziwego postępu było jeszcze bardzo niewielu. Skoro bowiem kwestya włościańska stanęła na porządku dziennym i odezwały się liczne głosy z publiczności, większa ich część odsądzała ludność włościańską od praw, jakie zarówno rząd jak i więcéj postępowa część społeczeństwa zaczęły jéj były przyznawać.

Bądź jak bądź pojawiły się z tego tytułu liczne projekty reform, z pomiędzy których dość wspomnieć propozycye hr. Stenbocka, Berga i hr. Strojnowskiego.

Ogólnie jednak biorąc, opinia publiczna nie była jeszcze dostatecznie wyrobiona i przychylna radykalnéj reformie włościańskiéj, tembardziéj że i rząd nie miał jeszcze podówczas *jasno wytkniętego programu*, gdyż jakkolwiek instytucye projektowane przez Speranskiego pociągały za sobą koniecznie tę reformę, nie wchodziła ona jednak bezpośrednio do jego planu.

Wobec takiego ogólnego niezdecydowania pozostawiono swobodę rozwiązywania kwestyi włościańskiéj na zasadach określonych w ukazie „O wolnych rolnikach;“ ale widząc jak nielicznie z prawa tego korzystano (1), zamierzył rząd oprzéć tę reformę na zasadach bardziéj określonych i więcéj ogólnych.

Pierwszym krokiem w tym kierunku były „Postanowienia Estlandzkie“ z d. 23 maja 1816 r., na mocy których włościanie, poddani w gubernii Estlandzkiéj otrzymywali wolność z prawem nabywania własności nieruchoméj, stopniowo w ciągu lat 14. Obok tego w pierwszych dwóch instancyach podlegali oni sądom złożonym z osób swego stanu i tylko sądownie mogli być karani.

W dwa lata po tém, na tych samych warunkach, otrzymali wolność włościanie w gubernii kurlandzkiéj. Nie otrzymawszy jednak gruntów, tak jedni jak i drudzy, zostawali w ciężkiéj zależności od obywateli ziemskich.

Gdy w ten sposób kształciła się w sferach rządowych „myśl polepszenia bytu włościan,“ polecił cesarz opracowanie téj kwestyi podług udzielonych przez siebie wskazówek J. F. Kancrynowi (generał-intendentowi armii a następnie ministrowi skarbu), z czego powstała broszura w francuskim języku p. n. „Uwagi nad oswobodzeniem włościan rosyjskich z zależności poddańczéj.“

Myśli w téj pracy zawarte, a jak powiedzieliśmy podyktowane autorowi przez Aleksandra, pouczają, iż zamierzano przedsiębrać reformę w duchu ustawy estlandzkiéj.

Wysoką ostrożność rządu w téj sprawie tłómaczy wzgląd na nieprzychylny dla niéj nastrój inteligencyi ówczesnego społeczeństwa.

Kancryn należał także do trwożliwych i bardzo oględnych polityków; ponieważ jednak położenie włościan w Rosyi było tak straszne, iż—jak powiada — „stan taki przeciwny jest ludzkim i boskim prawom,“ nie mogły go więc zadowolnić projektowane półśrodki i w *Uwagach* swoich domaga się zupełnego oswobodzenia włościan

---

(1) Podług danych urzędowych w okresie piętnastu lat od 1805 do 1820 roku oswobodzono na tych zasadach zaledwie 30,000 włościan, w któréj to liczbie znajduje się nadto 20,000 włościan ks. Golicyna, którzy wykupili się, spłaciwszy jego długi (*Notatki* J. D, Jakuszkina, str. 37).

Nie robi on tego jednak bez zastrzeżeń. W *Uwagach* tych czytamy, że *„byłoby niesprawiedliwém, nieostrożném a nawet i niemożebném dać włościanom wolność odrazu.“*

Doraźne rozwiązanie kwestyi miało być niesprawiedliwém względem obywateli, nieostrożném i niebezpieczném dla włościan, a niemożliwém dla rządu. I dla tego autor *Uwag* projektował szereg środków doprowadzających stopniowo do trwałego polepszenia bytu włościan i zupełnego zniesienia poddaństwa *w ciągu lat trzydziestu*, tak, że poddaństwo ustałoby zupełnie dopiero w 1850 r.

Taki brak stanowczości u człowieka, ktory poznał dokładnie całą grozę położenia włościan i pomimo to decyduje się na odroczenie chwili przyznania im wreszcie owych „praw ludzkich i boskich“ do tak oddalonego terminu, najlepiéj świadczy, jak drażliwém zatém i jak trudném było naówczas rozwiązanie téj kwestyi.

Podobną oględność widzimy téż i w poleceniu, wydaném przez cesarza hr. Arakczejewowi (1818 r.) „opracowania projektu wyzwolenia włościan z poddaństwa,“ z zastrzeżeniem *„aby projekt nie zawierał żadnych uciążliwych warunków dla właścicieli ziemskich.“*

Arakczejew stosując się do téj instrukcyi projektował, żeby rząd przeznaczał corocznie 5 milionów rubli na kupno włościan wraz z ziemią od właścicieli ziemskich, za dobrowolną ugodą z tymi ostatnimi.

Rozwiązanie Arakczejewa trafiło cesarzowi do przekonania i byłoby niewątpliwie wprowadzone w wykonanie, gdyby nie wypadki polityczne i zamieszania w niektórych państwach południowéj Europy, a nadewszystko gdyby nie nieszczęsna sprawa pod tę właśnie porę przypadła Siemionowskiego pułku, który jakkolwiek bez broni, w szyku jednak bojowym wystąpił z protestem, wbrew rozkazowi dowódcy, przeciwko dopełnionym aresztowaniom i to jednocześnie z burzeniem się włościan; okoliczności te bowiem spowodowały nowy niekorzystny zwrot w usposobieniu i zamiarach Aleksandra.

Już-to cesarz Aleksander od czasu powrotu swego do Petersburga w końcu 1815 roku znacznie się był zmienił: zdawał się być znudzonym i jakby rozstrojonym; zaniedbywał obchodzenia wszelkich uroczystości i unikał towarzystwa, pędząc czas samotnie w Carskim-Siole. Jedyną jego rozrywką była nadzwyczaj szybka, niemal szalona jazda i ciągłe podróże (1). Stał się przytém surowym i bar-

---

(1) Podług obliczeń kamerkurjerów; Aleksander I miał przejechać w ciągu życia 200,000 wiorst.

dzo wymagającym: naprzykład sekretarza stanu Mołczanowa, nietylko nagle uwolnił lecz polecił oddać natychmiast pod sąd.

Tyczasem młodzież wojskowa wprowadziła z zagranicy i szerzyła w armii nowe poglądy i dążenia, a propaganda ta, tak dalece się rozpostarła, iż rozpoczęto śledztwo nad całém ministeryum wojny wraz z ks. Gorczakowem, ministrem, na czele.

Łatwo zrozumiéć, że w takich okolicznościach sprawa pułku Siemionowskiego musiała nader silnie podrażnić cesarza i wzmocnić jego podejrzliwość i niedowierzanie, tembardziéj, że nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, bawiąc podówczas zagranicą, otrzymał on tę wiadomość późniéj aniżeli ks. Metternich, któremu nastręczyło to doskonałą sposobność przedstawienia wypadku w bardzo jaskrawém świetle i na tle koniecznéj potrzeby przedsiębrania energicznych środków represyjnych, oraz wzmocnienia wogóle władzy absolutnéj.

Projekt zatém oswobodzenia włościan został zupełnie zaniechany i odtąd zaczyna się w Rosyi życie grobowo ponure. Cesarz Aleksander coraz mniéj zajmuje się sprawami państwa i chęć zrzeczenia się tronu, nieobca mu w młodości, powraca znowu, lecz silniejsza, gdyż bardziéj uzasadniona.

Na czele rządu państwa stoi teraz surowy, nieubłagany, a ciemny Arakczejew, stanowiący prawdziwy kontrast z ludźmi, jacy otaczali Aleksandra w pierwszych latach jego panowania.

Władzy Arakczejewa oddane są wszystkie ministerya, nawet i sprawy duchowne.

Jeden z najsympatyczniejszych i najbardziéj wybitnych mężów epoki Aleksandra, ks. Golicyn, minister oświecenia publicznego, zostaje uwolniony i zastąpiony przez ograniczonego zacofańca, admirała Szyszkowa. Sprawa téż oświaty, wytrącona gwałtownemi środkami Arakczejewa i godnego jego towarzysza Magnickiego z liberalnego toru, na który wprowadził ją był sam Aleksander, otrzymuje nagle wsteczny kierunek. Wykłady uniwersyteckie zostają oddane pod ścisły nadzór, zaczyna się prześladowanie profesorów, książki zagraniczne zostają na nowo prawie zupełnie wzbronione i cenzura wchodzi na drogę prześladowań i ucisku.

W ministeryum skarbu nastają nowe rzucania się na różne strony, ale pomimo że sprawozdania ministeryalne głoszą, iż „wszystko jest w bardzo pomyślnym stanie,“ pomyślności téj jednak w niczém dopatrzyć się nie można.

Minister skarbu Gurjew używał opinii człowieka słabego, ulegającego wpływom i przekładającego własne zyski nad pomyślność państwa.

Przy takim zarządzie skarbu publicznego, stan finansów nie mógł być pomyślnym: wydatki na cele wojenne, procenty od zaciągniętych długów oraz pozycye nie mające zapewne specyalnych tytułów w budżecie... wymagały tak znacznych funduszów, że pomimo ogromnego powiększenia się dochodów państwa, bo ze 110 milionów rubli w 1810 r. wzrosły one do 450 milionów w 1820 r: i pomimo wykazywanych ciągle znacznych przewyżek budżetowych, niemożebném było dochodami temi zadość wszystkiemu uczynić, że zaś wobec tak świeżo rozpoczętego wycofywania asygnat, nie bardzo było przyzwoitém łatać się nowemi emisyami,—a bardziéj może jeszcze, ponieważ nizki ciągle kurs rubla, nie mógł wiele z nich obiecywać,—postanowiono uciec się do nowéj pożyczki i dnia 16 sierpnia 1820 r. zapadł ukaz, polecający „zaciągnięcie 5%-owéj pożyczki zewnętrznéj, na sumę 40 milj. rubli w srebrnéj bankowéj monecie.

Dla zjednoczenia znowu obrotu wszelkich funduszów państwowych oraz ujednostajnienia rachunkowości wszystkich dochodów i wydatków, ukaz z d. 2 lutego 1821 r. ustanawiał w ministeryum skarbu, Departament kasy państwa, przy którym otwarta téż wkrótce została, oddzielna kasa główna.

Ale tak pożyczka świeżo zaciągnięta, jak i zmiana w biurowéj rachunkowości funduszów nie wpłynęły bynajmniéj na polepszenie finansowego położenia w następnym roku. Skarb państwa miał przed sobą ciągłą otchłań, któréj nigdy i niczém nie mógł wypełnić. Okazało się że same pożyczki udzielone przez kasę państwa osobom prywatnym, wynosiły w 1821 r. więcéj, niż 100,000,000 rubli. A tu do ogólnych potrzeb wewnętrznych, przyłączyła się mniemana konieczność utrzymywania znacznéj siły zbrojnéj w Królestwie Polskiem. Zrazu bowiem wydatki te, wynoszące rocznie przeszło 17 milj. rubli pokrywano z kontrybucyi wojennej, wypłacanéj Rosyi przez Francyą, lecz gdy zbrakło tego resursu, musiały one wejść do zwyczajnego budżetu ministeryum wojny, które jak to widzimy z poniższego wykazu, olbrzymie—jak na owe czasy—pochłaniało sumy:

Wydatki ministeryum Wojny.

w okresie od 1820 do 1826 roku.

W 1820 r.	197,770,936	rubli.
„ 1821 „	182,339,010	„
„ 1822 „	185,889,354	„
„ 1823 „	195,555,909	„
„ 1824 „	157,235,876	„
„ 1825 „	155,202,151	„

Wobec ciągłego pogorszania się położenia, minister skarbu, nie mogąc sobie poradzić inaczéj, proponuje ustanowienie nowych podatków; składa więc pod rozpoznanie połączonych departamentów Rady Państwa, elaborat, w którym główny nacisk na to kładzie, że proponuje tego rodzaju nowe podatki „które nietylko będą wstanie powiększyć dochody państwa, *ale są słuszne i sprawiedliwe.*“ Chodziło tu zaś o obłożenie opłatami spadków, testamentów, aktów urzędowych i o wprowadzenie opłaty stemplowéj.

Ale ponieważ proponowane przez Gurjewa podatki spadały całym ciężarem na klasy zamożne, uprzywilejowane, zatém wniosek jego został bezwarunkowo potępionym w Radzie Państwa.

Konieczność jednak powiększenia środków skarbu była stanowczą; chociaż więc Rada Państwa odrzuciła w całości projekt ministra, ukaz z d. 24 listopada 1821 r., zrobił wprawdzie ustępstwo Radzie, przemilczając o podatku od spadków i testamentów, lecz wprowadził opłatę od aktów i zapisów urzędowych, na zasadach proponowanych przez ministra skarbu.

Wszystkiego tego jednak było zamało—i gdyby tylko nie było śmieszném—powiedzielibyśmy, że położenie finansowe w 1822 r. było jeszcze trudniejsze niż lat poprzednich.

W istocie, przemysł krajowy podkopany przez wprowadzenie wprost przeciwnéj jego interesom taryfy 1819 roku, zachwiał się, tamując handel wewnętrzny i wszędzie czuć się dawało wielkie przygnębienie.

Co do zgubnych skutków taryfy opatrzono się i wracano do *status quo ante*, jakiego wymagał ówczesny stan krajowego przemysłu, ale na owoce nowego tego postanowienia, długie lata trzeba było czekać, gdy tymczasem, nie było czém zaspokoić wypłat terminowych i rząd przymuszony był zaciągnąć nową 5%-ową pożyczkę zewnętrzną, na sumę 43 milionów rubli srebrem, za pośrednictwem domu bankierskiego Rotschilda w Paryżu, z któréj wpłynęło, bez mała 33 mil. rub. srebrem.

Wpływy z „drugiéj“ téj pożyczki, tak samo, jak i z „pierwszéj“ miały służyć „na wzmocnienie kasy państwa oraz spłacenie poprzedniego długu.“

Jak się okazuje z tego wszystkiego, kombinacye finansowe Gurjewa, po których—stosownie do jego zapewnień—spodziewano się niechybnéj pomyślności, ostatecznie, zupełnie zawiodły. Wprawdzie w sprawozdaniach czytamy ciągle, że „wszystko idzie jaknajlepiéj,“ w kasach miały się okazywać remanenty i na papierze dochody państwa *przewyższały o wiele wydatki*, w rzeczywistości jednak

wszystko było inaczéj, gdyż sprawozdania zawierały cyfry fikcyjne i skarbowi groziło niechybne bankructwo.

Procenty od długów zaciągniętych na wycofywanie asygnat, obciążały budżet wydatkiem 5-u milj. rubli srebrem, a kurs rubla asygnacyjnego pozostał prawie w jednéj mierze: z 4 rubli, zeszedł do 3 rub. 73 kop. za rubla srebrem.

Narzekania podnoszące się zewsząd zaczęły wreszcie rząd niepokoić i minister Gurjew, ku wielkiemu zadowoleniu ogółu, zostaje uwolnionym od obowiązków.

Ważna to niezmiernie data w historyi rosyjskich finansów: dnia 23 kwietnia 1823 r., miejsce Gurjewa obejmuje Kancryn, stanowiący prawdziwe przeciwieństwo ze swym poprzednikiem.

Zdaniem współczesnych, zmiana ta miała być głównie dziełem Arakczejewa. Jeżeli to prawda, byłby to jedyny niestety czyn w jego publicznym zawodzie godny uznania ze strony rosyjskiego społeczeństwa.

XII.

Ponieważ w Rosyi, jako państwie ściśle monarchicznem, bieg spraw w każdéj gałęzi zarządu, zależy przeważnie od przymiotów osobistych człowieka, stojącego na jego czele, gdyż przymioty te lub przywary wywierają stanowczy wpływ na zachowanie się podwładnych i sposób załatwiania spraw, nadając całéj téj gałęzi administracyi pewien charakter, odzwierciadlający zdolności i upodobania kierownika, zatém uważamy przedewszystkiém, za właściwe, poświęcić nieco miejsca charakterystyce ministra, który nadawał ton w zarządzie skarbowym przez lat 20 od 1823 do 1843 r.

Jerzy Kancryn minister skarbu, wyniesiony następnie do godności hrabiego, urodził się w 1774 r. w Hanau, w elektorstwie Hesskiem, skąd ojca jego Franciszka, autora cennego 13-sto tomowego dzieła p. t. *Zasady przemysłu górniczego i solnego*, sprowadziła była do Rosyi Katarzyna II w r. 1793, powierzając mu zarząd górnictwa i zakładów solnych, które też zostając pod jego kierunkiem do r. 1816 doszły do wysokiego stopnia rozwoju.

Jerzy po skończeniu studyów i przeniesieniu się ojca do Rosyi zostaje mianowany w r. 1796 jego pomocnikiem. W r. 1809 napisał Kancryn, kilka uwag o finansach rosyjskich, w 1811 zaś wydał rozprawę *O sposobie prowiantowania wielkiéj armii.* Dziełko to zwróciło uwagę cesarza Aleksandra I-go i spowodowało tak prędki awans autora, że w 1813 Kancryn został mianowany generał-intendentem wszystkich armij czynnych i towarzyszył wojskom rosyjskim do Pa·

ryża. W r. 1815 poruczono Kancrynowi uporządkowanie i zlikwidowanie rozrachunków z rozmaitemi państwami, a w szczególności, ukończenie z rządem francuzkim sprawy o 30 milj. franków kontrybucyi wojennéj, z któréj to misii Kancryn wywiązał się nader szybko i szczęśliwie, za co nagrodzony został rangą generał-adjutanta.

Wszystkie te zajęcia praktyczne—pomimo, że je pełnił sumiennie, nie pochłonęły mu całego czasu i w r. 1820 wydał rozprawę. *O Ekonomii wojskowéj w czasie pokoju i wojny oraz jéj roli w ruchu wojsk*, która nazwisko autora w Europie znaném zrobiło, a w r. 1821 wychodzi najlepsze jego dzieło p. t. *Bogactwo świata i gospadarstwo państwowe*, któremu zawdzięcza tekę ministra skarbu.

Stan finansów rosyjskich, był naówczas—jak wiemy—bardzo opłakany, gdyż kasie państwa groziło już bankructwo. Nowy minister skarbu musiał zatém, od pierwszéj chwili swego urzędowania, przedsięwziąć wszędzie energiczne środki i stosować ściśle zasady swego finansowego systemu, wyłożone w dziele *O bogactwie świata i gospodarstwie państwowém*.

Był to system bardzo prosty. Kancryn upatrywał wielkie podobieństwo pomiędzy gospodarstwem państwowém i osoby prywatnéj, dla tego téż, jego teorya czerpała wiele zasad z praktycznego codziennego życia, którym on zawsze hołdował. Zasady te, wyłożone w jego *Bogactwie świata* itd., powtarzają się téż, bez znacznéj odmiany w jego *Ekonomii społeczeństw*, wydanéj w r. 1845.

Podług Kancryna główném zadaniem zarządu finansowego, powinno być oddziaływanie na podniesienie dobrobytu wszystkich obywateli po szczególe, nie zaś bezpośrednie powiększenie ogólnych dochodów państwa. Ideałem jego jest średnia zamożność mas narodu, nie zaś ogromne dochody pojedyńczych bogaczów, po za któremi kryje się zwykle nędza większéj części ludności. Bogactwo jednych, w życiu prywatném, powstaje zazwyczaj—zdaniem jego—kosztem drugich i tak samo rzecz się ma w sferze handlu zagranicznego. „Jedne narody wzbogacają się i wynoszą nad drugie, albo chytrością, albo przemocą; ztąd téż kraje handlowe, bogate, są niebezpieczne pod każdym względem.“

Te to poglądy Kancryna budziły w nim obawę Anglii i powodowały skłonność do systemu protekcyjnego. „Istnienie niezależne i bezpieczne, głównym jest celem dla narodu—powiada Kancryn—i bogactwo narodowe, temu celowi służyć powinno.“ „W życiu państwowém, zarówno jak i prywatném—zwykł był téż mawiać—należy głównie o tém pamiętać, że daleko trudniéj jest zrujnować się wydatkami podstawowémi, jak codziennemi błahostkami; tamtych bowiem nic robi się dorywczo, lecz po pewnym namyśle, a na drob-

ne wydatki nie zwraca się uwagi, gdy tymczasem *miarka zbiera się z ziarnka do ziarnka.*

W głównych rysach system finansowy Kancryna był protekcyjny, zamknięty w sobie, nieruchomy, konserwatywny. Mimo to jednak trzeba przyznać, że system ten był zupełnie odpowiedni w r. 1823 stanowi w jakim znajdowały się finanse rosyjskie. Położenie bowiem skarbu podówczas było jaknajsmutniejsze i dobrobyt państwa mocno zachwiany. Sam Kancryn nam to mówi: „Nie wszystkie rany 1812 r. były zagojone; taryfa celna 1819 r. zabiła wiele przedsiębierstw fabrycznych, które zaledwie w 1822 r. zaczęły trochę powracać do życia; wszelkie należności pieniężne wpływały bardzo wolno; Bank Handlowy zamiast pomagać, szkodził prawidłowemu handlowi; ceny zboża spadły, podatki wnoszono opieszale i publiczność nie dowierzała instytucyom rządowym, zarówno wskutek nieakuratności wypłat, jak i wskutek surowości prawideł stosowanych względem osób prywatnych, szczególniéj téż przez ministeryum skarbu. Obok tego, liczne emisye asygnat dokonywane w ciągu wielu lat, w ilości przekraczającéj rzeczywiste potrzeby kraju, obniżyły wartość pieniędzy papierowych, podniosły cenę artykułów spożywczych i tylko pozornie powiększały dochody państwa. Zalanie kraju pieniędzmi papierowémi i rozporządzenia rządowe, zmierzające do podtrzymania ich kursu, spowodowały liczne nadużycia, mianowicie, rozwinęły w wysokim stopniu ażjoterstwo.“

O nadużyciach ztąd powstałych, tak się Kancryn wyraża: „...Zaprowadzono w własnym kraju najrozmaitsze mienne (ażjo) na srebrze w stosunku do asygnat i podnoszono je zupełnie dowolnie, nie licząc się z rzeczywistym kursem, inne mienne mieliśmy w obydwóch stolicach, inne w każdém gubernialném mieście. Oczywistym celem zdrożnéj téj spekulacyi było, aby dowolném podnoszeniem miennego, obniżać wartość zobowiązań uprzednio zaciągniętych i osiągać nadmierne, a niesłuszne zyski w terminie wypłat“...

Takie było istotnie położenie, a jak widzieliśmy, do 1823 r. nie przedsięwzięto żadnych racyonalnych środków, żeby złe usunąć, lecz owszem, pogorszano ciągle sytuacyą.

Kancryn jako minister finansów,—powiedzmy to z góry—zorganizował i doprowadził do normalnego stanu budżet, a szeregiem rozporządzeń zgodnych z duchem czasu i okolicznościami, ocalił skarb państwa—uchronił go od gwałtownéj katastrofy.

Pierwszą czynnością nowego ministra było odwołanie corocznego wydatku 30 milj. rub. przeznaczonych na wycofywanie odpowiedniéj ilości asygnat z obiegu, aby tym sposobem ulżyć, choć o tyle, przeciążonéj kasie państwa. Od 1823 r. nie wycofywano asy-

gnat z obiegu, ale też i nie wypuszczano nowych i ogólna ich ilość wynosząca w d. 1 stycznia 1824 r. 595,776,310 rubli pozostała niezmienioną, aż do 1843 roku.

Daléj, przez pierwsze kilka lat, główną pracę Kancryna stanowiło usunięcie nadużyć i zaprowadzenie w administracyi skarbu, ścisłego porządku. Ku temu skierował on wszystkie swoje zdolności i całą swoję energią, gdyż nie była to praca łatwa. Ale przykra świadomość tak smutnego położenia, jednocześnie z coraz bardziéj niepokojącemi wieściami o duchu rewolucyi, jaki się szerzył w armii, wywierały bardzo niekorzystny wpływ na usposobienie i zdrowie Aleksandra I-go i niespodzianie, dnia 19 listopada 1825 r., po krótkiéj słabości umiera on w Taganrogu.

Kiedy cesarz Mikołaj tron obejmował, ministeryum skarbu miało już wytkniętą nową drogę i gospodarstwo państwowe wchodziło na tor prawidłowy.

XIII.

Cesarz Mikołaj wstąpił na tron d. 24 grudnia 1825 r. Nie będąc przeznaczonym do objęcia tronu, poświęcał się wyłącznie sztuce wojennéj i ta jednostronność w wychowaniu, odbiła się téż na jego charakterze i poglądach.

Od polityka, od męża stanu, a tembardziéj od naczelnika państwa, zwykliśmy wymagać otwartego umysłu, gruntownéj znajomości przyczyn i celów wszelkich objawów społecznego życia, głębokich poglądów, nieograniczonéj miłości kraju i obok niezłomnéj siły woli w razach stanowczych, nie mniejszéj powolności w zaparciu się siebie, gdy tego wymaga prawo postępu; wiodące za sobą dobro narodu.

Zawód zaś wojskowy urabia jedynie siłę charakteru i uczy miłości ojczyzny. Dwa téż te przymioty, posiadał cesarz Mikołaj I w najwyższym stopniu—ale tylko te dwa, i w tém téż szukać należy usprawiedliwienia owéj surowości, jaką zasłynął oraz niezachwianéj jednostajności w kierowaniu życiem państwowém przez cały ciąg trzydziestoletniego panowania swego.

Gdyby wychowanie cesarza Mikołaja nie było tak jednostronném, a okoliczności towarzyszące jego wstąpieniu na tron, były pomyślniejsze, niezawodnie, te jego przymioty nie byłyby mu pozwoliły stać się chorążym reakcyi i nie byłby on doprowadził Rosyi do smutnego położenia, w jakiem się znalazła podczas wojny Krymskiéj. Ale obejmując ster władzy w dzień wybuchu rewolucyi „grudniowéj,“ niepodobna mu było przyjąć *zrazu* innego kierunku, a nieugię-

ty znowu jego charakter, nie pozwolił mu już na chwilę zwinąć wywieszonéj bandery.

Powstanie zatém „diekabrystów“ dało pochop do represyi i z tego względu fakt ten, chociaż nieudany, nabiera istotnego historycznego znaczenia.

Okazawszy się w téj chwili pewnym swojéj potęgi i nieugiętym, cesarz Mikołaj pozostał takim do śmierci i to zarówno w ważnych i ogólnych sprawach, jak i w najbłachszych drobnostkach, zarówno w zarządzie wewnętrznym kraju jak i w polityce zagranicznéj.

Ale panowanie to jest zbyt jeszcze blizkie nas, żeby można je było sądzić z całą bezstronnością i *chłodem.* Wielu mężów stanu téj epoki jeszcze żyje, cała starsza połowa obecnego pokolenia, doskonale pamięta wpływy, jakim tak niedawno ulegała oraz okoliczności ważniejszych dziejowych momentów—a i archiwa państwowe nie otworzyły się téż jeszcze całkowicie dla dziejopisa.

Pod względem skarbowości, panowanie cesarza Mikołają I prawie nie było badaném dotąd w szczegółach i dla tego téż, brak tu niemal zupełny publicznych źródeł. Śledząc więc losy skarbu Rosyjskiego w okresie od 1825 do 1855 r. musieliśmy korzystać, *prawie wyłącznie*, z różnych dokumentów piśmiennych, a najobfitszém źródłem tutaj, były doroczne sprawozdania ministra skarbu, obejmujące szczegóły dochodów i wydatków wraz z objaśnieniami wzajemnego stosunku rozmaitych pozycyj, przedstawiane cesarzowi do zatwierdzenia,—który to zwyczaj Kancryn pierwszy wprowadził.

Żałować tylko należy, że zakorzeniony naówczas zwyczaj fałszywego przedstawiania stanu rzeczy, nie mógł pozwolić i Kancrynowi, dawać w tych sprawozdaniach zupełnie dokładnego obrazu, istotnego stanu finansowego położenia: taka naiwna szczerość ministra. zgotowałaby mu była dobrowolnie, niechybną niełaskę. Pomimo więc całéj prawości Kancryna i wszystkich jego cnót, z któremi zwyczaj ten, bynajmniéj nie licował, nie mógł się i on uchronić od utajenia niekiedy prawdy, co do istotnych sił ekonomicznych kraju. Sądząc go jednak najsurowiéj nawet, nie można go za to potępić, tembardziéj, że bądź co bądź, sprawozdania te, *o ile tylko było można*, nie wymijały prawdy, a w wielu razach, bardzo się do niéj zbliżały.

W 1826 r. tj. w pierwszym roku panowania cesarza Mikołaja Kancryn zdając sprawę z działalności ministeryum skarbu w tym roku, uważał za właściwe, wyłożyć zasady przyjętego przez siebie programu finansowego.

Obok bardzo szczęśliwéj myśli, obznajmienia surowego w téj materyi monarchy, przy pierwszéj nadarzającéj się sposobności, ze zdrowemi zasadami zarządzania najważniejszą gałęzią administracyi publicznéj, był to wykład tak dorzeczny, a treściwy, iż nie możemy się powstrzymać od przytoczenia tutaj, ważniejszych z niego ustępów.

„Cały system finansowy obecnie przyjęty wspiera się na téj prostéj zasadzie, że naród obowiązany jest złożyć corocznie fundusz potrzebny na utrzymanie państwa; potrzeby te zaś, powinny znowu tak być umiarkowane, żeby pokrycie ich nie sprowadzało zbytniego przeciążenia, a tembardziéj téż, zubożenia narodu.

„Ogólna ta zasada główna, wyradza następujące prawidła szczegółowe:

„1-o. Przestawać na rzeczywistych dochodach państwa, zatém unikać zaciągania nowych, zwłaszcza téż zagranicznych pożyczek, oraz strzedz się, jeszcze zgubniejszego od pożyczek, pomnażania obiegu asygnat;—unikać również, o ile tylko można, nakładania nowych podatków, a starać się usilnie o utrzymanie kredytu państwa, nie robiąc w tym celu zbytnich ofiar;

„2-o. Robić wszelkie możebne ulgi w ponoszeniu ciężarów przyczém podnosić jedne istniejące źródła dochodów, a nie dać zaniknąć drugim;

„3-o. Ożywiać wszelkiemi sposobami handel wewnętrzny i zagraniczny oraz rozwój fabryk i w ogóle wszystkich gałęzi narodowéj produkcyi, o ile tylko wchodzić to może w zakres działania ministeryum skarbu; gdyby ono bowiem poprzestawało na samych korzyściach, przypadających na rzecz państwa, ze zwykłych rezultatów narodowéj pracy, a nie troszczyło się o pomnożenie i wzmożenie źródeł ogólnego bogactwa, nie spełniłoby najważniejszego swego zadania;

„4-o. Zmniejszyć wszędzie, o ile tylko można, istniejące nadużycia i zapobiedz nowym; ograniczyć liczbę urzędników, a polepszyć ich położenie; przyśpieszyć w ogóle bieg wszelkich spraw i załatwić co najrychléj ogromne zaległości;

„5-o. Ulepszyć rachunkowość, zapobiedz grabieży funduszów skarbowych, a znieść zbyteczną pisaninę;

„6-o. Wpływającym funduszom nadać ruch szybszy, zapobiedz zbytniemu ich nagromadzaniu się i wprowadzić stały system asygnowania sum z izb skarbowych, aby uniknąć straty czasu, przy próżném przesyłaniu pieniędzy w jednę i drugą stronę;

„7-o. Przez wzgląd na tak znaczne oddalenie Rosyi od źródeł kredytu Europy, mieć w pogotowiu kapitał zapasowy na wypadek wojny (1). Jakkolwiek martwe przechowywanie takiego kapitału pociąga za sobą ważne niedogodności, jest ono jednak koniecznèm, gdyż zaciągnięcie pożyczki pod niezbyt uciążliwemi warunkami, wymaga w Rosyi znacznie więcéj czasu, niżeli gdziekolwiekbądź indziéj; nałożenie zaś i ściągnięcie podatków wojennych, wymagałoby nierównie dłuższego jeszcze czasu; nie mając zatém kapitału zapasowego, musianoby zaraz z wybuchem wojny, uciec się do nowych emisyj asygnat czyli do najbardziéj zgubnego środka dla narodowego dobrobytu;

„8-o. Polepszyć położenie włościan rządowych i nadać im właściwszy zarząd;—włościan, nie mających dostatecznéj ilości zagonów, osiedlać powoli na gruntach niezajętych a zostających w rozporządzeniu państwa; dopomódz im w urządzaniu gospodarstw i rozkrzewić między nimi, wszelkiego rodzaju przemysł;

„9-o. Podnieść górnictwo i leśnictwo, poprawić gatunek sukna żołnierskiego i t. d."

W końcu programu tego hr. Kankryn dodaje:

„Szeroki zakres działalności ministeryum skarbu, do którego należą jeszcze, prawie wszystkie sprawy pierwszego departamentu Rządzącego Senatu, wymaga wielkiéj energii, ale na to niema już rady, gdyby bowiem ministeryum to nie miało jedności kierunku, zerwanoby niebawem łączność przedsiębranych środków, zatamowanoby cały postęp i powiększonoby niesłychanie korespondencyą wewnętrzną, a tém samém i zaległości w czynnościach."

Doskonały ten program przekonywa nas, że hr. Kankryn znał wybornie wszystkie słabe strony zarządzanéj przez siebie instytucyi; nietylko ówczesne dolegliwości ekonomiczne, ale także i wszystkie środki zaradcze. Nie ubliżymy téż zapewne nikomu ze współczesnych mu, twierdząc, iż był on jedynym w téj epoce mężem stanu w Rosyi, którego praktyczna działalność, wspierała się na zasadach teoretycznéj wiedzy,—miała sankcyą badań naukowych.

Nie jego więc już wina, jeżeli program ten nie mógł być stosowanym; jeżeli walka z zakorzenioną zbytnio rutyną, nie zawsze pomyślnie się kończyła.

---

(1) Obecny minister skarbu p. N. Ch. Bunge, zrobił z tego tytułu Kankrynowi zarzut „iż przez ustanowienie kapitału rezerwowego na wypadek wojny, przyczynił się do rozwinięcia w Rosyi zgubnego systemu, rządowych kapitałów." (*Ruskij Wiestnik* z 1864 r. listopad, str. 363).

Chcąc bowiem ocenić czy mógł działać skutecznie mąż stanu rozwijający swoję energiczną pracę w zarządzie jedną gałęzią administracyi, trzeba wziąć pod uwagę zależność jego zabiegów od stanu, w jakim znajdowały się podówczas, inne gałęzie ogólnego zarządu. Najdorzeczniejsze bowiem plany i najusilniejsze starania w zakresie spraw powierzonych jednemu ministrowi, pozostaną prawdopodobnie całkiem bezowocne, jeżeli paraliżować je będzie ogólny system. Zarząd zaś skarbu, w największéj właśnie jest zależności, ze wszystkich odnóg administracyi państwowéj, od ogólnych warunków państwowego ustroju.

Wyrażenie barona Louis: „*faites-moi de la bonne politique et je vous ferai de bonnes finances*:" doskonale maluje wyjątkową tę zależność spraw skarbowych od, przeważających w danym kraju, stosunków politycznych.

Twierdzenie to popiera także, dość trafne porównanie środków finansowych państwa z krążeniem krwi. Oczywista bowiem, że jeżeli cały organizm nie funkcyonuje prawidłowo, to i krążenie krwi nie może być prawidłowe. Sztuczne środki mogą to krążenie ożywić na chwilę,—można wywołać przyspieszone bicie serca, ale tego rodzaju obieg krwi, potrwa nader krótko i nie przyniesie organizmowi żadnéj stałéj korzyści; maleńkie bowiem naczynia krwionośne, nie zdoławszy odżywić się należycie przy takim obiegu, nie wytworzą dostatecznych sił dla korzystnego oddziaływania na cały organizm, i pomimo tych gwałtownych środków, organizm stale będzie się chylił do upadku.

W porównaniu tém, małe krwionośne naczynia—to naród.

Alboż mogła być mowa o harmonijnéj działalności wszystkich organów państwowego ustroju w czasach, które nas obecnie zajmują? Oczywiście, że nie.

Cała masa ludności pogrążona była w niewoli. Ludności téj odmówiono, nietylko praw do owoców własnéj pracy, ale poddańczy jéj stan, odsądzał ją nawet niejako od związków z państwem,—sprawy jéj nie solidaryzowały się wcale z interesem skarbu. Skarb mógł się wprawdzie napełnić kosztem trudów téj masy, wyzyskiwanéj przez właścicieli ziemskich i spekulantów, ale było to efemeryczne tylko wzbogacenie, gdyż stałe powiększenie jego zasobów, mogło nastąpić jedynie, jako rezultat ogólnego podniesienia się dobrobytu całych mas ludności. Gdy tymczasem podział ludności na stany, wskutek którego jeden wzbogacał się kosztem drugiego, uniemożebniał zupełnie, prawidłową działalność całego państwowego organizmu.

W Rosyi ówczesnéj dominował—jak wiadomo—interes dwóch tylko klas: szlachty i biurokracyi.

Szlachta, była wtedy synonimem wyzyskiwaczy mas, biurokracya, to wytwór protekcyi i faworów.

Albożtaki stan stosunków zezwalał na zdrowy i harmonijny rozwój sił i zasobów kraju? Alboż byłoby dorzeczném, szukać w takich warunkach pomyślności finansowéj, tak dalece zawisłéj od ogólnego rozwoju?

Szlachta, o ile występowała w urządzeniach lokalnych, jako żywioł społeczny, była w gruncie rzeczy tą samą biurokracyą, o tyle tylko odmienną, że powstałą w części z wyborów. W ogólnych zaś sprawach administracyi wewnętrznéj, panował wyłącznie interes biurokratycznéj samowoli; jeżeli zaś wzięto tu kiedy w obronę inne interesy, prócz własnych widoków, to chyba jedynie, osobliwe jakieś sprawy kastowe.

Klasa urzędnicza, dzierżąca w swém ręku kierunek spraw ogólnych, zapełniała się wprawdzie stale przez przypływ żywiołów z dołu, a mianowicie, ze stanu duchownego, kupieckiego i „podoficerskiego,“ ale tylko na najniższych szczeblach. Wszystkie zaś wyższe szczeble hjerarchji służbowéj,—stanowiska wydatniejsze lub bardziéj wpływowe, zajmowała biurokracya, prawie dziedzicznie. Każdego przeglądającego listy urzędników władz centralnych, musi uderzyć, ciągłe spotykanie się z jedném i tém samém nazwiskami.

Przywileje służbowe przechodziły również drogą spadku. Syn wprawdzie pracował często w innéj gałęzi zarządu, niż ojciec, ale pozycya ojca zapewniała mu karyerę wszędzie. Był to system wzajemnego popierania się i wzajemnéj ochrony. Tutaj to prawdziwie *„ręka rękę myła.“*

Cały więc zarząd i kierunek wszystkich spraw ogólnych, pozostawał w jednych rękach—w rękach całéj klasy dziedzicznych karjerowiczów. Prawo do zajęcia każdego wybitniejszego stanowiska zyskiwano jedynie przez stosunki lub związki krwi. Jeżeli miejsce jakie zapewniało stałe i wysokie dochody, to z pewnością otrzymywali je, albo blizcy krewni dla poprawienia materyalnego swego bytu, albo młode jakie odrośla wpływowych, lecz podupadłych—zrujnowanych rodzin. Faworyzowanie bez najmniejszéj kontroli, oto obraz ówczesnego systemu w administracyi.

W takim odmęcie stosunków i stosuneczków, wzmacniających solidarność widoków biurokracyi, nie była możliwą—to oczywiste—żadna kontrola, ze strony władzy najwyższéj. Pomijamy już miejscowości bardziéj oddalone od głównego jéj siedliska,—tam możność kontroli ustawała z przyczyny samego oddalenia i wydatniejsze

też osobistości, nietylko wszystkiém tam rządziły, ale,—jeżeli można się tak wyrazić—*panowały wszechwładnie*:—tam już musiano się godzić koniecznie z tą smutną prawdą: „*do cesarza daleko, do Pana Boga wysoko*“... pomijamy już tę przyrodzoną niejako trudność, ale i w miejscowościach bliżéj położonych, nadzór także był niemożliwym.

Ażeby jakakolwiek kontrola była możebną, potrzeba przedewszystkiem, i to potrzeba koniecznie, jawności, a tu właśnie téj jawności wszędzie brakowało. Samowolę biurokracyi pokrywała wszędzie nieprzebita zasłona kancelaryjnéj tajemnicy; pod tą zasłoną zaś, wytwarzała się tak srodze dusząca atmosfera, że zamierały w niéj wszelkie uczciwe dążenia, choć kiedykolwiek obudziły się w jakiéj wyjątkowéj osobistości.

Wobec takiéj przewagi, a raczéj tak powszechnego panowania faworów i protekcyi oraz zupełnego braku odpowiedzialności podwładnych, władza nadzorcza i kontrolująca, nie mogła liczyć na niczyje z nią współdziałanie; a że przytém wszystko trzymano w tajemnicy, z niczego się nie usprawiedliwiano i nie krępowała też nikogo, ani kontrolowała czujność prasy peryodycznéj—która w takich warunkach, nie mogła się była także rozwinąć, więc nawet najwyższa władza, czuła się bezsilną i stawała bezwładną wobec téj samowoli i nadużyć biurokracyi.

Do wiadomości téj władzy mogło było dojść to tylko, co się zdołało przedrzeć przez liczne piętra kancelaryi, strzegących pilnie zastoju i tamujących wszelki postęp. Było to położenie tak dalece bez wyjścia, że nawet tak żelazna wola i taka energia, jaką w najwyższym stopniu cesarz Mikołaj I posiadał, kruszyła się w téj walce z biurokracyą i wyrwała mu te pamiętne, pełne goryczy słowa: „*Rosyą rządzą naczelnicy biur*!“

Ale inaczéj być tam wówczas nie mogło. Kraj nie posiadał żadnych instytucyi niezawisłych—organów mogących ujawnić potrzeby narodu. Ostatnie ich szczątki usunął był Piotr I, nie cierpiący żadnych przeszkód w przeprowadzaniu raz powziętych zamiarów i pozbawił naród, wszelkiego wpływu na władzę. Dla samodzielnego reformatora było to koniecznością ale to odosobnienie władzy, które odtąd paraliżuje bieg dalszego postępu, jest właśnie rezultatem tego smutnego błędu Piotra Wielkiego.

XIV.

Przechodząc do rezultatów cyfrowych pierwszych lat zarządu skarbem hr. Kankryna, uderza nas przedewszystkiem okoliczność,

że podług „oficyalnych danych“ — jak je naówczas nazywano— „przeznaczonych dla użytku publicznego,“ w przeciągu całego szeregu ośmiu lat od 1823 do 1831 r. wydatki państwa równoważą zupełnie dochody, jak gdyby w całym tym okresie nie było deficytów w państwowym budżecie; tymczasem w rzeczywistości stan skarbu nie był bynajmniéj tak zadawalniającym.

Rozumie się samo przez się, że sztuczny układ wykazów urzędowych wynikał tylko z ogólnego zwyczaju ówczesnego zarządu i nie wyrażał bynajmniéj sposobu widzenia rzeczy światłego ministra. Uzbrojeni w dokumenty, jesteśmy w stanie wprowadzić w całym tym układzie właściwy porządek, z którego otrzymujemy bardzo przybliżony obraz rzeczywistości, lecz operacya to zbyt zawikłana abyśmy nią mogli zaprzątać uwagę czytelników naszych na tém miejscu. Szczegóły te zajmują właśnie większą część trzech tomów naszéj *Historyi i Statystyki finansów*, z których tutaj możemy podać tylko *same przyczyny i rezultaty*.

Sam Kancryn jednak wyjaśnia nam anomalię, która nas uderza i wskazuje jak oględnym musiał być minister skarbu, dotykając niewesołéj rzeczywistości....

„Jeżeli od rzeczywistych wpływów — brzmi to dyplomatyczne wyrażenie hr. Kankryna w sprawozdaniu złożoném cesarzowi Mikołajowi z rezultatów finansowych w okresie od 1823 do 1831 roku — jeżeli od rzeczywistych wpływów odejmiemy dochody przewidywane budżetem, to okaże się przewyżka około 15,796,000 rubli; jeżeli jednak weźmiemy pod uwagę, że na wewnętrzne potrzeby zapożyczono w tym czasie 65,805,000 rub. i z remanentów wydano 21,885,000 rub. czyli ogółem $87_{,7}$ mil. rub., to po potrąceniu z téj sumy wspomnianéj przewyżki dochodów w ilości 15,796,000 rub. otrzymamy w rezultacie przewyżkę po stronie wydatków w sumie 71,894,000 rubli.“

Rezultat ten objaśniał jeszcze hr. Kankryn następującym wnioskiem:

„Potrzeby państwa przewyższają rzeczywiste jego finansowe środki i tylko przy nadzwyczajnych wysiłkach i stopniowém podnoszeniu różnych źródeł dochodów, można było uniknąć większego i stałego deficytu w budżecie.“

Stanąwszy jednak w ten sposób na gruncie rzeczywistości i przedstawiwszy cesarzowi otwarcie, choć nie bez ogródek, ówczesne położenie finansowe, uważał on wszakże za właściwe złagodzić przykre wrażenie, jakie mogły wywołać jego wywody i dodał: „Jeżeli jednak zważymy, że w przeciągu tych siedmiu lat (z wyjątkiem 1823 r. na który budżet układał był jeszcze hr. Gurjew) za-

ciągnięto wewnętrznych pożyczek na potrzeby państwa wszystkiego 43,805,000 rubli, a z remanentów użyto tylko 898 tys. rub., to w porównaniu z innémi państwami, położenie finansów rosyjskich okaże się jeszcze dość zadawalniające. W każdym jednak razie należy powiększać stopniowo dochody, a zmniejszać o ile tylko można wydatki."

Ostatni ten ustęp objaśnień Kancryna był oczywiście wtrącony przez niego, wbrew własnym przekonaniom, jedynie dla odciągnięcia uwagi od smutnéj rzeczywistości. Bo jakkolwiek porównywając wydatki oraz stopień zadłużenia Rosyi, z wydatkami i długami innych państw, hr. Kankryn nie znalazł tutaj większego odskoku, to wiedział doskonale, że nie cyfra wydatków, lecz jedynie sposób użycia dochodów daje miarę pomyślności.

Otóż *stosunek wydatków produkcyjnych* jako to: na podniesienie oświaty, na ulepszenie komunikacyj, na policyą zdrowia i inne cele prawdziwéj użyteczności publicznéj, *do wydatków nieprodukcyjnych*, mianowicie na utrzymanie armii i floty i t. d. *znacznie niższy był w Rosyi* niżeli w innych państwach. Chociażby więc państwa, z któremi Kancryn Rosyą porównywał, wydatkowały były nieskończenie więcéj, położenie ich byłoby zawsze stosunkowo lepsze, bo one siały, żeby obfity plon zbierać, gdy Rosya zatracała bezpowrotnie większą część szczupłego swego uposażenia. Taki ekonomista jak Kancryn, wiedział o tém doskonale, ale taki mąż stanu wiedział także czém zadowolni umysły płytsze, mniéj od swego biegłe.

A przytém *wszystkie* bez wyjątku wykazy dochodów i wydatków z téj epoki grzeszą jeszcze i pod tym względem, *że żaden z nich nie zawiera wszystkich dochodów.* W wykazach tych pominięte są: 1) dochody departamentu udziałów, 2) dochody cesarskiego gabinetu, 3) dochody miejskie, których część wpływała do skarbu, jako kompensata wydatków z kasy państwa, 4) niektóre uboczne dochody celne przeznaczone na wznoszenie i utrzymanie niektórych budowli, 5) dochody zarządów duchownych, 6) specyalne dochody ministeryum oświecenia publicznego, 7) specyalne dochody niektórych innych zarządów, 8) dochody kolonij wojskowych, 9) dochody zarządu stadnin rządowych, 10) pobór od Tatarów krymskich na ulepszenia na półwyspie Tauryckim, 11) specyalne dochody kraju Zakaukazkiego, 12) różne inne dochody i wydatki zazwyczaj pomijane w budżecie, jak np. dochody z dzierżaw dożywotnich lub czasowych, łaskawie udzielonych różnym osobom, część dochodów celnych pobierana na korzyść różnych miast, niektóre specyalne dochody od szlachty, dochody z gruntów oddanych urzędnikom

w Kurlandyi, darmie używanie drzewa na różne potrzeby rządowe, i 13) różne inne pomniejsze dochody.

Oprócz pokaźnéj już pozycyi z powyższych tytułów, nie wykazywano téż i pomijano w budżetach dochody z powinności gruntowych, jakkolwiek wynosiły one znaczne sumy, gdyż w okresie, który nas obecnie zajmuje, same powinności pieniężne wlewały od 11,2 mil. rub. w 1831 roku, do 15,3 mil. rub. w 1825 r. Powinności uiszczane w naturze, bez porównania bardziéj jeszcze były uciążliwe, zwłaszcza téż takie, jak naprawa dróg, dostawa podwód, a nadewszystko kwaterunek wojska i obowiązek żywienia żołnierzy. Wszystko to utwierdza w przekonaniu, że przy ówczesnym systemie układania budżetów, nie mogły one w żaden sposób dawać miary dokładnego, rzeczywistego stanu resursów i wydatków państwa.

Ale niefortunny stan skarbu w okresie 1823—1831 r. spowodowały nietylko ogólne, nieprzychylne okoliczności—zupełnie niezależne od ministeryum skarbu—jak działania siły wyższéj państwowych stosunków, jak wojny, do których zaraz przejdziemy, lecz także i okoliczności drugorzędne, wywierające jednak bezpośrednio niekorzystny wpływ na pobór dochodów. I tak:

W 1826 r. rynki zagraniczne zmniejszyły popyt na zboże, co spowodowało znaczne obniżenie się cen zboża wewnątrz państwa, wskutek którego podatki wpływały bardzo wolno i powodowały takie trudności w ich ściąganiu, że musiano polecić gubernatorom „aby byli oględni i nie uciekali się przy ściąganiu zaległości i podatków, do środków mogących spowodować ruinę podatników.“ Nakaz podobny nie nastąpił oczywiście bez dostatecznych powodów i lepsze rzuca światło, niż wszelkie dane cyfrowe, na ekonomiczny stan kraju naówczas.

Równie charakterystyczne świadectwo jak dalece nędzném było finansowe położenie klas opodatkowanych w roku 1826, daje sprzedaż kwitów rekruckich. W r. 1824 wystawiono na sprzedaż 5,000 tych kwitów po 2,000 rub. W ciągu 1824 i 1825 r. sprzedano 4,009 sztuk, a w 1826 r. zaledwie 150.

Niemniéj ważną przyczyną opieszałości w uiszczaniu podatków, zatém i powodem zmniejszenia dochodów skarbu, było wyczekiwanie „łask,“ z powodu wstąpienia na tron cesarza Mikołaja. Wyczekiwanie tych „łask“ wstrzymywało podatników od wnoszenia należności w nadziei, że zostaną one umorzone. I w rzeczy saméj manifesty wydane z tego tytułu umorzyły przeszło 20 mil. rub. zaległości, zmniejszając znacznie ogólne dochody. A tu jednocześnie ze zmniejszaniem się dochodów, wydatki nadzwyczajne w r. 1826

powiększyły się blisko o 18 mil r. w czém jedną z najważniejszych pozycyj stanowił pogrzeb cesarza Aleksandra I (1,377,024 rub.) i cesarzowéj Elżbiety oraz podróż dworu do Moskwy i koronacya cesarza Mikołaja (2,779,669 rub.).

Następny rok 1827 był cokolwiek łaskawszy na dochody państwa, ale za to 1828 rok okazał się bardzo ciężkim. Nie zapominajmy bowiem, że Rosya w tych latach niemal w ciągłéj zostawała wojnie, a ciągłe te walki zwalały na państwo ogromne brzemię.

Wydatki ministeryum wojny dzielono na dwie kategorye: na wydatki *zwyczajne* w czasie pokoju, objęte przewidzeniem budżetowém i na wydatki *nadzwyczajne* w razie wojny, które pokrywano albo wpływami z pożyczek wewnętrznych albo terminowemi pożyczkami z kasy państwa, albo téż — i to po większéj części — funduszami przeznaczonémi wyłącznie na pokrycie wydatków wojennych, które nosiły nazwę *kapitału wojennego*. Kapitał wojenny zazwyczaj składały: pożyczki wewnętrzne i zewnętrzne, różne dochody przypadkowe, pozostałości od wydatków etatowych i t. d.

Kiedy wybuchła wojna z Persyą, kapitał wojenny wynosił 24,923,559 rub., wojna ta zaś, oprócz zwyczajnych wydatków w czasie pokojowym, pochłonęła 24,473,652 rub. Koszta te podniosło do tak znacznéj sumy utrzymanie armii czynnéj oraz floty na morzach Czarném i Śródziemném a także wydatki na uzbrojenia w kraju Noworosyjskim, w przewidywaniu zerwania stosunków z Turcyą. Tym sposobem kapitał wojenny na d. 1 stycznia 1828 r. wynosił wszystkiego 449,907 rub. as. W ciągu 1828 r. ks. Paszkiewicz otrzymał od Persyi na rachunek umówionéj kontrybucyi i wysłał do mennicy petersburskiéj, złotem i srebrem 14,000,000 r., ale zbytnie przecenienie tomana obniżyło ten wpływ o 1,600,000 r. i nadto, umorzono rządowi perskiemu jeden kurur (1) na 2,000,000 rubli.

Pomimo jednak takiego odżywienia kapitału wojennego, rok 1828 powiększył jeszcze bardziéj kłopoty ministra skarbu wskutek wybuchu wojny z Turcyą. Wojna ta bowiem bez porównania większych wymagała wysiłków.

Wprawdzie Turcya zobowiązała się zwrócić Rosyi koszta wojenne, ale zanim wpłynęło cośkolwiek z téj strony, trzeba było wydać na wojnę w r. 1828: 85,927,770 rubli, a w r. 1829: 122,421,565 rubli. Tymczasem uiszczanie podatków szło w tych latach bardzo leniwie, ściąganie ich zaś, wskutek znacznego obniżenia się cen

---

(1) *Toman*, moneta złota perska, wartości 11 fr. 14 c., liczono ją przy rozrachunku o kontrybucyą po 4 r. sr. — *Kurur rajdże*, termin rachunkowy perski oznaczą 500,000 tomanów.

zboża w różnych miejscowościach państwa tak było uciążliwe, że zwłaszcza w sześciu południowych guberniach, uznano za konieczne zdecydować się na przyjmowanie należności podatkowych w naturze. W ten sposób w sześciu tych guberniach (Chersońskiéj, Ekaterynosławskiéj, Połtawskiéj, Charkowskiéj, Podolskiéj i Kijowskiéj), złożono w produktach na rachunek podatków, wartość 3,478,126 rubli, a że dostarczony prowiant został w całości użyty na potrzeby wojska, zatém kwota powyższa została następnie dopiero pokryta ze specyalnego funduszu wojennego.

Jak w guberniach południowych *bieżące należności podatkowe* przyjmowano w naturze, podobnie w trzech guberniach Noworosyjskiego kraju, których mieszkańcy ucierpieli podczas wojny z Persyą, pozwolono uiszczać *zaległości podatkowe* z lat 1825 i 1826 zbożem, kaszą i owsem i w tym celu urządzono tam odpowiednie magazyny zapasowe. Przepis poboru produktów za należności podatkowe utrzymano w sześciu południowych guberniach w następnym 1828 r. a wpływ ztąd osiągnięty podług cen ustanowionych w ogólnéj sumie 3,664,659 rubli zaliczono na rachunek pierwszego półrocza t. r.

Nadzwyczajne zatém wydatki wojenne pokryto: wpływem z pożyczek w instytucyach, kredytowych, z kontrybucyi perskiéj, specyalnémi funduszami komisyi umorzenia długów oraz z ogólnych dochodów państwa.

Nadszedł rok 1830, w którym wydatki nadzwyczajne na utrzymanie wojsk pozostałych za granicą po zawarciu pokoju z Turcyą, wynosiły jeszcze 37,125,830 rubli as., a w drugiéj połowie roku wydatki te znacznie się powiększyły z powodu przygotowań do mającéj nastąpić wyprawy wojsk, ku zachodniéj granicy Cesarstwa. Te ostatnie wydatki dokonywane w monecie brzęczącéj i asygnatami, wynosiły po d. 1 stycznia 1831 r. 12,228,029 rub. as.

Niedługo bowiem Rosya cieszyła się pokojem. Dnia 29 listopada 1830 r. wybuchła w Warszawie rewolucya i nadzwyczajne wydatki wojenne w r. 1831 składały się głównie z wydatków na stłumienie powstania w Królestwie Polskiem. Koszta te wyniosły ogółem 118,131,829 rub as. Z tego w ciągu 1831 r. wydano 92,159,098 rubli, a w 1832 roku 25,972,731 rub. as

Oprócz tego wydano jeszcze w tym roku 5,099,296 rub. należności z rachunków ukończonych już wojen: perskiéj i tureckiéj oraz zaliczono Królestwu Polskiemu 5,00,000 rub. na rachunek narzuconéj mu pożyczki 20,000,000 rub. na budowę twierdz.

Olbrzymie cyfry wydatków na potrzeby wojenne, którcśmy przebiegli, dostateczne dają już pojęcie o położeniu skarbu państwa w okresie od 1827 do 1832 r.

Ciągłe wzrastanie wydatków wojennych, powiększające się z roku na rok trudności w ściąganiu podatków, niemożność zaciągnięcia na dogodnych warunkach pożyczki zagranicą, niesłychane trudności w pokrywaniu zwyczajnych wydatków i ciągły wzrost deficytów, przy zupełnym braku nowych źródeł dochodów,—oto okoliczności, wśród których musiał „się wywijać“ hr. Kankryn z roku na rok.

W istocie trudno sobie wyobrazić bardziéj rażący kontrast, jaki nam przedstawia ówczesne położenie ekonomiczne Rosyi z jéj wydatkami wojennemi, których celem jest ustalić jéj militarną potęgę i wzmocnić wpływ w kwestyach międzynarodowego charakteru.

W okresie od 1827 do 1832 r. same nadzwyczajne wydatki wojenne—nie licząc zwyczajnych wydatków ministeryum wojny—wynosiły jak następuje:

W	1827	roku	24,923,559	rubli as.
„	1828	„	85,927,711	„ „
„	1829	„	122,421,565	„ „
„	1830	„	65,766,981	„ „
„	1831	„	97,258,394	„ „
	Razem		396,298,270	rubli as.

Jakkolwiek na rachunek tych wydatków postąpiły wpływy z kontrybucyi perskiéj i tureckiéj, jednakże wobec tak ogromnego wzrostu nadzwyczajnych wydatków, deficyty, powtarzające się z roku na rok, były nieuniknione i musiano się uciec do zaciągnięcia różnorodnych pożyczek, wkładających na państwo nowe niepoślednie ciężary.

Tym sposobem sam procentowy dług państwa, złożony z pożyczek zagranicznych oraz terminowych i bezterminowych pożyczek wewnętrznych, powiększał się w tym czasie jak następuje:

Dług państwa w okresie od 1828 do 1832 r.

Dnia	1 stycznia	1828	roku	wynosił	652,396,012	rub. as.
„	„	1830	„	„	718.575,479	„ „
„	„	1831	„	„	723.234,259	„ „
„	„	1832	„	„	823,120,753	„ „

Jak widzimy, w ciągu jednego 1831 roku, dług państwa powiększył się blisko o sto milionów rub. asyg. Ale bo téż rok ten był najcięższym od czasu objęcia zarządu skarbu przez hr. Kankryna. Sam on nam to mówi, a obraz ówczesnego położenia finansowego przez niego skreślony, jak również i przyczyn złego stanu rynku pieniężnego tak jest barwny, iż nie możemy go tutaj pominąć.

„Po ukończeniu wojny tureckiéj, pomimo że pochłonęła ona ogromne sumy, położenie skarbu — powiada Kankryn w sprawozdaniu swojém za rok 1831 — było pomyślne, a nawet możnaby powiedzieć, iż poniekąd świetne. Potrzebna naówczas pożyczka została zaciągnięta na tak korzystnych warunkach, iż mogła była służyć za przykład Europie. (Druga holenderska po 99 za sto, wliczając już w to i koszta.—*Przyp. autora*). Wartość asygnat utrzymała się w mierze, mienne na srebrze spadło, kurs wekslowy podniósł się, kredyt zagraniczny był taki, że nie było już można życzyć sobie lepszego; pożyczka 6%-wa dosięgnęła 140, w kapitale rezerwowym posiadano jeszcze znaczne fundusze, a oczekiwano stopniowéj wypłaty kontrybucyi tureckiéj i resztek perskiéj. Jedném słowem stan skarbu przedstawiał się tak pomyślnie, że można było przedsięwziąć trudną, a jednak szczęśliwie dokonaną operacyą obniżenia procentów bankowych (w 1830 r.), niezbędną dla podtrzymania majątków szlacheckich. Obok tego można téż było spodziewać się rychłego ukończenia sprawy greckiéj i zaprzestania dalszych wydatków wojennych, a w czasie pokoju podjęcia zamierzonego od dawna polepszenia bytu urzędników gubernialnych.

„Gdy nagle nietylko niespodziewany, ale nawet nieprawdopodobny przewrót polityczny w Europie zmienił cały stan rzeczy.

„Niebaczna a przytém i niedołężna działalność francuskiego ministeryum, wznieciła w połowie 1830 r. wybuch rewolucyi we Francyi, za którą poszło wkrótce powstanie Belgii i sprowadziło na Europę nową grozę przewrotów.

„Prawie wszędzie objawiły się pragnienia reform, pragnienia namiętne, rozniecane przez ludzi niedoświadczonych, marzących o urojonéj doskonałości,—dążenia, wywołane powszechną trwogą umysłów, jako koniecznem następstwem obecnego stanu oświaty tu niedostatecznéj, tam zbytecznéj, owdzie przewrotnéj.

„Ruchowi temu przyszły jeszcze w pomoc, niestety, różne trudności, wynikłe z przeludnienia i nadmiernego rozrostu przemysłu w niektórych krajach. Ludzie występni dla własnéj korzyści, lekkomyślni zaś i nieprzewidujący złych następstw w dobréj wierze, skorzystali z takiego nastroju i szerzyli wszędzie jakiś fałszywy a nieokiełznany liberalizm. Naturalną ułomność społeczeństwa przypisywali rządom, przecenili dostrzeżone a nieodłączne od natury ludzkiéj błędy i skupili wszystkie usiłowania do *zburzenia istniejącego porządku.*

„Zaczęto się tedy obawiać wojny europejskiéj; obliczono więc źródła ministeryum skarbu na wydatki nadzwyczajne na 112 mil. rubli asyg., ale z tego jednak część zaledwie mogła wpłynąć i to

w ciągu dwóch lat, gdy tymczasem nagle zjawiła się nowa potrzeba wydatków.

„Polska bowiem, choć bez nadziei powodzenia, gwałtowniéj jednak jeszcze powstała niż Belgia; różne zaś okoliczności przeciągnęły wojnę tę dłużéj niż to było przewidywaném, wskutek czego kłopoty ministeryum skarbu niepomiernie się powiększyły. Ogół wydatków na tę wojnę razem z innémi nadzwyczajnemi wydatkami obliczono na 140 mil. rub., których nie było zkąd wziąć, tembardziéj, że powstanie w guberniach zachodnich, zniszczyło wiele źródeł dochodu; położenie zaś to pogarszała jeszcze dręcząca niepewność końca takiego stanu rzeczy.

„A tu do tego wszystkiego przybyła nowa klęska innego rodzaju—cholera, która przez ciąg grasowania swego utrudniała bieg spraw wewnętrznych, grożąc upadkiem handlu i przemysłu i wróżąc powszechną nędzę.

„Wielkie jeszcze szczęście dla Rosyi, że obawy te tylko częściowo się ziściły. Ale kredyt w Europie ustał zupełnie, papiery rosyjskie spadły niesłychanie i na domiar niepowodzeń, wszelkie starania o zaciągnięcie nowéj pożyczki holenderskiéj długo były daremne. Przyczyną téj odmowy kredytu było w części ogólne położenie Europy, w części powolne prowadzenie wojny, jak również skargi Polaków oraz żywe współczucie okazywane im zagranicą przez wielu ludzi, pomiędzy nimi i kapitalistów, pragnących ich powodzenia, — co powodowało naturalną niechęć do udziału w pożyczce rosyjskiéj (1).

„W takiéj ostateczności okazało się nieodzownem przedsięwziąć nowy w Rosyi rodzaj pożyczki, przez wypuszczenie 30 mil. rubli w biletach skarbu państwa, przygotowanych na wszelki wypadek zawczasu. Ale zbyt tych biletów i nadzwyczaj szybki ich

---

(1) Jak dalece zachwiał się wówczas kredyt Rosyi za granicą, daje tego miarę okoliczność, iż trzecia pożyczka holenderska z roku 1831 nie znalazła nabywców i że wogóle pożyczki rosyjskie — jak to widzimy z poniższego zestawienia kursów w 1830 i 1831 r. — bardzo spadły.

Kurs w Amsterdamie.

Nazwa pożyczki	*Wyższy* W 1830 r.	*Wyższy* w 1831 r.	*Niższy* W 1830 r.	*Niższy* w 1831 r.
6%-wa asygnacyami.	78¼	59¼	49¼	51½
5%-wa metaliczna Beringa . . .	104¼	86¼	80½	79
5%-wa metaliczna Rotschilda. . .	104¾	90	79¼	80½
I-sza stara holenderska	106¼	92½	82½	80¼
II-ga holenderska z 1828 i 1829 r.	106¼	93¾	83	83
III-ga holenderska z 1831 r. . .	—	84¾	—	79⅛

powrót do kas, mocno niepokoiły i trwożyły ministeryum skarbu, dopóki się operacya ta nie ustaliła.

„Nie mniéj budziła obawy wysyłka znacznych sum w wekslach do Prus dla zakupu zboża, albowiem sama dostawa zakupionego zboża mogła była być lada chwila wstrzymaną, z powodu nader surowéj kwarantanny przyjętéj zagranicą. Okoliczność ta budziła także obawę, że i nasz handel zagraniczny — to ważne źródło bogactwa Rosyi—może być zatamowanym.

„Do tych wszystkich groźb przybyła nadto jeszcze obawa wojny z Francyą. Na domiar zaś biedy wypłata tureckiéj kontrybucyi została wstrzymaną i Persya budziła niepokój.

„Na szczęście jednak wszystkie te sprawy zakończyły się pomyślniéj aniżeli się spodziewano: Litwę i Polskę uśmierzono, handel ożywił się i sprawy polityczne Europy, wchodziły na tor bardziéj pożądany...

„....Ale Królestwo Polskie wymaga znacznych pożyczek (na budowę twierdz, uznanych tutaj za potrzebne— *Przyp. aut.*) jakie zaś będzie można następnie wyciągnąć zyski z jego finansów, jeszcze nie wiadomo, a wątpliwém jest aby one były tak wielkie, jakby tego pragnąć należało.

„Inną okolicznością nieprzyjazną powstałą w części w 1830 r. i trwającą dotąd, jest podskoczenie powszechne cen zboża, które prawdopodobnie nie rychło wrócą do poprzedniéj normy.

„Jakkolwiek takie podniesienie się cen sprzyja interesom prywatnym i sprawiło, że dochody w r. 1831 wpływały nadspodziewanie łatwo, ma ono jednak słabą swoję stronę i nabawia ministeryum skarbu niemałego kłopotu. Jedynie bowiem nizkie ceny zboża pozwalały — przy bardzo ograniczonych dochodach państwowych— utrzymać wielką armią i flotę. Przy podwyższonych cenach zboża, dochody te nie mogą już wystarczyć, nawet w razie najlepszego wpływania podatków, na zadość uczynienie tym wydatkom, bez nałożenia nowych ciężarów,—chyba, że same wydatki zostaną zmniejszone. W przeciwnym razie okaże się deficyt."

Ciekawy ten wykład finansowych i politycznych niepowodzeń, kończył Kankryn następującemi słowy:

„Jedyną pociechę w tém wszystkiém stanowi okoliczność, że niepowodzenia te spadły na Rosyą nie z jéj winy; pomimo to jednak należy koniecznie przedsięwziąć wszelkie możliwe środki, celem przywrócenia zupełnéj równowagi pomiędzy dochodami i wydatkami państwa, równowagi budżetowéj, będącéj niezbędnym warunkiem pomyślności i trwałego rozwoju każdego państwa."

Odpowiedni ustęp przeglądu tego przekonywa nas, że jeszcze przed wypadkami w Królestwie Polskiem, a mianowicie zaraz po wybuchu rewolucyi we Francyi, rząd rosyjski rozpoczął był przygotowania do wojny w celu poskromienia rewolucyi. Cechą bowiem zasadniczą ówczesnego kierunku polityki rosyjskiéj było „stawać w obronie interesów konserwatywnych w Europie.“ Była to polityka osobistych sympatyj i upodobań.

Jakkolwiek hr. Kankryn w porównaniu z innymi mężami stanu rosyjskimi był człowiekiem postępowym, choćby tylko o tyle, że znał dobrze liberalizm i rozumiał wiele rzeczy, których inni nie znali i pojąćby nie zdołali; mimo to jednak był on stronnikiem kierunku, który nie zasługiwał na miano prawdziwéj polityki, kierunku, w którym upodobania i słabostki osobiste ważniejszą odgrywały rolę, aniżeli rzeczywiste dobro kraju. Dla tego téż nie dziwi nas bynajmniéj, że inni mężowie stanu, wychowani w zasadach jeszcze wsteczniejszych niż te, jakie Kankryn wyznawał, przyzwyczajeni uważać naród jako inwentarz, stworzony jedynie do obsługi klas uprzywilejowanych w państwie, dopatrywali w każdym, choćby najbardziéj umiarkowanym objawie liberalizmu, przyczyny najstraszniejszych następstw. Gdy tymczasem interesy właścicieli poddańczéj masy narodu, świadomie czy bezwiednie, były powodem owego strachu wobec pojęć liberalnych, klasa ta musiała oczywiście bronić wszelkiemi siłami swych przywilejów, a rząd znowu miał do czynienia jedynie z przedstawicielami tego stanu.

(*c. d. n.*) *Jan Bloch.*

LIBERALIZM I OBSKURANTYZM
na Litwie i Rusi.
(1815—1823).

VI.

Kwestya polityczna i narodowa. — Obznajmianie z parlamentaryzmem. „Dziennik Wileński“ i „Pamiętnik Naukowy.“—Obchód żałobny po Tadeuszu Kościuszce.—Jego znaczenie. — Krytyka administracyi.—Eksdywizye. Dobre i fałszywe pojęcie narodowości.—Stanowisko „Wiadomości Brukowych“ pod tym względem.

Jeżeli w kwestyi społecznéj takiéj jak sprawa włościańska, nie można było prowadzić dyskusyi z swobodą całkowitą, to tém bardziéj wszelkie rozprawy o stosunkach politycznych były nadzwyczaj utrudnione, prawie niemożliwe. A jednak pobudzało do nich sąsiedztwo Królestwa kongresowego, rządzącego się konstytucyjnie i bardzo wątła wprawdzie ale bądźcobądź istniejąca, wywołana słowami samego cesarza Aleksandra I, nadzieja pozyskania na Litwie i Rusi takich jak w Królestwie urządzeń. Zresztą sama konieczność informowania się o liberalnych stosunkach europejskich zmuszała do traktowania kwestyj politycznych.

Czasopisma wileńskie nie mogły sprawy téj poruszać bezpośrednio; starały się więc do niéj pobocznie przynajmniéj umysły przygotowywać. Nie było-to zapewne rzeczą przypadkową, że „Dziennik Wileński“ pomieścił w r. 1816 i 1817 obszerną, przez Michała Balińskiego napisaną rozprawę p. n. „Obraz państwa Wielkiéj Brytanii, wystawujący w krótkości główniejsze szczegóły dla poznania niniejszego stanu.“ Można to wprawdzie wytłómaczyć, jako chęć zaznajomienia czytelników ze stosunkami politycznemi wogóle, zwłaszcza gdy zważymy, że w latach następnych wydrukowano podobneż obrazy Japonii i Państwa Ottomańskiego; ale sama ta okoliczność, że wybrano tak rażąco przeciwne sobie ustroje państwowe,

widocznie dla porównania, świadczy, iż wydawcy „Dziennika" mieli na oku pewną myśl ściśle określoną. Prawdopodobieństwo przypuszczenia tego zwiększa się, gdy w „Obrazie państwa Wielkiéj Brytanii" czytelnik znajdował zasadniczą konstytucyi angielskiéj podstawę „Wielką kartę" w całéj rozciągłości, zarówno w oryginale jak w przekładzie polskim, i gdy wraz z autorem poddawał konstytucyą tę dość szczegółowemu rozbiorowi, z którego wynikało, że ona zupełnéj wolności narodowi nie daje. „Osłabione działanie opozycyi, a prawie przytłumienie jéj zupełne—czytamy tu (r. 1817, I, 53,4)—nie zostawując dla ludu żadnéj nadziei osiągnienia korzyści, które im konstytucya zabezpieczyła, przyczyną jest ustawicznych rozruchów, w Londynie i na prowincyach czuć się dających... Niepodobna zapewne, aby panujący lub ich ministrowie, bez względu na zewnętrzne stosunki narodu głos ludu za wyrocznię poczytywali, bo widoki nieświadomego motłochu, bliskiemi tylko rzeczami ograniczone, nikomu za prawidło postępowania służyć nie mogą;—ale téż doskonale rozważyć-by należało, czy można i jak daleko można wewnętrzną pomyślność dumą częstokroć wiedzionéj polityce poświęcać... Zachowanie rozumnego środka i doskonałej równowagi prawdziwą mądrość rządzących stanowi i szczęście narodowi przynosi."

Podobnąż jak redakcya „Dziennika Wileńskiego" kierowała się myślą młodzież krzemieniecka, która w tomie I swego „Pamiętnika Naukowego" (z r. 1819) pomieściła „Wyjątki z mowy Alvaresa Florez-Estrada," będące silną, gwałtowną wycieczką przeciwko despotyzmowi i ś. inkwizycyi, oraz domaganiem się spełnienia obietnicy którą dał był Ferdynand VII, że rządzić będzie konstytucyjnie. „Panujący—czytano tu—aby godnym był tronu, winien powagę swoję poddać pod władzę prawa i wymierzać sprawiedliwość zarówno wszystkim poddanym. Chwała królów opartą jest na szczęściu ludów, a tylko szczęście ludów zapewnia bezpieczeństwo królów"... Hiszpania w rzeczywistości „panującego poddała władzy kilku bezwstydnych i przewrotnych radców, którzy podzielili naród na oskarżycielów i oskarżonych.... którzy ustanowili tortury, konfiskaty dóbr, którzy wywołali z grobu ten krwi i zgrozy trybunał religijno-polityczny, którego nieubłagane ministry w imię Boga dyktują zaskarżania synów na ojców, żon na mężów, którzy ustanowili sądy wyrokujące bez wysłuchania i poczytujące za zbrodnie czyny, jakich prawo samo nie miało za zbrodnie w chwili, kiedy były spełnione; którzy nakoniec tak nakręcili prasy drukarskie, że objawiały same tylko usprawiedliwienia ministrów." Do takich i tym podobnych wyjątków z mowy Florez-Estrady dodane były uwagi „Minerwy francuskiéj," których autor, między innemi przytoczywszy manifest Ferdynanda VII zabez-

pieczający wolność narodu, dodaje: „Ale zmieniły się czasy: mnichy usadowiły się między panującym a ludem, inkwizycyjne turmy tłumią wszystkie zażalenia i skargi, między ludem a tronem przejmowane wszelkie stosunki. Aby Ferdynand i Hiszpania mogły się znaleść razem, trzeba im przebyć pierwéj środkujący między niemi ów święty urząd inkwizycyjny: wznosi się on jak nieprzystępny szaniec.“

Nie tylko wszakże w takich dalekich napomknieniach wyrażały się myśli i uczucia Litwy i Rusi w pierwszych latach po kongresie wiedeńskim; zdarzyła się owszem możność wyrażenia ich w sposób dobitniejszy, bardziéj do serca i wyobraźni przemawiający aniżeli drukowane litery. Możność tę nastręczył wspaniały obchód żałobny po zmarłym 17 października 1817 r. Tadeuszu Kościuszce.

W obchodzie tym, który na Litwie przeciągnął się z różnemi przerwami cztery blisko miesiące (od 10 listopada 1817 do 7 marca 1818) dwie szczególniéj wybitnieją cechy: wyraźne zaznaczenie łączności duchowéj wszystkich dzielnic byłéj Rzeczypospolitéj i zbratanie się wszystkieh wyznań i wszystkich klas społecznych.. Była-to świetna manifestacya, za pozwoleniem władzy, rządzącéj się liberalnemi pojęciami, odbyta. Nadługo utkwiła ona w sercach uczestników gromadzących się tłumnie i miłém nazawsze pozostała wspomnieniem. Nie tu miejsce na zobrazowanie tego, co się działo naówczas w Warszawie i innych miastach królestwa jako też w Poznaniu, wspomnę jedynie pokrótce, co było na Litwie.

Kowno pierwsze uczciło pamięć wielkiego Naczelnika; wyprzedziło nawet Warszawę. Szlachta zebrana tu na sejmik powiatowy pod przewodnictwem marszałka swego Józefa hr. Zabiełły, otrzymawszy dnia 7 listopada wiadomość o śmierci Kościuszki, postanowiła jednozgodnie oddać uroczystym obrzędem ostatnią cześć pamięci swego ziomka. Władze miejscowe, duchowieństwo kowieńskie i z bliższych okolic zaproszone, licznie przybyli obywatele z królestwa połączyli się dla nadania całemu obchodowi odpowiedniéj świetności. W dniu 10 listopada w kościele pp. Bernardynek, odbyło się uroczyste za duszę zmarłego nabożeństwo, a liczne mowy zarówno duchownych jak świeckich dostojników oddały hołd bohaterowi...

Podobny obchód odbył się 14 listopada w Kiejdanach, 17 listop. w Trokach, 29 w Wiłkomierzu, 8 grudnia w Wołkowysku, ale najświetniéj przedstawił się w Wilnie, gdzie przez 3 dni (10, 11 i 13 grudnia) odbywano pokolei nabożeństwa w kościele katolickim, ewangielickim i w „wielkiéj szkole“ izraelskiéj. Braterstwo wyznań zamanifestowało się w sposób zdumiewający: lutrzy i kalwini modlili się wspólnie w kościele luterskim, księża bernardyni do ustrojenia

katafalka lutrom nie tylko swoich całunów i innych potrzeb udzielili, ale sami stroili katafalk przez dzień cały; w czasie obrzędu w kościele luterskim byli obecni biskup katolicki Puzyna i biskup dyzunicki. Lelewel, pisząc o tém do ojca, powiada: „Przykładu podobnego na świecie nie było; w Polsce naprzód się jawi. *Masoni* poklaskują i cieszą się wielce; chwała bądź Bogu!“ (1). Niewątpliwie cieszyli się nie tylko masoni, ale wszyscy... Podobno, jeżeli zawierzyć mamy Lelewelowi, współudział żydów nie był dobrze widziany „za niecne ich w ostatnich czasach postępki.“ To tylko pewna, że w modlitwie po hebrajsku odśpiewanéj a naumyślnie na tę uroczystość rymem ułożonéj, znajdowało się pewne wyróżnienie się od krajowców, w wierszu: „Miecza swego ręka jego nie dobywała, gdy gniew *ich* na *nas* pałał.“ Zresztą poczucie solidarności było niezamącone; a wypowiedział je najwyraźniéj ks. Aleksander Łabowski, kaznodzieja ewangielicko-reformowany: „Prawdziwy patryota żyje dla wszystkich, choćby najbardziéj różnych językiem, mniemaniem i religią. Nikt nie jest wyłączonym od jego przychylności, ktokolwiek kocha swoję ojczyznę. Szczególne stany nie ograniczają działań jego, wszystkie członki państwa są jego bracią. Podobien do słońca, które na swéj dobroczynnéj drodze całą ziemię oświeca i użyznia, rozszerza on w swém kole błogosławieństwo.“ Wtórował mu Karol Wagner aptekarz, który powołując się na to, jak rodacy Kościuszki oddawali mu ostatnią posługę każdy wedle obrządków swoich, zapewniał, że „wyznanie z narodowością żadnego bynajmniéj nie ma związku.“ Tę samę solidarność wyraził w krótkiéj żołnierskiéj przemowie w języku polskim mułła tatarski Daniel Szabłowski na nabożeństwie w meczecie na przedmieściu wileńskiém Łukiszkach: „Bracia Mozułmani, nieodrodni synowie téj ojczyzny, na któréj mieszkacie! Nie trzeba wam wyliczać nieskazitelnych cnót, męstwa i zasług wielkiego męża, Tadeusza Kościuszki, bo będąc pod komendą jego patrzaliście na to i z nim razem walczyliście... a kiedy podobało się Bogu zawołać go do wieczności, znajdzie tam towarzyszów swoich i podkomendnych; my, na tym świecie na moment pozostali, módlmy się za duszę jego i wszystkich tych, którzy... na placu boju polegli.“

A jak wyznania, tak i różne stany jednoczyły się we wspólném uczuciu chociaż na chwilę. Szlachta naturalnie prym wiodła wszędzie; mieszczanie wileńscy urządzili 13 grudnia obchód osobny i w przemowie burmistrza Giecca zaznaczyli, że miasto Wilno „nigdy nie uchybiło swéj powinności, zawsze było i jest z uwielbieniem

(1) Listy Joachima Lelewela, Poznań, tom I (r. 1878), str. 293.

ku tym rodakom, którzy zasłużyli na sławę swéj ojczyznie.“ Lud, niemy natenczas jak i dziś, nie przemawiał wprawdzie, ale pamiętano o nim i z naciskiem wspominano niejednokrotnie, że Kościuszko „nad tą najliczniejszą klasą mieszkańców téj ziemi czułą rozciągnął opiekę, zabezpieczył prawa ich własności, umiarkował prace wedle sił i mocy, otarł pot z czoła spracowanych, a w domy licznych familij wprowadził spokojność, szczęście i dał uczuć słodycze z zachowania praw ludzkości pochodzące: on był ojcem ludu uznanego za ludzi“ (1); że „urządził mądrze“ wolność między ludem, „dla nieoświecenia, własności cudzéj, wywyższenia i zemsty chciwym“ (2). Te myśli zacne i rozporządzenia Kościuszki, jakkolwiek krótkotrwałe w swych skutkach, stanowiły teraz punkt oparcia dla tych, którzy wolności dla ludu wiejskiego pragnęli.

A ponad tém wszystkiém jakby aureola unosiło się głębokie uczucie radości, że „Polak może publicznie i z téj strony Niemna uwielbiać cnoty Tadeusza Kościuszki“... że wolno mu „dzisiaj wielkie, rzadkie i ulubione nam cnoty rozpamiętywać, wolno im hołd należny poszanowania i wdzięczności złożyć, wolno piękne ich wzory jak najgłębiéj w sercach naszych wypiętnować.“ To téż, obok wyrazów uwielbienia dla cesarza Aleksandra, który miłość ojczyzny poważając w narodzie „godzien był być ojcem ludów,“ widzimy we wszystkich mowach upojenie tą swobodą wypowiadania tego, co spoczywało w sercu...

Jakże potężnie słowa mówców wrażać się musiały w umysły wobec tłumu dostojników i ludu zalegającego kościoły, wobec wspaniale a symbolicznie urządzonych katafalków, wobec nabożeństwa z całą malowniczością odbywanego! Najświetniejsze, najlepiéj obmyślane obchody były w Wilnie i Nowogródku. Dla przypomnienia téj uroczystości przypatrzmy się choć jednemu.

W kościele ś. Kazimierza w Wilnie od godziny 6 zrana zaczęto śpiewać wigilie i ciągle odprawiały się msze czytane i śpiewane przez ks. ks. dominikanów, augustyanów, bernardynów, karmelitów trzewiczkowych i bosych, franciszkanów, trynitarzów, kanoników regularnych, pijarów i bazylianów. O godzinie 10-éj wyszła msza wielka, biskupim obrzędem celebrowana przez biskupa sufragana wileńskiego księcia Puzynę. Po mszy miał kazanie ks. Nosewicz, kaznodzieja katedralny. Nastąpiło śpiewanie *Castrum doloris* obrzędem biskupim przez trzech biskupów: celebranta, Kossakowskiego i Kundzicza, oraz prałatów wraz z liczném gronem kleru i duchowień-

(1) Tak mówił Marcin Mackiewicz, były burmistrz miasta Wiłkomierza.
(2) Tak mówił ks. Łabowski.

stwa. Archimandryta Joil obecnym był na całéj ceremonii. Potém Michał Römer, marszałek powiatu trockiego, miał mowę „która rozrzewniła równie mówcę jak i słuchaczów." Nabożeństwo odprawiało się w obecności naczelnych urzędników gubernii, członków rządu, sądownictw, marszałków i delegowanych z powiatów, tudzież osób znakomitych płci obojéj i wszelkiego stanu ludzi licznie zgromadzonych. Muzykę żałobną, kompozycyi Kozłowskiego, wykonywali amatorowie i artyści; do śpiewów łączyli się wileńscy śpiewacy dramatyczni.

Na pięciu stopniach katafalku wznosiła się granitowa piramidalna kolumna, na któréj postumencie ze strony przedniéj czarna tablica z napisem łacińskim, ułożonym przez profesora uniwersytetu Grodka, złotemi literami wykonanym: *Ducem fortissimum. Pientissimum civem. Libertatis et Reipublicae vindicem ac propugnatorem acerrimum. Justitiae. Humanitatis. Beneficentiae laude cumulatisimum, acerba morte ereptum, flebiliter luget. et civium qui sunt et nascentur aeternae memoriae tradit. commendat. Patria gratissima* (1). Powyżéj osoba, wyobrażająca ojczyznę płaczącą nad urną, na któréj napis: Tadeusz Kościuszko. Po bokach osoby wyobrażające Stałość i Dobroczynność; pod niemi napisy, pióra Franciszka Grzymały.

Z kolosu ukazywała się trumna, nad nią w płaskorzeźbie Sława trzymająca popiersie Kościuszki. Po czterech rogach katafalku wznosiły się piramidy, ułożone z broni żołnierskiéj i różnych rynsztunków wojennych, a na ich wierzchołkach chorągwie z herbami narodowemi.—Kolumny, galerya wewnętrzna naokoło kościoła, galerya, kopuły, kapitele filarów kilkoma tysiącami lamp i świec były oświetlone (2).

Nie była zamknięta dla dyskusyi sfera tego samorządu, jakim zadawalniać się musiała Litwa i Ruś na sejmikach powiatowych i gubernialnych. Na nieszczęście czasopisma poważne owéj chwili nie chciały zwracać uwagi na te stosunki; nie ma w nich ani

(1) „Dzielnego wodza, poświęcającego się obywatela, walecznego .... i obrońcę wolności i rzeczypospolitéj, jaśniejącego sławą sprawiedliwości, ludzkości, dobroczynności, srogą śmiercią wyrwanego boleśnie opłakuje i pamięci obywateli obecnych i przyszłych podaje i poleca wdzięczna ojczyzna."

(2) Cały powyżéj zużytkowany materyał, obchodu pogrzebowego dotyczący, mamy zebrany w książce p. n. „Zbiór mów w różnych miejscach mianych oraz opisów obchodu żałobnego nabożeństwa po zgonie ś. p. Tadeusza Kościuszki." W Wilnie u Aleksandra Żółkowskiego. 1818, str. 160 i stron nieliczbowanych 41. — Oprócz tego wyszło osobno „Opisanie obchodu żałobnego nabożeństwa za duszę ś. p. Tadeusza Kościuszki, odbytego w Mińsku d. 7 marca 1818 r. w kościele katedralnym." Wilno u Alek. Żółkowskiego, 1818, str. 49. — Jest-to dopełnienie poprzedniéj broszury.

jednéj rozprawy, ani jednego artykułu, któreby doradczo albo karcąco na interesa pozostawione głosom obywateli i ich inicyatywie mogły wpłynąć. Jednę tylko sprawę ekonomiczno-sądową wzięto pod rozbiór bliższy: była-to kwestya tak zwanych *eksdywizyj* t. j. rozdzielenia majątku w naturze na rzecz wierzycieli. Nie było na Litwie ksiąg hipotecznych; wierzyciel więc nie mógł znać rzeczywistego majątkowego stanu dłużnika; pożyczano tedy na skrypta; a wysokość długów przechodziła niejednokrotnie cenę dóbr dłużnika, który umiał się czasami tak gracko urządzić, że odłożywszy sobie pewną sumkę, puszczał wierzycieli z kwitkiem; „ciche bankructwo,“ choć w zakresie innych stosunków, było już i wtedy znane. Po roku 1815 nadużycia takie zagęściły się w kraju i wywołując oburzenie zarówno poszkodowanych jak i uczciwych obywateli, pobudziły do jawnego i głośnego roztrząsania téj wielce smutnéj i kłopotliwéj sprawy. Rozpoczął je „Dziennik Wileński“ umieszczając w r. 1816 jako wyjątek z zeszłowiecznego dzieła Püttmanna rzecz „o haniebném zbywaniu majątków czyli po naszemu o eksdywizyach,“ gdzie bez ogródki napiętnowano w wywodzie historycznym tych, których „imię na publicznych przybite jest miejscach z oznajmieniem, iż dobra swoje na satysfakcyą wierzycielów“ oddają. To pobudziło szanowanego powszechnie i światłego obywatela Jana Chodźkę, prezydenta sądu głównego departamentu drugiego gubernii mińskiéj, do napisania rozprawki „o eksdywizyach czyli o podziale sądowym majątku dłużnika dla wierzycielów,“ w któréj rozbierał prawa litewskie dotyczące eksdywizyj, zastanawiał się nad przyczyną zagęszczenia się tychże za jego czasów, wskazywał nadużycia ze strony dłużnika, wierzycieli i sądu eksdywizorskiego, podawał środki zapobieżenia zdrożnościom i ułożył instrukcyą dla sądów eksdywizorskich, celem wprowadzenia środków tych w zastosowanie. Nad tą rozprawą poczynił uwagi swoje Włodzimierz Gadon, który stanowczo przemawiał za potrzebą zaprowadzenia hipoteki, wykazując jéj wyższość nad wszelkiemi przepisami statutu litewskiego odnośnie do wierzycieli i dłużników. Zanim zaś ją rząd zaprowadzi, doradzał tymczasowo dwie ustawy: jednę, ażeby dla dania czasu dłużnikowi do zebrania pieniędzy, jako téż kapitaliście dla obmyślenia lokacyi, wydawano obwieszczenia tak ze strony pragnącego ściągnąć sumę jak i mającego ją wypłacić na wzór zwyczaju kurlandzkiego, gdzie na pół roku przed terminem obwieszczenia takie wydawały się i do akt zapisywały. Druga zaś ustawa miała stanowić, ażeby młodzi spadkobiercy nie w 18-ym roku życia obejmowali majątki ale w dojrzalszym, gdyż ci dzieląc się majątkami „trwonią je pierwéj, nim poznają, jak trudno zapracować.“ Potém w tymże duchu przemówił (r. 1817) Józef Wawrzecki, dopomi-

nając się o hipotekę i utyskując na brak „sumiennych, nieinteresowanych i we właściwém znaczeniu sprawiedliwych sędziów“ nie dlatego, jakoby wogóle nie było ludzi światłych i szlachetnych, ale że wybory „czynione bywają nie w duchu bezinteresownego dobra publicznego, lecz najczęściéj przez wzgląd na związki pokrewieństwa i przyjaźni, a wpływają nawet do tego z zasmucającą działalnością związki sejmikowe w powiatach.“ Pisał jeszcze o tymże przedmiocie A. Wierzejski, Ignacy Domejko, Michał Römer, Niesiołowski i inni, ale z końcem r. 1817 ustają i te rozprawki o złem, epidemicznie rozwielmożnionėm.

Oświetlają je tylko, na równi z innemi wadami życia społeczno-politycznego, jaskrawym blaskiem satyry „Wiadomości Brukowe,“ które bezlitośnie wystawiają pod pręgierz kradzież grosza lub dobra publicznego, branie własnego dobra za dobro powszechne, przywłaszczanie gruntów za pomocą posuwania kopców granicznych, fałszowanie testamentów, bezczynne urzędowanie, politykomanią, nadużycie asesorów, łapownictwo sędziów i urzędników, pieniactwo, pisanie zagmatwanych pozwów, a nawet i drobniejsze usterki jak np. rusycyzmy w dokumentach urzędowych i t. p. Nie myśląc o wyczerpaniu téj bogatéj kopalni wad i zdrożności ujawnionych przez „Wiadomości Brukowe“ i nie opierając na nich wniosku co do zepsucia społeczeństwa ówczesnego — boć oczywiście niezłe to były stosunkowo czasy, kiedy tak śmiało i jawnie karcić było można i wady i podlegających tym wadom — zwrócić chcę jedynie uwagę na szczegół dotyczący charakteru naszego wogóle, szczegół z niepospolitą bystrością przez „Szubrawców“ zaobserwowany i krytyce poddany. Odnosi się on do tego fatalnego a silnie ugruntowanego przekonania, że „urodzony kandydat do korony“ zdolnym się sądzi do wszystkiego.

W N. 127 „Wiadomości Brukowych“ rozpoczęto druk „Listów indyjskich“ o kraju Bibencya, którego mieszkańcy dzielą się na na dwie wielkie kasty: pierwsza jest z *urodzenia* rozumna, druga z *urodzenia* głupia. Rozumny z urodzenia rozumu swego dziwnym sposobem nabywa; jeżeli rodząc się ma własnych 25 głupich, zwanych w tym kraju chamy, wtenczas jest należycie rozumny; jeżeli więcéj, jest rozumniejszy, tak dalece, że ten u nich za najrozumniejszego jest miany, kto najwięcéj głupich posiada!.. Człowiek, który się rodzi bez żadnego głupiego, nie może być rozumnym. Rozumny z urodzenia jest rycerzem, wojownikiem i najdoskonalszym wodzem już w pierwszym roku życia swego; zna *z urodzenia* prawo, posiada wszystkie zdolności do piastowania urzędów, może nikomu nie pozwolić gadać a nawet bić i zabić tego, ktoby go głupim nazwał. Stąd pochodzi, że ludzie téj kasty w kolebce jeszcze są „sprawie-

dliwymi czyli rozdawcami sprawiedliwości, mądrymi, oświeconymi, wielmożnymi i dobrodziejami, choćby nic dobrego w życiu nie raczyli uczynić. Rozumni tacy mają daleko większy jeszcze przywiléj—przywiléj wyłączny posiadania pieniędzy, tak dalece że, jeżeliby je głupi posiadał, mają prawo odebrać mu je bezkarnie. Umiejąc wszystko z *przyrodzenia*, nie mają potrzeby uczyć się niczego i dlatego gardzą naukami. Ci ichmość noszą honorowe nazwisko „słusznych obywateli," którém się tak szczycą „jak żydzi tytułem synów Izraela." Ale jest tu jeszcze rzecz dziwniejsza: w tym kraju głupi obowiązani są pracować a rozumni z *urodzenia* nic nie robić. „Głupi jest rolnikiem, kupcem, rzemieślnikiem, fabrykantem, słowem użytecznym krajowi; a rozumny — częstokroć sobie nawet nieużytecznym.

Jakkolwiek wówczas mniéj było aniżeli późniéj drażliwości przy traktowaniu kwestyi wad narodowych, naturalnie w przodującéj klasie najwybitniéj występujących, najszkodliwszych, a więc przez satyryków najczęściéj karconych; jakkolwiek w poglądzie np. na przeszłość najbliższą wszyscy wychowańcy sejmu czteroletniego krytycznemu i nawet jaskrawo-krytycznemu hołdowali kierunkowi: to przecież już i wtedy stare przysłowie o tak zwaném kalaniu własnego gniazda miało wśród interesowanych potężne stronnictwo. Dosyć było zadrasnąść miłość własną czy klasy czy jednostki nawet, ażeby się narazić na zarzut nie czczenia i nie szanowania tradycyi, jakby dziś powiedziano, narodowości, jak mówiono w owych czasach, kiedy tradycya miała jeszcze przeważnie kościelne tylko znaczenie.

Na ten zarzut narazili się i „Szubrawcy" zarówno u swoich spółczesnych, jak i u późniejszych, którzy go podnieśli do wyższéj potęgi, piętnując ich działalność mianem kosmopolityzmu. U spółczesnych, np. w poufnych listach Lelewela, dotkniętego przez „Szubrawców" przedrwiwaniem jego zawiłego stylu, który „Wiadomości Brukowe" scharakteryzowały jako „kluski mazowieckie," czytamy: „Brukowych wiadomości nie kupuję, bo szkoda groszy, a ludzie w kalkulacyach kieszonkowych szkalujący i *czerniący imię narodowe*, nie radzi udzielać egzemplarzy, zukosa nawet na przypadkowe czytanie patrzą. Piszę szczerze w téj mierze do Brunka (Kicińskiego), żeby się z Brukowemi Wiadomościami nie wdawał, bo pomimo tego że się stowarzyszenie Szubrawstwa uzacnia przybywającemi doń osobami, samo jednak pismo jest tego rodzaju, że kiedy rzeczy swém słowem nawiedzi, zna to do siebie, iż plamę na niego (!) rzuca, bo same przestępstwa ściga. Żałują oni często, ale myśl krotofilna nieuważnymi ich czyni" (1).

---

(1) Listy Joachima Lelewela, t. I, str. 296: list do ojca z 22 stycznia 1818 r.

Takie oskarżenia musiały naturalnie dochodzić do wiadomości „Szubrawców,“ to téż widzieli oni potrzebę zdemaskowania tych, którzy pod pozorem obrony narodowości chcieli tylko osłonić swe wady i przesądy. W dalszym więc ciągu „Listów indyjskich“ pomieścili (N. 135) satyryczny obraz rzekoméj narodowości, a raczéj tych zdrożnych przyzwyczajeń, które przeciwnicy „Szubrawców“ i światła czcigodném imieniem starali się upozorować: „Świątynia narodowości—mówili ironicznie—jest gmachem wspaniałym, wspartym dwunastą kolumnami, które w kształt potężnych puharów misterny kunszt udziałał; na wierzchu wznosi się piękna kopuła, mająca podobieństwo do ogromnéj beczki z miodem. Nad wielkiemi drzwiami daje się widzieć złoty napis: *precz stąd nieurodzeni!* Tuż przy téj pięknéj budowie stoi narodowa karczma bez dachu, w któréj żyd, tytułem narodowego szynkarza ozdobiony, drogo chłopom wódkę przedaje. Daléj widać zrujnowaną bez mieszkańców wioskę, należącą do świątyni narodowości... Co to za święty obyczaj jeść i pić należycie, a jeszcze jeść i pić ponarodowemu tak, żeby cały majątek przepić i przejeść! Jedzenie i picie jest głównym narodowości filarem, gdyż (mówię to z doświadczenia) po dobrym tylko obiedzie i kilku butelkach wina najlepiéj rozprawiać o narodowości...“ Przysięga czcicieli takiéj świątyni i takiego obyczaju jest ich zupełnie godna: „Ja N. N. obiecuję i przysięgam, iż stale, czule, serdecznie i sentymentalnie kochać będę narodowość i bronić jéj jaknajusilniéj, a mianowicie: 1) szczerze i najmocniéj wierzyć, iż każdy *urodzony* ziomek umie wszystko doskonale i zdolny jest do piastowania wszelkich urzędów, a oraz nigdy się nie zapytam, co umie i gdzie się uczył, a nawet drugim tak niedorzecznych pytań czynić nie dopuszczę; 2) będę wszelkiemi sposobami powstawał przeciw wolności *nieurodzonych*; 3) wszystkie zagraniczne hotele napełnię sławą mego narodu przez wspaniałe i zbytkowne wydatki; 4) będę próżnował przez całe życie, brzydził się wszelką profesyą i pogardzał ludźmi, co tak nikczemnym żyją sposobem; 5) nie będę nigdy płacił długów; 6) będę chwalił i uwielbiał wszystkie narodowe przesądy; 7) raz przynajmniéj upiję się na dzień; 8) nazwę się nakoniec hrabią a za resztę majątku kupię krzyżyk maltański.“ A oto mieszkańcy owéj świątyni: „Bóstwo siedziało na tronie, z okazałością lecz niegustownie ubrane; u dołu szaty miało śliczne z pozwów na eksdywizyą garnirowanie. Obok siedziało narodowe głupstwo, które ciągle siebie chwaliło; daléj narodowe przechwałki, nieczynność, pieniactwo, wady, różnego rodzaju przesądy i śmieszności wymuskanei wykwintnie przystrojone.“

Autor porzuca następnie ton satyryczny i przemawia poważnie: „Unikać przesądów i śmieszności narodowych, któreby plamić

mogły sławę mojego kraju, stawać się godnym oświeconego towarzystwa obywatelem, cenić to tylko, co przynosi zaszczyt mojemu narodowi i starać się to pomnażać przez światłą o spólne dobro gorliwość: oto mi jest prawdziwa miłość narodowości. Ćwiczmy się w cnotach naszych ojców, a dosyć mieć będziemy dobrych przymiotów. Odrzućmy ich wady, bo o to woła wyższy dziś stopień światła; a nie szukajmy w tém sławy narodowéj, co jest miernem i błahém, bo to czyni krzywdę wielkim dziełom naszych rodaków i na pośmiewisko nas wystawia."

VII.

Kwestya wykształcenia kobiet. — List bezimienny z Nowogródka. — Artykuły dotyczące kwestyi kobiecéj w „Tygodniku Wileńskim."—Przeciwstawienie kobietom europejskim kobiet amerykańskich. — Powierzchowność w wychowaniu domowém.—Francuszczyzna.—Guwernantki.—Zachowanie się w téj sprawie „Wiadomości Brukowych." — Małoważność rezultatów.

Przy każdym objawie ruchu postępowego w naszém stuleciu nasuwała się tak zwana obecnie „kwestya kobieca" pilnéj uwadze inteligentniejszego ogółu. Rzecz to bardzo naturalna; kto tylko baczniéj wpatrywał się w potrzeby społeczne, musiał odrazu uznać nadzwyczajne znaczenie kobiéty jako pierwszéj wychowawczyni przyszłych pokoleń. Od usposobienia, upodobań i przekonań matki w znacznéj części zależy kierunek duchowy wychowanych przez nią dzieci, odbierających od niéj najpierwsze, najświeższe a więc i najtrwalsze wrażenia, które w przyszłości przyczynić się mają do wytworzenia charakteru a nawet i umysłu wogóle. Komu zatém idzie o możność wywarcia powolnego wprawdzie ale skutecznego wpływu na usposobienie i poglądy przyszłych bojowników życia, ten z konieczności dbać musi o to, jak się wychowuje, jak żyje, czém się zajmuje kobieta.

To też w rozpatrywanym tu przeciągu czasu, który się odznaczył tak wielką ruchliwością w rozbiorze różnych zagadnień, dostrzegamy także pierwsze zarody kwestyi kobiecéj. Kwestya ta w owych czasach miała sferę bardzo szczupłą; nie dobijały się jeszcze kobiety ani większych swobód towarzyskich, ani normalniejszego określenia stosunków prawnych między małżonkami, ani szerszego pola pracy; chodziło jedynie i wyłącznie o wykształcenie, o jego większy zakres i gruntowniejsze traktowanie. Starano się silnie przeciwdziałać zakorzenionéj od wieku zeszłego francuszczyznie w mowie i obyczajach, wyśmiewając niedorzeczność tego przedrzeźniania Paryża, i usiłowano umysły kobiece powołać do większéj

samodzielności w myśleniu przez zapewnienie im nauki rzeczywistéj, nie zaś powierzchownego tylko jéj blichtru.

Pierwsze ślady poważnego zajęcia się sprawą wykształcenia kobiet znajdujemy w liście bezimiennie z Nowogródka do redakcyi „Dziennika Wileńskiego“ nadesłanym i wydrukowanym w témże czasopiśmie (r. 1816, t. IV, 41—49) p. n. „Myśli o edukacyi kobiet.“ Autor przyznawszy, że już naówczas więcéj niż dawniéj dbano o edukacyą kobiet, skarży się na zbyt małą liczbę „pensyj“ przeznaczonych dla płci pięknéj tak dalece, że „mniéj majętni rodzice, nie będąc w stanie posyłać swych córek o mil kilkadziesiąt do Warszawy lub Wilna, ze smutkiem widzą bez żadnéj prawie nauki wzrastające dzieci, które... *równe z synami* mają prawo i do ich miłości i do opieki krajowego rządu. Radzi więc, ażeby każdy powiat miał swoje szkoły dla kobiet tak jak ma dla mężczyzn. „Każdy powiat — powiada — na powszechném w czasie *elekcyj* zgromadzeniu, mógłby, z wielkim dla siebie zaszczytem, a większym jeszcze pożytkiem ogłosić uchwałę na założenie powiatowéj dla panien szkoły“ czy-to za pośrednictwem ogólnéj składki czy téż z funduszu osób pojedyńczych. Kreśli następnie projekt urządzenia takiéj szkoły zostającéj pod nadzorem obywateli i zwraca baczną uwagę na urząd „ochmistrzyni.“ Powinna ona być obywatelką swego powiatu, szanowaną ze sposobu życia, poważaną z obyczajów. „Pożądaną nawet byłoby rzeczą, żeby na ten stopień posługi obywatelskiéj dama większego znaczenia wezwaną była. Znakomitą to być może dla kobiety chlubą, gdy nie już mężowski, ale *własny osobisty ma tytuł.* Nie masz większego dla damy zaszczytu, jak być ochmistrzynią szkoły powiatowéj...“ Jak widzimy, autor nie pogardził i tym środkiem podbudzenia ambicyi niewieściéj...

Rozpatrując wychowanie panien w możniejszych domach pod kierownictwem guwernantki, zaznacza, że całym wynikiem kilkoletniéj nauki jest mówienie po francusku, gra na fortepianie i taniec. Ze szlachetném oburzeniem powstaje przeciw zcudzoziemczeniu wychowania: „Jeżeli każdéj kobiety celniejszém jest przeznaczeniem wejść w związki małżeństwa, być dobrą żoną, przywiązaną matką, rządną gospodynią; na cóż więc koniecznie ten język francuski, kiedy mąż ma być Polak, a może i nie rozumie po francusku? Jest-to wielką w płci pięknéj wadą, że ona edukacyą swoję za skończoną już sądzi, skoro się języka francuskiego nauczy i późniéj w posiedzeniach, z znacznym opinii swojéj uszczerbkiem, samą słów francuskich z polskiemi mieszaniną, tak śmieszną w oczach ludzi rozsądnych, popisuje się; a panny z innych miar oświecone i dobrze wychowane, niesłusznie czują się być upośledzonemi dlatego jedy-

nie, że obcym względem siebie nie mówią językiem." „Dobrze jest umiéć po francusku, po niemiecku lub po angielsku — mówi daléj autor, wskazując jednocześnie zakres wykształcenia kobiecego— ale to wtenczas, kiedy panna nauczyła się z gruntu narodowéj gramatyki Kopczyńskiego, kiedy się obeznała z nauką moralną, z umiejętnością rachunku, matematyki, krajopisarstwa, historyi i t. d. Bez tych poprzedniczych umysłu i serca przygotowań, cóż nam po znajomości języków obcych, kiedy nasi krajowcy nie są ani Francuzami, ani Niemcami, ani Anglikami."

Nie zaniedbuje téż autor i strony fizycznéj w wychowaniu. „Gdyby panienki — powiada — przy naukach, od pierwszéj zaraz młodości przyzwyczajane były do ruchu ciała, do częstych po polach i ogrodach przechadzek, do poznawania z historyi naturalnéj roślin, kwiatów a razem początków fizyki, do oglądania krów, ptastwa, blechów i t. d., wtedy zapewne, przy rozwijaniu się władz umysłowych przez nowe coraz umiejętności, zajaśniałaby czerstwość pięknego z przyrodzenia ciała" (1).

A przedstawiając swój ideał kobiety w rodzinie, tak kreśli jéj zachowanie się: „Zacna niewiasta mniéj dbając o modę paryską w ułożeniu włosów na głowie, w dobraniu kolorów i kroju sukni, w postawieniu nogi do tańca, okazałaby przybyłéj w gościnę sąsiadce swoje w domu roboty, swoje gospodarstwo, swój sposób wychowania dzieci, a stąd *mówiłaby o naukach, o różnych do instrukcyi młodzieży wydanych dziełach, o potrzebie oświecenia i pożytkach edukacyi*... siadłaby w końcu do muzyki, jeśliby ją znała, grałaby przyśpiewując poważne lub ucieszne w języku swoim pieśni, i tym porządkiem wdzięcznie zabawiłaby przyjaciółkę swoję i domowych. Wkrótce obudziłaby się nieodstępna chęć naśladowania i szlachetna w płci pięknéj emulacya!"

W końcu, zwracając mowę do obdarzonych większemi zdolnościami, a bogatych, zachęca do pracy na polu literackiém, co jest pierwszą wskazówką rozszerzenia zakresu działalności kobiecéj. Wytknąwszy, że Polska prócz Elżbiety Drużbackiéj nie liczy więcéj twórczych gieniuszów żeńskich i wymieniwszy sławne imiona autorek francuskich; la Fayette, Sévigné, Genlis, Staël, tak swe życzenie przedstawia: „Wymówione są kobiety, które w ubogiéj pomieszczone doli nie mogą się oddać ulubionemu w literaturze przedmiotowi, przymuszone iść za przeznaczeniem losu; ale damy, ma-

---

(1) Tę stronę wychowania przedstawił już poprzednio „Dziennik Wileński" w obszernéj rozprawie profesora Augusta Becu (ojczyma Juliusza Słowackiego) p. n. „Hygiena pensyj dla panien" (r. 1815, tom I).

jące dwoistą dostatków i talentów sposobność, czujące w sobie ogniste pochopy twórczego gieniuszu, czemużby nie miały bawić się z Muzami tak zgodnemi z tkliwością ich serca, z żywością imaginacyi i wyniosłością delikatnych ich uczuć? Za co nie mają czas wolny użytecznym poświęcić uwagom, a pisząc w materyach interesujących kraj własny, zarabiać na chlubę u współczesnych i na chwałę u potomnych?..“ Uśmiechnijmy się ze zwietrzałéj dziś frazeologii, ale przyznajmy, że autor dobrą dawał wskazówkę, jakkolwiek w praktyce się okazało, że nie tyle znudzone bezczynnością arystokratki, ile uboższe przedstawicielki płci pięknéj za nią bezwiednie poszły... W „Dzienniku“ i „Tygodniku“ wileńskim spotykamy coraz częściéj nazwiska kobiece, czasami pod rozprawkami prozą, częściéj daleko pod wierszami podpisane: Antonilla Modzelewska, Felicya Joanna Malikowska, Anna Czechórska i inne. To téż kiedy Jan Sowiński zabrał się w kilka lat potém do napisania dziełka „O uczonych Polkach“ (Krzemieniec, 1821, str. 195) mógł już wymienić przeszło 50 autorek, z których największa część przypadła na pierwsze lat dwadzieścia naszego już stulecia.

W wychowaniu publiczném, pomimo starań i projektów ówczesnéj władzy szkonéj zostającéj pod sterem uniwersytetu, nie zaszła żadna stanowcza reforma; w wychowaniu zaś prywatném zmiany musiały być bardzo drobne i nieznaczne, gdyż publicyści ówcześni ciągle wytykać musieli jego rażące wady. Jędrzéj Śniadecki w swojéj „Filozoficzno-próżniackiéj podróży po bruku“ zręcznie i dowcipnie wyśmiewał tak zwane „towarzystwo sentymentalne,“ niezbyt miły spadek po końcu wieku XVIII, przejęte fałszywą, ckliwą czułostkowością i zamiłowaniem do języka, zwyczajów i mody z nad Sekwany. „Tygodnik Wileński“ tłómaczył z zeszłowiecznego „Spektatora“ angielskiego artykuły o powierzchownném wykształceniu kobiet nadające się wybornie do ówczesnego stanu umysłowego niewiast naszych. „Letycya i Dafne,“ „List do Spektatora,“ „O tańcach“: oto główniejsze z r. 1816 rozprawki mające na celu wykazać, że dziewczę tak samo jak chłopca potrzeba kształcić na istotę „rozumną.“ Mówiono tu np: „Jest-to u nas powszechnie popełniany błąd w wychowaniu naszych dzieci, że w córkach całe staranie łożymy na osobę, a żadnego na umysł; w synach zaś przeciwnie tak się zaciekamy w wydoskonaleniu ich rozumu, że zupełnie zaniedbujemy kształcenia ich ciała, i stąd-to pochodzi, że młoda panienka we wszystkich już jest znana i admirowana posiedzeniach, gdy starszy jéj brat nie ma śmiałości wejść do pokoju, kiedy są goście. Z téj-to przewrotnéj metody wychowania wynika, że częstokroć mężczyzna połowę już wieku swojego przeżył, nim go poznano,

a panienka jeszcze w kwiecie młodości, a już spowszedniała i w zapomnienie poszła... Jakiż jest tryb zwyczajny u nas wychowania dziewcząt? Oto, zaledwie wyniańczona młoda panienka, nie umiejąca jeszcze najmniejszego zrobić wyobrażenia o zwyczajnych okolicznościach życiu towarzyszących, gdyby młoda kózka z konakiem na szyi, porucza się natychmiast metrowi tańców. Ten młodemu trzpiotowi każe przyjmować na siebie postać poważną i minkę skromną, uczy ją, jak trzymać głowę, wyprężać piersi, żołądek wciągać i całemu ciału sztuczny nadać układ i ruszenie. We wszystkiém dodają, że się bez tego podobać nie można, że męża nie dostanie, jeżeli na opak stąpi, spojrzy lub w najmniejszém ruszeniu reguły chybi... I tak powoli przekonywa się nieznacznie, że aby tylko miała dosyć urody, to już tém samém dosyć ma rozumu, aby zupełnie odpowiedzieć przyszłemu przeznaczeniu swojemu."

Już i wtedy nie zapominano przeciwstawiać własnych stosunków stosunkom amerykańskim. Oto w opisie Nowego Jorku czytamy (N. 26, r. 1816 „Tygodnika Wil."): „Jeżeli kogoś uderzy tak szczególna rozmaitość religijnych obrządków, nie mniéj téż zdziwiony będzie nad różnicą, jaka między europejskiemi a Nowego Świata obyczajami zachodzi. Jakaż-to sprzeczność w edukacyi! U nas od maleństwa niemal dziewczęta młode, oddzielone od chłopców, pod dozorem matki lub mistrzyni zostają; tu zaś przeciwnie osoby płci obojéj, ciągle z sobą zostając, pierwszą młodość bez żadnéj przepędzają różnicy, w jednych się uczą szkołach i jednež tam odbierają prawidła i nauki. Panny skończywszy w 12-ym lub 13-ym roku publiczną edukacyą, nic bynajmniéj nie tracą na téj szczególnéj wolności dziecinnego wieku. Przyjaciele ich szkolni albo ci, z którymi w późniejszym czasie przyjaźń zabrały, mogą je wolnie odwiedzać, bądź w przytomności rodziców, bądź-to w ich niebytności, a w dalszym wieku, kiedy przyjaźń ustąpi miejsca miłości, dziewczęta nie ukrywają swych uczuć, owszem pozwalają im okazywać się z tą szczerością, która oznacza naturalną lecz niewinną skłonność. Najznakomitsze z bogactw lub urodzenia panny przechadzają się (same) jedne z dawnymi swoimi przyjaciołmi, bez żadnego zgorszenia lub przeciwieństwa dobrym obyczajom i ich reputacyi." „Tygodnik" nie stawiał Amerykanek za wzór, ale też i nie potępiał; podawał tylko materyał do porównania, a więc do głębszego zastanowienia się nad kwestyą.

„Wiadomości Brukowe" znowuż na swój sposób i w swoim zakresie dotykały téj podstawowéj sprawy w mnóstwie ulotnych wzmianek, satyrycznych wycieczek i poważnych tyrad. Jak wszystkim publicystom tak i „Szubrawcom" nie tyle oczywiście chodziło o prze-

mianę usposobień, nawyknień i nałogów wśród kobiét już dojrzałych, gdyż reformę taką słusznie poczytywali za nadzwyczaj trudną, jeżeli nie całkiem niemożebną do urzeczywistnienia, ile o pokolenie młodsze, dorastające. Zwrócili więc naturalnie baczność na wychowanie dziewcząt. Czasami żarty ich bywały zbyt rubaszne gdy np. (w N. 113) pomieścili następną wiadomość: „Są u nas familie tak troskliwe o wychowanie i oświecenie potomstwa, iż żadnych nie oszczędzają nakładów na sprowadzenie z za granicy osób, którymby powierzyły tak ważny obowiązek. Wiedzą o tém i za granicą tak dalece, iż z ostatnim oddziałem wojska, powracającego z Francyi, wyszło, jak słychać, kilkaset guwernantek, które prosto zmierzają do nas...“ Markietanki nauczycielkami! zapewne rzecz-to trudna do uwierzenia, ale przypomnijmy sobie, że i Damon, mistrz Doświadczyńskiego, nie do lepszéj kategoryi ludzi należał... Kiedyindziéj znów (N. 285) wyśmiewając grasującą wówczas sentymentalność, proponowali „Szubrawcy“ założenie „pensyi kucharek sentymentalnych,“ gdzieby panny mogły się np. wyuczyć, jak zrobić *pasztet* mężowi w domu, albo przypiec komu *raka*, lub téż wysmażyć francuski *romansik*, jak nie mniéj to, co się z francuska mówi: *zrobić kurę* (zalecać się). Mógł ks. Gorczyczewski opisywać „Gotowalnię sentymentalną,“ dlaczegóżby nie mogła być i kuchnia sentymentalna?...

Atoli i „Szubrawcy“ rozumiejąc doniosłość sprawy, nie poprzestawali na żartach i dowcipach; przemawiali téż zupełnie poważnie wykazując braki owoczesnego wychowania w stosunku do obowiązków, jakie kobiéta w społeczeństwie spełniać winna: „Edukacya u nas kobiét—powiadali—jest w najgorszym stanie, powierzona *najczęściéj* kobiétom nieznającym swego powołania i téj trudnéj sztuki uczenia; kończy się ona na *samych językach*, *tańcach* i *muzyce*. Takiżto jest cel edukacyi? Robiąż języki kogokolwiek uczonym albo rozsądnym człowiekiem? czyliż umiejący jednę rzecz kilka razy inaczéj nazywać wydoskonala przez to swe władze umysłowe, przez które wszystkie rzeczy nas otaczające poznajemy? Jakież książki kobiéta, umiejąca wiele języków a nie zasilona innemi umiejętnościami i naukami, czytać może, jeżeli nie same romanse przekrzywiające niedołężny jéj umysł (1); a im więcéj języków posiada a mniéj wiadomości gruntujących jéj poznanie, tém więcéj ma środ-

---

(1) Przypomnieć sobie potrzeba, że mowa tu o romansach, jakie były na początku wieku XIX, zwłaszcza i głównie francuskich, przejętych afektowaną sentymentalnością, obracających się ciągle w sferach wielkopańskich, do których czytelniczki beznadziejnie wzdychając, tonęły w próżniaczém rozmarzeniu lub szukały surrogatu w ciągłych zabawach.

ków i sposobności skażenia obyczajów i przewrócenia sobie głowy, tém więcéj nabywa próżności, dumy a najczęściéj przesady, nieznośnéj pedanteryi i głupstwa. Sama nawet przesadzona dobroć serca staje się nieznośną i szkodliwą społeczności, bo się często rozmija ze sprawiedliwością. Największa liczba romansów zawiera same rzeczy urojone, które dowcip ludzki w swoich wymyślił obłąkaniach na sparaliżowanie wielkiéj części swojego rodu. Czyliż kobiéta, od dzieciństwa upajana rzeczami urojonemi i niedołężnemi, będzie dobrą żoną, dobrą matką, kiedy wszystkie jéj postępki staną się niedołężne i urojone? Wpoi-ż ona w dzieci swoje miłość ojczyzny i przywiązanie do kraju, kiedy się wstydzi ojczystego języka, wstydzi się najdroższéj własności naszéj? Wnijdź tylko w kompanią kobiét modnych, nie usłyszysz tam przemawiających przodków naszych językiem, lecz obcym albo tylko przestrojonym i skancerowanym, paplają same najczęściéj dzieciństwa, w obcych językach wyczytane." Po tém scharakteryzowaniu stanu istniejącego, następuje przemowa „Szubrawców" do niewiast: „Nie jesteście stworzone tylko do bawienia płci męskiéj, większy wasz jest cel, większe jest wasze przeznaczenie! nosicie na sobie piętno człowieczego rodu, a zatém do tych samych obowiązków, do tych samych prac i zatrudnień, do których każdy człowiek, jesteście stworzone. Ale wy trwonicie to wszystko, co przodki wasze skrzętnie zebrały, a na miejscu dostatków zostawujecie potomstwu waszemu ubóstwo i nędzę, a co gorsza złe nałogi, pochodzące ze złego wychowania" („Wiadomości Brukowe," r. 1818, N. 62). Czyż nawoływania te nie przypominają nam bardzo żywo czasów najbliższych, w których tęż samę kwestyą wychowania kobiecego poruszano na nowo?.. Postęp idzie u nas krokiem nader ociężałym...

VIII.

Możność stowarzyszania się.—Towarzystwa ogólne i specyalne.—Uniwersytet wileński jako ciało naukowe.—Towarzystwo Lekarskie.—Towarzystwo Dobroczynności.—Towarzystwo wspierania niedostatnich uczniów uniwersytetu.—Towarzystwo biblijne.—Towarzystwo typograficzne.—Towarzystwa wolnomularskie, zamierzone reformy.—Towarzystwo Szubrawców, wybitniejsi jego działacze.

Nie tylko wszakże za pośrednictwem druku mogła działać na społeczeństwo owoczesna inteligencya, miała ona jeszcze możność szerzenia słowem i przykładem tych poglądów i dążności, jakie dla kraju za pożyteczne poczytywała, miała możność stowarzyszania się. Ciż sami ludzie, którzy w książkach, broszurach lub czasopismach

rozwijali swe pojęcia naukowe, literackie i społeczne, mogli się zbierać w koła, swobodnie rozmawiać i rozprawiać, przedsiębrać skuteczne środki propagandy, wpływać siłą towarzyskiego przykładu na ogół; znaczenie każdego z nich zwiększone było cyfrą stowarzyszonych, potęgą zbiorową.

Pod tym względem, liberalni mieli natenczas stanowczą przewagę w skutek kilku zorganizowanych przez siebie towarzystw.

Na pierwszém tu miejscu postawić niewątpliwie należy uniwersytet wileński. Nie myślę, jak na teraz, wykazywać jego znaczenia i zasług wszczepieniu nauki w umysły młodzieży, ani mówić o dziełach wydawanych przez profesorów ani, téż o wytwarzanéj przez uniwersytet jak przez każdy wyższy zakład naukowy atmosferze umysłowéj, naprzód w samém ognisku a następnie w coraz-to dalszym od niego promieniu; nadmienię tu tylko o téj stronie działalności uniwersytetu, która mu nadawała znaczenie „towarzystwa naukowego.“

Jako rozwinięcie krótkiéj wzmianki w „Ustawach Komisyi Edukacyjnéj,“ w 50-ym punkcie „ogólnych postanowień“ obowiązujących uniwersytet wileński, potwierdzonych przez cesarza Aleksandra I w dniu 18 maja 1803 r., powiedziano, że co miesiąc ma się odbyć w uniwersytecie „posiedzenie akademickie,“ na którém profesorowie zwyczajni wraz z honorowymi, pod prezydencyą rektora „dawać będą zdania o dziełach, doświadczeniach, postrzeżeniach i badaniach“ wniesionych przez rektora lub którego z członków. Celem tych „posiedzeń akademickich“ było „ułatwiać wydoskonalenie nauk i sztuk, rozszerzenie pożytecznych wiadomości, zwłaszcza w tych prowincyach, w których uniwersytet jest środkowym punktem oświecenia.“ Aby zachęcić do gorącego spółudziału w téj sprawie, dodano w ustawie, że podobnego rodzaju prace „obrócą na siebie szczególny wzgląd zwierzchności, która nie omieszka przyzwoicie one nagradzać.“ W r. 1808 rozszerzono obręb uczestników w „posiedzeniach akademickich,“ przypuszczając do nich, na jednakowych prawach, profesorów nadzwyczajnych. W roku 1813 zaś, na przedstawienie Jana Śniadeckiego, ówczesnego rektora uniwersytetu, lepiéj uorganizowano te posiedzenia, przyjmując zasadę stałéj kolejności w czytaniu rozpraw porządkiem oddziałów nauk i katedr, stosownie do wymienienia ich w etacie uniwersyteckim. Rozprawy odczytywano w języku polskim najczęściéj, ale ponieważ było wielu cudzoziemców w gronie profesorskiém nie władających dobrze popolsku, dozwalano je wygłaszać w języku łacińskim lub francuskim. Bywały one dwojakiego rodzaju; jedne specyalne, dla badaczów przeznaczone, inne popularne, mające na widoku szerszą publiczność. Tego drugiego kierunku rozprawy najchętniéj oczywiście wybierano na

tak zwane „posiedzenia publiczne,“ na których zbierał się doborowy ogół, a które odbywały się regularnie dwa razy na rok, przy zamknięciu kursu nauk 30 czerwca i zaraz po ich rozpoczęciu 15 września.

Naturalnie wszystkie dziedziny nauk znajdowały w rozprawach takich uwzględnienie; i matematyka i nauki przyrodnicze i medycyna i filologia i historya i sztuki piękne. Największe ożywienie panowało na tych posiedzeniach, budząc téż największe zajęcie, w przeciągu czasu od r. 1813 do 1822; szereg odczytanych rozpraw z tego okresu jest bardzo znaczny i wielce urozmaicony; nie przytaczając tu ich po kolei, dosyć będzie nadmienić że w przeciągu jednego roku (1813—1814) odczytano jedenaście rozpraw. Najczęściéj brali w nich udział: Jan Śniadecki, którego przemowy i roztrząsania mamy zebrane w 4 tomach „Pism Rozmaitych,“ Ernest Groddek i Józef Frank, których dysertacye łacińskie albo wychodziły w osobnych broszurach, albo podawane były w tłómaczeniu w czasopismach albo téż przechodziły do składów bibliotecznych. Wogóle jednak wszystkie bardziéj interesujące ogół uwagi nie ginęły marnie; przechował je albo w streszczeniu albo w całości „Dziennik Wileński“ poczynając zwłaszcza od r. 1815.

Prócz tego uniwersytet wywoływał prace wśród inteligencyi za pośrednictwem „konkursów“ czy-to dla obsadzenia wakującéj katedry, czy téż wogóle dla obudzenia badań w pewnym kierunku, przeznaczając na ten cel mniéj lub więcéj hojne sumy, które mu ofiarowywali różni mecenasi nauki, częstokroć bezimiennie.

Tym sposobem uniwersytet pozostawał w ciągłym zetknięciu ze społeczeństwem nie tylko dojrzewającém w samych murach uniwersytetu ale i już dojrzałém, działającém na arenie życia; a że składał się, z małemi nader wyjątkami, z ludzi wychowanych w ideach „wieku oświeconego“ i popierających je słowem i czynem, stawał się zatém dzielnym środkiem propagandy liberalizmu.

Z tego wielkiego zbiorowiska i rozsądnika wiedzy wyosobniło się bardzo szybko oddzielne „Towarzystwo lekarskie“ albo „medyczne,“ jak je powszechniéj nazywano, którego inicyatorem i duszą był niepospolicie uczony a zarazem wielce towarzyski doktór Józef Frank, profesor uniwersytetu. Towarzystwo to założone w r. 1805 miało cel podwójny, naprzód naukowy, a więc ten sam co i uniwersytet, a następnie, dobroczynny. Jako zgromadzenie naukowe nieodrazu przejawiło swoję działalność, zapewne dlatego, że czynności jego pod tym względem zlewały się z ogólną działalnością uniwersytetu, chociaż zapewne prowadzono już od początku na zebraniach swoich dyskusye zbyt specyalne, ażeby można niemi było zajmować

uwagę członków „posiedzeń akademickich,“ które się składały z przedstawicieli wszystkich wydziałów. Dopiero w r. 1818—1821 wydano osobno dwa tomy rozpraw treści lekarskiéj p. n. „Pamiętniki Towarzystwa Lekarskiego Wileńskiego.“ Znajdują się tutaj prace: Józefa Franka, Jędrzeja Śniadeckiego, J. C. Bertranda, Jana Andrzeja Lobenweina, Mikołaja Mianowskiego, Augusta Becu, Jana Fryderyka Niszkowskiego, Jana Dyrwiańskiego, Macieja Barankiewicza, Antoniego Vicciniego, Michała Homolickiego, Jakóba Bernarda, Tadeusza Hreczyny, Jana Wolfganga. Kiedy drugi, a zarazem ostatni tom tego wydawnictwa w druku się kończył, rozpoczął wydział farmaceutyczny Towarzystwa lekarskiego ogłaszać „Pamiętnik farmaceutyczny wileński“ jako pismo peryodyczne zeszytowe. W r. 1820 i 1821 wyszło zeszytów 8 tworzących dwa spore tomy. Pisali tu: Bartłomiej Gryzer, Jerzy Gutt, Michał Macewicz, Michał Machnauer, Maciéj Szulc, Karol Wagner, Jan Woelk, Jan Wolfgang. Przez dwa lata następne (1822, 1823) wyszło również zeszytów osiem pod zmienionym trochę napisem: „Pamiętnik farmaceutyczno-chirurgiczny“ i już jako organ całego Towarzystwa lekarskiego, nie zaś jego wydziału.

Jako zgromadzenie dobroczynne „Towarzystwo lekarskie“ funkcyonowało oddzielnie bardzo krótko, bo tylko lat dwa, ale i w tak szczupłym przeciągu potrafiło w skutek umiejętnéj zapobiegliwości Józefa Franka i zebrać fundusze potrzebne, za pośrednictwem głównie koncertów (blisko 3000 rubli) i opatrzyć lekarstwami i pomocą lekarską znaczną liczbę chorych, bo 880 (1).

W r. 1807 gdy biskup wileński Jan Kossakowski założył „Towarzystwo Dobroczynności“ w Wilnie, zajęcia dobroczynne „Towarzystwa Lekarskiego zlały się z działaniem téj nowéj instytucyi jako trzeci jéj wydział, którego zadaniem było dawać ratunek jakąkolwiek chorobą dotkniętym, przyczém ubodzy dostawali darmo leki i lekarstwa, szczepić ospę dzieciom biednym i t. p. „Towarzystwo Dobroczynności“ potwierdzone przez cesarza Aleksandra w r. 1808 i zasilone przezeń sumą 10,000 rubli, oprócz celów ściśle ze swém nazwiskiem związanych, miało jeszcze na widoku szersze zadania społeczne. Według ustawy jednym z obowiązków wydziału pierwszego było „obmyślanie sposobów do ułatwienia małoletnim wychowania, dorastającym — gospodarstwa czy rzemiosła;

---

(1) Zob. „Mowa miana przy pierwszém zdawaniu sprawy Towarzystwa Dobroczynności..... na publiczném posiedzeniu dnia 14 maja 1808 r. przez Jana Korwina Kossakowskiego, prezesa tegoż Towarzystwa miana.“ Wilno, 1808. Przy końcu znajduje się bilans.

a głównym celem wydziału drugiego było „godzenie poróżnionych, mianowicie w familii, rada i pomoc uwikłanym w pieniactwo, uciśnionym przemocą lub nie mogącym, dla rzetelnego ubóstwa, należności i prawa swego popierać“ (1).

Do „Towarzystwa Dobroczynności“ należały najwybitniejsze osoby z arystokracyi, szlachty, duchowieństwa i mieszczan: książę Adam Czartoryski, Franciszek Sapieha, Adam Tyszkiewicz, Ignacy Tyzenhauz, Platerowie, Kossakowscy, Adam Chreptowicz, Jan Śniadecki, Jan Chodźko, Stanisław Sołtan, Jan Rudomina, metropolita Siestrzeńcewicz, biskup Kundzicz, Giec, Gutt, Gryzer, Szulc itd. itd. Z pomiędzy pań było w roku 1818 tylko pięć: hr. Brzostowska, Ludwika Kossakowska, Rudominowa, Katarzyna Strutyńska i Tyszkiewiczowa. Wogóle członków opłacających „ofiary“ w roku 1818 było 82.

Cel oświaty ubogich zyskał jeżeli nie wsparcie to przynajmniéj rozjaśnienie, od czasu, gdy z łona „Towarzystwa Dobroczynności“ wyszedł komitet zajmujący się przez lat pięć wydawnictwem „Dziejów dobroczynności krajowéj i zagranicznéj.“ Czasopismo to miało się przyczynić „do wydoskonalenia w kraju systematów i zakładów dobroczynnych,“ a dochód, jaki się z prenumeraty osiągnąć spodziewano, miano obrócić na rzecz „Domu ubogich“ Towarzystwa. Wprawdzie nadzieja ta zawiodła, gdyż po 3 latach okazało się, że po opłaceniu kosztów, pozostało w kasie rs. 14 i kop. 52; a po dwu dalszych dał się czuć deficyt rubli przeszło 110, który spodziewano się pokryć z rozprzedaży kompletów całego wydawnictwa; bądź-co-bądź jednak pismo miało, jak widzieliśmy, swoje znaczenie zwłaszcza w poruszeniu sprawy oświaty ludowéj oraz w nagromadzeniu materyałów do historyi zakładów dobroczynnych w Polsce.

Na wzór „Towarzystwa Dobroczynności“ w Wilnie, powstawały podobne instytucye i w innych miastach, przybierając tu i owdzie charakter specyalny dopomagania uczącéj się młodzieży. Między innemi w Winnicy (gub. Podolska) przy gimnazyum powstało w roku 1816 na wniosek lekarza gimnazyalnego Adama Chądzyńskiego „Towarzystwo dobroczynności na rzecz ubogich chorych uczniów;“ członkami jego byli nauczyciele i uczniowie; utrzymywało chirurga, dawało lekarstwa i t. p.

W samém Wilnie utworzono w r. 1821 „Towarzystwo wspierania niedostatnich uczniów uniwersyteckich.“ Założycielami jego byli członkowie uniwersytetu, adwokaci i obywatele wileńscy; mię-

(2) „Ustawy wileńskiego Towarzystwa Dobroczynności.“ W Wilnie. 1817, str. 30 i 2-kartkowy spis członków.

dzy innemi: Mikołaj Malinowski, Jan Wolfgang, Kazimierz Kontrym, Leon Borowski, Ignacy Łagiewnicki, Ignacy i Michał Balińscy, Jan Gieczewicz, Jan Szantyr, Michał Dmochowski. Szymon Malewski, rektor ówczesny uniwersytetu, ustawę zaaprobował; a w krótkim bo 4-miesięcznym przeciągu czasu towarzystwo liczyło członków 414. Oprócz zapewnienia obiadu i wieczerzy kilkudziesięciu studentom, Towarzystwo zaprowadziło „szkołę niedzielną,“ w któréj 80 rzemieślników (w r. 1821) pobierało naukę początkową (1).

Zupełnie już niezależnie od uniwersytetu, powstały dwa jeszcze towarzystwa, mające na celu szerzenie oświaty, lubo w cokolwiek odmiennych kierunkach: towarzystwo biblijne i typograficzne.

Już w roku 1813 starano się w Wilnie przygotować umysły do tych poglądów i dążności, jakiemi się kierowały towarzystwa biblijne, rozpowszechniające księgi Pisma św. po niezmiernie niskiéj cenie, ażeby je dla niezamożnych uprzystępnić i jaknajwiększą liczbę ludzi do czytania go zachęcić. Towarzystwa takie, których głównem siedliskiem była i jest Anglia, istniały już naówczas w całéj Europie; w Petersburgu od r. 1812 prezydentem „towarzystwa biblijnego rosyjskiego był książę Aleksander Golicyn. O tém-to właśnie towarzystwie opowiada broszura wydana w Wilnie r. 1813 p. n. „O towarzystwach biblicznych i ustanowieniu onegoż.“ W dwa lata potém pojawia się znowuż broszura, prawdopodobnie w Petersburgu drukowana, p. n. „O biblijskiém towarzystwie mianowicie w Rosyi, o celu rosyjskiego biblijnego towarzystwa i środku dostąpienia onych“ (2). Niepoprawność wyrażeń dowodzi, że autor czy tłómacz onych broszur niezbyt dobrze władał językiem tych, których przekonać pragnął o zacnych celach towarzystwa. Bądź-cobądź, zawiązało się towarzystwo biblijne w Wilnie r. 1816; „dyrektorem“ jego został Jakób Nikolai, radca konsystorza, kaznodzieja kościoła ewangielickiego w Wilnie. Antoni Marcinowski, jako sekretarz komitetu, wydaje poprawniéj wystylizowaną rzecz „O celu rosyjskiego Towarzystwa Biblijnego i środkach do jego osiągnienia“ (1816, str. 8).

Równocześnie, bo w tymże 1816 roku wydrukowano w Grodnie książeczkę (str. 14) p. n. „O towarzystwie biblijnym wiadomość dla obywateli gubernii grodzieńskiéj“ (3). Jest-to rodzaj wezwania

---

(1) „Dzieje dobroczynności krajowéj i zagranicznéj“ r. 1821, str. 2221—2295; r. 1823 przy końcu.—„Prawidła szczególne, tymczasowe, wybierania uczniów do towarzystwa wspierania niedostatnich uczniów.“ Wilno. Zawadzki, 1821.

(2) Taki tytuł podaje K. Estreicher w „Bibliografii polskiéj XIX stul.“ IV, 519.

(3) Autorem téj broszurki był prawdopodobnie Ignacy Emanuel Lachnicki; cyfry bowiem jego (I. E. L.) znajdujemy pod rękopiśmienną dedykacyą broszurki Towarzystwu Przyjaciół Nauk, w egzemplarzu zachowanym w Bibliotece Główněj w Warszawie.

do zapisywania się na członków towarzystwa. Autor przemawia w imieniu „wydziału grodzieńskiego,“ słowami biblijnie namaszczonemi, do obywatelów, aby nie byli jako „stoki bez wody i obłoki od wichru pędzone, którym chmura ciemności jest zachowana.“ Znamiennemi są uwagi, mające na celu wykazanie ważności zadań Towarzystwa biblijnego. „Schyłek wieku XVIII — czytamy tu — który otwarcie i tajemnie z całą usilnością godził na obalenie prawd wiecznych i świętych, zmuszony dzisiaj widzieć ze wstydem, że wpływ jego był przemijającym, że zamysły jego haniebne i podłe, że z upokorzeniem powrócić powinien, skąd zaczął, a mimowolnie złożyć hołd prawdzie i świętéj Nauce. Francya, co pierwsza dała przykład wygórowanego zepsucia, co pierwsza targnęła się świętokradzką ręką na wiarę chrześcijańską, co w szaleństwie, nieznającym granic, nie wstydziła się niedawnemi czasy rozpustnym niewiastom na ołtarzach Zbawiciela i Boga cześć bałwochwalczą oddawać; taż Francya, przeszedłszy epokę niedowiarstwa swojego, wszelkiego rodzaju klęskami i nieszczęściami odznaczoną, zwraca się dzisiaj do wyznania i uczczenia prawd ewangelicznych.“ Takich wybryków u nas nie było; ta okoliczność daje autorowi pochop do następnéj przemowy: „Prawowierny zawsze naród polski nie zmazał siebie bezbożnością żadną; wy szczególniéj, obywatele gubernii grodzieńskiéj, zachowaliście i zachowujecie winne od was religii przodków waszych uszanowanie; wszystko zatém tuszyć każe, iż w niniejszém wezwaniu do tak ważnego dzieła założenia Towarzystwa Biblijnego wyprzedzić siebie nie dozwolicie; cząsteczkę waszych dochodów i chwil zbywających poświęcicie dla Tego, od którego wszystko otrzymaliście.“

Z tejże książeczki dowiadujemy się o organizacyi towarzystwa, która niewątpliwie była jednostajną wszędzie. Towarzystwo grodzieńskie było „wydziałem“ rosyjskiego. Członkami mogli być chrześcijanie bez różnicy wyznań, składający dobrowolne, żadnym przepisem nieograniczone ofiary. Członkowie na ogólném zebraniu wybierają komitet, składający się z jednego lub dwu wice-prezydentów, z sześciu lub ośmiu dyrektorów, z jednego kasyera i z jednego lub dwu sekretarzów. W nieobecności wice-prezydenta, mogą być załatwiane sprawy pod prezydencyą jednego z dyrektorów. Komplet komitetu składa się najmniéj z trzech dyrektorów i sekretarza. Głównem staraniem komitetu było rozdawanie i sprzedawanie biblij w takich językach, jakiemi mieszkańcy danéj okolicy mówią. Egzemplarzy potrzebnych dostarczał „za cenę jak najpomierniejszą“ komitet petersburski. Komitet zbierał się co miesiąc lub częściéj, jeżeli wymagała tego potrzeba. Co rok w początkach stycznia od-

bywało się zebranie ogólne, czyli, jak wtedy mówiono, „powszechne.“ Raporta i rachunki odsyłano do komitetu petersburskiego.

Głównym agitatorem w sprawie zakładania towarzystw biblijnych na Litwie był Pinkerton, członek towarzystwa rosyjskiego, który od głównego prezydenta księcia Golicyna otrzymał w sierpniu 1816 r. gorąco polecające listy do gubernatorów. Przy współdziałaniu miejscowych zwolenników pozawiązywano towarzystwa w kilku miastach. O działalności towarzystw tych nie mamy szczegółowych danych. Pierwsze *publiczne* posiedzenie towarzystwa wileńskiego, zostającego pod opieką gubernatora Rimskiego-Korsakowa, odbyło się dopiero w r. 1819, z czego sprawę zdano w osobnéj broszurze. W sprawozdaniu z drugiego publicznego posiedzenia, na początku roku 1821 odbytego, dowiadujemy się, że jednym z członków był znany profesor uniwersytetu, August Becu.

O ile mi wiadomo, ani w Wilnie ani wogóle na Litwie i Rusi nie wydano nakładem Towarzystwa biblijnego ani całéj biblii ani jéj części. Egzemplarzy dostarczał komitet petersburski. Drukowały się one w Petersburgu lub Moskwie. Nowy Testament wyszedł w tym czasie trzykrotnie (w Petersburgu 1815, w Moskwie 1819 i 1821); całe zaś Pismo św. w tłómaczeniu Wujka wyszło raz (w Moskwie 1822).

„Wydziały“ zajmowały się samą propagandą. Na propagandę tę, prowadzoną głównie przez protestantów a popieraną przez niektórych przedstawicieli nauki świeckiéj, duchowieństwo katolickie patrzyło wogóle niechętnie a znajdowało sprzymierzeńców w niejednym światłym uczonym, jak np. w Janie Śniadeckim, który, z innych może niż duchowni powodów, nie radził, tak samo jak oni, czytania biblii. Zaraz w samych początkach szerzenia towarzystw biblijnych na Litwie, wydano w tłómaczeniu list Fenelona o czytaniu Pisma ś. i to kilkakrotnie (w skróceniu nawet w „Dzienniku Wileńskim“), a wnet po ustanowieniu w Wilnie komitetu, Jędrzéj Pohl, sławny kaznodzieja misyonarz, ogłosił przeciw Towarzystwu „Rozprawę, czy wolno wszystkim bez braku czytać księgi Pisma ś. w językach krajowych drukowane“ (Wilno, 1817). Mimochodem wspomnieć tu można o bezceremonialnych wymyślaniach na Towarzystwa biblijne znanego fanatyka ks. Karola Surowieckiego.

Byli jednakże duchowni katoliccy, którzy nietylko nic nie mieli przeciwko towarzystwom biblijnym, ale je owszem sami popierali. I tak: biskup kamieniecki, Franciszek Borgiasz Mackiewicz, ma mowę „Przy otwarciu komitetu biblijnego dnia 30 miesiąca sierpnia 1814 w Kamieńcu Podolskim“ (drukowaną tamże, str. 26). Archidyakon białostocki, kanonik kijowski, Kazimierz Kubeszowski, ma-

również „mowę przy otwarciu białostockiego biblijnego komitetu' 18 stycznia 1817 r.“ (drukowaną tamże). Doktor teologii, trynitarz, Innocenty Seweryn Krzyszkowski, pisze obszerną a gruntowną rozprawę, w której powołuje się na księdza Leonarda van Essa („O pożytku i potrzebie czytania Pisma św.“ Wilno, 1819) i sam dowodzi, że za czytaniem biblii „są wszyscy teraz katolickiéj religii profesorowie i nauczyciele w niemieckich, francuskich i innych akademiach.“ Zaniedbanie czytania Pisma ś. przywiodło, zdaniem autora, „do rozmaitych i grubych obłąkań, które na miejsce objawienia bożego stanęły i ze samych podań ludzi nieumiejętnych albo źle nauczonych wypłynęły; świadkiem są nieprzeliczone już księgi religijne katolickich autorów, któremi zawalono duchowne najbardziéj biblioteki i domy słabszych wiernych; a tak przez te nowe fałszywe źródła religii i podobneż nauki wielu gnuśnych w szukaniu prawdy, nieumiejętnych zatém kapłanów, wystawiona została katolicka religia na pogardę uczeńszym światowym ludziom, rozumiejącym, że na tak błahych i kłamliwych zasadach wsparta cała religia; — na obłudę znowu innym, a na pośmiewisko obcym wyznaniom....“ Ksiądz Krzyszkowski wychwala naturalnie Towarzystwo biblijne i ubolewa, że zamiar tegoż „natrafia w naszym kraju w religii tylko katolickiéj na silną tamę, któréj wielu wyznawców, a najwięcéj osób duchownych i nawet uczonych teologów przez powziętą naprzeciw niemu przesądną jakąś obawę i szczególną nieufność ganią go jakoby szkodliwy i jako niegodziwy potępiają“ (1). Tak przemawiał ksiądz trynitarz, a rozprawę jego odczytali jako cenzorowie i „wszystko z największym pożytkiem czytelników godne druku być uznali“ doktorowie teologii: Mamert Herburtt, Antoni Zyszkowski i Tadeusz Majewski.

O wiele szerszy zakres od Towarzystwa biblijnego miało „Towarzystwo typograficzne.“ Inicyatorem jego był znany nam już pisarz i drukarz Antoni Marcinowski. Według myśli pierwotnéj miało ono posiadać charakter przeważnie spekulacyjny, ażeby wydając książki poczytne, módz wycofać nakład z zyskiem i tym sposobem oprzéć istnienie swoje na trwałéj podstawie: sprzedawać książki tanio i przez łatwość ich nabycia do czytelnictwa zachęcać. Gdy jednakże wnet po powzięciu téj myśli przyłączyli się do projektowanego towarzystwa „obywatele pierwszego w kraju znaczenia, zasług i godności,“ którzy nie potrzebowali i nie chcieli mieć żadnych zysków ze sturublowych akcyj, „cale małoznaczący dla nich artykuł

(1) „Dzieje Dobroczynności krajowéj i zagranicznéj“ r. 1823 w tomie I, II i III rozprawa ks. Krzyszkowskiego „o Piśmie św. i czytaniu jego przez wszystkich.“

wydatku stanowiących;"—zdecydowano nie oglądać się w wydawnictwie na zarobek, ogłaszać dobre i pożyteczne książki i sprzedawać je jak najtaniéj, chociażby nawet ich rozprzedaż nie wracała kosztów (1). Zadanie swoje skreśliło Towarzystwo w słowach następnych: „Gdy długie w kraju naszym doświadczenie przekonało, że brak osób majętnych, któreby mogły i chciały znaczny kapitał łożyć na dźwignienie przemysłu księgarskiego, wielką jest przeszkodą do upowszechnienia gustu w czytaniu; kiedy z tego powodu książki, drukowane kosztem prywatnych osób, nie mogących znacznych podejmować wydatków, nieumiarkowaną ceną odstręczają kupujących, a przez to uboższéj klasie odejmują sposobność nabywania światła; dzieła zaś dawniejsze, większe i znacznych nakładów wymagające. tak są przebrane, że ich w handlu znaleść nie można, a do przedrukowania żaden prywatny się nie bierze: przeświadczeni o tém niektórzy obywatele, rozważywszy środki zaradzenia téj potrzebie kraju, złożyli pewną sumę i zawiązali w mieście Wilnie towarzystwo, pod nazwiskiem *Typograficznego*" (2).

Pierwsze posiedzenie mającego się dopiero uorganizować towarzystwa odbyło się 20 kwietnia 1818 roku; 4 maja złożono i podpisano „dokument zaręczny," zastrzegając, że towarzystwo rozwiązać się może dopiero po upływie lat dziesięciu, „gdy tak większość zdań postanowi." Członków założycieli zebrało się 58 (3), a ponie-

---

(1) *Myśli obywatelskie o Towarzystwie Typograficzném Wileńskiém* w „Tygodniku Wileńskim," r. 1819, t. VII, str. 225—236.

(2) „Wiadomość o Towarzystwie Typograficznėm Wileńskiém" (Wilno, 1819 r. str. 14).

(3) Oto ich nazwiska w takim porządku, w jakim wymienione są w „dokumencie zaręcznym": 1) Michał Ogiński, 2) Adam hr. Chreptowicz, 3) Karol Wagner, 4) Konstanty hr. Tyzenhauz, 5) Adam hr. Günther, 6) Stanisław Niepokojczycki, 7) Zacharyasz Niemczewski, 8) Tomasz Życki, 9) Michał Dmochowski, 10) Michał Römer, 11) August Becu, 12) Józef Sękowski, 13) Mikołaj Mianowski, 14) Józef Kończa, 15) Antoni Marcinowski, 16) Józef Zawadzki, 17) Michał Baliński, 18—19) Aleksander i Teodor Pociejowic, 20) Kazimierz Strawiński, 21) Franciszek Malewski, 22) Feliks Siesicki, 23) Gabryel Ogiński, 24) Róża z Goreckich Wysogierdowa, 25) Tadeusz Kukiewicz, 26) Michał Chlewiński, 27) Marcin Ważyński, 28) Józef Górski, 29) F. Ks. Wyszkowski, 30) Jan Chodźko, 31—34) Ignacy, Ignacy Emanuel, Michał i Roman Lachniccy, 35) Stanisław ks. Puzyna, 36) Józef Wawrzecki, 37) Jan Bułdziłowicz, 38) Antoni Chrapowicki, 39 Leonard Wolmer, 40) Kazimierz Moniuszko, 41) hr. Plater-Zyberg, 42) Ferdynand hr. Plater, 43) Jan Rudomina, 44) Jan Szantyr, 45) Michał Bobiatyński, 46) Adam ks. Czartoryski, 47) Piotr Horn, 48) Narcyz hr. Olizar, 49) Michał Sobański, 50) Michał Markiewicz, 51) Feliks Chomiński, 52) Adolf Święcicki, 53) Eustachy Karpp, 54) Ignacy Mikucki, 55) Józef Grużewski, 56) Hipolit Górski, 57) Korzeniewski, 58) Rudolf hr. Tyzenhauz.

waż jeden z nich (książę Adam Czartoryski) miał dwie akcye, kapitał zatém zakładowy wynosił rs. 5900. Późniéj podobno liczba akcyonaryuszów czyli „kompanistów“ wzrosła; nie wiadomo jednak do jakiéj cyfry. Na czele towarzystwa stał prezydent (Michał Ogiński); wice-prezydent (Adam hr. Chreptowicz) zastępował jego miejsce; sekretarz (Michał Baliński) utrzymywał protokuł posiedzeń; kasyer utrzymywał rachunki. „Zgromadzenie powszechne“ odbywające się zazwyczaj raz na rok (między 15 kwietnia a 15 maja t. j. w czasie kontraktów wileńskich) słuchało raportów i rachunków, roztrząsało projekta co do rodzaju dzieł drukować się mających, ich edycyi, wytworności i kosztu, przyjmowało nowych członków, wybierało urzędników. Co do użycia i rozporządzenia funduszów towarzystwo działało za pośrednictwem „dyrekcyi,“ złożonéj z pięciu członków, którym prezydował pierwszy z porządku wyboru dyrektor. Posiedzenia zwyczajne miewała dyrekcya dwa razy na miesiąc, nadzwyczajne zaś, ilekroć wymagała potrzeba; komplet decydujący składał się najmniéj z trzech „dyrektorów.“ Zadaniem dyrekcyi było robić projekta lub podane sobie rozważać, a roztrząśnięte już i dobrze wypracowane przedstawiać „zgromadzeniu powszechnemu“ do potwierdzenia; gdy zaś to nastąpi, urzeczywistniać projekta za pośrednictwem komisantów, redaktorów, drukarzy i księgarzy. Przepis, tych czynności dotyczący, brzmiał: „Ugody o nakład druku, przez komisantów, robi ogółowe; redaktorów godzi ogólnie; toż samo drukarzy; wybite egzemplarze zbywa księgarzom w partyach znaczniejszych *za gotowe pieniądze*, chociażby nie z takim zyskiem, jakiby się w szczegółowéj mógł znaleść przedaży; *nie wdaje się z księgarzami w żadne komisa, zamiany, ani rachunki i kredyta*“ (1). Manipulacya taka była zapewne nader wygodna, ale nie mogła się przyczynić do zwiększenia funduszów Towarzystwa.

Duszą dyrekcyi był inicyator Towarzystwa, Antoni Marcinowski. Najpierwszém jego staraniem było podniesienie „Dziennika Wileńskiego,“ który od roku 1818 przeszedł pod jego kierownictwo. Przy dawniejszéj cenie, wydawano go odtąd z większą starannością i na piękniejszym papierze. Dochodu „Dziennik“ nie przynosił żadnego, ale przynajmniéj wracał koszta (2). Jako nakład Towarzystwa Typograficznego wychodził on tylko do końca roku 1821. Jako dalszy objaw działalności Towarzystwa zaznaczyć należy wydanie *Bajek* Krasickiego za złotówkę, a potém wszystkich tego koryfeusza „wieku oświecenia“ dzieł w dziesięciu tomach małego formatu, również tanie. Lecz i te, tak poczytne skądinąd utwory nie przy-

(1) Tamże, str. 13. — (2) Zob. *Myśli obywatelskie o Tow. Typ. Wil.*

niosły zysku, co wnosić możemy stąd, że w 1852 księgarz Zawadzki kazał wydrukować nowe do téj edycyi tytuły, by się pozbyć leżącego towaru. Wydało następnie Towarzystwo „Pieśni nabożne“ Karpińskiego i innych; w roku zaś 1821 uczyniło istotną przysługę wykształceniu elementarnemu, ogłaszając dobrze obmyślane dziełko Jana Chodźki p. n. „Pan Jan ze Świsłoczy kramarz wędrujący.“ Przetłómaczył je w 1823 na język litewski ksiądz Józef Rupejko, a w r. 1825 wyszło drugie wydanie oryginału, już nie nakładem Towarzystwa Typograficznego, ale księgarza Józefa Zawadzkiego, który był jednym z jego członków.

Krótka była działalność Towarzystwa, ale dosyć pożyteczna; myśl zaś przewodnia zasługuje na zupełne uznanie.

Obok tych towarzystw specyalnych istniały jeszcze dwa inne ogólniejsze, których celem było zarówno szerzenie idei humanitarnych wogóle, tolerancyi religijnéj, swobody myślenia, oświaty prawdziwéj we wszystkich warstwach społecznych, równości wobec prawa, wolności politycznéj w zakresie legalnym; jak przeciwdziałanie zabobonom, przesądom, bigoteryi, fanatyzmowi, nieprawéj przewadze jednéj klasy nad drugą, wszelkiemu uciskowi, wszelkiemu służalstwu. Pełnieniu zadania tego poświęcone było Towarzystwo Wolnomularzów i Towarzystwo Szubrawców.

Wolnomularstwo zaczęło się krzewić na Litwie i Rusi jeszcze w końcu wieku zeszłego; podczas panowania cesarza Pawła działalność jego przycichła, jeżeli nie zupełnie ustała, za Aleksandra I ożywiła się nanowo. Już w r. 1805 znajdujemy ślad czynności wolnomularskiéj w artykule „Dziennika Wileńskiego“ (tom II, str. 75—84) „O Franmassonii,“ napisanym z wielką dla tego towarzystwa sympatyą i uznaniem, a trzeba pamiętać, że ówczesną redakcyą „Dziennika“ składali profesorowie uniwersytetu Jędrzéj Śniadecki, ksiądz Jundziłł i Ernest Groddek. Wydaje się rzeczą prawdopodobną, iż wszyscy niemal profesorowie, cała inteligencya wileńska i okoliczna weszła powoli do tworzących się lóż zarówno w Wilnie jak i w innych miastach główniejszych litewskich i ruskich. Nie mamy dotąd dokładnych szczegółów ani o liczbie tych lóż ani o ilości członków; nie możemy też podać charakterystyki ich działalności. Rzecz naturalna, że wśród dobrych i zacnych musieli być źli i przewrotni; tego w żadném towarzystwie uniknąć nie można. Jeżeli mamy wierzyć Ochockiemu (1), to na czele loży żytomirskiéj, odnowionéj w r.

---

(1) „Pamiętniki“ wydane przez J. I. Kraszewskiego, Wilno, 1857, t. III, str. 271, 244.

1814 stali „ludzie pozbawieni wszelkiéj szlachetności, myślący tylko o osobistych widokach, o wyniesieniu się własném i korzyściach pieniężnych, jakie dawały składki nieustanne, na rozmaite wymyślane cele.“ Imiennie podaje „kwadrumwirat“ złożony z Bukara, Antoniego Pruszyńskiego, Wisłockiego i jakiegoś J. który odgrywał w tym kwadrumwiracie rolę głównego przewódcy. Nie mając skądinąd wiadomości o tych ludziach, nie możemy osądzić, o ile Ochocki dał się unieść stronności. W Wilnie było lóż parę; jedna z nich nosiła nazwę „Gorliwy Litwin,“ w któréj „przewielebnym“ był około r. 1815 Mikołaj Mianowski, naówczas profesor nadzwyczajny anatomii i fizyologii w uniwersytecie wileńskim. On-to wraz z profesorem Janem Wolfgangem, adjunktem Kazimierzem Kontrymem, jako téż Michałem Dmochowskim pisarzem komisyi sądowo-edukacyjnéj, Jakóbem Szymkiewiczem doktorem, Antonim Marcinowskim, znanym już inicyatorem Towarzystwa Typograficznego, Maciejem Szulcem aptekarzem i innymi postanowili w r. 1818 zreformować towarzystwo masońskie, uważając jego symboliczne obrzędy za przestarzałe. Jakób Szymkiewicz powiadał w swojéj „Desce“ przechowanéj w bibliotece jagielońskiéj: „Przez ściąganie opacznego o sobie rozumienia pospólstwa i filozofów i w ogólności największéj części światowych ponoszą wolnomularze uszczerbek na honorze i chwale.. Wchodzący do wolnomularskiego zakonu bardzo często utracać musi powagę i ufność przywiązane do jego stanu lub powołania; doświadcza w domu poróżnienia, a z przyjaciołmi dawnemi zrywa lub osłabia stosunki. Co wszystko naturalnie dziać się musi, a że się dość często dzieje, tego między nami łatwo znaleść przykłady.“ Szymkiewicz usprawiedliwia ogół, gdyż przyznając, że głównym celem zakonu jest „dostąpienie mądrości i doskonalenie się w cnocie,“ dodaje, że „historya zakonu nie wystawuje nam, ażeby ktokolwiek przez pilne i gorliwe odbywanie prac lożowych postąpił w mądrości i cnocie;“ a nadto robi uwagę, iż znaczne wydatki pieniężne, jakie każdy z „braci“ ponosić musi, nie mają najmniejszego celu, czas zaś „na prace i interesa w zakonie użyty“ jest stracony. W myśl tych uwag, wnieśli ci niezadowoleni, na jedném z posiedzeń w loży „Gorliwego Litwina“ projekt ułożonéj przez siebie reformy, a gdy ten znaczną większością głosów odrzucono, opuścili tę lożę i założyli nową pod nazwą „wolnomularstwa reformowanego.“ Kontrym pracował nad planem moralnéj reformy (1). W r. 1822 loże zostały zamknięte.

---

(1) Zob. „Obrazki litewskie, ze wspomnień tułacza Sobarri“, Poznań, 1874, str. 175, 176. Szczegóły przytoczone są tu wzięte z pamiętników ks. Stanisława Jundziłła,

Działalność „Szubrawców“ poznaliśmy już z poprzednich rozdziałów. Początkowo towarzystwo to składało dwunastu członków, pomiędzy którymi byli znani z nazwiska: Kazimierz Kontrym, Kazimierz Strawiński, Jakób Szymkiewicz, Michał Baliński; znani tylko z pseudonimu szubrawskiego: Dzidzis Lado, Patelo, Swejtestix. Z grona tego wybrano komitet, złożony z Kontryma, Szymkiewicza i Strawińskiego, a mający się zająć ułożeniem kodeksu. Strawiński jako prezydent komitetu przybrał jeszcze jednego członka w osobie Michała Balińskiego. Kodeks opracowany przez ten komitet, przyjęło towarzystwo „na schadzce“ d. 18 czerwca 1817 roku; poprawki w nim zrobiło na schadzkach z 14 i 21 października, dopełniło go wreszcie na schadzce 26 stycznia 1819; w tym téż roku ogłosiło go drukiem. Celem towarzystwa było oddziaływanie przeciwko szkodliwym „przywarom i nałogom“ społeczeństwa, jakiemi były: używanie nałogowe mocnych napojów, karciarstwo, pieniactwo, próżne chlubienie się tytułami przodków, upędzanie się za urzędami bez chęci i uzdolnienia do wypełniania obowiązków, wstręt do czytania i nauki, źle zrozumiana miłość narodowości zależąca na tém, ażeby bez rozeznania chwalić to wszystko, co własne i dawne, a poczytywać za czernienie narodu, kiedy się wytykają przywary ogólne; hojność w obietnicach i łatwość w przyrzekaniu, a nierzetelność w dotrzymaniu słowa; wielkie nakłady na powierzchowną okazałość a skąpstwo na życie prawdziwie wygodne; zbytnia uniżoność w potrzebowaniu cudzéj pomocy i usługi, a w innych zdarzeniach butność i pogarda dla drugich.

Członkowie towarzystwa dzielili się na „urbanów“ (miejskich) i „rustykanów“ (wiejskich). Każdy z urbanów, których mogło być tylko czterdziestu, musiał mieć 25 lat skończonych. Obowiązki członków były dwojakie: względem siebie i względem towarzystwa. Do obowiązków względem siebie należało przedewszystkiém „pilne i przykładne wypełnianie obowiązków swojego stanu i powołania,“ a następnie strzeżenie się tych nałogów, z któremi towarzystwo walkę prowadziło. Szubrawiec powinien czytać przynajmnéj jednę literacką i jednę polityczną gazetę, co miesiąc poznać jednę przynajmniéj dotychczas nie czytaną przez siebie książkę; biblioteczka jego składać się musi najmniéj z dziesięciu ksiąg, pomnażanych corocznie o jednę. Co do powinności względem „towarzystwa“ to każdy Szubrawiec, jako obowiązany do czynnego udziału w wydawnictwie „Wiadomości Brukowych,“ powinien był co dni dwadzieścia przy-

---

zmarłego w r. 1847; z „Listów Joachima Lelewela,“ Poznań, 1878, I, 316—317, wreszcie z rozprawki Z. Hordyńskiego: „Towarzystwo Szubrawców,“ 1882, (wstęp).

nieść „pisma przynajmniéj na ćwiartkę druku w stylu lekkim i zabawnym czyli szubrawskim;“ powtóre każdy członek powinien uczęszczać regularnie na schadzki, które się co tydzień odbywały; kto na trzech następujących po sobie schadzkach nie był obecnym, a nie usprawiedliwił przed prezydentem swéj niebytności, tracił prawa członka.

Członkowie towarzystwa Szubrawców wad, które wytykali innym w „Wiadomościach Brukowych,“ starali się unikać sami, chcąc oddziaływać za pomocą środka najdzielniejszego, jakim jest przykład. Życie głośniejszych członków, rzeczywiście obywatelskim duchem i postępowaniem nacechowane, daje Szubrawcom chlubne świadectwo. Pierwszy prezes towarzystwa, znany nam jako wolnomularz Jakób Szymkiewicz, doktór medycyny i chirurgii, zmarły w r. 1818, w majętności swojéj Taukiele (w pow. wiłkomierskim), dzieląc testamentem majątek między familią i przyjaciół, zapewnił dla chłopów swoich wieczyste posiadanie ziemi z naznaczeniem funduszu na edukacyą ich dzieci; oprócz tego zapisał pewne sumy na wykształcenie ubogich uczniów stanu szlacheckiego, miejskiego i chłopskiego w szkołach publicznych, na zgromadzenie muzyków wileńskich, na szkołę rzemieślniczą w Wilnie, na Towarzystwo Dobroczynności i na jałmużny wogóle. Drugi i ostatni prezes, Jędrzej Śniadecki, zbyt dobrze jest znany z nauki i z życia zawsze do usług dla bliźnich gotowego, ażeby potrzeba było się nad szczegółami rozszerzać. Jednym z najgorliwszych członków był Kazimierz Kontrym (ur. 1762, zm. 1836), którego nazwisko spotykamy wszędzie, gdzie chodziło albo o jakieś przedsięwzięcie literacko-naukowe, albo o założenie towarzystwa pomocy dla młodzieży, albo o radę i wskazówkę w naukowym zawodzie. Już w r. 1806 jest współwydawcą (wraz z Grodkiem) „Gazety powszechnéj literackiéj“ drukowanéj w Wilnie, potém, jak wiemy, był redaktorem „Dziennika Wileńskiego“ przez lat trzy (1815—1817), następnie redagował „Dzieje dobroczynności krajowéj i zagranicznéj“ również przez lat trzy (1820—1822), brał udział w pracach wolnomularskich, w założeniu „towarzystwa wspierania niedostatnich uczniów uniwersyteckich;“ a wiemy nadto, jak wiele dobrego świadczył uczniom sam, czy-to nastręczając im lekcye, czy téż u siebie ich pomieszczając. Mówi o nim wprawdzie z przekąsem ks. Stanisław Jundziłł w swoim „Pamiętniku“ (1), ale nie przytacza pozytywnych faktów żadnych, któreby rzucały cień na charakter znanego z najpochlebniejszéj strony człowieka; głos Jundziłła musimy poczytywać za wyraz stronniczego

---

(1) Zob. „Obrazki litewskie“, str. 174.

uprzedzenia i zrzędności, w którą popadł na starość. Z pomiędzy innych członków z chlubą możemy jeszcze wymienić nazwisko znanego w swoim czasie poety Antoniego Goreckiego, zacnego obywatela i uczonego historyka Michała Balińskiego, dwóch Chodźków, Jana i Ignacego, dzielnego ziemianina Wawrzyńca Puttkamera (męża „Maryli" Mickiewiczowskiéj), jako téż niezbyt wprawdzie świetnego pisarza ale ożywionego patryotycznym zapałem publicystę Franciszka Grzymałę. Że się wśród „Szubrawców" znalazł Józef Sękowski, człowiek dowcipny i zręczny, ale przewrotny, to nikogo ani dziwić ani do nieprzychylnego sądu o całém Towarzystwie upoważniać nie może (1).

IX.

Stanowcze działanie reakcyi; prześladowanie stowarzyszeń.—Ruch umysłowy nie ustaje, ale bardzo słabnie.—Reakcya w uniwersytetach: mowa Degurowa.—Chwilowe zwycięstwo wstecznictwa.—Smutne losy uniwersytetu wileńskiego.—Usuwanie lub usuwanie się profesorów.—Prześladowanie młodzieży.—Z ich grona powstaje potężny ruch romantyczny.—Zakończenie.

Krótki czas istnienia większéj części towarzystw tych był przeznaczony. Jak wiadomo, już w r. 1819 Metternich zwrócił pilną uwagę na stowarzyszenia wszelkie a przedewszystkiém studenckie, widząc w nich źródło niebezpiecznych dla konserwatywnego państwa dążności. Zaczęły się w całych Niemczech prześladowania członków Tugendbundu, burszenszaftów, towarzystw gimnastycz-

---

(1) Prócz powyżéj wzmiankowanych znani są jeszcze następni członkowie „Towarzystwa Szubrawców": 1) Antoni Marcinowski, znany nam już wielce ruchliwy wydawca, przezwany w towarzystwie „Sejmi" albo „Siemi", 2) Leon Borowski, profesor wymowy i poezyi w uniwersytecie wileńskim, 3) Ignacy Szydłowski, nauczyciel wymowy i poezyi w gimnazym świsłockiém, a późniéj wileńskiém, przezwany „Gulbi". 4) .... Worcell, 5) Konstanty Porcyanko, doktór medycyny, profesor uniw. wileńskiego, 6) Zacharyasz Niemczewski, profesor uniw. wil. przezwany w towarzystwie „Kielu", 7) .... Mianowski. 8) Józef Baliński, brat Michała; 9) Maciej Szulc, aptekarz, znany nam wolnomularz, 10) Aleksander Moniuszko. Członkiem korespondentem był sławny nasz komedyopisarz Franciszek Zabłocki. Być może, należeli jeszcze do towarzystwa: Maurycy Witowski, felietonista „Gazety Warszawskiej" i autor „Pustelnika z Krakowskiego przedmieścia," Jan Szantyr, lustrator dóbr funduszu naukowego na Litwie, A. Sakowicz i Dąbrowski.—Najszczegółowszą dotychczas monografią zajmującego tu nas przedmiotu podał p. Zdzisław Hordyński w rozprawie p. n. „Towarzystwo Szubrawców", Lwów 1883 (odbitka z „Przewodnika naukowego i literackiego" z ostatnich 4-ch miesięcy r. 1882). Z pracy téj, opartej po części na źródłach rękopiśmiennych, wziąłem spis członków dotąd z nazwiska nieznanych.

nych. Za przykładem Niemców poszedł niebawem i rząd rosyjski. W roku 1822 kazano zamknąć w całém państwie loże masońskie. Zakaz ten przerwał naturalnie i działalność lóż wolnomularskich na Litwie i Rusi. W tymże roku rozwiązane zostało „Towarzystwo Szubrawców“ i „Towarzystwo typograficzne.“ Pozostały zatém tylko towarzystwa specyalne: Uniwersytet wileński, Towarzystwo lekarskie i Towarzystwo dobroczynności, a z tych uniwersytet ścieśniony w swém działaniu, zostając zwłaszcza pod kierownictwem Wacława Pelikana, lubo pod względem liczby studentów wzmagał się ustawicznie, tracił przecież powoli powagę jako ciało naukowe.

Wraz z ustaniem towarzystw ogólniejszéj natury ustały także i czasopisma przez nie wydawane lub wspierane (1); od r. 1824 ist-

---

(1) Dla przypomnienia sobie i łatwiejszego przeglądu podajemy tu ich zestawienie.

a) w Wilnie.

1) KURYER LITEWSKI od r. 1815 do 1830 włącznie pod redakcyą Antoniego Marcinowskiego (Zaczął wychodzić jeszcze w r. 1793; do r. 1805 był pod redakcyą szambelana Włodka; od r. 1806 do 1811 wydawali go Pijarzy; w r. 1811 miał także tytuł rosyjski; w r. 1812 redaktorem był Daniłowicz, w 1813 Euzebiusz Słowacki, od r. 1831 był gazetą urzędową; od r. 1834 wychodził dwa razy na tydzień w języku polskim i rosyjskim. Od r. 1840 przezwany został „Kuryerem wileńskim“).

2) DZIENNIK WILEŃSKI wychodził już poprzednio ale bardzo krótko, bo tylko od kwietnia 1805 do grudnia 1806 roku; tworzy razem tomów siedem. Redakcya składała się z profesorów uniwersytetu Jędrzeja Śniadeckiego, ks. Stanisława Jundziłła, Ernesta Grodka. Od r. 1815 do 1830 włącznie, najprzód pod redakcyą Kazimierza Kontryma; od r. 1818 pod redakcyą Antoniego Marcinowskiego. Do r. 1819 włącznie wychodziło rocznie tomów dwa, od 1820 do 1824 po trzy tomy; w 1825 cztery tomy; od roku 1827 do 1830 po siedem tomów, — osobno „historya i literatura,“ osobno „literatura nadobna,“ osobno „umiejętności i sztuki,“ osobno „nauki stos owane,“ osobno „nowiny naukowe.“

3) TYGODNIK WILEŃSKI zaczął wychodzić w listopadzie 1815 roku; wtedy i przez rok 1816 redaktorem był Joachim Lelewel i podobno Michał Baliński, od roku 1817 do 1821 włącznie redagował go Ignacy Szydłowski, w r. 1822 wyszedł tom jeden pod redakcyą ks. Michała Olszewskiego. Ogółem wyszło tomów 13.

4) PAMIĘTNIK MAGNETYCZNY WILEŃSKI od r. 1816 do 1818 włącznie pod redakcyą Ignacego Emanuela Lachnickiego; wyszły trzy tomy. Winieta przedstawia krajobraz egipski: palma, sfinks, posąg jakiegoś bóstwa. Motto z Seneki: „Multa hoc primum cognovimus seculo et multa venientis aevi populus ignota nobis sciet.“

5) WIADOMOŚCI BRUKOWE w r. 1816 wychodziły luźnie, ukazało się numerów cztery, ale w r. 1817 liczbowanie numerów obejmuje i tamte cztery, tak że pierwszy numer z r. 1817 (10 stycznia) oznaczony jest jako 5-y. Wychodziły do 3 czerwca 1822; ogółem numerów 287.

6) GĘBACZ w r. 1817 (w końcu marca i kwietnia) numerów pięć. Według notatki H. Skimborowicza w egzemplarzu podarowanym przezeń Bibliotece Głównéj

nieją w Wilnie dwa tylko czasopisma: „Kuryer litewski“ i „Dziennik wileński“. Pierwsze z nich zaspakaja potrzeby potocznéj ciekawości i urzędowéj informacyi; drugi zapełnia się przeważnie technicznemi wiadomościami, a chociaż pomieszcza także artykuły treści literackiéj, historycznéj i pedagogicznéj, są już one bezbarwne zazwyczaj, nie dotykają tych zagadnień, które z coraz większym naciskiem zaczęto w sferach rządzących poczytywać za niebezpieczne dla monarchizmu.

Istotnie reakcya rozmogła się potężnie; idee liberalne stały się nie tylko podejrzanemi ale i prześladowanemi. Denuncyowanie tych idei przechodzi w zwyczaj. Ignacy Łada Łobarzewski,

---

w Warszawie, pisemko to redagował Ignacy Łagiennicki adwokat; spółpracownikiem był niejaki Konat.

7) PAMIĘTNIKI TOWARZYSTWA LEKARSKIEGO WILEŃSKIEGO wyszły w dwu tomach od 1818 do 1821.

8) PAMIĘTNIK FARMACEUTYCZNY WILEŃSKI. Pismo peryodyczne przez członków wydziału farmaceutycznego w Tow. Med. Ces. Wil. wydawane r. 1820 i 1821 dwa tomy; w r. zaś 1822 i 1823 także 2 tomy pod napisem: *Pamiętnik farmaceutyczno-chirurgiczny.*

9) DZIEJE DOBROCZYNNOŚCI KRAJOWEJ I ZAGRANICZNEJ Z WIADOMOŚCIAMI KU WYDOSKONALENIU JEJ SŁUŻĄCEMI, od r. 1820 do 1822 w ćwiartce 3 tomy; od 1823 do 1824, w ósemce, sześć tomów.

b) w Połocku.

10) MIESIĘCZNIK POŁOCKI wychodził r. 1818, tomów trzy. W r. 1820 wskrzeszono go; wyszły 2 zeszyty.

c) w Krzemieńcu (i Warszawie).

11) ĆWICZENIA NAUKOWE w r. 1818 przez młodzież krzemieniecką wydawane, drukowały się w Warszawie; 2 tomy „oddziału literatury“ i 2 tomy „oddziału matematyczno-fizycznego.“

12) PAMIĘTNIK NAUKOWY *służący za ciąg dalszy Ćwiczeń naukowych* wychodził w r. 1819; dwa tomy „oddziału literatury“ i dwa tomy „oddz. mat.-fizy.“

Prócz tego, w *Petersburgu* wychodził w języku polskim:

13) RUSKI INWALID czyli Wiadomości wojenne wydające się przez Komitet Najwyżéj potwierdzony d. 18 sierpnia 1814. Była-to gazeta polityczna codzienna; zaczęła wychodzić od 1 stycznia 1817, trwała do początków r. 1821, ogółem tomów pięć i numerów 24. Rubryki jéj były: a) doniesienia o wszelkich ofiarach na rzecz inwalidów, b) ogłoszenia komitetu o umieszczeniu na urzędach oficerów okrytych bliznami; c) Najwyższe rozkazy do wojska; rozkazy głównego naczelnika sztabu cesarskiego oraz uwiadomienia o podwyższeniu na wyższe stopnie w służbie morskiéj; d) doniesienia o postępie nauk, sztuk i przemysłu narodowego, o rękodzielniach, wynalazkach, obchodach patryotycznych, nekrologi i biografie; e) wiadomości ze spółczesnéj historyi i polityki; f) literatura krajowa i obca itd.

w dwu dziełach po francusku napisanych a w Petersburgu drukowanych (1) twierdził i dowodził, że wszelkie pojęcia ludzkie wziąć należy w najściślejsze kluby, gdyż inaczéj groźnemi się staną tronowi i ołtarzowi, czyli, mówiąc frazeologią nawróconego na reakcyą czasopisma „Dzieje Dobroczynności," przeprowadzał „tę wielką myśl, którą doświadczenie wieków potwierdziło, że jedynie do Boga i namiestniczéj jego władzy na ziemi wszystko odnosić należy tj. że wszystkie uczucia ludzi u podnóża ołtarza i tronu jednoczyć się powinny" (2).

To usposobienie wrogie dla samodzielnego myślenia przenika wszystkie sfery urzędowe i dostaje się nawet tam, gdzieby nigdy znaleść się było nie powinno, do najwyższych zakładów naukowych, które z zadania swego mają kształcić młodzież na ludzi myślących i działających samoistnie. Potępienie umysłowego rozwoju w gmachu poświęconym temu rozwojowi jest czémś tak potworném, że wydaje się rzeczą niemożliwą; a jednak zdarzało się nieraz. Zdarzyło się téż i w tych czasach zwyciężającéj na chwilę reakcyi. Niejaki Degurow, zapewne jeden z owych „przylotnych puszczyków" o których mówił Jędrzej Śniadecki w charakterystyce obskurantyzmu (3), profesor zwyczajny historyi, kawaler orderu królewskiego legii honorowéj, miał dnia 28 lutego 1823 roku na publiczném posiedzeniu uniwersytetu petersburskiego mowę w języku francuskim „o kierunku nadanym wykładowi w uniwersytetach." Wychodzi w niéj z założenia, że „wysoki stopień rozwinięcia władz umysłowych, jakiego Europa doścignęła, główną jest przyczyną tych zaburzeń, które już przeszło od lat 30 zagrażają nie tylko spokojności i szczęściu narodów, ale nawet i powszechnemu ich bytowi." Moc rozumu i umiejętności—woła ten przylotny puszczyk—„spływając na wszystkie stany, a *osobliwie na średni*... rozwija w nich namiętność wszystkim zdolnościom człowieka ruch nadające; ona szczególniéj zapala pychę, co się w rozlicznéj barwie ukazuje i ukrywa." Żądza pierwszeństwa „rozkrzewia się w sercu człowieka, któremu edukacya pozwala porównywać się z temi, którzy zajmują wyż-

---

(1) Observations chrétiennement politiques sur le système subversif de l'autel et du trône. Petersb. 1819—L'autel et le trône, ou opposition légale, morale et politique à l'esprit novateur du siècle, en forme de lettres, pour faire suite aux Observations etc. 1823, str. 449.

(2) „Dzieje Dobroczynności krajowéj i zagranicznéj," roku 1823, tom III str. 195.

(3) Zob. rozdział I pracy niniejszéj.

szy stopień w społeczności i względem których przekonywa się on o swéj wyższości lub tylko ją sobie wyobraża"... Nienawistnym jest autorowi ten motłoch; który przez wykształcenie śmie sięgać do sfer wyższych, nie chce on widziéć władzy w ręku ludzi „z podłego wylęgłych gminu i gotowych zniszczyć całą budowę rządu państwa, ażeby tylko swoje utrzymać panowanie." Według niego gdyby jeszcze „lat kilka" potrwał ten kierunek wychowania, jaki się wyraził w ówczesnych podręcznikach szkolnych, szczególniéj historycznych (Millota, Mentelle'a), „zniszczałby porządek społeczny Europy a mybyśmy znowu do barbarzyństwa wrócili." Ale Opatrzność nie dopuściła tego, Święte Przymierze ocaliło Europę: „Rządy nieodwłocznie wyłączyły od publicznego wykładu wszystkie nauki, których wpływ szkodliwy okazało doświadczenie, wszystkie systemata, które w umysłach słabych lub półoświeconych mogły przyćmić prawdę chrześcijańską i przez to nadwyrężając porządek społeczny, nieszczęścia i zgubę narodu gotować. Wszędzie uznano za konieczną potrzebę, ażeby nauki w ścisłym były związku z wiarą." Słusznie zatem, wedle mniemania Degurowa, odrzucono „fałszywe zasady filozofii," zniweczono „płonną starożytność świata, którą liczni pisarze utrzymują i która się przeciwi epoce stworzenia w piśmie św. odznaczonéj." „Dawno już krytyka nas oswobodziła—wykrzykuje rozochocony mówca, nie przewidujący najbliższych odkryć—od postrzeżeń Babilończyków, od dynastyj egipskich i cesarzów chińskich, które odnoszono do tych czasów, kiedy jeszcze wcale nie było rodu ludzkiego"... Zdaniem Degurowa żadna nauka nie postąpiła, odkąd z religią zerwała; np. nauka prawa przyrodzonego, które „wznieciło tylko okropne nadużycia, kiedy za jego zasadę przyjmowano twierdzenie, jakoby ludzie zostawali niegdyś w stanie natury i kiedy z tego stanu wywiedli niebyłą równość i urojone prawa, do niepodległości i zaburzeń prowadzące." Podobnież nie było postępu w nauce moralności, w fizyce, w historyi... „Naród - powiada—zawżdy jest poddanym i niczém inném być nie może." Ponieważ tę naukę posłuszeństwa bezwarunkowego wpaja religia, jéj tedy ugruntowanie „zapobieży raz na zawsze obłąkaniom rozumującéj części ludu." Wszystkie nauki zgadzać się powinny z jéj zasadami „albowiem gdy młodzi ludzie między niemi a innemi dostrzegą jakiejkolwiek różnicy, wpadną naówczas w okropną wątpliwość." Gdyby Degurow chciał być konsekwentnym, musiałby był zaproponować powrót do wieków średnich, kiedy księża tylko byli profesorami; ale reforma taka zachwiałaby własne jego stanowisko, zadowolnił się więc radą, ażeby zamiast jednego księdza wykładającego od r. 1821 religią dla wszystkich wydziałów, dać ich kilku.

Tak deklamował Degurow w Petersburgu; a w Wilnie znalazła się pobożna ręka, która słowa tak piękne z języka francuskiego do polskiego przeniosła, znalazło się pismo, dogorywające co prawda, które wydrukowało to kazanie świeckiego fanatyka... Pismem tém były „Dzieje Dobroczynności krajowéj i zagranicznéj“ (1823, t. III. 51—71) zostające wtedy pod redakcyą księdza Michała Olszewskiego; tłómaczem był Leon Rogalski, który skończył długoletnią działalność swoję już w naszych czasach, kompilacyą obszerną p. n. „Świat duchów,“ gdzie zebrał wszystkie sny i senne przepowiednie.

Związek „sów i puszczyków zwyciężył; nie w skutek osłabienia sił wśród tych, którzy „śmiało o świetle mówili;“ nie w skutek znacznego wzmożenia się wychowańców akademii smorgońskiéj i pacanowskiéj, ale w skutek przemożnych okoliczności zewnętrznych. Było-to zwycięstwo chwilowe reakcyi ogólno-europejskiéj, która sama przygotowywała i uzbrajała przez to swego wroga w rewolucyi.

Na uniwersytecie wileńskim zwycięstwo to odbiło się boleśnie. Czterech podejrzanych o liberalne poglądy profesorów, księdza Bobrowskiego, Lelewela, Daniłowicza i Gołuchowskiego usunięto; inni jak Frank, Jundziłł usunęli się sami, Onacewicz był więziony, Groddek umarł. Młodzież, która za dawniejszych czasów, kiedy stowarzyszenia nie były jeszcze zakazane, utworzyła związek promienistych, mający na celu wspieranie się w potrzebach życia i zachęcanie się do nauki, musiała w różne rozejść się strony i różnym uledz losom.

Lecz właśnie z tego grona młodzieży, któréj stowarzyszeń tu nie przedstawiałem jako nie należących ani do liberalnych w ścisłém znaczeniu wyrazu, ani témbardziéj do obskurantów, lecz tworzących zawiązek nowego pierwiastku w naszym rozwoju cywilizacyjnym, wyszedł pierwszorzędny poeta, co porywającym zapałem pociągnął za sobą młodzież i poprowadził nietylko Litwę „ojczyznę swoję“ i Ruś, lecz całą Polskę inną wprawdzie, niż liberalni drogą, ale ku téj samej krainie światła. Krainę tę pięknością tęcz wyobraźni, błyskawicami myśli, wylewami i wybuchami uczucia wypełniwszy, uczynił powabniejszą, milszą, droższą dla ziomków swoich, ratując ich od popadnięcia w zniechęcenie, od zarażenia się wyziewami zwyciężającego obskurantyzmu. Działanie chłodnego, analitycznego rozumu, skrystalizowanego w „Filozofii umysłu“ Śniadeckiego (roku 1822), na czas pewien

wśród szerszéj publiczności ustało, dając miejsce działaniu urokom fantazyi („Ballady i Romanse“ Mickiewicza, tegoż roku 1822) i czarowi głębokiego uczucia („Dziadów“ część czwarta, roku 1823). Wpływanie na poprawę wad za pośrednictwem ostréj, bezlitośnéj satyry zastąpiło tytaniczne powołanie młodzieży do ruszenia z posad bryły świata, do zrzucenia z niéj płazów—samolubów i zatknięcia na niéj godeł: miłości i poświęcenia...

Piotr Chmielowski.

ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Listy Jana trzeciego króla polskiego pisane do królowéj Kazimiry w ciągu wyprawy pod Wiedeń w roku 1683, z mapą pochodu wojsk polskich pod Wiedeń i podobizną listu króla Jana trzeciego. Lwów, nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta, 1883, XI, 222 in 8⁰.

Korespondencya króla Jana z Marysieńką wyszła po raz pierwszy w Warszawie u Glücksberga 1823 r., wydana bardzo licho *z kopii a nie z autografów* przez znanego mecenasa nauk Edwarda Raczyńskiego, który dołączył sporą ilość przypisków i objaśnień historycznych. Raczyński powtarza tu najdziwaczniejsze błędy gramatyczne i ortograficzne swojéj kopii, nieraz dorzuca do błędów kopisty i autora jeszcze swoje pomyłki, *opuszcza, zmienia i dodaje jak i co mu się podoba* w tekście. Z wyjątkiem podobizny jednego listu królewskiego o czterech kartkach in folio, nie potrzebuje umiejętny wydawca listów Sobieskiego uwzględniać tego wydania, chyba w ostatecznym wypadku i to z wielką ostrożnością i krytyką. Tyczy to się naturalnie także i drugiego wydania Raczyńskiego z r. 1824, które jest lichym przedrukiem pierwszego. I tak np. opuszczano w téj drugiéj edycyi „nieprzystojne" wyrażenia i zwroty. Tam gdzie w pierwszéj stało np. „Dzieci całuję i obłapiam" (str. 4, 7, 15, 24, 32) mamy w drugiém wydaniu (na tych samych stronicach) tylko: „Dzieci całuję." Podobiznę listu skrócono o 7 stronic, naturalnie ze szkodą książki nadto wydrukowano tenże facsimilowany list w tekście z błędami różnego gatunku, za to, trzeba przyznać, poprawiono parę błędów drukarskich pierwszego wydania w Przypiskach (str. 203 i 204). Co się tyczy objaśnień historycznych to są one albo niedostateczne albo zbyteczne, tak, że dzisiejszy wydawca nie może z nich korzystać.

Dopiero w roku 1860 wyszło umiejętne wydanie tych listów przez Helcla w *Bibliotece ordynacyi Myszkowskich* p. t. „Listy Jana Sobieskiego z czasów panowania Jana Kazimierza, do żony Maryi Kazimiry wraz z listami téj królewskiéj rodziny i innych znakomitych

osób przez I. S. Bandtkiego, z oryginałów archiwum niegdyś Sobieskich przepisane, uporządkował, pomnożył, tudzież przypiskami zaopatrzył A. Z. Helcel."

Jak z tytułu widzimy, wydaje Helcel listy te z *drugiéj ręki*. Obok niepospolitych zalet téj części pracy, któréj sam Helcel dokonał (index „osób, miejsc i niektórych szczegółów" objaśnienia, dodatki i t. d.), zostało tu wiele wad uczonego kopisty (Bandtkiego), których nie chciał i nie mógł usunąć Helcel.

Mamy zatém i w tém wydaniu listy Jana III z obciętemi połami, tekst nie zawsze racyonalny, formy gramatyczne często zmodernizowane i *wiele* innych usterek. Z własnych słów Helcla można się przekonać ile temu umiejętnemu wydaniu niedostaje. „Wielu— powiada on na str. X—wielu listów treść tylko, z wielu wyciągi podaję, tyle tylko znalazłszy w papierach nabytych (po Bandtkiem). *Wiernie* zamieszczam z druku *wszystko co i jak* się w rękopismach nalazło a nawet usterki języka. *Wyrzucałem* tylko te ustępy z Sobieskiego listów, które same z siebie (?) nie miały historycznéj wagi, a których *przyzwoitość* żadną miarą ogłaszać nie pozwalała."

Z wydania tego korzystał najnowszy lwowski wydawca tych listów, ale „za podstawę" wziął edycyą Raczyńskiego, poczytując sobie „za obowiązek trzymać się ściśle tego pierwowzoru."

Przedmowa, liczne przypiski i objaśnienia, facsimile i mapa pochodu wojska polskiego w r. 1683, a nawet sam tekst mają *pozory naukowego* a przynajmniéj dobrego wydania popularnego. Że tak nie jest, że to wydanie Listów Sobieskiego na nic się nie przyda a nawet z pewnego względu szkodzić może, będę się starał udowodnić.

Przedewszystkiem atoli poznajmy metodę wydawcy. Jest ona eklektyczną w najgorszém tego słowa znaczeniu, nadto tak dalece niesystematyczna, że musiałem się długo namęczyć, aby dojść do smutnego rezultatu, że wydawca nie trzyma się stale z góry przyjętych zasad.

Zwykle drukuje wydawca *treść* z Bandtkiego-Helcla, nakładając jéj *formę* Raczyńskiego. Aby się o tém przekonać, otwórzmy dla przykładu którąkolwiek stronicę nowego wydania i porównajmy je z dawniejszemi edycyami.

Wydanie firmy Gubrynowicza, str. 56	Wydanie Helcla str. 386.	Wydanie Raczyńskiego z roku 1824.
Wczora widziałem dzieci*on*tko jedn*e* — któremu zdra*z*ca przecioł g*embe* szkaradnie *y* głow*ę*.	Wczora widziałem dzieci*ąt*ko jedne — któremu zdra*j*ca przeciął g*ębę* szkaradnie *i* głow*ę*.	Wczora widziałem dzieci*on*tko jedn*o* — któremu zdra*z*ca przecioł g*embe* szkaradnie *y* głow*e*.

Eklektyzm wydawcy polega nie tylko na mieszaniu formy jednego wydania z treścią drugiego, ale także na czerpaniu tekstu raz z tego drugi raz z owego wydania. I tak np. bierze początek listu X z Raczyńskiego: „Jedyna duszy y serca pociecho naysliczniejsza y nayukochańsza Marysieńku“ (Gubrynowicz str. 54, Raczyński str. 50). Zdania tego nie ma u Helcla, który z zasady intytulacye opuszcza. Koniec zaś tego samego listu jest wyjęty z Helcla, Raczyński go nie ma. (Porównaj: Raczyński 57; urywam tutaj drugiego wydania bo w pierwszém jest tylko podobizna niepaginowana tego listu. Helcel 387, Gubrynowicz 61).

Charakterystyczną cechą tego ostatniego wydania jest jego arcystarożytne wyglądanie. Dawniejsze formy i pisownia dawna mogłyby nie jednego filozofa złudzić — przestrzegam ich więc, że wydawca *z fantazyi albo na wzór fałszywéj niesystematycznéj kopii* Raczyńskiego przewraca sobie *dowolnie* formy i pisownię, które nie mają nic wspólnego z faktycznym stanem ortografii i gramatyki listów Jana III. Oto przykład postępowania w tym względzie.

Jakem wspomniał nie ma Raczyński końca listu 9. Wydawca zatém miał w tym miejscu jedynie tekst Helcla, ale ten—jak wiadomo—używa nowszéj pisowni i racyonalnych form; cóż więc robi wydawca, aby nadać temu i innym tym podobnym miejscom starożytną cechę? Daje mu z fantazyi dawniejszą pisownię i końcówki gramatyczne takie, jakie się spodziewa, że Jan III położyłby, gdyby jeszcze żył i obcował z wydawcą.

Gubrynowicz str. 61.	Bandtkie-Helcel str. 387.	Raczyński str. 57.
Którędy będą mieli iść Litwa ozna*y*mi się drug*o* okazyą	Którędy będą mieli iść Litwa ozna*j*mi się drug*ą* okazyą.	(brakuje).

Gubrynowicz str. 58.	Facsimile u Raczyńskiego (wyd. pierws.).
....nie dają mi tedy dopi*sować* (str. 59) i popraw*ić*	....nie dają mi tedy dopi*sywać* popra*wować*

W ostatniéj pozycyi wydaje się pisownia i forma gramatyczna własnoręcznego listu króla nowszą; wydawca posuwa więc tak dalece swoje nakładanie dawnych form i pisowni, że nie odstrasza go od tego nawet facsimile listu królewskiego, które ma przed oczyma.

Z drugiéj strony napotkasz tu mnóstwo nowożytnych form wprost niemożliwych w 17 w. Nieznajomość języka (17 w.) i niesystematyczność wydawcy w tym względzie można poznać z następujących przykładów: „W dobr*y*m zdrowiu“ (Gubr. 24), ale tuż obok „przed t*é*m potkaniem“ (Gub. 29), „ze wszystki*e*m średzeniem“

(Gubr. 56), „pot*é*m“ (Gubr. 40). Wydawca dodaje do niesystematyczności pisowni oryginalnych listów i do nowych niesystematyczności ich kopisty i Raczyńskiego jeszcze najświeższe dowolności....

Porównajmy z tego punktu widzenia własnoręczny list Sobieskiego z wydaniem najnowszém.

Fac simile u Raczyńskiego, I wyd. k. 1 ff.	Wydanie Gubrynowicza str. 54 ff.
Jedyna *D*uszy y *S*erca *P*ociecho—*O*buz wszystek—B*u*g—r*en*ce—s*ą*dny—*B*ydl*e*—s*ie*, sław*e*.	Jedyna *d*uszy i *s*erca *p*ociecho—*O*b*ó*z wszystek—B*ó*g—r*en*ce—sądny — *B*yd*ła*—się, sław*ę*.

Jest-to nieskończenie mała próbka niesystematyczności wydawcy. Całą dziwaczną pisownię tych listów, którą trzeba było *koniecznie* ustalić, wydawca tylko pomnożył swoją zagadkową niejednostajnością. Mimo tego ślepego kopiowania „pierwowzoru“ kopisty (Raczyńskiego) nie oddaje najnowszy wydawca tekstu wiernie, owszem często opuszcza wyrazy a nawet całe zdania z listów Sobieskiego, czasem też zmienia bez przyczyny niejedno słowo. Oto przykład:

Fac simile tamże u Raczyńskiego.	Wyd. Gubrynowicza str. 54 ff.
Widziałem *też*—siła *rzeczy*, pa*nów* kogo*kolwiek* tilko—siła *ran y* które obr*acały*, *w rence* me dostał. Bylem w kościołach „*t*am lud i t. d.	Widzialem *tu*, siła *v* paszów kogo *v* tylko — siła ra*nnych v* które obr*óciły*, *żywcem* me dostał. Byłem w kościołach. *S*am lud i t. d.
Tamże, wyd. I, str. 101.	**Tamże str. 150.**
O szafarzu tym hultaiu calem ia tu nie wiedział, ani Gałecki pewnie; *pytałem dopiero P. Koniuszego Koronnego, co tu on robi, powiedział, że go tu móy zdrajca szafarz na swym przysłał mieyscu;* WMść moje serce wiesz dobrze...	O Szafarzu tym hultaiu calem ia tu nie wiedział, ani Galecki pewnie; *v v* Wć. m. s. wiesz dobrze.

Porównaj też w tym względzie (Gubr. 113, wiersz 10 od dołu i Racz. I, 111, wier. 8 od dołu).

Jak wspomniałem, dopełnia wydawca napis listu, który Helcel opuszcza z Raczyńskiego ale tylko do listu X t. j. do str. 62 (wyd. Gubr.) potém już się ta operacya sprzykrzyła wydawcy i odtąd drukuje tekst Helcla z lukami. Zakończenie listu przyjmuje zazwyczaj także z wydania Helcla nawet wtedy, kiedy Bandtkie-Helcel zaznacza wyraźnie opuszczane przez *i t. d.* i kiedy Raczyński po-

daje to zakończenie w całości (Gubr. 113; Raczyński I, 112; Helcel 404; Gubr. 149; Racz. I, 154; Helcel 416; Gubr. 154; Racz. I, 160 i Helcel 417.

Dla historyków jest to najnowsze wydanie nie do użycia. Wypuszczono z Helca jego pracowity spis imion, urzędów i t. d. jakotéż objaśnienia, nadto opuszczono z tekstu wiele ważnych dat jak np. dopisek ręką królowéj na grzbiecie listu: „le 12 septembre le jour de bataille" (Helcel 385, Gubr. 53); o parę kartek daléj brak znowu ważnéj daty N. 9. — „13 septembre dans les tentes du Grand Vizir" (Helcel 387, Gubr. 60) i t. d.

Charakterystyczném jest obchodzenie się wydawcy z miejscami zepsutemi albo niezrozumiałemi. Tam gdzie Helcel podaje: (sic) tam wydawca idzie za nim, chociaż miejsce takie możnaby nieraz poprawić, tak np. czytamy u Helcla str. 393: „banzetami" (sic), chociaż podług Raczyńskiego (I, 70) można bezpiecznie poprawić to źle odczytane przez Bandtkiego słowo na „bawołami;" datę XXVIII listu „6 novembris" należy poprawić na „6 Decembris" bez żadnych „sic" bo to jest rzecz pewna. Czasem, co gorsza, opuszcza wydawca i to „sic" Helcla. Daty i liczby, bardzo częste w listach, pisze cyframi albo literami bez systemu, przez co usuwa niejednę wątpliwą pozycyą z pod wszelkiéj kontroli.

Wobec tego rodzaju błędów wydawcy nie może być nawet mowy o racyonalném wydaniu błędnych albo wątpliwych miejsc o przywróceniu w całém wydaniu *poprawnego pierwotnego tekstu listu.*

Że nawet sam mechaniczny przedruk wymaga uwagi i sumienności przekonywa nas druk listu Jakóba królewicza do Maryi Kazimiry z okolic Komorna. List ten niewłaściwie umieszczono w wydaniach Raczyńskiego i w ostatnim wydaniu, gdzie przecież wydrukowano tylko „listy króla Jana III," niepotrzebnie téż dodał ostatni wydawca jeszcze dwa listy królewicza więcéj niż jest u Raczyńskiego. W taki sposób mógł kilkanaście innych z tego czasu listów przedrukować z Bandtkiego-Helcla. Ale mniejsza o to, ważniejsza rzecz, jak te listy królewicza przedrukowano. Weźmy np. pierwszy list. Helcel (N. 184, str. 439) mówi wyraźnie, że nieznalazłszy go w kopiach Bandtkiego przedrukował go z wydania Raczyńskiego. Ostatni wydawca zamiast czerpać ze swego „pierwowzoru" przedrukował ten list z wydania Helcla i dodał do pomyłek helclowych jeszcze parę usterek od siebie (Racz. 201 i 202, Helcel 439 i 448, Gubr. 188 i 189).

Przypiski nowego wydania są z początku dosłownie przepisane z Raczyńskiego. Z niewiadomych mi przyczyn opuszcza wydawca zacząwszy od listu N. XIX przypiski Raczyńskiego i odtąd

wypisuje je dosłownie z wydania Helcla. W tych obszernych przypiskach i objaśnieniach nie ma ani jednego słówka pióra samego wydawcy, tylko od czasu do czasu dodaje w przypiskach do kilkunastu pierwszych listów parę dowolnie wybranych objaśnień z Helcla. O tego rodzaju korzystaniu ze żmudnéj pracy swoich poprzedników nie wspomina wydawca ani jedném słówkiem.

W przypiskach przedrukowanych z Raczyńskiego mamy niemało historycznych błędów. I tak np. podaje wydawca (na str. 205, za Raczyńskim I, 213), że omówiony w liście „*pan* Międzyrzecki“ jest *starosta* Piotr Opaliński a przecież każdy wykształcony człowiek wie że „pan“ oznacza kasztelana a nie starostę, kasztelanem zaś Międzyrzeckim był wówczas J. Fr. Rozdrażowski. W objaśnieniach do XIII listu czytamy znów (Racz. I, 224; Gubr. 215), że „*panem* Sandomirskim był *starosta* Lubomirski. *Kasztelanem* sandomirskim, o którym tu mowa, był podobno (Helcel 399) St. Bidziński. Raczyński podając niedokładny spis amunicyi powołuje się na Rubi*n*owskiego „Janinę.“ Błąd ten drukarski (ma być Rubin*k*owski) powtarza i ostatni wydawca.

Najważniejszych objaśnień Helcla nie uwzględniono w tém nowém wydaniu, a te, które przepisano, wyglądają bardzo kuso. Oto próbka korzystania z naukowéj pracy: Helcel str. 392, uwaga 10: „Rafał Leszczyński z krajczego którym już był w r. 1678 (Vol. legg. V, 552) na Chorążego kor. postąpił w r. 1683 (Lengn. l. c. VIII, 224).“ W lwowskiém wydaniu: „Rafał Leszczyński z krajczego którym już był w r. 1678 na chorążego koronnego postąpił w r. 1683.“

Helcel str. 382, uwaga 1: „*zapewne* dziedzic Niemirowski ten sam kasztelan przemyski którego już z listów z r. 1682“ i t. d. — Gubrynowicz 208, uwaga 3: „Dziedzic Niemirowski, kasztelan przemyski.“ *Sapienti sat.*

W objaśnieniach do listu X jest „wojewodą bełzkim“ raz Konstanty Wiśniowiecki (i to jest dobrze), drugi raz na téj saméj stronicy (Gubr. 212) Jan Aleksander Koniecpolski, który, jak wiadomo, był wojewodą bracławskim a potém sieradzkim, ale nigdy bełzkim. Wydawca powtarza tu nawet taki pacierz za panią matką: „Pani Kanclerzyna dwoje dzieci *spłodziła*“ (Gubr. str. 197).

Wskutek takiego eklektycznego korzystania z przypisku Raczyńskiego i Helcla zdarza się czasem fałszywe numerowanie uwag, np. Gub. 60: „Cassel [5])“, liczba fałszywa, odnosząca się do Helcla. Gubr. 61: „Minionek [3])“ znów fałszywa liczba, bo przypiski przedrukowane z Raczyńskiego. Przytém opuszcza wydawca nawet z uwag Raczyńskiego tak ważne rzeczy, że ten lub ów list był już raz drukowany, np. list V druk. w „Pszczółce Krak.“ 1821, IV, 96 ff.

Typograficznéj strony nie dotykamy już wobec powyższych wad i błędów wydawnictwa; z drukarskich błędów notuję tylko parę: „popłacią“ (Gubr. 149) ma być „popłacają.“ Zamiast „od Lubowli“ ma być „do Zubowli“ (Gubr. 183). Na str. 98 ma być „XIV“ zamiast „XVI.“

Mapka odbita z wydania Raczyńskiego jest chyba na zabawkę zlitografowana. Podobizna ośm razy większa u Raczyńskiego (w pierwszém wydaniu) jest w tém wydaniu nieumiejętnie skopiowaną z drugiéj edycyi Raczyńskiego.

A zatém możemy z czystem sumieniem powiedzieć, że wydania tego nie można i nie powinno się używać do żadnych celów naukowych, a wobec dziwacznéj pisowni, lichego tekstu i prawdziwego balastu przypisków trudno żeby je czytać mogła szersza publiczność, którą, nawiasem mówiąc, czas-by już przestać plewami karmić.

H. B.

Prawo spadkowe rzymskie, napisał dr. Leonard Piętak, profesor Uniwersytetu lwowskiego. Tom I. Lwów, 1882.

Prawo spadkowe należy bezwątpienia do najtrudniejszych części prawa prywatnego rzymskiego, a chociaż posiadamy znakomite prace dawniejszych prawników około tego przedmiotu, jak Zimmerna, Gansa i Rosshirta, to jednak nie rzuciły tyle światła na powyższą część prawa rzymskiego jak prace dokonane około innych działów prawa tego. Z téj téż przyczyny w najnowszych czasach pojawia się coraz więcéj dzieł, rozbierających z całą dokładnością systematycznie zasady prawa spadkowego. W r. 1861 wydał *Vehring* prawo spadkowe w rozwoju jego historycznym i dogmatycznym. Autor téj pracy nie ujął przedmiotu w całéj rozciągłości, a zatém nie wyczerpnął wszystkich zasad, chociaż mu gruntownego rozbioru dotkniętych kwestyj odmówić nie można. Następnie w r. 1862 ukazało się dzieło *Wöppena*, system dzisiejszego prawa spadkowego rzymskiego, praca obszerna, ale niedokończona, obejmująca prócz wstępu tylko naukę o ogólnych zasadach prawa spadkowego. Do prac, które pod względem naukowym wyższe zajmują stanowisko, zaliczają się dzieła *Schirmera* i *Tewesa*. Szczególniéj praca Schirmera, niestety niedokończona, odznacza się znajomością przedmiotu, gruntownym rozbiorem źródeł i literatury dawniejszéj i nowoczesnéj. Dzieło Tewesa doznało surowéj krytyki—zdaniem naszém—niesłusznie, gdyż praca ta głównie przeznaczona dla uczą-

céj się młodzieży, napisana jasno i przystępnie, odpowiada w zupełności założonemu celowi, który widocznie surowi krytycy spuszczali z oka. Wreszcie wypada nam wspomnieć o dziele francuskiego uczonego prof. *Riv era*, obejmującém wykład prawa spadkowego rzymskiego, bez uwzględnienia strony historycznéj.

Najnowszą pracą około prawa spadkowego rzymskiego jest dzieło naszego ziomka dr. *Leonarda Piętaka*, profesora uniwersytetu lwowskiego, autora licznych prac z dziedziny prawa handlowego i wekslowego (1).—Dzieło powyższe opuściło prasę w końcu zeszłego roku i jest jedyném dziełem polskiém, obejmującém wykład prawa spadkowego rzymskiego. Odkładając krytyczną ocenę aż do ukończenia dzieła, podamy teraz tylko krótki jego rozbiór.

W zupełności podzielamy zdanie prof. Piętaka, że przedmiotem systematycznych wykładów prawa rzymskiego winno być wyłącznie czyste prawo rzymskie, że wykłady te winny przedstawiać dokładny obraz prawa rzymskiego i jego budowy, łączyć dogmatykę z historyą, przyczém unikać wypada owego szczegółowego rozbioru zawiłych sporów prawnych, drobnostkowego zgłębiania kwestyj podrzędnych, sztucznego wynajdywania różnych odcieni prawnych i podsuwania niby nowych myśli i pojęć źródłom prawa, wskutek czego główne zasady często tracą jasność i zrozumiałość a czasami zupełnie giną w labiryncie różnych kontrowersyj. Autor pracy powyższéj wielką położył zasługę, rozwijając każdą ważniejszą część nauki o prawie spadkowém na podstawie historycznéj. U Rzymian bowiem prawo jest życiem historyczném całego narodu. Dzieje rzymskie są dziejami i historyą prawa rzymskiego. W ciągu historyi rzymskiéj, prawo rzymskie nie zostaje jedném i tém samém, ale rozwija się, kwitnie i dochodzi do ostatecznego rezultatu dziejowego czyli innemi słowy: wydaje owoc dziejowy dla wszystkich późniejszych narodów. Mianowicie pojedyńcze części prawa spadkowego należą do różnych epok rozwoju prawa rzymskiego, pochodzą z rozmaitych jego źródeł, mają zatém odmienny charakter ducha swego czasu. Prawo spadkowe rozwijało się pod wpływem różnych systematów prawnych niejednolicie, ale powoli, częściami, uzupełniając się i dochodząc do najwyższego szczytu doskonałości.

---

(1) O towarzystwach zarobkowych i gospodarczych według ustawy z dnia 9-go kwietnia 1873, z uwzględnieniem odnośnych ustaw w Niemczech obowiązujących. Wykład systematyczny. 1874 r.— O giełdzie i czynnościach giełdowych ze stanowiska prawa austryackiego. — O istotnych znamionach czynności kredytowych i ich nieważności według ustawy lipcowéj z r. 1877. — Zur Lehre v. d. Pupillarsubstitution in Archiv f. civ. Prax. Tom 59, str. 26.

Jasne i gruntowne przedstawienie prawa spadkowego jest wprost niemożliwe bez uwzględnienia historycznego jego rozwoju. W dziełach niemieckich, traktujących o prawie rzymskiém dzisiejszém, strona historyczna — do należytego zrozumienia prawa spadkowego niezbędna — zwykle bywa uwzględnioną. Co się tyczy materyału prawnego, wyłuszczonego w dziele niniejszém, to zaznaczyć nam wypada, iż główny tekst obejmuje treściwy rozbiór prawa spadkowego, głównie mający na celu obznajmić uczącą się młodzież z obecnym stanem nauki téj części prawa prywatnego rzymskiego. Wydane dzieło zawiera pierwszą połowę zamierzonéj pracy i podaje najpierw ogólne pojęcia zasadnicze (§§ 1—4), daléj naukę o dziedzictwach wogólności (§§ 5—9), o powołaniu do dziedzictwa, a mianowicie o dziedziczeniu na mocy ostatniéj woli (§§ 10—35). Powyższy materyał uzupełnia szereg licznych adnotacyj, obejmujących cytaty ze źródeł, literaturę pojedynczych nauk aż do najnowszych czasów, rozbiór kwestyj spornych. Nie jest-to zbyteczna ornamentacya, jaką się odznaczają niemieckie podręczniki, ale rzeczywisty materyał prawny, wyświecający zasady prawa, usprawiedliwiający zdania w tekście wypowiedziane, nie zaciemniający głównéj osnowy przedmiotu. Wypadałoby tylko życzyć sobie w tych adnotacyach więcéj samodzielnych poglądów na dane kwestye, będących niejako ostatecznym wynikiem krytycznych badań.

Gruntownie wykładając swój przedmiot, szanowny autor musiał uwzględnić zarazem i źródła, nie zapuszczając się w drobnostkowy rozbiór różnych kontrowersyj. Co się tyczy literatury tak bogatéj, jak jest literatura prawa rzymskiego, to autor w swéj pracy nie pominął żadnego dzieła z literatury niemieckiéj i polskiéj, mniéj korzystając z dzieł uczonych francuskich. A jednakże prace Troplong'a, Pellat'a, Soleau'a Willm'a, Faure'a, Bourronillon'a, nie mało się przyczyniły do wyjaśnienia trudnych i zawikłanych kwestyj prawa rzymskiego. Forma wykładu prof. Piętaka w ogólności mało pozostawia do życzenia, razi jednakże zbyt częste używanie wyrazów łacińskich, co wprawdzie jest rzeczą bardzo wygodną, ale nie przyczynia się do poczytności i godności mowy. Nadto używa autor terminów cudzoziemskich, które można było zastąpić polskiemi, malującemi znakomicie rzecz. Należało zatém używać wyrazu *zbyć* zamiast *alienować; dziedziczenie*, *dziedzic* zamiast *sukcesya*, *sukcesor; cudzoziemcy*, *obcokrajowcy* zamiast *peregrini; postumus* oddać należy po swojsku przez *pogrobowiec; fidei commissum*, *fidei commissarius* zaś przez wyrazy *powiernictwo*, *powiernictwo bierca; substytucya*, *substytut* może być oddane wyrazem *podstawienie*, *podstawiony dziedzic*, *fiskus* zaś przez *skarb;* dla oznaczenia *ascendenta*, *descendenta* ma-

my w mowie naszéj wyrazy *wstępny*, *zstępny;* na oznaczenie zaś *kontrahent* wyrażenie *strona umawiająca się;* zamiast *commodatum*, *commodatarius* zwykle się używa *użyczenie*, *użyczający;* a zamiast *pupil* wyraz *nieletni;* w miejsce *legat*, *legataryusz* mówmy *zapis*, *zapisobierca;* łacińskie *caducum* odpowiada polskiemu *bezdziedziczny spadek*, a *consolidatio—zlaniu się praw; legitimatio*, *arrogatio*, *emancipatio* oddajemy zwykle przez *uprawnienie*, *przysposobienie*, *usamowolnienie;* a *manumissio* i *ignorantia* przez *wyzwolenie* i *nieświadomość; negotiorum gestio* i *litis contestatio* oddać należy przez *objęcie cudzego interesu* i *utwierdzenie sporu; compromissum* i *transmissio* zaś przez *układ*, *polubownictwo* i *przelanie spadku nienabytego; prowizoryczny*, *pozytywny*, *potestatywny*, *negatywny*, *fiktywny*, *uniwersalny*, *specialny*, *obligatoryjny*, da się zastąpić przez *tymczasowy*, *twierdzący*, *własnowolny*, *przeczący*, *zmyślony*, *ogólny*, *szczególny*, *obowiązkowy; formalności testamentu* oddaćby należało wyrażeniem *ujawnienie ostatniéj woli;* a na oznaczenie *konstytucyi cesarskiéj*, *restytucyi*, *exheredacyi*, *rekognicyi*, *interpretacyi* mamy swojskie wyrazy: *postanowienie*, *wydanie* (*spadku*), *wydziedziczenie sprawdzenie wykładnia;* łacińskie *jusjurandum calumniae* da się przetłómaczyć przez *przysięgę na słuszność sprawy*, a *homo sui juris* przez *człowiek niezawisły*. W ogólności przy tłómaczeniu łacińskich terminów nie trzeba odbiegać od wierności znaczenia i głównéj myśli, a stosowny wyraz malujący rzecz, da się łatwo i zręcznie ułożyć właściwym tokiem mowy swojskiéj. W każdym razie nie mogą jednakże liczyć na powszechne przyjęcie używane przez autora wyrazy: *wymog*, *nieudały* (czyn nieudały — stylizacya nieudała); nowo urobiony termin *zaskarżalność* nie oddaje niemieckiego *Anfechtbarkeit*, gdyż skarżyć można nie tylko to, co jest *anfechtbar*, ale i to, co jest *nichtig*. Gdyby szło o tłómaczenie dosłowne, należałoby powiedzieć *zwalczalność* ; barbaryzm atoli taki nie uzyskałby— zdaniem naszém — praw obywatelstwa. Trzeba się więc uciekać w tym razie, jak w wielu innych, do omówienia, np. niedopuszczalność skargi o zerwanie (testamentu).

Kończąc szereg naszych uwag, śmiało rzec możemy, że profesor Piętak nie małą zjednał sobie zasługę w literaturze ojczystéj przez napisanie dzieła o prawie spadkowém i pozostaje nam tylko wynurzyć szczere życzenie, iżby autor rychło mógł ukończyć rozpoczętą pracę, któraby wpoiła w młodzież zamiłowanie do prawa rzymskiego, a praktycznym prawnikom była pomocną przy stósowaniu ustawodawstw obowiązujących.

T. D.

KSIĄŻKI O PIERWSZEM NAUCZANIU.

1) Pierwsza nauka z małemi dziećmi. Dla użytku szkół elementarnych i domowego zajęcia (?) opracował (podług A. Diesterwega) Antoni Celichowski 1882.—2) Dla nauczycieli i wychowawców.—Pierwszy rok nauki systematycznéj przez Henryka Wernica.—Nakładem autora, Warszawa—Wilno 1883 r.

W ostatnich czasach ukazała się znaczna ilość prac osnowy pedagogicznéj, a istotnie dobrym zwiastunem jest okoliczność, iż prace te przedstawiają coraz wyższą wartość. Tak właśnie kwalifikować wypada książki, których napisy podaliśmy powyżéj, a które stanowią widocznie rezultat sumiennéj długoletniéj działalności wychowawczéj jako téż dużego teoretycznego wykształcenia.

Dziełko p. Celichowskiego jest to właściwie *nauka poglądowa*, opatrzona *wstępem* oraz *wskazówkami*, odnoszącemi się do nauki *pisania*, *czytania*, *rachowania*, *śpiewu*. Nadto ostatni rozdział siódmy obejmuje *niektóre pedagogiczne uwagi*. Lekcye poglądowe następują po sobie systematycznie; za punkt wyjścia służą w nich rzeczy znane i dziecku najbliższe, a stopniowo przechodzi się do nieznanych i dalszych. Dosyć właściwie dobrane *piosnki* i *zagadki*, niekiedy i *przysłowia* urozmaicają naukę. Tu i owdzie zaś nauczyciel spotyka się z wtrąconém prawidłem dydaktyczném. Najprzód więc jest mowa o *sprzętach szkolnych*, o *izbie szkolnéj*, jéj *częściach* itd. Na stopniu drugim mają miejsce *porównywania przedmiotów*, tj. wynajdywanie *podobieństw* oraz *różnic*, np. między podłogą a drzwiami. Stopień trzeci zawiera ważną naukę *o kształtach*, gdzie za punkt wyjścia służy *sześcian* albo *kostka*. Dalsza nauka podzielona jest na sześć stopni. Z tych pierwszy przedstawia *zwierzęta domowe*, drugi—*ciało ludzkie*, trzeci—*rośliny po ogrodach rosnące*, czwarty—*dom*, piąty—*miasto* lub *wieś*, szósty—*niektóre rzeczy z przyrody*. Przyznać należy, iż powyższy podział jest bardzo dowolny i nie odpowiada żadnym psychologicznym momentom, jakieby tu jedynie usprawiedliwić go mogły. Dlaczego bowiem *rośliny po ogrodach rosnące* mają należéć do stopnia trzeciego, a *dom* do *czwartego*, o tém autor nie mówi wyraźnie. Jeżeli przy *domu* ma być mowa o rodzinie, a potém o społeczeństwie, w takim razie zejście do *miasta* lub *wsi* w stopniu piątym stanowi cofanie się w nauczaniu. Jest-to przeto szematyzm zewnętrzny, w którym jeden stopień nie łączy się z drugim wewnętrznie. Autor nie uwzględnia prawie zupełnie najnowszego psychologicznego stanowiska pedagogiki, według którego istotne centrum, do którego mają dążyć i stosować się: nauczyciel, metoda, plan oraz środki nauczania, jest umysł wychowańca. Wspomniana nieznajomość nowszych prac pedagogicznych odbija się też w poglądach autora kiedy

np. przemawia *o uwadze*. Autor zna wartość tego czynnika, ale nie wydaje się przekonanym, iż psychiczny proces uwagi płynie często od wewnątrz i z tego też powodu poszukuje często zewnętrznych środków, gdy idzie o powstanie oraz utrzymanie uwagi. A jest to duży błąd. Tymczasem doświadczeni pedagogowie wiedzą i twierdzą, iż uwaga jest przy dobrém nauczaniu stanem zupełnie normalnym, nieuwaga i roztargnienie—nienormalnym,—że skierowanie poznającego umysłu na przedmiot poznania ma być sprowadzone nie przez poboczne środki zewnętrzne, ale powinno wyniknąć z własnego interesu wychowańca; tj. z zadowolenia, jakie sprawia umysłowe ożywienie, z uczucia podwyższenia ruchu władz umysłowych, z żywego popędu udoskonalenia się, więc z żądzy wiedzy. Popęd do *ruchliwości* i *pociąg do nowostek*, wprowadzenie których w lekcyą proponuje p. Celichowski, mogą być tylko pomocniczo korzystne, jako czynniki wytchnienia, ale nigdy głównie. Nauczyciel może wprowadzić w lekcyą żywioł rozmaitości już przez to gdy zmienia np. formę nauczania. Jeżeli więc używał formy dejktycznej, niechaj ją chwilowo zawiesi, a rozpocznie wykład akroamatyczny, lub niechaj swoich uczniów egzaminuje, albo pobudza ich do wynajdywania i t. d. Powtarzamy, iż nie chodzi nam tutaj o to, czy uczniowie mają się „obracać wtył, zmieniać miejsca lub stać na jednéj nodze (?)“ (str. 141) podczas lekcyi, ale pragniemy, aby na kwestyą uwagi zapatrywać się właściwie. Nie potrzebnie też się autor zadziera „z najnowszymi pedagogami szkoły bezwyznaniowéj“, nie objaśniwszy poprzednio, co to za jedni są ci ludzie (str. 145). To wszystko jednak nie osłabia jeszcze doniosłéj wartości dziełka. Cięższy już zarzut wypada nieuchronnie postawić autorowi pod względem językowym. Nikt się bowiem z p. C. nie zgodzi, ażeby pożyteczną rzeczą było na najpierwszym stopniu nauczania wprowadzać ogromną ilość neologizmów, choćby i szczęśliwie stworzonych. Wszakże to będą dzieci 7-o i 8-o letnie, dla których *otoczyny*=ramy, *zatwory*, *błony*=szyby, *kruki*=haki, *krajniki*=gzemsy, *wsuwy*=szuflady; *stojce*, *białkówki*, (białko), *targowice* = rynki, *łotoki* = rynny, *więźby* = wiązanie dachu i t. d. mogą stanowić bardzo poważne trudności. Nauczyciel musi przedewszystkiém szanować umysłowość swoich małych uczniów, a pod względem językowym za punkt wyjścia powinien mu służyć język, jakim mówi domowe otoczenie malców.

Okrom tego, niewłaściwie jest mówić i pisać: „Okno składa się z drzewa, żelaza, kitu i szkła“, bo drzewo, żelazo i t. d. nie są częściami, z których się całość składa, ale materyałami, z których się ona wyrabia. Piec nie jest „czworoboczny“ (str. 21), chyba tylko

jego ściany. Zamiast powiedziéć: „są téż okrągłe piece“, byłoby lepiéj: walcowate, bo okrągła jest także kula, stożek i t. d. Nie pisze się po polsku: „rzeczy, *które* potrzebujemy“, (str. 23), ale: *których* potrzebujemy. Kiedy szanowny autor pisze: „gąbka, zkąd“, (str. 25), to dlaczego pisze łepki. Błędnym téż jest zwrot: „Co należy wprzód z gąbką zrobić *zaczém* chcemy nią ścierać?“ (str. 25). Nadewszystko atoli razi nas w książce, tak żywo przejętéj sprawą poprawności języka polskiego, wyrażenie: „tabliczka się psuje, rysując po niéj gwoździem“ oraz: „Wszystkie te zdania nie należy dzieciom przepowiedziéć“ (co ma znaczyć podpowiadać). Na piórze gęsiém niema „skorupy“ (str. 27), ale najwyżéj powłoka; zważymy, iż skorupą nazywamy otoczenie jaja kuli ziemskiéj, i t. d. Na (str. 82) mówi autor o „delikatném *powleczeniu*“ choć lepiéj byłoby powłoce. Niepodobna téż jest zgodzić się na wyrażenie: „Należy dzieciom *obrazowie* pokazywać, jak się pióro przycina (zacina). To samo powiedziéć można o zdaniu: „róg mamy z kopyta wołu“, albo, co gorzéj się jeszcze przedstawia: „Stal jest to żelazo, któremu kuciem nadaje się większéj twardości i giętkości (str. 29). „Całe ciało“ nie jest „narzędziem czucia czyli dotykania“, gdyż do ciała ludzkiego zaliczają się włosy oraz paznogcie (str. 77). Stanowczym błędem jest wyrażać się że dziecko na przedmioty patrzało, „lecz je sobie nie uobrazowało“ (str. 80). Zamiast „gałęź nauki“ (str. 81), lepiéj gałąź nauki. Korzeń nie „siedzi w ziemi“ (str. 81) i nie „służy do mocnego *stania* drzewa“. Nie „hyacent“, lecz hyacynt (str. 83). Tych uchybień językowych jest bardzo dużo, a nie można powiedziéć, aby nie ubliżały książce poważnéj.

Wydaje nam się téż że autor zbyt uporczywie obstaje przy niektórych arcy przestarzałych przesądach. I tak na str. 27 powiada w uwadze 3, że w szkole początkowéj pod *żadnym warunkiem* nie powinno być dzieciom dozwolone pisać piórami stalowemi. Gdyby wszyscy ludzie tak myśleli w dbałości o kaligrafią, nie abdykowanoby dotąd z pergaminu, papirusów, rylców i t. d. Do przesądów téż chyba pedagogicznych zaliczyć wypada twierdzenie powierzchowne (str. 138), że „szkoła przecież stanowi dla siebie saméj małą gminę, małe społeczeństwo“. A *przecież* społeczeństwo składać się może tylko z ludzi dojrzałych i przeto mówi się że społeczeństwo ma pewne cele; małe dzieci tymczasem za cel mogłyby miéć figle, bo inne cele trzeba im wskazać w szkole i za szkołą. Więc po co ten frazes?

P. Henryk Wernic, znany z licznych prac na polu pedagogiki, rozpoczyna rzecz swoję od krótkiéj *przedmowy*, w któréj wskazuje potrzebę metodycznego przewodnika dla nauczycieli, mających do

czynienia z najmłodszą dziatwą. Następnie spotykamy się ze *wstępem*, zaznaczającym pobieżnie różnicę dawniejszego nauczania elementarnego w zestawieniu z obecném. Rzecz prosta, p. Wernic w szkole czasów dzisiejszych widzi postęp na lepsze. W ośmiu rozdziałach traktuje autor: *Religią*, *Naukę języka*, *Naukę czytania*, *Naukę rachunku*, *Naukę rysunku*, *Naukę śpiewu*. *Ćwiczenia gimnastyczne i zabawy*. Choćbyśmy się zgodzili z p. W. na taki zakres przedmiotów dla pierwszego roku nauki szkolnéj, to jednak radzibyśmy byli zmodyfikować ich brzmienie. I tak, nauczanie religii musi być w związku z nauką moralności; z nauką czytania łączy autor naukę pisania, a nie mówi o tém w tytule. Co się tyczy zakresu przedmiotów, ten wydaje nam się za obszernym dla 6-o lub 7-o letnich dzieci. Przecież takie umysły nie mogą być zajęte przez więcéj jak trzy godziny dziennie. Co już — zdaniem pedagogów — jest za wiele. Jeżeli atoli wyznaczymy na naukę o rzeczach godzin 3 — 4, na naukę czytania i pisania g. 4—9, na naukę rachunku g. 3—4 na rysunki bodaj g. 1., na śpiew 1 i na ćwiczenia gimnastyczne 1., to już otrzymamy całotygodniową ilość godzin (choćby z przerwami) zajęcia uczniów 17—20. Gdzież będzie czas na proponowaną przez autora naukę języka, religii? Bylibyśmy téż zdania, aby w pierwszym roku nauka języka pozostała jeszcze złączona z nauką o rzeczach, będącą właściwie pierwszą wprawą zmysłów, myślenia i języka. Nauka religii w tym czasie nie domaga się również wyspecyalizowania, jeżeli zważymy, iż dziecko nie posiada jeszcze właściwego przygotowania do myślenia abstrakcyjnego. Według Dittesa, do którego p. W. często się odwołuje, nie powinny téż w pierwszéj klasie elementarnéj odbywać się ćwiczenia gimnastyczne, ale mogą one być wybornie zastępione przez zabawy. Kierowanie bowiem własném ciałem, a raczéj jego ruchami dowolnemi każe przypuszczać większy umysłowy rozwój, niż ten, na który się takie małoletnie dziecię zdobyć może. Nie powątpiewamy nawet na chwilę, iż stanowisko naszego pedagoga jest zupełnie nowożytne; czynimy atoli pracy jego zarzut, że nie odpowiada ona wielokrotnie teoretycznym wymaganiom nauki o wychowaniu. Stąd pochodzi téż niezgodność na punkcie wprowadzenia w plan nauki religii oraz ćwiczeń gimnastycznych, a także specyalnéj nauki języka. Pan W. w planie swoim wprawdzie mądrze pragnie gospodarować kapitałem czasu, tak iż w pierwszym roku systematycznéj nauki szkolnéj przypada na dziecko w najgorszym razie 2 godziny i 54 minut zajęcia, atoli autor proponuje lekcye po 10—20 minut, albo i po 10 minut tylko. Zdaniem naszém lekcya tego rodzaju niemożliwą jest w szkole, może zaś być korzystną, jeśli się ma do czynienia z jedynym uczniem, Plan

pana W. różni się od planów dobrze zorganizowanych szkół niemieckich, a najbardziéj zbliża się do francuzkich. Ale i w tych ostatnich nie spotykamy lekcyj 10-o minutowych. To, co p. W. nazywa nauką języka, a pedagogowie francuzcy *exercices d'intelligence et de langage*, ośmielamy się nazywać niepedagogicznym przedmiotem szkolnym. Autor przyznaje na str. 85, że „nauka poglądowa zasadza się głównie na pobudzeniu i wprowadzeniu w ruch sił umysłowych wychowańca, na zdawaniu sprawy ze spostrzeżeń, jakie uczynił, t. j. na pytaniach nauczyciela i odpowiedziach ucznia, przeto taż sama nauka najwłaściwszą będzie treścią, na któréj kształci się zdolność mównicza (może zdolność języka) wychowańca." Ale niebawem życzy sobie, aby wprowadzić i opowiadania i bajeczki (str. 91). I my sobie tego życzymy, ale proponujemy, aby jedno i drugie połączone było w jednym fachu szkolnym, objętym przez nazwę: *nauka poglądowa*. Niema potrzeby wytwarzać nowego fachu szkolnego w pierwszym roku systematycznego nauczenia, gdyż w nauce poglądowej pomieści się i opowiadanie i bajeczka stosowna i przysłowie. Wolelibyśmy téż ten przedmiot szkolny nazwać: *ćwiczenia zmysłów i języka*. Bo przecież sumienny nauczyciel w czasie opowiadania lub czytania bajeczki musi pojedyńcze wyobrażenia uzmysłowić dzieciom przez stawienie przed ich oczy przedmiotów konkretnych, a więc zejdzie on *eo ipso* na grunt nauki poglądowéj. Inaczéj jego opowiadania oraz bajeczki staną się czysto mechaniczną wprawą zdolności mówienia, t. j. wbijaniem w pamięć dzieci wyrazów i zwrotów, nieposiadających treści rzeczywistéj. Z tego to względu, zarówno co się tyczy nauki języka, jak i przedwcześnie rozpoczętych ćwiczeń gimnastycznych powołujemy się na znane prawidło psychologii, że „wszelka nauka wymaga przedewszystkiém obudzonych i żywych a w ruchu będących władz poznania. Nauka rysunku, pisania, śpiewu, gimnastyki, robót ręcznych i t. d. wymaga najprzód, aby w umyśle wychowańca wytworzyć *prawdziwe wyobrażenia*. Potém zaś dopiero można zdążać do ćwiczeń wielokrotnych i wielorakich, aby uczeń nabrał wprawy bądź mechanicznéj (jeśli chodzi o używanie mięśni), bądź umysłowéj (jeżeli ma szybko reprodukować i kojarzyć wyobrażenia).

Nie jesteśmy od autora zbyt odlegli, ponieważ przeznacza on swą pracę *głównie* dla nauczycieli domowych, co modyfikuje sprawę. Jednak i domowy nauczyciel, jeśli nie będzie baczył na względy teoretyczne, może na punkcie takiéj *nauki języka* łatwo popaść w nadużycie i mechaniczny szematyzm. To téż—zdaniem naszém—nie ma możności przedstawienia jakichbądź praktycznych przepisów

wychowawczych bez uprzedniéj informacyi o psychicznych władzach człowieka oraz prawach niemi rządzących. Przepis każdy jest wygodny, gdy idzie o praktykę powszednią, ale stanowi on pęta samodzielności. A tylko nauczyciel obznajmiony z zasadami psychologii może krytycznie przyjmować metodyczne wskazówki i nie być przez nie skrępowanym. Ośmielilibyśmy się przeto twierdzić tutaj, że p. Wernic jak najmniéj usiłował tę sprawę uwzględnić. To, co on na początku swego dzieła pomieścił w ośmiu paragrafach, odczytuje się z przyjemnością, ale nie stanowi dla pedagoga żadnego wyjaśnienia. Znajdujemy rozdział pod napisem: *Dziecię*, odczuwamy ciepłą miłość pedagoga dla młodego pokolenia, ale czém jest dusza dziecięcia, jak świat zewnętrzny na nią działa i jak ona wobec tego działania oddziaływa, jak się rozwija — nie wiemy. Analogia wychowawcy z rolnikiem bardzo chroma; rolnik działa w interesie własnych korzyści, pedagog musi znajdować szczęście i zadowolnienie w korzyściach dziecka.

Nie możemy téż sobie zdać sprawy, skąd powstaje potrzeba wychowania w ogóle, a nauczania w szczególe, jak dziecko staje się wychowańcem, potrzebującym bezwarunkowo wychowawcy i nauczyciela. A przecież punkta takie, sądzimy, powinien był autor uwzględnić przeważnie, wprowadzając w swą pracę rozdziałki: *uczeń*, *nauczyciel*, *stanowisko wychowawcy* i t. d. Obowiązki nauczyciela stanowią zawód, do którego on musi się przygotować, tak jak się przygotowuje rękodzielnik, fabrykant, inżenier, prawnik i t. d. Otóż najpierwszą rzeczą w tém przygotowaniu jest poznanie natury wychowańca oraz stosunku swego do niego. Pan W. mówi wprawdzie (str. 15 i 16), „iżby nauczyciel miał dokładne wyobrażenie o metodach nauczania i należytą znajomość natury ludzkiéj w ogólności, a dziecka w szczególności,“ ale lepiéj byłby postąpił, gdyby—pisząc książkę „*dla nauczycieli i wychowawców*“ — przedstawił, czém jest umysł dziecka i jak naturalnie zupełnie wymaga on różnych metod nauczania oraz sposobów. Zarzucilibyśmy téż autorowi, że nie uzasadnił bynajmniéj, dlaczego w pierwszym roku systematycznego nauczania umysł ucznia domaga się tych, a nie innych przedmiotów nauczania. Przecież nie może być obojętném, jakie znaczenie dla człowieka ma nauczanic elementarne?

Nie wymagalibyśmy nawet tego wszystkiego od p. W., gdyby nie był na początku umieścił ośmiu paragrafów, mających jakoby wprowadzić początkującego pedagoga w zawód praktycznego nauczania, a właściwie nie podających żadnego objaśnienia. Téj saméj natury są końcowe rozdziały: *wypadek całorocznéj pracy i jego*

przybliżony wizerunek oraz trudność *zawodu nauczycielskiego*. Autor nigdzie wprawdzie nie dopuścił się najmniejszego fałszu pedagogicznego, jest mądry i przezorny; ale za dużo moralizuje, za dużo oklepanych frazesów rozrzuca, a od Wernica mamy prawo spodziewać się czegoś rdzenniejszego.

Wszystko zresztą, co się odnosi do praktyki nauczania, jest opracowane sumiennie i nie pozostawia nic do życzenia. Metodyka wspomnianych przedmiotów znalazła tu nawet swoje historyczne uwzględnienie. Książka p. Wernica należy do rzędu najlepszych nabytków w literaturze naszéj pedagogicznéj i jako taką możemy ją polecić każdemu wychowawcy.

= **Roman Pilat. Początek publicystyki literackiéj w Polsce.** *Czasopisma uczone* (*we Lwowie 1882*). — Autor rozwija w téj gruntownéj i sumiennéj pracy na tle dziejów publicystyki literackiéj za granicą (w Anglii, Francyi i Niemczech) początki i rozwój naszego dziennikarstwa. Inicyatywa do założenia pierwszych pism peryodycznych u nas wyszła z koła cudzoziemców, a mianowicie: od Sasów, z którymi łączyły nas jak wiadomo ścisłe stosunki za panowania Augusta II i III. Pierwszém czasopismem literackim było „Warschau Bibliothek“ (1753—1755) wydawane przez Mizlera w języku niemieckim, ten sam redaktor bardzo ruchliwy wydawał téż Acta litheraria (1755—1763) a wkońcu i pierwsze czasopismo polskie p. t. „Nowe wiadomości ekonomiczne i uczone“ (1758—1761). Autor rozbiera wszystkie czasopisma współczesne, z których wiele było dotąd zupełnie nieznanych i dochodzi do ujemnego rezultatu. Żadne z nich nie zdołało wyrobić sobie większego znaczenia a nawet zapewnić warunków trwalszego bytu. Bo téż w gruncie rzeczy zawdzięczały istnienie swoje nie tyle rzeczywistéj potrzebie stosunków, jak raczéj zapobiegliwości kilku osób, które z niemałem wytężeniem pracowały nad tém, aby zaszczepić u nas ważną gałąź piśmiennictwa, która za granicą tak bujnie się rozrosła. Czasopisma te nie miały żadnego związku z życiem i rzeczywistością i zasilały się ciężkim materyałem, czerpanym z drugiéj ręki, zawierają bowiem przeważnie wyciągi i przedruki z dawnych rzeczy. Pierwszy zwrot ku lepszemu okazują „Nowe wiadomości ekonomiczne,“ mające jeszcze przeważnie charakter i zakrój czasopism „uczonych“ a pisane już popularniéj. Ten sam redaktor Mizler, który przed kilku laty wyraźnie oświadczył, że *nie życzy sobie aby szersza publiczność czytywała jego czasopismo*, stara się teraz pozyskać także „mniéj w naukach biegłych“ i pisze dla różnego stanu i kondycyi czytel-

ników. Obok ciężkich i suchych rozpraw umieszczał redaktor „Nowych wiadomości“ także popularne rozprawki o rozmaitych sprawach społecznego i domowego życia, pisane przystępnie, z wyraźną dążnością wpływania na szerszą publiczność w kierunku obyczajowym. W tych kilku artykułach „Nowych wiadomości“ należy szukać zawiązku naszéj publicystyki literackiéj. Druga część książki Pilata obejmie czasopisma obyczajowe, zacząwszy od „Monitora“ wydawanego przez Bohomolca.

Wydawca, **W. Spasowicz**.—Redaktor **Piotr Chmielowski**.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Marca 1883 r.

---

1. **Lirycy greccy** (doby klasycznéj) przekładał *Jan Czubek* w Krakowie. 1883. str. 115.
2. **Parcelacya jako program społeczny** napisał *Karol Filipowicz* (odbitka z gazety Rolniczéj) Warszawa, 1883. str. 89. Cena kop. 60.
3. **Wydawnictwa, Kazimierza Bartoszewicza: Dzieła Ignacego Krasickiego** Tomy I, II, III, w 16, Kraków 1882 i 1883. Cena za pięć tomów rs. 2. kop. 75.
4. **Endymion**, przez Lorda Beaconsfielda przekład z angielskiego *Eweliny Feinkind* Tomów 3, Warszawa u Jakóba Goldszmita. 1883.
5. **Kilka uwag** o stosunku sztuk pięknych do rzeczywistości napisał *Aleksander Fechnik* dr. fil. w Tarnowie 1882, str. 56 (odbitka ze sprawozdania gimnazyalnego).
6. **Zbiór autorów rzymskich**, objaśnianych przekładem słownym i wolnym, z dodatkiem objaśnień gramatycznych i rzeczowych p. *Stanisława Sobieskiego* Tom I. Zeszyt I. (Corneliusz Nepos) Warszawa u Lesmana i Świszczowskiego 1883. (str. III, i 43).
7. **D. Zgliński.** Humor w Panu Tadeuszu (szkic estetyczny), Warszawa u Lesmana i Świszczowskiego. 1883. (str. 25).
8. **Amelioracye rolne**, w gub. Płockiéj p. *Stanisława Skarbek* odb. z korespondenta płockiego Warszawa u Ginsa 1887 (str. 30) Cena 15 kop.
9. **Katalog** rękopismów biblioteki zakładu nar. im. Ossolińskich wydał dr. *Wojciech Kętrzyński* Zeszyt III. Lwów 1883. (Cena zeszyt zł. 2. w. aus).
10. **Hajota. Nowelle.** Warszawa, nakład *Teod. Paprockiego* 1873. (str. 341).
11. **Książeczki dziesięciogroszowe**. I. Nauka rachunków, cztery działania z liczbami całkowitemi. Warszawa. 1883.
12. **Pamiętnik mojej żołnierki na Kaukazie** i niewoli u Szamila (1884—1854) p. *Karola Kalinowskiego*. Warszawa u Wincentego Dawida. 1883 str. 256.
13. **Podręcznik do urządzenia lasów** W. Tucewicza przełożony z rosyjskiego przez Stud. Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa pod redakcyą prof. *J. Krasuskiego*. Tom II. Warszawa 1883 str. 244.
14. **Podręcznik leczniczy.** Wskazówki leczenia domowego p. dr. *J. Polaka* z 50 figurami w tekście. Warszawa. Wydanie Przeglądu Tygodniowego. 1883. Cena kop. 60. (str. 146 i III).
15. **Złota przędza poetów i prozaików polskich.** Tom. I. Zeszyt I (str. 80). Cena tomu 60 arkuszowego w Warszawie rs. 6 na prowincyi rs. 7 dla prenumeratów Biesiady literackiéj w Warszawie rs. 5. na prowincyi rs. 6.
16. **Nicolaus Bobowski** Die polnische Dichtung des XV Jahrhunderts. I. Mariengedichte. Breslau 1883. str. 107.
17. **O konwencyi Petersburskiej** tow. ubezp. działających na gruncie tutejszym p. *Bronisława Mayzla* Warszawa 1883 str. 19.
18. **2-nd. Part of the Anglo** Polisch Lexicon by *I. I. Baranowski* editor: Lesman et Świszczowski. Warsaw 1883 str. 87.

19. **Arytmetyka w zadaniach** p. *S. Dicksteina.* Część I-a liczby całkowite z drzeworytami w tekście. Gebethner Wolff 1883. str. 163.

20. **Męczennicy myśli** według I. Barniego i A. Krzyżanowskiego opracował *K. L.* nakład red. „Prawdy“ 1883 str. 173.

21. **Pisma Józefa Supińskiego**. Wydanie trzecie przejrzane i znacznie pomnożone (z portretem autora) 5 tomów str. 355, 387. 378, 359, 290,. Warszawa 1883 nakład Gebethnera Wolffa.

22. **Stanisław Smolka** Szkice historyczne serya druga. Warszawa. Gebethner i Wolff 1883 str. 302.

23. **Starodawnych prawa polskiego pomników** Tom VII Zeszyt 17 Acta expeditionum bellicalium palatinatus Calisiensis et Posnaniensis in Valachos et in Turcos a. 1497—1498 in archivo regio Posnaniensi asservata edidit *Michael Bobrzyński* Cracoviae a 1882 4-to str. 190.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE

wychodzi w roku 1883 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

Redakcya zawiadamia szanownych czytelników, że i w roku bieżącym starać się będzie o jak najstaranniejsze spełnienie programu, przedstawionego w prospekcie na rok 1882. Rozbierać jasno ważniejsze zagadnienia, jakie społeczeństwu naszemu rozwój stosunków stawia, rozpowszechniać zdobycze naukowe w świecie cywilizowanym dokonane, śledzić bacznie objawy umiejętne i literackie wśród narodu naszego, zdając o nich sprawę krytyczną, podawać dla umysłu przedmioty do rozwagi a fantazyi karm zdrową; oto główne cele, które osiągnąć zamierzyła sobie redakcya.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie pozostają też same jak poprzednio.

Дозволено Цензурою. Варшава, 22 Марта 1883 г.